

A R T U R K. D O R M A N N

A woman with her back to the camera, wearing a long, flowing red dress, stands in the center. She is looking towards a dark, stylized silhouette of a castle or city with many spires and towers against a blue, misty background. The overall mood is mysterious and gothic.

**UCIECZKA
Z LAKE
FALLS**

**BUDZĄC DAWNO
UMARŁYCH BOGÓW**

**DARK
LEMON**

A R T U R K. D O R M A N N

**UCIECZKA
Z LAKE
FALLS**

**BUDZĄC DAWNO
UMARŁYCH BOGÓW**

**WYDAWNICTWO
LEMONIADA.PL**

**DARK
LEMON**

Copyright © by Artur K. Dormann

Copyright © by Grupa Wydawnicza Literatura Inspiruje Sp. z o.o., 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie mogą być publikowane ani w jakikolwiek inny sposób powielane w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

Redakcja: **Jolanta Chrostowska-Sufa**

Korekta: **Agnieszka Brach, Justyna Jakubczyk**

Projekt graficzny okładki: **Ilona Gostyńska-Rymkiewicz**

ISBN: 978-83-65223-92-0

Słupsk/Warszawa 2017

Wydawnictwo Lemoniada.pl

zamowienia@literaturainspiruje.pl

www.wydawnictwolemoniada.pl

www.literaturainspiruje.pl

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Prolog

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

Rozdział XX

Rozdział XXI

Rozdział XXII

[Rozdział XXIII](#)

[Rozdział XXIV](#)

[Rozdział XXV](#)

[Rozdział XXVI](#)

[Rozdział XXVII](#)

[Rozdział XXVIII](#)

[Rozdział XXIX](#)

[Rozdział XXX](#)

[Rozdział XXXI](#)

[Rozdział XXXII](#)

[Rozdział XXXIII](#)

[Rozdział XXXIV](#)

[Rozdział XXXV](#)

[Rozdział XXXVI](#)

[Rozdział XXXVII](#)

[O Autorze](#)

Spoczywający w morskich odmętach
Od dawien dawna nieumarli.
Rozrywani torturami,
Rozpięci na kole, które mięśnie rozdziera.
Nie złamią się jednak.
Wiara w ich dłoniach na pól się przełamie.
Choć pradawne zło przeora ich kości,
Powstaną zwycięscy,
A śmierć utraci swoją władzę¹

PROLOG

Najpierw pojawiła się ciemność, z niej wyłonił się ból – pierwszy sygnał nadciągającej rzeczywistości. Ocknęła się z głębokiego, pełnego majaków snu. Otworzyła szeroko oczy, ale jedyne, co zobaczyła, to wirujący obraz lampy zwisającej z sufitu.

Z powrotem zamknęła powieki. Nie była jeszcze gotowa.

Po niezliczonych godzinach spędzonych w rozmałym świecie omamów dostała kolejną szansę. Tym razem poczuła się na tyle silna, że postanowiła osiąść. Gruba, ciężka kołdra okazała się jednak barierą nie do pokonania.

Delikatnie zaczęła sprawdzać twarz oraz nadwrażliwe czoło; wydawało się, że wszystko jest w porządku. Próbowwała odwrócić głowę i wtedy ją poczuła. Głęboka rana schowała się podstępnie za linią włosów, ukryła pod zlepionymi kołtunami w okolicach karku, a zakrwawione palce były dowodem, że nie zdążyła się jeszcze zasklepić.

Mogło być gorzej – pomyślała i z wysiłkiem uniosła się na poduszkach.

Myliła się. W reakcji na ten – niegwałtowny przecież – ruch żebra odpowiedziały głucho, a ramiona zadygotały pochwycone w okowy rozdzierającego bólu.

Wciąż tkwiła zawieszona pomiędzy snem a jawą, nie do końca świadoma, co się z nią stało ani gdzie się znalazła. Spróbowała ponownie i rozchyliła powieki na tyle szeroko, by ujrzeć w oddali pełgający cień świecy. W jej świetle pomieszczenie zdawało się znajome, a jednocześnie obce, z tymi powybijanymi szybami, które zastąpiono byle jak przybitymi deskami, stertą śmieci zepchniętą pod przeciwległą ścianę oraz dziurą po wyłamanych drzwiach.

Walające się bezładnie resztki zdezelowanych mebli, oprószone kurzem, rzucały wydłużone niepokojące cienie na ściany. Razem z piętrzącymi się w rogach kupami gruzu tworzyły przygnębiający obraz rozpadu i opuszczenia. Jednak cały czas miała nieodparte wrażenie, że doskonale zna ten pokój, podobnie jak widok rozpościerający się za szczelinami między nieheblowanymi deskami.

Zmęczona rozglądaniem się po opuszczonych kątach znów zanurkowała w płytkim, nieprzynoszącym wytchnienia śnie.

Gdy ponownie otworzyła oczy, świece już zgasły, przez nieszczelne zabezpieczenia przenikały blade promienie ciekawskiego słońca. Z trudem odwróciła się na bok i sięgnęła po szklankę wypełnioną płynnym zbawieniem. Woda, choć krystalicznie zimna, smakowała dziwnie, jakby...

Nie dokończyła. Szklanka wypełniona do połowy wysunęła się z jej zdrętwiałych palców – na szczęście zdołał ją w porę złapać. Sprawdził temperaturę, dokładnie obejrzał amatorsko zszytą ranę, a na koniec poprawił poduszki i uśmiechnął się pod nosem. Stary przepis na uspokajającą mieszankę ziół okazał się zaskakująco skuteczny.

– Sen – mruknął pod nosem – najważniejszy jest teraz sen.

Dołożył drewniane polano do kominka, pilnując, by powietrze za bardzo się nie nagrzało. Ciepło i pierwszy posiłek musiały poczekać, aż jej stan się ustabilizuje.

Z namaszczeniem, niczym kruchy skarb, wyjął z inkrustowanej skrzyni księgę i położył na stoliku tak, by zauważyła ją zaraz po przebudzeniu.

Gęsty osad pyłu wirował jeszcze w powietrzu, jak gdyby ktoś zaledwie przed chwilą zburzył swoją obecnością panujący tu zastygły w oczekiwaniu nieład. Na stoliku obok łóżka stała szklanka, znów napełniona wodą, oraz leżało coś nowego – książka oprawiona w ciemne okładki noszące ślady upływu lat. Wokoło panowała dojmująca pustka.

Czuła się już na tyle dobrze, że ignorując ból ramienia, wyciągnęła rękę po stary wolumin. Była zaintrygowana obecnością księgi, wydawało się jej, że już gdzieś widziała ten brzydki brązowy grzbiet, ale nie mogła sobie przypomnieć okoliczności...

– Niemożliwe – powiedziała szeptem, jakby dotknięcie spatynowanej skóry gdzieś w głębinach jej podświadomości uruchomiło ciąg skojarzeń.

Z wrażenia podniosła się na poduszkach i jeszcze raz rozejrzała po pokoju.

Musiała się napić, bo popękane wargi bolały ją równie mocno jak rana na

głowie. Ostrożnie przełknęła łyk wody, która tym razem smakowała zupełnie normalnie. Dopiero teraz pozwoliła sobie dokładnie obejrzeć wnętrze pokoju. Od razu zauważyła czeluść ceglanego kominka muśniętego czerwienią dogasających szczap, poczerniałe drewniane bale wyzierające spod oderwanych tapet.

Poznała go, a serce ścisnął jej żal. Ze smutkiem patrzyła na nieodwracalne zniszczenia. Ukochany niegdyś dom, podobnie jak ona, odniósł wiele ran – choć jego w większości okazały się śmiertelne.

Ponieważ nie chciała zastanawiać się nad okolicznościami, które sprowadziły ją z powrotem do Lake Falls, sięgnęła po intrygujący wolumin. Sfatygowana skórzana oprawa otwierała się na karcie tytułowej, gdzie zamiast nazwiska lub imienia autora widniał napis *Pustynni wędrowcy*.

Dziwne było, że tę starość napisano tak żywym współczesnym językiem, a już pierwsze zdanie: „Umierające słońce właśnie chowało się za horyzontem, ostrym światłem dogasającego dnia ożywiając taniec wirujących drobin piasku...” zaintrygowało ją na tyle, że zaczęła czytać, z ostrożnością przekładając poźółkłe strony.

Czas się zatrzymał, po czym z powrotem zaczął płynąć niespiesznie w sobie tylko znanym kierunku. Szelest kartek zapomnianej książki sprawił, że przeszłość uchyliła drzwi i zajrzała do samotnego domu na wzgórzu.

Rozdział I

KRONIKI WAMPIRÓW

Choć w obłąd popadli,
Przy zmysłach zostaną.
Choć ich morze pochłonęło,
Na nowo powstaną.
Choć kochankowie straceni,
Miłość nie przeminie.
A śmierć utraci swoją władzę...²

WSTĘP

Umierające słońce właśnie chowało się za horyzontem, ostrym światłem dogasającego dnia ożywiając taniec wirujących drobin piasku. W oddali kłębiły się stalowe chmury, a wypalone kępki traw rosnące na skraju jaskini z utęsknieniem wyglądały nocy i pojawiającej się wraz z nią rosy, dzięki której miały szansę dożyć kolejnego świtu.

Patrzyłem na kulę ognia barwiącą nieboskłon kolorem krwi. Ten widok niezmiennie od stuleci zapierał dech, choć czasem miałem wrażenie, że podczas następnego podobnego zachodu całe niebo zajmie się płomieniami i doszczętnie wypali – taki pożegnalny dar słońca. Oczywiście nic takiego się nie stało. Jeszcze.

Słońce swoim zwyczajem zniknęło za horyzontem o kształcie wyznaczonym przez dziesiątki mniejszych i większych wydm, uparte chmury nadal zasnuwały ziemię, zwiastując nadejście burzy piaskowej.

Jak okiem sięgnąć, okolica była martwa. Wypalona. Jeśli nawet kiedyś istniało tutaj życie, teraz zastygło w oczekiwaniu na szaleństwo wiatru, który nadchodził ze wschodu.

Słyszałem jego oszalały zaśpiew wśród odległych gór, czułem go każdą cząstką ciała, oddychałem przyszłym smakiem – mogłem sobie na to pozwolić, bo znalazłem schronienie, w przeciwieństwie do mężczyzny, który dopiero zmierzał ku jaskini.

Piekielne słońce w dzień oraz lodowate noce uczyniły z pustyni naturalną granicę dla ludzkiej ekspansji, dlatego wędrowcom rzadko udawało się dotrzeć tak daleko. Barwne legendy stosunkowo szybko zastąpiły rzeczywiste poznanie, ale opowieści o wielkich bogactwach pozostawionych przez starożytne rasy w samym sercu Daarthu napędzały plotki, ożywiały niepotrzebne nadzieje. Mamiono nimi niewygodnych gości, utajonych wrogów lub szpiegów. Oczywiście nie było żadnego skarbu, żadnej starożytnej rasy. Przynajmniej nie tu i nie takiej, o jakiej opowiadano.

Po tygodniach bezowocnej tułaczki poszukiwacze wracali zrezygnowani z niezbywalnym piętnem, które nosili w sobie do końca życia niczym wypalony znak. Obraz równiny drgającej w nieustannej gorączce – bezkresnej pustki – nawiedzał ich nawet na łożu śmierci, kazał marzyć o powrocie do świata, gdzie przestrzeń i czas płynęły równolegle. Niespiesznie. Do ciszy, która wypełniała każdą myśl, uczyła pokory, obdzierała ze złudzeń.

O tak, pustynia Daarthu od wieków intrygowała śmiazków, i nawet ja nie byłem obojętny na jej surowy czar.

Użyźniały ją nieprzeliczone kości zapomnianych bohaterów, których do chwalebnych czynów pchała ciekawość lub głupota – a najczęściej obie naraz. Uciekinierzy wierzący, że za morzem wydm czeka na nich nowe życie, rabusie próbujący ukryć się wśród bezkresnej pustki dumnych gór, wędrowcy szukający zagubionych szlaków. Ze wszystkich stron otaczały mnie ich niecichnące nigdy szept, ale te opowieści nikogo już nie obchodziły, tak jak smutek i samotność tamtych straceńców. Zapomniani, spoczęli pod cienkim płaszczem piachu – bielejące śmiertelne żniwo słońca.

Ten wędrowiec był inny, nie prowadziły go ani czcza ciekawość, ani chęć ucieczki. Okadzony słowami profetów, zaczarowany obietnicami, ogołocony ze wszystkiego, co było mu drogie, miał stać się wymierzonym we mnie ostrzem, mieczem w dłoniach podstępnych sił próbujących zapanować nad

wszelkim ziemskim stworzeniem. Dano mu cel, który nazwano świętą misją, i wysłano na polowanie.

Czekałem na niego od dawna, wypatrując znaków z północy, skąd powinien nadejść, aby słowa przepowiedni mogły się dopełnić. Okazał się zaskakująco wytrwały i mężny, bo niewielu miało odwagę zapuszczać się tu samotnie. Pytanie tylko, czy jego poświęcenie miało sens?

Mimowolnie spojrzałem w górę, jakbym oczekiwał, że dojrzę tam twarze bogów uśmiechnięte szyderczo, ich rozjarzone wszechwiedzące oczy. W końcu poplątanie dróg, wytyczenie milionów kombinacji było wymyślonym przez nich okrutnym i przewrotnym planem, który miał dopełnić nieświadomy niczego mężczyzna. Doskonałe narzędzie popychane do działania pragnieniem zemsty i nienawiścią.

Na pewno wiedzieli, że zacząłem rozważać kwestię swojego odejścia, bo byłem zmęczony powtarzalnością cyklu życia, który mogłem obserwować, wyrzucony na margines przez upływające wieki. Zobojętniałem, patrząc na kolejne wydarzenia obracające kołem historii oraz wszystkie jej warianty wynikające z ludzkich decyzji. W gruncie rzeczy nieśmiertelność nie jest nagrodą, lecz niekończącą się karą. Dlatego nie zdecydowałem jeszcze, co uczynię ze swoim gościem.

Był zwykłym człowiekiem, więc słusznie się mnie lękał.

Bał się tego, co nienazwane, czego umysł nie potrafi w pełni pojąć ani zrozumieć. Gdy los sprawiał, że ludzie stawali z kimś takim jak ja twarzą w twarz, zazwyczaj wybierali jedną z dwóch dróg: albo ucieczkę w popłochu, albo... śpiew naostrzonych kos, jakby stał dawała im pocieszenie, podobnie jak odwet, zgodnie z zasadą, że przelana krew obłaskawia strach, zmieniając jego źródło w kolejną epicką opowieść.

Wróciłem do wnętrza, rozpałem ognisko, aby przygotować się na spotkanie. Nawet tam słyszałem już pierwsze podmuchy narastającego wiatru podrywające do lotu ziarenka piachu.

Przybysz był głuchy na ostrzegawczą rozmowę wiatru z ziemią, i gdyby w porę nie dotarł do jaskini, zniknąłby, podobnie jak ślady jego stóp, w wiecznym pustynnym grobie. A na to się właśnie zanosilo.

Zdążył w ostatniej chwili.

Wysoki młody mężczyzna, którego krańcowo wycieńczone oczy błagały o ratunek, zanim pozwolił sobie pomóc, przez spękane usta i gardło wyschnięte na wiór wychrypiał:

– Kim jesteś? – Najważniejsze z pytań, tu wręcz na wagę życia i śmierci.

Skłamałem. Od tak dawna tęskniłem za towarzystwem. Dlatego zanim burza ostatecznie opuści równinę, czekają nas wieczór oraz noc wypełnione długimi rozmowami, bo przecież miałem wiele czasu. Dobrego czasu. A prawda prędzej czy później wyjdzie na jaw – taka już jej uroda.

Uspokojony, usiadł ciężko na ziemi. Podałem mu bukłak z wodą, przygotowałem prosty posiłek, zauważyłem też, że nosił krótki miecz z rowkiem na ostrzu – oręż morderców i skrytobójców. Dobrze go wyposażono, nie raz widziałem taką broń i doskonale znałem działanie trucizny, która zazwyczaj wypełniała płytką szczelinę.

Kapłani musieli być bardzo zdesperowani, że wrócili do starych, przewidywalnych metod – żadnej magii, nieudolnych sztuczek, czysta pieśń skrzyżowanych mieczy, spojrzenie w oczy wroga. Prawie zaczynałem za tym tęsknić.

Był słaby. Pustynia dzień po dniu wysysała z niego siły, dlatego postanowiłem odwlec w czasie to, co nieuchronne, wspólnie przeczekać nadszarpnięte szaleństwo piasku i wichru. W końcu pokonanie przeciwnika, który z trudem trzymał się na nogach, nie przysporzyłoby mi chwały. Oczywiście jeśli mi na tym jakoś szczególnie zależało.

Przyjrzałem mu się dokładnie, bo bez wątplenia wart był uwagi. Silne ramiona i nogi należały do doskonale wyszkolonego wojownika, który większość życia spędził na placu ćwiczeń oraz arenie, chociaż z drugiej strony wykrój ust zakrywał mu kilkudniowy zarost, dość rzadko spotykany wśród wojowników. Długie ciemne włosy, zgodnie z tradycją ludów północy, nosił zaczesane do tyłu, opalona twarz była męska, o wyrazistych rysach, i zapewne wiele kobiet poddało się urokowi jego niezwykłych jasnoszarych oczu o bystrym, inteligentnym wyrazie.

Ludzie z północnego klanu pochodzącego z odległych zimnych rubieży nigdy nie zapuszczali się na równiny Daarthu. Temu należało przypisać całkowicie niestosowny ubiór – koszulę z krótkimi rękawami oraz ciężkie skórzane spodnie. Aż dziw, że w tym stroju dotarł tak daleko, chociaż i tak zapłacił srogą daninę słońcu.

Wyjąłem kojący balsam. Spalone opuchnięte ręce i twarz z popękkanymi do krwi ustami należało natychmiast opatrzeć, inaczej na zawsze oszpecąłyby je blizny – niechciana pamiątka z podróży w głąb ognistego piekła.

Rozbawiony, obserwowałem, jak się zawahał, z nieufnością zajrzał do

wnętrza drewnianego naczynia, jednak na szczęście dla siebie wykazał sporo rozsądku, posmarował pokąsaną przez słońce skórę, wypił pół bukłaka wody i usiadł – na wszelki wypadek – w odpowiedniej odległości.

Oparłem się wygodnie o skałę i zupełnie się z tym nie kryjąc, obserwowałem go z ciekawością. Trudno się dziwić, w końcu rzadko nadarza się okazja, by ofiara mogła spojrzeć w oczy swojemu zabójcy.

Musiałem przyznać – tym razem kapłani wybrali właściwego człowieka. Szkoda tylko, że nie uprzedzono go, z kim naprawdę przyjdzie mu się zmierzyć. Mógł być najlepszym z wojowników, godnym legend i pieśni pełnych chwały, lecz i tak podjął się samobójczej misji.

Oszukano go, kierując fałszywym tropem aż tu, na pustynię. Prowadzony żądzą zemsty, szukał wiecznego tułacza, naczynia wszelkiego zła. Pewnie z całego serca wierzył, że pokonanie mnie wyniesie najszlachetniejszego z bohaterów na szczyty sławy.

Zbyt dobrze znałem legendy rozpalające wyobraźnię, opowieści, którymi karmiono podobnych mu męźnych młodych ludzi, by uczynić z nich posłuszne narzędzia w dłoniach fanatyków. Samotny, pozbawiony rodziny, odnalazł sens życia dzięki zatrutym słowom – zemstę na przeklętym od prawieków urągowisku bogów i ludzi. Istocie, która za pomocą najczarniejszej magii wydłużyła sobie życie ponad obowiązujące prawa natury.

Powszechnie lękano się wymawiać nasze imiona, miasta drżały w posiadach, gdy mieliśmy nadejść, wioski pustoszały, a opuszczone zwierzęta ryczały żałośnie w swoich oborach – przynajmniej tak głośniły księgi.

Nawet bogowie bali się nekromantów, i nic dziwnego, bo rejony magii, po których się poruszaliśmy, były dla nich niedostępne, więc ich usta na ziemi – prorocy różnej płci, wyznań oraz kolorów – traktowali moich współbraci niczym ucieleśnione zło.

Opowiadano o naszych zbrodniach, rozpalano ciekawość i stosy, lecz prawdziwym przeciwnikiem okazały się zły los oraz czas, który skutecznie odbierał nam wolę walki.

Byłem ostatnim z Bractwa, przy życiu trzymała mnie tylko pewna misja – miałem przekazać ludzkości prawdziwą wersję pewnej niezwyklej opowieści i dopilnować, by nie zniknęła przysypana piaskiem dziejów. Choć owe wydarzenia rozegrały się dawno temu, do tej pory wspomniano je z lękiem,

a ich echa pojawiały się w niezliczonych, często baśniowych wersjach.

Spojrzałem w oczy mężczyzny siedzącego po drugiej stronie niewielkiego ogniska. Zapewne nie potrafiłby mi odpowiedzieć na pytanie, czy nasze spotkanie było jedną z owych tajemniczych dróg, którymi podążało przeznaczenie, jednak znalazłem w jego wzroku siłę i prawość.

Obojętnie, jak potoczą się nasze losy – czy wyjdziemy stąd razem, czy może dumny wojownik opuści jaskinię sam, dzierżąc w dłoniach dowód pokonania odwiecznego zła – cel zostanie osiągnięty, bo opowieść, którą zamierzam mu przekazać, zacznie sączyć jad w śmiertelną duszę. Wtedy ów człowiek zrozumie, czym jest prawdziwe źródło wszelkich nieszczęść.

Zapamiętane słowa się rozrosną, po drodze zamieniając w herezję, zdolną wyzwolić ludzkość spod władzy bogów. Uzurpatorów nakazujących wiernym bezgraniczne posłuszeństwo i poświęcenie za obietnice oraz puste słowa bez znaczenia.

Sprawić, by każda ludzka istota stała się panem własnego życia – oto misja posłańca śmierci, ostatniego nekromanty, którego imię zgaśnie w pomroce dziejów. W spadku przekazał mi ją ktoś, kto rzucił wyzwanie bogom i zapłacił za to straszną cenę. Właśnie o jego dziejach powinien dowiedzieć się wędrowiec, poznać otchłań, w której ukryto prawdę, żeby nigdy nie ujrzała światła dziennego.

Idea ta sprawiła nagle, że przestałem odbierać czas jako nieznośne brzemie, odzyskałem chęć do życia i działania. Doszedłem bowiem do wniosku, że być może doczekam chwili, gdy pokorne stworzenia wdeptane w pył podniosą głowy i zaśmieją się w twarz swoim katom. Zdobędą wolność, która poprowadzi ich nowymi ścieżkami, pozbawionymi kajdan boskich wyroków.

Mijała godzina za godziną odmierzane narastającym rykiem wiatru. Mężczyzna powoli odzyskiwał siły, więc nic nie stało na przeszkodzie, żeby rozpocząć opowieść o miłości, zdradzie, lecz przede wszystkim zemście, która wyniosła istotę z krwi i kości na wyżyny niedostępne śmiertelnikom – bo w oczach przybysza ujrzałem odwagę zdolną unieść brzemie legendy.

Rozdział II

Pochrzało się – pomyślała Victoria wpatrzona w okno, za którym mrugała nazwa motelu Czerwony Sen. Od pewnego czasu jej sny również miały kolor czerwony. Wtedy, budząc się z krzykiem zamarłym na spierzchniętych ustach, oddałaby wszystko, żeby nigdy więcej nie zasnąć.

Uciekła z Jonathanem, zostawiając za sobą zgliszcza dawnego życia: opuszczony samotny dom na wzgórzu, miasto przygotowane do pogrzebu pod taflą jeziora i pewnego mężczyznę, który głębokim mrokiem zasnuł ich myśli, bezpowrotnie burząc spokój.

Doskonale pamiętała tamtą podróż i ciszę panującą w samochodzie. Przez całą drogę Jonathan nie odezwał się słowem, zresztą oboje nie mieli o czym ze sobą rozmawiać. Wydarzenia, których byli świadkami i uczestnikami, oddzieliły ich od zewnętrznego świata przezroczystą taflą o grubości wprost proporcjonalnej do spustoszeń, których dokonały.

Nie mieli już powrotu ani do własnych domów, ani normalności, czekała na nich tułaczka wypełniona strachem o to, co nadejdzie, wewnętrzną pustką i brakiem nadziei. Takie były koszty wpuszczenia pewnego październikowego dnia do domu mężczyzny w szarym płaszczu, o oczach płonących szkarłatem.

Jonathan naiwnie sądził, że z Victorią połączyły go więzy wspólnych doświadczeń, lecz na swoje szczęście nie miał bladego pojęcia o tym, co naprawdę rozdzierało na części jej umysł i serce.

Nie zakochała się w wampirze, jej racjonalny i chłodny umysł w ostatecznym akcie samoobrony na to nie pozwolił. Dostrzegła w nim zło ukryte głęboko pod maską, rozumiała konsekwencje swojego krótkiego związku z Obcym i broniła się rozpaczliwie przed jakąkolwiek słabością.

Nie. Na pewno nie kochała doktora Barrowa, chociaż całe jej ciało płonęło z gorączki, gdy wracały nieposłuszne wspomnienia. Z każdym pokonywanym kilometrem rosła w niej rozpaczliwa tęsknota za dotykiem jego dłoni, głosem szepczącym w ciemnościach, pragnieniem, które w niej wyzwał. Stanowił jej dopełnienie, jakby odnalazła utraconą dawno temu

częstkę siebie. Przywrócił do życia, pozwolił odkryć nieznane terytoria emocji i uczuć, uzależnił od siebie. Nie kochała go, tak jak narkoman nie kocha heroiny, alkoholik nie odczuwa miłości do wódki. Dlatego nie miała nic do powiedzenia Jonathanowi, bo obawiała się, że zamiast słów z jej gardła wydostanie się zwierzęcy skowyt, błaganie, aby zawrócił. Mimo wszystko.

W chwili gdy z zasięgu jej wzroku zniknęły znajome dachy domów, złożyła sobie obietnicę, że postara się zapomnieć. Przystanie czuć, zastanawiać się i analizować, będzie żyła wyłącznie darowaną terazniejszością.

Dzień zamienił się w noc i tylko cichy głos prezentera z jakiejś stacji radiowej rozpraszał milczenie, które zawisło między nimi niczym ołowiany całun. Zacierały się granice miast, wiosek oraz lasów, jedynie czarna wstęga drogi zawsze pozostawała taka sama.

Vic patrzyła przez szybę, nie dostrzegając szczegółów zmieniającego się krajobrazu, myślami utknęła w jakiejś nieogarniętej pustce, która jak lodowe palce coraz mocniej ścisnęła ją za gardło.

Gdy dotarli do Cheyenne, Vic udało się mimo wszystko wysiąść z samochodu, odpowiedzieć na powitania, a nawet rozciągnąć usta w sztucznym uśmiechu.

Wieczór upłynął jej w stanie pełnego rozdwojenia – potakiwała, od czasu do czasu wtrącała do rozmowy całkiem sensowne uwagi. Oczywiście ani razu nie padło słowo „wampir”, nikt nie ośmieliłby się po zmroku przywołać nazwy istoty, która zaplątała się w ich przeznaczenie, niszcząc wszystko na swojej drodze. Najczęściej używali określeń Gość lub Obcy, jakby starali się w ten nieudolny sposób zakłąć rzeczywistość i odsunąć od siebie grozę.

Dom rodzinny Jonathanana – wypełniony ludźmi kręcącymi się po przestronnych pokojach, miłymi zapachami i uczuciami, o których istnieniu zapomniła, skupiona przez kilka miesięcy na walce z dwoma demonami – wydawał się jasną przyjazną przystanią. Ale w tym realnym świecie czuła się obca i niepotrzebna.

Od Rachel, matki Jonathanana, dzielił ją mur zbudowany na solidnych podwalinach poczucia winy. Nie miała odwagi spojrzeć jej w twarz, przyznać, że dla dobra własnego dziecka poświęciła bezpieczeństwo rodziny Carterów. Ludzi, którzy teraz w ogóle nie przyjmowali do wiadomości faktów ani nie chcieli wysłuchać przestrogi.

Zamknięci w obrębie społeczności przesiedlonej z Lake Falls byli wystawieni na cel niczym tarcze na strzelnicy. Ufni w swoją siłę opartą na bliskości i wzajemnym wsparciu zapomnieli o grożącym niebezpieczeństwie, a gdy próbowała im to uświadomić, nawet Jonathan nie wydawał się do końca przekonany.

Czułość Michaela i Roba uspiła łatwość, z jaką pokonali wampiry w jaskini. Jej uwaga, że El'lar nie głodował przez pięćdziesiąt lat, odbiła się od pancerza ich pewności siebie. Z kolei Jonathan, co dał wyraźnie do zrozumienia, uważał, że jej uczucia do Obcego zdeterminowały ocenę wydarzeń. I choć nie sformułował tego zarzutu wprost – obwiniał o to, że zawahała się przed wykonaniem wyroku na Obcym.

Rachel, mając u swojego boku trzech dorosłych synów, otoczona przyjaciółmi, czuła się bezpieczna i pewna swojej decyzji o osiedleniu się niecałe dwieście kilometrów dalej, tuż przy granicy z Maine, jakby ta śmieszna odległość mogła powstrzymać Zło. Vic miała ochotę roześmiać się jej w twarz.

Naiwni głupcy – myślała ze złością – prawdopodobnie nawet nie zauważą, gdy zjawi się wśród nich.

Matka Jonathana poważnie podeszła do misji przekonania Vic, by zamieszkali „po sąsiedzku”, i z wyraźnym niezadowoleniem przyjęła wiadomość, że najstarszy z synów ma zamiar wyjechać ze swoją kobietą.

Opuścili urocze przedmieścia żegnani smutnym spojrzeniem matki oraz silnym uściskiem dłoni Michaela i Roba. Zapewniano ich, że tu zawsze znajdzie się dla nich miejsce, a Rachel, przekonana, że łączy ich z Jonathanem głębokie uczucie, życzyła im wszystkiego najlepszego. Miła, normalna rodzina.

Wtedy Vic była blisko, by uwierzyć, że koszmar się skończył, jednak on dopiero miał nadejść. Nakręcał się powoli jak ciasno zwinięta sprężyna, dzień po dniu coraz mocniej zaciskając pętlę tylko po to, by w końcu uwolnić skumulowane w sobie szaleństwo.

Na początku mieli plan – zaszyć się w jakimś większym mieście, zdobyć nową tożsamość i zniknąć w tłumie. Nie bez powodu wybrali Los Angeles, metropolię pełną słońca oraz przelewających się nieprzebranych tłumów, moloch, w którym dwójka obcych powinna zatonać bez śladu.

Jednak każdy uciekinier pojawia się w społeczności niczym niechciany gość, jest człowiekiem znikąd, pozbawionym korzeni, uosobieniem

niewiadomej, jego obecność drażni, nieustannie przypominając, jak kruche bywa poczucie bezpieczeństwa.

Baczny obserwator bez trudu dostrzeże go w tłumie – niepewnego, czujnie rozglądającego się na boki, z rozbieganym spojrzeniem usiłującym wyłowić najdrobniejszą wskazówkę, odstępstwo od normy, które staje się imperatywem nakazującym porzucenie kolejnej przystani, następnego hotelu i miasta.

Gdy dotarli w końcu do Los Angeles i odebrali przesyłkę z nowymi dokumentami, zniknęli Victoria Mc’Petersen i Jonathan Carter. Po transformacji u jej boku pojawił się młody blondyn o ciemnych brwiach i rzęsach, z widoczną kalifornijską opalenizną – Jack Cambell. Obiektywnie musiała przyznać, że prezentował się interesująco, czego niestety nie mogła powiedzieć o sobie. Jako Veronica Mallory wyglądała niekorzystnie i staro. Czarne włosy bezlitośnie podkreśliły bladość skóry i pierwsze zmarszczki, uwypukliły permanentne zmęczenie rysujące się w oczach. Zdecydowanie nie podobała jej się ta osoba, którą widziała w lustrze każdego poranka.

Wynajęli apartament w spokojnej dzielnicy, sprzedali samochód i pozbyli się starych komórek. Na wszelki wypadek.

Jonathan szukał pracy, choć szło mu to opornie, bo jak ognia unikał ofert związanych z poprzednim zawodem. Oboje starali się prowadzić w miarę normalne życie, aby nie zwracać niepotrzebnie uwagi.

Rano, podobnie jak wielu mieszkańców osiedla, biegali po cichych uliczkach pnących się w stronę płaskiego szczytu. W milczeniu, które stało się ich nałogiem, jedli razem śniadanie, później Jonathan wychodził w poszukiwaniu zajęcia, ale nigdy się nie zdarzyło, żeby wrócił po zmierzchu. Gdy inni udawali się do klubów na imprezy, kolacje w miłych restauracjach, oni zamykali drzwi na solidne zamki, włączali wiadomości i z uwagą śledzili wszystkie niepokojące newsy. Czasem o nich rozmawiali, częściej każde szło do swojego pokoju i na własną rękę próbowało pogodzić się z przeszłością.

Układ, który w milczeniu zawarli, sprawdzał się w praktyce. Nadal pozostali tylko dwojgiem obcych ludzi zmuszonych przez okoliczności do zamieszkania razem. Jonathan ze wszystkich sił starał się być dla niej oparciem, ona – bezskutecznie próbowała zapomnieć. Wtedy na pomoc przyszła rutyna; powoli, dzień za dniem odbudowywała fundamenty utraconej równowagi, przywracała swoisty porządek. Pozwalała odetchnąć.

Jonathan na szczęście nie rozmawiał o wydarzeniach z Lake Falls, nie próbował wykonać żadnego gestu mogącego przywołać dawne relacje, po prostu był – i to wystarczyło.

Napięcie oraz stres opuszczały Victorię pokonane codzienną krzątaniną. Od czasu do czasu pozwalała sobie na szaleństwo i sama wychodziła z apartamentu, by zrobić zakupy w centrum handlowym, a kilka razy odważyła się nawet wyskoczyć do kina.

Raźno świecące słońce i wielomilionowa metropolia wydawały się dostatecznym zabezpieczeniem dla dwojga zagubionych uciekinierów, lecz duchy przeszłości zadbały, by ich życie nie wróciło w dawne koleiny.

– Wszystko spieprzyłam – powiedziała do siebie i odwróciła wzrok od irytującego napisu.

Niewiele to pomogło, karmazynowa poświata liter nadal układała się w prorocze przesłanie.

Rozdział III

KRONIKI WAMPIRÓW

Tel-Aramel dopiero się rodził, liczył sobie kilkadziesiąt okazałych domostw, ale już teraz bardziej przypominał miasto niż wieś. Miał szczęście, że ziemie wokół były żyzne, a lud spolegliwy i chętny do pracy. Większość mieszkańców pracowała na roli, inni zajmowali się rzemiosłem, kilku najodważniejszych parało się sztuką łowiecką.

Suria, władca wybrany przez starszyznę, niegdyś młody i popędliwy, chciał odkrywać świat, mimo że aramelczycy zupełnie niedawno znaleźli ten rajski kawałek ziemi, który miał należeć do nich przez następne setki lat.

Starszyzna wiedziała, że to jest najlepszy teren, jaki można było sobie wymarzyć. Teraz należało słać głębokie i uniżone prośby do bogów, żeby pozwolili im się tu osiedlić w pokoju oraz umiłowaniu natury.

Przez lata wszystko zmierzało w dobrym kierunku. Kapłani wznosili modły, najwyraźniej wysłuchiwane przez panteon zasiadający przy niebiańskim stole. W zamian za dary i, od czasu do czasu, ludzką ofiarę podarowali mieszkańcom łagodne lata, obfite zbiory i okolicę pełną zwierzyny. Bogactwo płynęło do Tel-Aramel nieprzerwaną strugą.

Główny plac obsiadły najokazalsze domy i budynek Tangu – rady starszych – wzniesiony z cegieł suszonych na słońcu. Liche domostwa usunęły się nad rzekę, której dolinę poprzecinały sady i pola.

Suria stworzył tu dobre miejsce do życia, kierowany rozsądkiem ograniczył wojownicze zapędy aramelczyków, jednak by tradycji się stało zadość, po okolicy rozesłał zwiadowców. Mieli być jego oczami i uszami, ich zadaniem było zbadanie granic znanego lądu. Dzięki zebranych przez nich informacjom nawiązał ścisłą współpracę z wieloma pomniejszych osiedlami i rozpoczął złoty okres handlu. Dobra lokalizacja sprawiała, że mógł sprzedawać nadmiar towarów za wydobywane z rzek złoto, kamienie

i wyroby rękodzieła. Tel-Aramel wzrastał pod jego rządami w siłę i powoli stawał się najpotężniejszą osadą na krańcu równiny.

Niewolnicy zbudowali solidną drewnianą palisadę otaczającą całą osadę, obok Tangu wyrosła świątynia, domy wzbijały się ku niebu, a pełne spichlerze zapowiadały kolejne udane zbiory.

Kilku śmiałków na czele swoich oddziałów chciało podbić kwitnącą osadę, lecz sownie opłaceni najemnicy dobrze chronili życie mieszkańców.

Suria miał wszystko, czego władca może zapragnąć. Miłość ludu, mądrość starszyny, dobrobyt i pokój z sąsiednimi osadami. Był szczęśliwy. Do czasu.

Tamten dzień wszystko zmienił. Wyszedł ze swojej komnaty, żeby udać się na wieczorne modlitwy, i wtedy ją zobaczył. Rozebrana do połowy stała przy poidle dla owiec. Szczupłe ciało połyskujące w kaskadzie rozprysniętych kropli wody obudziło w nim uśpione od dawna pragnienia. Pożądliwość skąpca i zachłanną chciwość. W milczeniu obserwował, jak zmywa z siebie brud i krew upolowanej zwierzyny. Po raz pierwszy nie ujrzał w niej córki, lecz klejnot, który musiał zdobyć. Płowe włosy, niespotykane wśród ciemnowłosych aramelczyków, obcięte przy samej skórze przypominały kolorem bezcenne ozdoby i – jeśli pozwoliłyby im odrosnąć – opromieniłyby ją blaskiem niczym boginię. Delikatna skóra mieniła się złotem, długie nogi opięte skózanymi spodniami przypominały smukłe kolumny, które onegdaj kazał wznieść w świątyni.

– Tak – pomyślał – oto kobieta godna, aby stać się żoną najpotężniejszego władcy równin. Jej urody nie przebije żadna śniada ciemnowłosa piękność. Tylko do mnie powinny należeć skarby Tel-Aramelu, a Lia jest jednym z nich.

Oczami wyobraźni zobaczył, jak z nią u boku przyjmuje hołdy władców sąsiednich wiosek. Ubrana w białe odświętne szaty, z kaskadą włosów opadających na ramiona, przystrojona w złoto oraz drogie kamienie podnosi majestat jego stanowiska, dodaje chwały i potwierdza reputację największego z wodzów. Taka kobieta zasługuje na koronę, a jemu do szczęścia brakowało właśnie tego jedyne drobiazgu. Starszyna, według niego, miała zbyt duży wpływ na podejmowane decyzje, zbyt często musiał kornie schylać głowę, wchodząc do Tangu, chociaż wcale mu się to nie podobało. Od kilku lat planował urzeczywistnić swoje marzenie i obwołać się jedynym władcą. W końcu na to zasłużył.

Żadna z jego czterech żon nie była godna korony. Pospolite, zniszczone

przez porody i wychowywanie dzieci, były za stare, by dzielić z nim tron. Młoda Lia mogłaby mu dać wymarzonego syna, prawdziwego dziedzica, któremu – bez proszenia kapryśnych starców – przekazałby władzę. A ją samą zamknąłby w pałacu, tam, gdzie jest właściwe miejsce dla zgromadzonych skarbów.

Cichy głos sumienia szepczący: „To przecież moja córka, tak się nie godzi” zdusił w zarodku. Zasady były dobre dla pospółstwa, on stał ponad nakazami i odwiecznym tabu, sam ustanawiał prawa, a przychylny głos bogów łatwo można było kupić hojną darowizną. Cofnął się w głąb korytarza, bo Lia właśnie skończyła ablucje, i nie chciał jej przedwcześnie wystraszyć.

Dziewczyna była trudna i nieprzewidywalna jak narowista klacz. Jednak dobry jeździec nałoży jej wędzidło, okiełzna głupie humory, nauczy moresu. A skoro potrafił narzucić swoją wolę całej osadzie, jedna młódka nie sprawi mu większego problemu. Tym bardziej że wszystkie znane mu żonate i wolne niewiasty uważały go za bardzo atrakcyjnego i chętnie zlegały z nim, gdy tylko miał na to ochotę. Staruchy wciskały mu do łóżnicy własne córki, jakby jedna noc spędzona z panem Tel-Aramelu już czyniła je wyjątkowymi. Przecież nawet nie był dla nich hojny, często odprawiał je rano bez zwyczajowego podarunku. Nie musiał im nic dawać.

Ale od dawna nie czuł w lędźwiach tego ognia, który nakazywał mu szukać co noc do łóżnicy nowych podbojów, a żadna z przyprowadzanych dziewczic nie była w stanie rozpaścić wygasłego pożądania. Aż do teraz.

Zamyślony, udał się do świątyni na długą pogawędkę z naczelnym kapłanem. Wyjaśnili między sobą wiele wątpliwości dotyczących obowiązujących zakazów, co go sporo kosztowało. Kilka razy miał już ochotę wstać i porządnie złoić skórę wstrętnemu liczykropie, ale starzec okazał się twardym negocjatorem.

W końcu na stole pojawiło się złoto. Kapłan oślepiony jego blaskiem bez trudu dał mu pozwolenie na zaślubiny z piątą żoną, a rozmowa nagle zmieniła się w towarzyską pogawędkę. Klecha wręcz wychodził ze skóry, aby okazać się użyteczny. Zaproponował, żeby dla odwrócenia oskarżeń przekonać matkę dziewczyny do przyznania się, że popełniła cudzołóstwo i Lia nie jest jego córką. Takie rozwiązanie nie wchodziło w grę, bo Suria musiałby się publicznie przyznać, że nie panuje nad swoim haremem.

Następna sakiewka natchnęła kapłana do wymyślenia lepszego

rozwiązania, które usatysfakcjonowało ich obu.

Ponieważ w okolicy nie było miasta ani osady na tyle potężnej, żeby któryś z władców godzien był poślubić córkę wodza Tel-Aramel, zatem ojciec – jako głowa rodziny – musiał ją uchronić przed hańbą samotności. Jeśli oddałby ją innemu, mniej szlachetnemu mężczyźnie, wspaniała krew zostałaby rozbełtana i zamiast wzmocnić potęgę osady, obnażyłaby jej słabość, co na pewno natychmiast wykorzystaliby wrogowie. Pragnienie wydania córki za jakiegoś władcę znacznie niższego w hierarchii słusznie zostałyby potraktowane jako zabieganie o sojusze. Wtrącane od czasu do czasu słowa „wojna”, „chaos”, „zniszczenie” miały przestraszyć naiwnych, uświadamiając, że ów ślub jest jedynym sensownym rozwiązaniem, które zapobiegnie obróceniu miasta w perzynę. Dużo było przy tym mowy o poświęceniu Surii, jego miłości do miasta i ludzi.

Jeszcze trochę – pomyślał rozbawiony – i sami mieszkańcy zaczną mnie prosić, żebym ją poślubił.

Słowa kapłana przypadły mu do gustu, tym bardziej że wziął na siebie obowiązek przekonania Tangu. Teraz od decyzji omszałej starszyny, która miała piasek zamiast krwi, zależało szczęście Surii. Wychodząc ze świątyni, poprzysiągł sobie w duchu, że jeśli Tang nie poprze jego stanowiska, będzie to ostatni rok rządów pomarszczonych i bezzębnych głupców. A nawet jeśli poprze, nic to nie zmieni. Jemu i nowej małżonce należy się korona, dostanie ją, aby zrodzone z tego związku potomstwo już na wieki niepodzielnie panowało na równinach.

Wrócił do domu i uciął sobie pogawędkę z Karą, pierwszą żoną i matką Iii. Powiedział jej wprost o planach, jakie żywi wobec córki, a na gwałtowne słowa protestu odparł zimno:

– Jeśli nie przygotujesz jej do ślubu, wiedz, że łatwo udowodnię ci cudzołóstwo. Iia nawet nie jest do mnie podobna, więc wszyscy orzekną, że spłodziłaś ją z kimś innym. Bez trudu znajdę świadków, lecz pamiętaj, według prawa niewierne żony karze się kamienowaniem. Tego chcesz? Okryjesz hańbą siebie oraz swoją rodzinę. A co z pozostałymi naszymi dziećmi? Pomyślałaś o nich?

Odpowiedziała mu tak, jak tego oczekiwał, okraszając swoją wypowiedź histerycznym szlochem. Patrzył na nią z politowaniem i zastanawiał się, co go, do licha, urzekło kiedyś w tej brzydkiej starej kobiecie. Twarz miała pomarszczoną, skórę pociemniałą od słońca, oczy bez blasku. I od razu

przypomniała mu się córka o złotej skórze i wąskiej talii. Może nieco zbyt wąskiej jak na jego gust, ale gdy tylko porzuci swoje fanaberie i przestanie się uganiać z myśliwymi, natychmiast przytyje. Już on się o to postara. Uśmiechnął się pod nosem, ale nagle zatrzęsa nim wściekłość.

Iia całe dni i noce spędzała z łowcami. Myśl, co mogłoby się stać, gdyby padła łupem mężczyzn czyhających na jej cnotę, wywołała w nim atak furii. Na samo wyobrażenie, że którykolwiek z nich ośmieliłby się dotknąć jego własności, czerwona zazwyczaj twarz przybrała fioletowy odcień, oczy niemal wyszły z orbit, a z gardła wydarł się ryk, który natychmiast zatamował łzy przerażonej matki.

– Iia nigdy więcej nie pójdzie na polowanie. Zrozumiałaś, kobieto? Jeśli coś podobnego się zdarzy, zapłacisz głową!

Kara skinęła potakująco, zbyt wstrząśnięta i wystraszona, żeby zaprotestować. Sam pomysł ożenku z własną córką budził w niej najgorsze możliwe uczucia. Miała ochotę go zabić, jeszcze tu, we własnej komnacie wbić mu nóż prosto w jego wielkie cielsko trzęsące się z gniewu, lecz nie mogła tego zrobić, bo bała się o los pozostałych dzieci i żon, z którymi po latach intryg oraz niesnasek udało jej się w końcu zaprzyjaźnić. Wypędzone z domu, rzucone na pastwę samotnego życia z małymi dziećmi, nie dałyby rady się utrzymać. Poczucie obowiązku wygrało z żądzą zemsty i Kara postanowiła w inny sposób uchronić córkę przed zakusami ojca.

Najpierw nakazała strażom trzymać wartę przy komnacie dziewczyny i nie wypuszczać jej na polowanie – zgodnie z poleceniem Surii, a następnego dnia o świcie udała się do niej na rozmowę.

Weszła po cichu, chcąc spojrzeć na dziecko, które od dawna przepełniało jej serce dumą. Nigdy by się do tego nie przyznała, ale ta niesforna córka była spełnieniem jej najskrytszych marzeń. Mając tyle lat co Iia, po nocach śniła o rozległych równinach i wolności. Niestety wydano ją za mąż, gdy tylko dorosła na tyle, żeby ofiarować przeznaczonemu mężczyźnie następców. Po wielokroć Kara wspominała z rozrzewnieniem lata dzieciństwa i nieskrępowaną swobodę, którą zdusił duszny pałac pełen ozdób. Teraz zazdrościła córce tego, co zostało jej zdecydowanie za wcześnie odebrane – możliwości dokonywania wyborów.

Gdy patrzyła na śpiącą Iię, poczuła żal ściskający serce. Przecież nigdy więcej nie zobaczy swojej dzielnej dziewczynki, nigdy już nie rozczesze jej włosów i nie obejmie – mimo pozornych protestów – sprężystego, silnego

ciała. Nawet jeśli tropiciele sprowadzą ją do domu, wiedziała, że córka nie zgodzi się poślubić ojca. Za żadną cenę.

Delikatnie odgarnęła kosmyk włosów z czoła śpiącej i tak, jak się spodziewała, Iia natychmiast się poderwała, zaskoczona widokiem matki. Nie próbując załagodzić swojej wypowiedzi okrągłymi dyplomatycznymi słowami, brutalnie i szczerze przedstawiła sytuację. Z bólem patrzyła na pobladłą twarz dziecka przerażonego straszną perspektywą.

Pozwoliła dziewczynie na okazanie wściekłości, a gdy gniew przerodził się w szloch, na pociechę przedstawiła swój plan wymyślony naprędce, który niestety miał wiele niedoskonałości. Iia na szczęście potraktowała go z należytą powagą, skupiając się na dopracowaniu szczegółów.

Uzgodniły, że wieczorem wymkną się z pałacu, Kara przygotuje niezbędne zapasy i pokaże, jak dotrzeć do Tel-Rifatu, niewielkiej osady na wschodzie. Rządy tam sprawował jej brat, była więc szansa, że udzieli odpowiedniej gościny i pomocy uciekinierce.

Iia dostała stary rodowy pierścień, którym miała udowodnić swoje pochodzenie, i żelazny sztylet, jedyne podarunki od pogrążonej w smutku starej kobiety.

Obie przez cały dzień były zajęte organizacją ucieczki i ustalaniem szczegółów, a wieczorem zgodnie z planem wymknęły się poza mury.

– Gdybyś... – słowa przychodziły matce z trudem – pamiętaj, nie wahaj się. Człowieka zabija się tak samo jak zwierzę...

– Bo nim jest – odparła hardo płowowłosa dziewczyna i pogłaskała wiszące u pasa żelazo.

Nic więcej nie musiała dodawać, uściskały się serdecznie, po czym Iia ruszyła przed siebie.

Gdy przygarbiona postać zniknęła jej z oczu, dziewczyna zatrzymała się na chwilę, zdjęła pierścień z palca, opróżniła do połowy sakwę, żeby nie dźwigać niepotrzebnych zapasów, a zamiast nieporęcznego sztyletu przypasała podarunek Okiego, nóż, który o wiele lepiej leżał w dłoni. Zrzuciła na plecy łuk i ruszyła żwawo. Kara także nie czekała za długo, musiała wrócić do pałacu, żeby opóźnić wykrycie spisku i przygotować wiarygodne wytłumaczenie.

Opowieść o tym, jak Iia zaniemogła porażona wiadomością o ślubie, pozwoliła utrzymać ciekawskich z daleka od komnaty córki przez cały dzień. Wieczorem Suria zaniepokojony jej stanem wysłał do chorej swoją lojalną

i głupią najmłodszą żonę, która podniosła larum na cały dom.

Patrząc na to, co się z nim dzieje, Kara miała cichą nadzieję, że złoży go śmiertelny atak wywołany wściekłością. Miotał się jak oszalały po pałacu, żądał głowy zdrajcy, kazał uwięzić Okiego, myśliwych i strażników. Purpurowy, zlany potem, wyrzaskiwał rozkazy o wszczęciu poszukiwań, organizował oddziały mające sprowadzić natychmiast jego córkę. Wszyscy tropiciele zostali przyporządkowani do drużyn, do których wcielano każdego mężczyznę zdolnego do noszenia broni.

Kara uciekła przed tym zamieszaniem do świątyni i oddała się żarliwej modlitwie. Błagała bogów, żeby zapewnili bezpieczeństwo jej córce, a na męża zesłali szybką, pozbawioną cierpień śmierć.

Huknęły ogromne wrota i w promieniach słońca wpadającego do cichego ciemnego wnętrza stanął Suria. Nie odezwał się słowem, ciężkie podeszwy zadudniły na drewnianej podłodze. Kara spojrzała w górę, szukając pomocy milczących i obojętnych bogów, ale żaden piorun z jasnego nieba nie uderzył w dach, posągi nie ruszyły się z miejsca, by obronić starą kobietę.

Podszedł bliżej i rzucił jej pod nogi żelazny sztylet – pożegnalny podarunek dla córki. Na rękojeści był wygrawerowany wizerunek łuczника i wszyscy w Tel-Aramelu wiedzieli, że sztylet należy do Kary.

Nie zaczęła płakać, nie błagała o życie. Podniosła się z klęczek, w końcu była dumną córką wodza, nie wypadało więc, aby czekała na śmierć w unижonej pozycji niewolnika. Nawet nie dostrzegła błysku klingi, gdy jej głowa z ustami otwartymi w ostatnim krzyku potoczyła się po drewnianych deskach, znacząc swoją drogę szkarłatną smugą.

Rozdział IV

Jonathan nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co mówiła, odrzucał rzeczywistość, wolał iluzję bezpiecznego świata półprawd. Po tamtej fatalnej w skutkach dyskusji przestała go uświadamiać. W końcu ile razy można próbować?

Rozmowa nie była łatwa ani dla niej, ani dla niego, a bolesny temat wypłynął, jak zwykle, zniecała.

– Skoro już znaleźliśmy kryjówkę, może moglibyśmy – zająknął się lekko – sprowadzić Kat?

Serce jej stanęło, ściśnięte bólem, którego źródło tkwiło w najgłębszych zakamarkach duszy. Chciałaby ze wszystkich sił krzyknąć: doskonały pomysł – ale rozsądek, ten najlepszy z doradców, kazał jej dokonać właściwego wyboru.

Nie znalazła w sobie siły, by odpowiedzieć słowami, pokiwała tylko przecząco głową.

– To nie jest głupi pomysł – brnął dalej. – Wydaje mi się, że obecność Kat byłaby dla ciebie najlepszym sposobem na odzyskanie równowagi po... – przerwał, jakby speszony tym, co miał zamiar powiedzieć.

Zdenerwowała się, bo oczywisty sens niedokończonego zdania był ciosem idealnie wymierzonym w jej poczucie winy.

– Miałeś zamiar powiedzieć – wyglądała na spokojną – nieudany romans? – Chciał zaprzeczyć, ale nie dopuściła go do głosu. – Czemu tak bardzo boimy się nazywać rzeczy po imieniu? Może już czas odłożyć na bok tę drażniącą hipokryzję. Owszem, z doktorem Barrowem łączyło mnie jakieś uczucie. Jakie konkretnie? Nie mam pojęcia.

– Zastanów się przez chwilę. – Nie odpuszczał, najwyraźniej jej udawany spokój skutecznie go zmylił. – Mieszkamy w Kalifornii, mamy nowe nazwiska, zatarliśmy za sobą wszystkie ślady. Możemy wybierać, gdzie chcemy żyć: Brazylia, Polinezja, Europa są w naszym zasięgu, wystarczy wsiąść do samolotu. Nie chce mi się wierzyć...

– Twoje słowa są najlepszym dowodem na to, że nie masz bladego pojęcia,

z kim przyszło nam się mierzyć. – Nie mogła tego słuchać spokojnie, więc odpowiedziała mu mocno ocenzone historię trzech łowców, których wydała na pastwę wampira.

– Skąd masz pewność, że ich zabił, przecież nie było cię przy tym? – Pytanie wydawało się logiczne, jednak niektóre sprawy są oczywiste. Nawet wbrew logice.

– Rozmawiamy o istocie, która pamięta początki ludzkiej cywilizacji. Uważasz, że przetrwał tysiące lat, w głębi serca pozostając pacyfistą, a lew jest królem zwierząt, ponieważ wszyscy kochają koty?

– Teraz z kolei bawisz się w demagoga... – próbował protestować, lecz nie pozwoliła mu dokończyć myśli.

– Sądzisz, że możemy spać spokojnie, bo zmieniliśmy nazwiska i zamieszkaliśmy w innym mieście? – rzuciła szyderczo, ale chyba ironia okazała się zbyt subtelna.

– Przesadzasz...

Tego było już za wiele.

– Przesadzam? – Gotowała się ze wściekłości. – A zastanowiłeś się choć raz, dlaczego jego wybór padł na mnie? Ujęła go moja osobowość czy może olśniewająca uroda? Powiedz, w jaki sposób dopadł Benjamina, który przecież wiedział, z kim lub czym ma do czynienia?

– Nawet nie wiemy, czy doktor Kent rzeczywiście zginął. – Argumenty Jonathana były żalodne, a obrona własnych racji co najmniej nieudolna.

– Jasne, nie byliśmy przy tym. Zniknięcie Roberta, Marca, Jane, Eve to także zbiegi okoliczności? Każdy z nich miał pecha stanąć na drodze wampira i za to zapłacił, a ty w głębi duszy wiesz, że mam rację. Dlatego nie mów mi o paranoi! – Mimowolnie podniosła głos.

– Cały czas czujesz jego oddech na plecach, nieprawdaż? – Wyraźnie speszył go jej napastliwy ton. – Więc będziemy uciekać w nieskończoność, a ty naprawdę nigdy nie spotkasz się z Kat?

Trafił w sedno.

– Jeśli dzięki temu kupię jej bezpieczeństwo... – Czuła smak łez podchodzących do gardła.

Musiała iść do łazienki. Stała tam przez chwilę, kurczowo trzymając się umywalki, aż przeszła jej ochota do płaczu. Opłukała twarz zimną wodą, wzięła kilka głębszych oddechów i wróciła do salonu.

– El'lar szykuje dla mnie specjalne podziękowanie – powiedziała chłodno.

– Wyobrazasz sobie moment naszego spotkania, gdy dosadnie zaczniesz mi wyjaśniać konsekwencje nieprzemyślanych decyzji? Moja córka nie będzie tego świadkiem, nie pozwolę także, by wykorzystał ją jako przynętę.

– Mam wrażenie, że przemawia przez ciebie nie tylko strach o życie Kat. – Teraz przyszła jego kolej, żeby okazać irytację. – Gdyby tak było, wtedy dokończyłabyś to, co zaczęliśmy, a dziś nasze życie wyglądałoby zupełnie inaczej.

Westchnęła ciężko. Można się było spodziewać, że kiedyś nadejdzie czas wypominania błędów i wzajemnych żalów.

– Doktor Barrow nie jest jednym z nas. – Sama długo miała problemy, by pojąć i zaakceptować ten tylko z pozoru oczywisty fakt. – Łączy go z ludźmi pewnie jakaś wspólna pula genów, lecz w gruncie rzeczy daleko mu do człowieczeństwa. Spałam z nim. – Jonathan skrzywił się nieznacznie, ale udawała, że tego nie dostrzegła. – I przez moment się łudziłam... ale to był nonsens. Czysta mrzonka, on po prostu w ten sposób, krok po kroku, zdobywał nade mną władzę. W jego zachowaniu nie było nic spontanicznego, rozgrywał własną partię, o której przebiegu nie mieliśmy pojęcia. Nie pozwoliłam go zabić, bo intuicja ostrzegła mnie, że czekał na naszą wizytę. W takim przypadku bohaterstwo byłoby daremne, dla wampirów życie człowieka nie ma znaczenia, jest nieistotne i bezwartościowe. Może popełniłam błąd, lecz wierz mi, nie chciałam patrzeć na twoją śmierć. Dlatego nie żałuję swojej decyzji, chociaż cena okazała się wysoka. Ucieczka dała nam czas na szukanie rozwiązań, poznanie jego rzeczywistych celów. Słusznie masz do mnie żal, pogodziłam się z tym, nie oczekuję, że nagle zapomnisz i wybaczysz – starała się być cierpliwa – ale uwierz mi, doktor Barrow nie istnieje, w przeciwieństwie do wampira El'lara, który czai się gdzieś za rogiem. A jeśli do tej pory nas nie zabił, widocznie czeka lub czerpie przyjemność z samego polowania. Choćbyśmy uciekli na koniec świata, tysiące razy zmieniali tożsamość, nasz ślad ciągnie się od Lake Falls. Ponowne spotkanie z nim jest tylko kwestią czasu.

Skończyła i spojrzała na Jonathana. Wydawał się wzburzony. Wstrząsnęły nim perfidia oraz zimna kalkulacja doktora Barrowa... lub jej szczerość. Nadal, co było widać w oczach, nie dowierzał, miał wątpliwości, zadawał dziesiątki pytań. Na niektóre znała odpowiedź, inne musiały pozostać niewyjaśnione. Najważniejsze, że chyba powoli zaczynał rozumieć źródło jej strachu.

– Wiedząc o tym wszystkim, jak mogłaś... – zaczął, ale ugryzł się w język.

O mój Boże, gdybyś znał prawdę – pomyślała, a cichy głos nieopanowanej tęsknoty wsączył porcję jadu w obolałą duszę.

– Pójść z nim do łóżka? – dokończyła za niego. – Wszystko stało się tak szybko, nie będę się usprawiedliwiać, chociaż mając obecną świadomość, nigdy... Nigdy nie popełniłabym tego błędu. – Tym razem zabrzmiało to szczerze.

Rzeczywiście, gdyby wiedziała, że rozstanie z Obcym będzie tak boleć, nie pozwoliłaby sobie na żadną bliskość. Przez te kilka nocy stał się jej słabością, pragnęła go niczym zagubiony na pustyni tułacz łaknie wody. Wspomnienie dotyku, pocałunków, pieścizot kończyło się łomotem serca i słabością w kolanach.

Nie potrafiła zapomnieć, być może dlatego strach przed zemstą zbyt często zamieniał się w autodestrukcyjną chęć powrotu; jednym gestem uwolniłby ją wtedy od wszystkich marzeń, pragnień i strachu. Jeśli miałaby wybierać rodzaj śmierci, życzyłaby sobie, żeby miała ona oblicze doktora Barrowa o oczach płonących czerwienią. Być może Jonathan zasługiwał na poznanie prawdy. Dla niej, obcej kobiety, zostawił rodzinę, poświęcił swoje życie w imię czegoś ważniejszego nawet niż uczucia, jednak nie potrafiła być do końca uczciwa. Przyznać, jak często wyobrażała sobie spotkanie z El'larem, słowa, które chciałaby mu powiedzieć. Bywały dni, gdy przywoływała z pamięci jego delikatne dłonie i czule szeptane słowa:

– Tęskniłem...

Gdy włączała z powrotem racjonalną część umysłu, po romantycznych wzlotach nie pozostawały nawet wspomnienia. Zamiast nich nadchodził czas krwi i zemsty. Czas bólu i śmierci. Zapłaty za zbrodnię, którą popełniła, nie dotrzymując złożonej obietnicy. I wtedy napływały czerwone sny.

Zaludniały je ofiary doktora Barrowa, ucieleśnione wyrzuty sumienia, aby dręczyć za wykradzione chwile słabości. Robert, Jane, Mark, Eve, Benjamin – wszyscy domagali się zadośćuczynienia, pokazywali rany i żądali sprawiedliwości. Nieme duchy oskarżały ją, zarzucając, że powodowana egoizmem i żądzą zaprzedała swoje człowieczeństwo, zawierając przymierze z odwiecznym wrogiem. W takich chwilach pragnęła najmocniej, aby ją odnalazł. Nie oczekiwałaby od niego miłych słów, czułych gestów, ale ostatecznego uwolnienia od poczucia winy.

A jednak był powód – najważniejszy – dla którego nie wróciła i nigdy nie

zamierza wrócić na zrujnowany rynek w małej miejscinie nad jeziorem. Wiedziała doskonale, że dawny kochanek zrobiłby wszystko, by wydrzeć z niej tajemnicę, gdzie ukryła Kat. Dlatego zdecydowała się uciekać i ukrywać. O ile będzie to możliwe – do samego końca.

Porzucenie córki było dla Vic zbyt bolesnym tematem, aby mogła sobie pozwolić na przywoływanie z głębi pamięci obrazu ukochanego dziecka. Wraz z odejściem Kat część jej duszy umarła. Głuchy, dudniący żal rozrywał serce, odbierał siły i sprawiał, że zapadała się w sobie niczym pozbawiony powietrza balon, dlatego było jej wszystko jedno, czy wyrok zostanie wydany tego dnia, czy odroczony o miesiące.

Właściwie już zrezygnowała, pozbawiona motywacji, żeby walczyć o przetrwanie, tę przeraźliwie pustą egzystencję, która po rozstaniu z Kat w ogóle straciła sens. Utrata dziecka była konsekwencją podjętych decyzji, a mimo to gdyby dano jej szansę naprawienia błędów, postąpiłaby dokładnie tak samo, wybrałaby działanie zamiast biernego oczekiwania na najgorsze.

– Może oprócz... – Nie mogła pozwolić sobie na rozpamiętywanie w nieskończoność swoich skomplikowanych relacji z wampirem.

Z uporem maniaka doszukiwała się w błahych gestach drugiego dnia, próbowała dojść do ładu z uczuciami. Ucieczka przed wampirem żadnym zemsty zamieniła się w gorączkową ucieczkę przed własnymi emocjami.

O tym wszystkim Jonathan powinien wiedzieć, jednak nie znalazła w sobie siły niezbędnej do spowiedzi. Brnęła dalej przez mielizny niedopowiedzeń i półprawd.

– Chcę, żebyś pamiętał, że jestem wykształconą, racjonalnie myślącą kobietą, a mojego osądu wbrew pozorom nie przyćmiewają uczucia, bo jeszcze umiem oddzielić prawdę od iluzji – kłamała jak z nut. – Miałam wiele czasu na zrozumienie tego, co przeżyłam. Znalazł we mnie idealną kandydatkę do wyznaczonej roli, bez rodziny, przyjaciół. Nikt nie opowiedział mi historii sprzed pięćdziesięciu lat, nie przestrzegł przed Obcymi. Wpadłam prosto w zastawione sidła, zdeterminowana, żeby za wszelką cenę uratować córkę. Wampiry – Jonathan sprawiał wrażenie poruszonego – potrafia manipulować umysłami swoich ofiar, narzucać im własną wolę. W ten sposób najprawdopodobniej usidlił Eve i Benjamina. Widziałeś moje laboratorium, szyfrowe zamki, stalowe drzwi... Otwierał je z łatwością, nie zostawiając najmniejszego śladu. Słyszał wszystkie rozmowy prowadzone na terenie domu i poza nim, kontrolował każdy mój krok, jego

zachowanie dostosowywało się do moich oczekiwań, przypominał w tym kameleona, który rozpoznaje teren i zmienia barwę w zależności od sytuacji. Tylko raz zobaczyłam go takiego, jakim był naprawdę, bez maski. I dlatego wiem, że czeka tam, w ciemnościach, żeby zaatakować, gdy tylko popełnimy błąd.

– Rozumiem, jednak wydaje mi się – powiedział niepewnie Jonathan – że odrobinę przesadzasz.

Ręce jej opadły.

Rozdział V

KRONIKI WAMPIRÓW

Na równinie panował jeszcze przyjemny nocny chłód. Słońce dopiero miało pojawić się na horyzoncie i Lia żywiła nadzieję, że przed nastaniem południa znajdzie jakąś kryjówkę, choć w jej sytuacji marnowanie czasu na odpoczynek wydawało się istnym samobójstwem. Mimo iż biegła całą noc, znajdowała się jeszcze za blisko osady, ponieważ zbyt wiele cennych chwil zmarnowała na działania mające pomieszać szyki pogoni.

Miała siedemnaście lat i została wychowana przez myśliwych, najlepszych w klanie tropicieli. Szybko odkryli w niej krew odwiecznych łowców, bo czuła zwierzynę, umiała podejść niczego nieświadomą ofiarę i położyć ją pierwszą strzałą.

Doskonale znała równinę, otaczającą ją przepastne lasy i tereny odległe nawet o trzy dni marszu. A odkąd sięgała pamięcią, większość czasu spędzała poza osadą, na częstych wyprawach myśliwskich. Pozwalano jej na to, ponieważ więcej problemów przysparzała w domu, niż gdy znikwała rodzicom z oczu.

Matka utyskiwała na nią, że ma niesprawne do tkactwa palce, ojciec nieustannie strofował za niewłaściwy ubiór, bardziej przynależny chłopcu niż dziewczynce. Miała to w nosie. Gorąca krew i niespokojny duch nie pozwalały jej usiedzieć na miejscu.

Mówiono, że matka zakłęła ją w łonie, oczekując narodzin syna. Nadano jej nawet męskie imię i od tego wszystko się zaczęło. Wbrew przepowiedni na świat przyszła dziewczynka, którą na cześć wschodzącego słońca nazwano Lia – poranek.

Od początku była niesforna i nie dawała się podporządkować żadnym zasadom. Rodzice, żeby utemperować jej wybuchowy charakter, oddali ją Okiemu, najmądrzejszemu z myśliwych, ale to, co w zamyśle miało być

upokarzającą karą, okazało się nagrodą. Z roku na rok jej talent rósł, aż prześcignęła wielu swoich rówieśników. Trening rozwinął w niej szybkość, wytrzymałość oraz siłę. Nim całkiem dorosła, potrafiła samodzielnie zapolować na większą zwierzynę i z dumą chodziła okutana w skóry, obnosząc okazałe naszyjniki z zębów. Tymczasem jej rówieśnice zostały wydane za mąż i miały już dzieci. Ona nie zwracała uwagi na mężczyzn, byli jej kompletnie obojętni, docinki na temat swojej płci znosiła tylko z ust myśliwych, innych, którzy ośmielili się rzucić jakąkolwiek uwagę na ten temat, na zawsze oznakował jej krótki ostry nóż.

Od pewnego czasu żarty stały się bardziej natarczywe, uwagi na temat stylu jej życia nieco okrutniejsze, a wszystkiemu była winna powoli rozkwitająca uroda. Iia miała nieco zbyt szczupłe biodra jak na obowiązujące w osadzie kanony, uda zdradzały wytrawną biegaczkę, a ramiona nawykłe do oszczepu stały się może za bardzo muskularne, lecz to były jedyne jej wady. Długie jasne włosy obcięła przy samej skórze, bo zwracały uwagę, ale twarzy nie udało jej się ukryć. Szeroko rozstawione zielone oczy, prosty, delikatny w rysunku nos i usta o pełnym wykroju były zdecydowanie kobiece i zwracały uwagę, prowokując coraz bardziej niewybredne zaloty, które powściągała tylko towarzysząca jej zła sława.

Iia wiedziała doskonale, że jest ładna, mówili jej o tym wszyscy, jej serce jednak do tej pory nie okazało zainteresowania żadnemu z przedstawianych kandydatów. Matka zaczynała coraz wyraźniej okazywać swoje zniecierpliwienie takim zachowaniem, a ojciec...

Suria był naczelnikiem wioski, piastował tę funkcję od zawsze, tak długo, jak nosił swój wielki brzuch budzący podziw i szacunek oraz utrzymywał harem złożony z czterech żon, które w sumie dały mu dwanaścioro dzieci. Wśród gromady córek Iia była najstarsza, a jej matkę uznawano za pierwszą z żon, lecz tamtego pechowego dnia okazało się, że dla ojca nie ma to żadnego znaczenia.

Zobaczył ją, gdy brała kąpiel po kolejnym polowaniu, i w jego duszy zapłonęła żądza.

O tak – pomyślała z goryczą – mogłam stać się pierwszą damą Tel-Aramelu, nosić złote ozdoby i mieć na każde skinienie kilka niewolnic.

Wzdrygnęła się na samą myśl. Ojciec zawsze wywoływał w niej obrzydzenie. Jego okrągła nalana twarz z trzema podbródkami podobała się wielu kobietom, które mówiły o nim, że jest dostojny, jakby nie dostrzegały

małych okrutnych oczu świadczących o tym, jaki był naprawdę. Uległy wobec starszyny, dwulicowy i chciwy, zachowywał pozory dobrego, sprawiedliwego władcy, ale Iia rozszyfrowała jego grę. Na samą myśl, że miałyby zostać jego nałożnicą, do bólu ścisnęła ją w dołku.

Przy współudziale matki zorganizowała ucieczkę, a jeśli coś poszłoby nie tak, na podporządkowaniu miała przygotowane inne rozwiązanie. Ostateczne.

Suria oszalał, wyznaczył datę zaślubin w najszybszym możliwym terminie, odizolował ją od pozostałych kobiet. Na szczęście zapomniał, kto wychował jego córkę. Gdy nadszedł odpowiedni moment, wymknęła się oknem i za murami ruszyła na wschód. Oczywiście zrobiła to, żeby zmylić pościg, bo nie miała najmniejszego zamiaru narażać niewinnych mieszkańców Tel-Rifat na zemstę ojca.

O szczegółach jej naprędce wymyślonego planu nie wiedział nikt, nawet matka. Tak było bezpieczniej.

Dotarła do rzeki, jej korytem wróciła prawie pod bramy Tel-Aramelu, później zatoczyła koło i skierowała się na północ. Kierunek, który wybrała, był ostatnim, na jaki zdecydowałyby się każdy uciekinier. Iia, ufając w swoje siły i doświadczenie, była gotowa bez oglądania się na konsekwencje stanąć oko w oko z nieznanym.

Postanowiła przeczekać upał południa na zarośniętym trzcinami brzegu rzeki, lecz zamiast wejść w gęste chaszczki, odszukała niewielką skałę schodzącą do samej wody. Odbiła się i skoczyła. Od najmłodszego dzieciństwa pływała jak ryba, więc szybko znalazła się na drugim brzegu i nie wchodząc w głąb lądu, przygotowała sobie uciętą trzcinę, by w razie konieczności zanurkować jak najgłębiej.

Najgorsza w tym wszystkim była niepewność. Nie miała pojęcia, czy już odkryto jej ucieczkę i wysłano pogoń. Równie dobrze ojciec mógł uznać, że nie ma sensu szukać niesfornej dziewczyny. To, co kazało jej gnać całą noc na złamanie karku, było tylko nieuchwytnym przeczuciem, myślą, która zaległa się w umyśle na wspomnienie rozgorączkowanego oczu Surii.

Nie znała za dobrze mężczyzn, lecz czuła podświadomie, że człowiek, którego wzrok próbował przepalić jej odzienie, nie podda się łatwo. Tym bardziej taki, który na swojej drodze nigdy nie napotkał żadnego oporu, bo każdą przeszkodę udawało mu się pokonać pochlebstwem, intrygą lub złotem. Dlatego nie było sensu szukać ratunku w innych osadach, prędzej czy później ich wodzowie zostaliby siłą lub perswazją przekonani do uległości

i wydania zbiega. Północ była bezpieczna, pozbawiona osad i wiosek, kompletnie dzika. Niezbadana. Tam, za potężnymi górami kończył się świat. Oswojona równina zniecka przechodziła w ośnieżone szczyty pnące się w pogoni za chmurami, ich przeciwne stoki schodziły według legendy wprost w ocean obmywający ziemię – Morze Czerni, jak nazywali go aramelczycy.

Ich osada była najdalej wysunięta w stronę gór, ziemia tu była żyzna i dawała obfite plony, dzięki którym ludziom żyło się dostatnio. Im dalej w stronę północy, tym uboższe były pola, rzeki znikwały, a teren stawał się coraz bardziej zróżnicowany. Poprzecinany korytami wyschniętych strumieni, zdradliwymi wąwozami, zarośniętymi kolczastymi krzewami i kaktusami nigdy nie był uznawany za terytorium myśliwskie, dlatego łowcy rzadko zapuszczali się na niegościnne ziemie, aby przynieść do wioski wieści o odległych rubieżach. Jednym z nich przed wieloma laty był Oki.

Dobrze zapamiętała jego relację i gdyby okoliczności jej do tego nie zmusiły, nigdy nie próbowałaby powtórzyć wyczynu zwiadowców.

Po wielu wschodach słońca Oki wrócił do Tel-Aramelu bez niczego. Nie przyniósł spodziewanych darów ani skór upolowanych zwierząt. Wychudzony i śmiertelnie zmęczony opisał drogę, którą przebył.

Iia nigdy nie uważała tych opowieści za bajkę, choć starszyzna potraktowała je z lekceważeniem. Złośliwi twierdzili wręcz, że woda obcych krain zatrąła mu umysł, a złe powietrze zmąciło wzrok. Jednak nigdy już nie wysłano łowców ku północy.

– Dnia pierwszego po wiosennym zrównaniu wyruszyłem w kompanii czterech wyborowych myśliwych i dwóch zwiadowców – zaczął swoją opowieść – do pomocy mając muły objuczone dobytkiem. Podróż przez znaną nam okolicę płynęła miło, bo żyzność tej krainy jest legendarna, więc wody i strawy wszelakiej nam nie brakło. Po pięciu obrotach słońca przekroczyliśmy Wrota i wyjechaliśmy na płaskowyż. Tu kończyły się znane nam ziemie.

W dzień, gdy słońce stało najwyżej, upał dręczył nawet dusze, nocą zaś z zimna tuliliśmy się do siebie niczym owce porzucone przez pasterza na pastwę losu.

Wędrówka była mozolna, a okolica napęniała nasze serca strachem. Wokoło nie było nic, woda ukryła się w głębi spierzchłej ziemi, roślinność zniknęła, a zwierzęta trzymały się z dala. Na granicy płaskowyżu czekało – potężniejsze z każdym dniem – pasmo górskie. Wydawało nam się, że

dotarcie do niego jest ponad ludzkie siły.

Dziesiąty z kolei świt zastał nas na granicy pierwszych wzniesień. Skały okazały się ostre, trudne do pokonania, ale dały nam tak wyczekiwany cień i schronienie – choć teraz wiem, jak złudne to było bezpieczeństwo. Z mozołem pokonaliśmy najniższe ze wzgórz, jednakże do dziś nie jestem pewien, czy słuszną wtedy podjęliśmy decyzję, by kontynuować wyprawę.

Zobaczyliśmy w oddali potężne góry, u dołu ciemniejsze, mieniące się zieloną barwą, na szczytach oświetlone białym światłem, lecz nie mieliśmy już sił ani jadła, aby myśleć o dalszej wędrówce. Postanowiliśmy o świcie dnia następnego ruszyć w drogę powrotną, jednak los pokrzyżował nasze plany.

Po osiągnięciu szczytu naszym oczom ukazało się niezwykle jezioro. Woda, od stóp wzniesienia aż po zbocza niebosiężnych gór, rozlewała się wprost z widnokresu, aby bezgłośnymi falami uderzać o brzeg. Jej toń była czarna. Połyskliwa. Obiecywała i uwodziła, kusząc wojowników wizją wytchnienia u boku przodków.

Spragnieni towarzysze wykazali się wolą słabszą od mojej i zakosztowali jej smaku. Nigdy nie odnalazłem ich śladów.

Gdy po raz kolejny obchodziłem brzeg, szukając tropu zaginionych, zobaczyłem dziwne postacie po drugiej stronie jeziora. Nie obeszli zlewiska, lecz przeszli przez jego środek. Trzej mężczyźni, wzrostem przewyższający mnie o głowę prawie, mieli twarze nie tak jak u nas ogorzałe słońcem, ale blade, jakby wychynęli z podziemi. Oczy ich przedziwne, duże, świetliste patrzyły bacznie, a mnie się zdawało, że duszę mi na wskroś przewiercają. I choć jestem zaprawiony w podchodach, sposób ich poruszania nieludzki miał charakter. Szybkością i zwinnością pola im ustępowałem, o czym mogłem się przekonać, próbując dotrzymać kroku Obcym.

Wzięli mnie między siebie niczym więźnia i poprowadzili traktem skrytym przemyślnie pod wodą. Wtedy dopiero zobaczyłem, skąd nadeszli. Na drugim brzegu otwierała się czeluść olbrzymiej jaskini, prowadząca do miasta ukrytego wśród zielonych gajów, ale nie dane mi było go ujrzeć, bo u wejścia czekał człowiek odziany w kaftan z kapturem.

Poczułem lęk ściskający serce. Znalazłem się sam wśród tych dziwnych ludzi, zdany na ich łaskę, znikąd nie miałem pociechy, kompani zaginęli, a i mój los wydawał się przesądzony. Mężczyzna – ku mojemu zaskoczeniu – powiedział w naszym języku:

– Co sprowadziło w nasze progi wysłannika Tel-Aramelu?

Odrzekłem zgodnie z prawdą, że szlachetny Suria wysłał nas, abyśmy zbadali rubieże świata, i od razu zapytałem o los towarzyszy. Odparł, że pochłoneły ich otchłanie świętej wody. Nie mogłem w to uwierzyć!

– Zaprosić cię do naszego miasta nie możemy i nie chcemy – dodał ów straszny człowiek – odejść więc w pokoju. Na odchodnym proszę, byś przekazał posłanie swemu panu, niech nigdy więcej nie waży się wysyłać w te rejony ni posłów, ni żołnierzy, bo koalicji z wami nie ma i nie będzie.

– Kim jesteście? – Prawdę powiedziawszy, nie takiego przyjęcia się spodziewałem, mogli mnie bez trudu zabić lub zaprosić w gościnę, a nie odesłać z niczym jak żebraka spod drzwi.

– Możesz nas nazywać, jak chcesz, i po dobroci radzę, nie zadawaj więcej pytań, bo i tak nie usłyszysz odpowiedzi. Brat Garth wskaże ci drogę do domu. Życzę ci Ba'etha. Oby na zawsze.

Jeden z Obcych wyszedł z szeregu, rany moje opatrzył maścią, po której ból od znoju minął w okamgnieniu. Podał mi wór z jedzeniem i ruszyliśmy z powrotem w stronę płaskowyżu.

Wdzięczny choć za taki ratunek podążyłem za nim bez słowa. Prowadził mnie krętymi ścieżkami, które znał doskonale, a już na czwarty dzień stanęliśmy u Wrót. Gdy odwróciłem się, żeby pożegnać mojego przewodnika, nie został po nim ślad.

Do Tel-Aramelu dotarłem najszybciej, jak to było możliwe, by zdać relację z tego, com widział i słyszał, a wy, pomni przestrogi, nie wysyłajcie więcej zwiadowców ku północy. Zaklinam, nie czynicie tego nigdy i pod żadnych pozorem, jest to bowiem kraina sił nieczystych oraz jezior przeklętych. Przed północną rubieżą modlitwa powinna chronić nawet dusze potępionych. Lud tam mieszka niegościnnie, ziemia jest jałowa i wroga. Nie mamy czego szukać po drugiej stronie Wrót.

Zapamiętała opowieść Okiego, bo był mistrzem, którego umiejętności i odwaga zawsze jej imponowały. Nigdy – wzorem innych myśliwych – nie wyolbrzymiał swoich zasług, by okrasić historie rojeniami wyssanymi z palca. Bez wahania przyznał się do lęku na widok Obcych, a wygłoszone ostrzeżenie zabrzmiało przekonująco.

Rada nie wysłała więcej zwiadowców, uważając północ za miejsce niewarte zachodu. I właśnie dlatego ona skierowała się w tę stronę.

Iia miała świadomość, że rozpoczęła grę, w której stawką była jej dusza.

Na zawsze opuściła Tel-Aramel, bo czekało ją tam coś gorszego od śmierci. Zmuszona była poszukać schronienia w miejscu, gdzie na pewno będzie bezpieczna przed mackami potężnego ojca i jego chorej żądz, ponieważ Obcy mimo wszystko nie wydawali się tak straszni jak Suria.

Południe minęło, a na brzegu nie pojawili się tropiciele. Ostrożnie wyszła z wody, starając się nie zostawiać po sobie śladów. Teraz czekała na nią najniebezpieczniejsza część planu. Powinna, porzuciwszy przyjazną okolicę, ruszyć przez nieosłoniętą równinę, aby nadrobić stracony czas.

Napiła się wody, uzupełniła bukłak i pobiegła przed siebie. Równy oddech, lekki krok i jasno wytyczony cel prowadziły ją w stronę gaju stanowiącego zaledwie zielony punkt na horyzoncie. Chciała dotrzeć tam przed zachodem słońca, żeby po zmroku ruszyć w kierunku Wrót.

Pięć dni zajęło dotarcie tam Okiemu, ale on prowadził muły i kompanów, Iia nie miała tyle szczęścia. Skromne zapasy jedzenia musiały jej wystarczyć, bo nie mogła marnować czasu na polowanie. Wydzieliła sobie szczupłe racje, które pewnie i tak się skończą, zanim dotrze do pierwszych wzgórz. Jedyłą nadzieją na przetrwanie był pośpiech.

Myśliwi nauczyli ją, jak biec bez utraty sił, jednak dystans tym razem był o wiele za długi. Owszem, dzień bez odpoczynku nie był problemem, ale z opowieści starego łowcy wynikało, że osiągnięcie górskie jezioro dopiero po wielu zachodach. Nawet gdyby biegła bez ustanku, czekało ją dziesięć morderczych dni i nocy, a tego prawdopodobnie nie będzie w stanie przetrwać.

Podzieliła sobie trasę na krótsze odcinki prowadzące od punktu do punktu. W każdym z nich miała zamiar odpoczywać, kiedy słońce dotrze na szczyt nieboskłonu, w ten sposób uniknie jego palących promieni i odzyska część utraconych sił.

Bieg, a w zasadzie kontrola oddechu, tak ją pochłonał, że zapomniała o całym świecie. Liczyło się tylko tu i teraz, uderzenie bosych stóp o ziemię, odbicie oraz rytm wyznaczany przez miarowe bicie serca.

Rozdział VI

Jedna krótka rozmowa zmieniała wszystko.

Wieczorem podczas kolacji odezwał się telefon Jonathana. Momentalnie spojrzeli na siebie z niepokojem. W ich świecie ten dźwięk nie zwiastował niczego dobrego.

Jonathan odebrał i z wyłowionych strzępów dialogu zorientowała się, że jej obawy właśnie się ziściły. Skończył, odłożył telefon na stolik. Starła się nie zwracać uwagi na jego trzęsące się dłonie. Nie spytała także, co się stało, cierpliwie czekając, aż sam to powie. Musiało jednak upłynąć trochę czasu, zanim był w stanie otworzyć usta i wygłosić zrozumiały komunikat.

– Michael zniknął – wydusił. – Od wczoraj nie dał znaku życia. Wiedziała, co należy zrobić, choć nie było to łatwe. Bez słowa wstała i przyniosła Jonathanowi czarną torbę podróżną. Popatrzył na nią, a cierpienie wypisane na twarzy dodało mu lat.

– Musisz jechać – powiedziała kategorycznie.

– Ale... – zaprotestował.

– Nie ma żadnego ale – przerwała mu. – Jesteś jedynym, który, jeśli sprawdzą się najgorsze przypuszczenia, będzie wiedział, z czym przyjdzie mu się zmierzyć. Nie możesz ich teraz zostawić.

– Równie ciężko będzie mi zostawić ciebie – zająknął się.

Odebrała to jako pierwszą próbę reaktywacji uczuć, które kiedyś odrzuciła.

– Nigdzie się nie wybieram – odparła z całą stanowczością. – Zastaniesz mnie tutaj, gdy wrócisz z dobrymi nowinami.

Uśmiechnął się blado. Oboje czuli, że wypowiedziana przed chwilą deklaracja była wyłącznie pobożnym życzeniem.

Zapaliła papierosa i przez szarą strużkę dymu patrzyła na mężczyznę, który tak długo był dla niej oparciem. Jego obecność dodawała jej sił i pozwalała powoli odzyskać względną równowagę. Co się stanie, gdy wyjedzie?

Popatrzył na nią i po prostu odszedł. Wzdrygnęła się, słysząc lekkie trzaśnięcie drzwi. Została sama.

Niemalże od razu jej umysł zaatakowały cienie przeszłości, które nie dały za wygraną, ścigając ją aż do Miasta Aniołów. Pierwsze pojawiły się sny, w których El'lar z rodu nieśmiertelnych przywoływał ją do siebie, obiecywał, mamił, kazał tęsknić w niemal fizycznie bolesny sposób. Razem ze snami zagościł w jej życiu strach, echo kroków w pustych alejkach, dziwne spojrzenia przechodniów. Zwykłe wydarzenia i sytuacje zmieniały się w serię czytelnych znaków. Pewne słowa wyczytane w księdze brata Jakuba nie dawały jej spokoju. „Wyzbyć się musisz także wszelkiej nadziei, bo gdy spojrzysz w stronę piekła, śmierć stąpać będzie za tobą i druhem twym stanie się nieodłącznym. Każdy, kto choć raz ujrzał, co kryje mrok, nigdy już nie spojrzy tak samo w ciemność”.

Mijanym ludziom zaglądała w oczy, szukając zmian w tęczęwkach, wieczorami zamykała drzwi na trzy zamki i zasłaniała grube story, po zmroku starała się nie wychodzić z apartamentu. Jej paranoja osiągnęła apogeum, gdy pewnego dnia koło ósmej wieczorem do drzwi zapukał administrator z jakąś błahą sprawą. Oczywiście nie otworzyła, ale zgromadzony zapas środków uspokajających po tej wizycie znacząco stopniał.

Wolę życia i zdrowe zmysły podtrzymywały w niej dwie kotwice. Pierwszą była Kat, drugą Głos, który był z nią, pomagał w trudnych chwilach, wspierał przy każdej decyzji.

Dawno temu w odległym życiu jej teść zaproponował usługi swojego osobistego sekretarza. Gdy pierwszy raz do niego zadzwoniła, młody człowiek dał jej znacznie więcej, niż tylko mądrą radę dotyczącą finansów, i choć nigdy się nie spotkali, był cały czas przy niej. Na niego spadła organizacja ucieczki, ukrycie Kat, zabezpieczenie nowych tożsamości dla Vic i Jonathana. Bez jego wsparcia oraz pomocy codzienność byłaby trudniejsza – jeśli w ogóle możliwa – do przetrwania. Oczywiście nie powiedziała mu wszystkiego, wystarczyły okruchy prawdy rzucane w ramach oszczędnych wyjaśnień, przecież i tak nie uwierzyłyby w całą tę historię.

Od zawsze pozostawał tylko Głosem, człowiekiem bez twarzy, choć i tak uwielbiała go bezgranicznie, bo był łącznikiem pomiędzy nią a dzieckiem.

Raz w tygodniu zdawał raporty o stanie zdrowia Kat, jej samopoczuciu i postępach w nauce – dzięki tym relacjom Vic miała złudzenie udziału w życiu córki, jakby utrzymywała z nią swego rodzaju kontakt. Zaletą Głosu była dyskrecja, nie zadawał niepotrzebnych pytań i potrafił dokonać rzeczy

prawie niemożliwych. Spełniał każdą jej zachciankę, co było o tyle proste, że udało im się wywalczyć spadek po Robercie. Nic więc nie stało na przeszkodzie, by Kat trafiła do elitarnej szkoły z internatem, chociaż wydawał się zaskoczony kategorycznym nakazem, by za wszelką cenę utrzymywać miejsce pobytu dziecka w tajemnicy. Nawet przed nią. Przekonała go, odwołując się do konieczności zapewnienia bezpieczeństwa dziecku. Nikt nie miał prawa wiedzieć, gdzie obie przebywają i co robią – zaakceptował ów warunek bez zbędnej dyskusji, tym bardziej że była nadzwyczaj hojnym pracodawcą.

Najcięższe do zniesienia okazało się czekanie. Na telefon od Jonathana, wiadomości o Michaelu, skąpo wydzielane informacje o Kat. Z duszą na ramieniu codziennie spodziewała się najgorszego. W zasadzie nie mogła, nie miała prawa spodziewać się dobrych wieści, bo jej życie przypominało ciągłą żeglugę po oceanie wzburzonym sztormami, i jakkolwiek ustawiłaby swoją łódź, szarpiący łupinką huragan zawsze wiał od burty. Ze wszelkich sił starała się zapobiec katastrofie, chociaż samo utrzymanie się na kursie już było nieziszczalnym marzeniem.

Gdy Jonathan nad ranem dotarł do Cheyenne, przywitała go grobowa atmosfera. Rachel od dwóch dni nie zmrużyła oka, a jej najmłodszy syn Michael właśnie został oficjalnie uznany za zaginionego.

Feralnego dnia, jak zwykle wczesnym rankiem, wyszedł z domu i zgodnie z obietnicą miał wrócić na lunch. Rachel zajęta ogrodem dopiero koło trzeciej się zorientowała, że pora obiadu minęła, jednak żaden z chłopców nie wrócił. Jeszcze nie czuła niepokoju, bo czasem się zdarzało, że nieprzewidziane wypadki zatrzymywały ich w pracy, dlatego postanowiła cierpliwie poczekać do wieczora.

Kiedy wrócił Rob – pracowali w tej samej firmie, lecz na innych budowach – najpierw próbował się do niego dodzwonić, lecz za każdym razem odpowiadała mu głucha cisza, więc skontaktował się z szefem. Ten, zaskoczony pytaniem, oznajmił, że Michael wziął wolne do końca tygodnia, ponieważ dopadł go jakiś wirus.

Po tej rozmowie obojgu opadły ręce.

Nikt, kto nie znał Carterów, nie zrozumiałby powodów lęku, który niczym podstępny złodziej zakradł się do ich serc. W przekonaniu większości ludzi nic wielkiego się nie stało, dwudziestoletni młodzieniec urwał się z pracy, pewnie pojechał gdzieś z dziewczyną i nie poinformował o tym

nadopiekuńczej matki – typowe zachowanie odrobinę nieodpowiedzialnego młodego mężczyzny. Podobna sytuacja mogła zdarzyć się w każdej rodzinie, ale nie Carterów.

Bracia od zawsze byli nierozłączni, ich celem i misją stała się opieka nad Rachel, która po śmierci męża długo nie mogła odzyskać równowagi. Świętej pamięci Tom, jeden z bohaterów wydarzeń sprzed półwiecza, wychował swoich synów na prawdziwych mężczyzn, trzymał ich krótko, ale równocześnie wiele dawał od siebie, wpajał szacunek dla matki, wiarę w rodzinę, zaufanie do siebie i poczucie odpowiedzialności.

Gdy Jonathan objął po ojcu firmę, stał się głową rodziny, bracia to zaakceptowali i nigdy nie przysparzali mu problemów. Pracowali ciężko, bez szemrania wypełniali polecenia oraz podporządkowywali się zasadom. Nie musiał im udzielać lekcji, wychowywać i pilnować – byli wdrożeni do obowiązków, odpowiednio w dzieciństwie przygotowani do życia, niezauważenie dorośli.

Cała trójka była wobec siebie lojalna, darzyli się zaufaniem, a matkę kochali bezgranicznie, ona odpłacała im tym samym gorącym uczuciem. Widać to było doskonale w każdym geście i sposobie, w jaki się do siebie zwracali. Decyzja dziwaczna z punktu widzenia innych, że po przeprowadzce zamieszkają razem, w ich przypadku była oczywista i naturalna.

Wspólnie wybrali okazały dom o dwóch piętrach, na dole urządzili wygodne lokum dla Rachel, która po operacji biodra z trudem wchodziła po schodach. Zadbali, żeby miała swój ogródek, a w nim okazałą altanę przeznaczoną na spotkania ze znajomymi. Górę podzielili między siebie, zachowując – dzięki osobnym wejściom – pozory prywatności. Żaden z nich nie wykazywał cech typowych dla dzieci wychowanych przez nadopiekuńczych rodziców, byli samodzielni, zaradni. A przede wszystkim odpowiedzialni.

Michael, sporo niższy od Jonathana, o delikatniejszej budowie, nie odziedziczył rudawobłond czupryny, dlatego przypominał bardziej Rachel niż Toma. Ciemne półdługie włosy często wiązał w kucyk, miał ujmujący wyraz twarzy i ciepłe brązowe oczy, w których igrały wesołe ogniki. To, że był najmłodszy, nie wpłynęło na jego charakter, bo nikt go nie rozpieszczał. Od dawna pomagał w firmie i sam zarabiał na kieszonkowe. Jonathan nie traktował go ulgowo, choć widać było, że jest z niego dumny, a ich współpraca układała się doskonale.

Michael nie był typem chłopaka, który znienacka urywa się z pracy i jedzie przed siebie w poszukiwaniu przygód. Tym bardziej takim, który robi to w tajemnicy, nie dając znaku życia.

Rachel, jak każda matka, intuicyjnie czuła, że zdarzyło się coś złego. Obdzwoiła szpitale i posterunki, a w tym czasie Rob rozmawiał ze współpracownikami. Niczego się nie dowiedzieli, na budowie nie stało się nic niepokojącego, żaden obcy nie kręcił się po placu. Michael do tej pory zachowywał się wzorowo, nikt nie pamiętał, aby wcześniej zdarzyła mu się podobna absencja.

Po odczekaniu zwyczajowych czterdziestu ośmiu godzin zawiadomili policję, która potraktowała ich obawy sceptycznie – uważała jego zniknięcie za typowy wyskok młodego mężczyzny. Wtedy Rachel zadzwoniła do Jonathana i przekazała mu ponurą wiadomość.

Żadne z nich nie ośmieliło się jeszcze wypowiedzieć na głos swoich obaw, ani razu nie padło oskarżenie skierowane pod oczywisty adres. Na to było za wcześnie, bo łatwiej przyszło im przyjąć każdą inną wersję wydarzeń, niż spojrzeć prawdzie w oczy.

Tymczasem dla Vic sprawa wydawała się oczywista – El’lar złapał trop. Nie objawił się z hukiem, dokonując spektakularnej rzezi, ale dyskretnie zaczął eliminować wrogów, i chociaż była setki mil od Cheyenne, dostrzegła na okolicznościach porwania jego wyraźny podpis. Nikt z rodziny Carterów nie był bezpieczny, dlatego podczas telefonicznej rozmowy z Jonathanem próbowała go przekonać do wywiezienia Roba i Rachel. Nie przyjął jej sugestii, bo byłoby to równoznaczne z zaprzestaniem poszukiwań. Zdenerwował ją ten ośli upór.

– Jak chcesz – powiedziała zimno – ale narażasz matkę i brata.

– Myślisz, że w tej sytuacji zgodzą się wyjechać? – odparował.

– Uważam, że powinieneś z nimi szczerze porozmawiać – powiedziała i dodała chytrze: – łatwiej ci będzie szukać śladów bez obaw o to, co się z nimi stanie.

– Gdybyś znalazła się w podobnej sytuacji, wyjechałabyś, żeby ratować swoje życie? – W jego głosie zabrzmiał smutek.

Nie odpowiedziała, tym zdaniem wytrącił jej z ręki wszystkie logiczne argumenty. Przypomniała sobie twarz Michaela, jego roześmiane oczy, i coś ścisnęło ją za gardło.

– To moja wina – powiedziała głucho do słuchawki.

– Przestań opowiadać głupoty – odrobinę podniósł głos – jeśli ktoś tu zawinął, to tylko ja, poza tym nie mamy pewności, że On za tym stoi.

– Może masz rację – skłamała, starając się nie odbierać mu resztek nadziei – i teraz tylko niepotrzebnie się zamartwiamy. Trzymaj się.

Nie mogła z nim dłużej rozmawiać, bo zaraz zaczęłyby krzyczeć z bezsilności. Żałowała, że nie wróciła do Chayenne z Jonathanem, być może zdołałaby przemówić im do rozsądku, a przynajmniej przekonać, żeby nie lekceważyli przeciwnika. Tymczasem siedziała sama w pustym mieszkaniu i starała się nie oszaleć.

Godziny płynęły niespiesznie, doba przeciągała się w nieskończoność, bo pomimo zmęczenia Vic nie udawało się zasnąć. Zresztą ostatnie, o czym w ogóle myślała, to był sen. Koszmary nie przepuściły żadnej nocy, żeby o sobie przypomnieć, wracały do niej niczym bumerang, w różnych kombinacjach. Najczęściej zdarzało jej się spotykać umarłych, a od czasu do czasu przemawiał do niej sam Azdaroht.

Usiadła przy stole w niewielkim ciemnym saloniku, od świata zewnętrznego odgrodziły ją grube szczelnie zaciągnięte story, przed nią leżał telefon. Musiała uzbroić się w cierpliwość i poczekać na kolejną wiadomość od Jonathana.

Powieki same jej opadły.

Znalazła się na wzniesieniu, skąd rozciągał się widok na ocean i piękną, szeroką plażę.

Dziwne – pomyślała – słońce świeci jasno, gdzie się wszyscy podziali?

Na plaży nie było żywej duszy. Odległy szum fal rozbijających się o skały dochodził do jej uszu niczym echo potężnego sztormu.

Odwróciła się, żeby poszukać zejścia, ale przed sobą zamiast ścieżki zobaczyła sześć potężnych mahoniowych drzwi – ich futryny zdobione dziwnymi poplątanymi symbolami wyrastały wprost z ziemi. Znikąd pojawił się karzeł, z dziwnym uśmiechem na twarzy podszedł i bez słowa włożył jej w dłoń srebrną kostkę do gry, którą ozdobiły czarne grawerowane numery.

Nie podobało jej się to, co zobaczyła w jego oczach, tak samo jak twarz wykrzywiona w wesołkowatym grymasie, więc wzięła mocny zamach i wyrzuciła kostkę w stronę oceanu. Jeśli spodziewał się, że podejmie jego wyzwanie, musiał się rozczarować. Widziała, jak srebrny pocisk szybuje, przecinając błękitny horyzont, i spada poza klifem.

Karzeł roześmiał się nieludzkim ptasim głosem i wskazał palcem niebo.

Spojrzała w górę i odruchowo zaczęła śledzić trajektorię błyszczącej drobiny, która spadła u jej stóp, ociekając wodą. Srebro okryło się patyną i oplątało nitkami wodorostów, mimo to wciąż można było odczytać cyfrę – trzy.

Karzeł, nie przestając się uśmiechać, skinął głową, pozostałe drzwi zniknęły, zostały te oznaczone trójką.

Nacisnęła klamkę i z trudem popchnęła potężne skrzydło. Obiema nogami wylądowała na posadzce wyłożonej prostokątnymi kafelkami. Wzór poprowadził ją w głąb korytarza, którego ścianami były sploty gałęzi, a dachem opasłe konary. Między pokręconymi roślinnymi ornamentami znajdowały się szerokie okna. Odruchowo spojrzała przez szybę. W pomieszczeniu natychmiast zapłonęły świece.

Krzyk zamarł jej na ustach. Na drewnianym kole spoczywały zwłoki kobiety, po jej nagim ciele spływały strużki krwi, a pęki długich ciemnych włosów tkwiły zaplątane w tryby. Poznała ją bez trudu.

– Eve – wyszeptała. W odpowiedzi przekrwione oczy pełne bólu spojrzały wprost na nią. Okiennice zatrzasnęły się z hukiem.

Otępiała ruszyła przed siebie, korytarz poprowadził ją do następnego okna, za nim znajdował się pokój mikroskopijnych rozmiarów, w którym objęci w uścisku trwali koło siebie Jane i Marc – rodzice Roberta. Uśmiechnięty karzeł nacisnął przycisk ukryty w ścianie.

Podłoga się odsunęła, ukazując stalową kratę, która wypluła z siebie jęzory ognia. Dotarł do niej swąd palonej skóry i przeraźliwy ludzki wrzask. Wściekła, odwróciła się w stronę karła. Jego nieruchome oczy zapatrzone w ogień były martwe.

Zaczęła biec, chcąc być jak najdalej od tego koszmaru, i wtedy znalazła ostatnie drzwi, które zagradały korytarz. Przekręcenie gałki przeniosło ją wprost do jej domu. Na tarasie stały dwie postacie zapatrzone w jezioro. Jedną z nich była Kat, drugą...

Vic zachłysnęła się, doktor Barrow trzymał jej małą córeczkę za rękę. Zanim zdążyła do nich podejść, zerwał się wiatr, zawył żałośnie między drzewami, a z obu postaci zaczęły się odrywać drobne fragmenty, kosmyki włosów, spopielona skóra, białe drzazgi kości. Fruwały lekko niczym popiół z kominka, nagle porwane silnym podmuchem uderzyły ją w twarz. Poczwała, jak wbijają się w oczy, zaplątują we włosy i wpadają do ust. Upadła, krzycząc bezgłośnie.

Rozdział VII

KRONIKI WAMPIRÓW

– **Z**bliża się, tak jak przepowiadałeś – silny głos zagrział spotęgowanym echem w Wielkiej Sali Spotkań.

Przez szeregi Rady przetoczył się szmer.

– Trzeba było zabić pierwszego przybysza z równin. – Ciche szepty, krążące dookoła jak nieznośne brzęczenie owadów, i tak dotarły do uszu Ya'reana.

Zastanawiał się, kto pierwszy będzie miał odwagę wstać, zamiast mruczeć w kącie, i otwarcie, prosto w twarz zarzuci mu popełniony błąd. Nie pomylił się w swoich rachubach, z kamiennej ławy uniósł się wysoki szczupły mężczyzna.

Mogłem się tego spodziewać – pomyślał starzec, patrząc mu w oczy, i na głos powiedział:

– Aedrinie, jako jeden z nielicznych poparłeś moje racje, czyżbyś ostatnio zmienił zdanie?

– Nie – odpowiedział zapytany i uklonił się dwornie w stronę Ya'reana, najważniejszego z członków Rady, który nosił zaszczytny tytuł ka'hete: ojca narodu. – Popierałem cię i nadal uważam, że wędrowiec z równin ma prawo żyć. Jednak wielu sądzi, że popełniliśmy omyłkę, która będzie nas dużo kosztować.

– Przemawiasz w ich imieniu? Czyżby musieli zasłaniać się twoją sławą, aby ich racje ujrzęły światło dzienne? – Szum przybrał na sile.

Większości obecnych nie spodobały się jawne insynuacje. W gruncie rzeczy było mu to zupełnie obojętne, od dawna uważał członków Rady za tchórzy, którym wystarcza odwagi jedynie na pusty warkot. Nie mógł ich jednak lekceważyć, bo wszem i wobec wiadomo, że tchórz ukąsi, gdy odwróci się od niego wzrok. Dlatego wstał, z trudem prostując obolałe kości,

i odparł:

– To Świątynia przekazała nam słowa, których musimy się trzymać. – Szmary ucichły, samo przypomnienie o tym zakazanym miejscu wystarczyło, aby nastroje pełne buntowniczego wrzenia zdusić w zarodku. –

Skoro prorok nakazał oszczędzić przybysza, nie wolno podważać jego wyroków. Jakim okazalibyśmy się państwem, gdyby jeden człowiek, przedstawiciel prymitywnych mieszkańców równin, był nam w stanie zagrozić? Takiego niebezpieczeństwa ma się obawiać potężny Aghar, kraina rodząca wojowników?

– Zdradzi nasze tajemnice i przyprowadzi innych. – Zza pleców Aedriny dobiegł charakterystyczny lekko chrapliwy głos. – Przyjmiemy jednego, a później zaroi się od nich jak od pcheł.

– Tak – podchwycił tłum i coraz wyraźniej słychać było opinie buntowników, które przedzierały się przez powstały zamęt niczym fale potężnego przyboju.

– Zniszczą nasz spokój!

– Okradną i spalą domy!

– Sprowadzą następnych!

– Rozpoczną wojnę!

Ostatnie zdanie wyprowadziło go z równowagi. Trzykrotnie uderzył w posadzkę długą pozłacaną laską Ka – symbolem władzy naczelnika Rady.

– Cisza!! – krzyknął zdumiewająco jak na jego wiek mocnym głosem. – Skoro moje słowa macie za dym, nakazuję przyprowadzić Proroka, niechaj przekaże wam ponownie decyzję bogów.

– Bo sam nie masz odwagi? – Z ławki za Aedrinem wstał, zbierając poklask zgromadzonej gawiedzi, jego starszy brat, Ha'garth, żmija zaklęta w ludzkiej powłoce.

Ya'rean z trudem zapanował nad gniewem, nie przewidział tego, że jego najgorszy wróg już wrócił z łowów i jak zwykle siał zamęt. Ten człowiek, mistrz intrygi i kłamca, od urodzenia miał podwójny język, umysł pełen splątanych ścieżek, najdziwniejsze jednak było to, że prawdopodobnie nikt oprócz ka'hete nie zdawał sobie sprawy, jak potrafi być niebezpieczny.

Stanowił dokładne przeciwieństwo zapatrzonego w niego Aedriny, obaj byli wysocy i na swój sposób przystojni, choć to Ha'garth od najmłodszych lat skupiał na sobie spojrzenia wszystkich kobiet, prawdopodobnie dzięki niezwykłej surowej urodzie świadczącej o trudnym charakterze.

Ciemne gęste włosy zgodnie z modą nosił upięte, co podkreślało wysokie czoło i orli nos. Bystre lśniące oczy o niezwykłym ciemnobłękitnym kolorze często rzucały gniewne błyski, jeszcze częściej spoglądały na świat z pogardą. Wyrzeźbione kości policzkowe schodziły w dół ku pełnym ustom, które doprowadzały do drżenia serca wszystkich niewiast. Był, co mu trzeba przyznać, najlepszym myśliwym wśród młodych mężczyzn, lecz to nie wyprawy na zwierzynę zaprzętały jego umysł.

Od najmłodszych lat doskonalił się w innej sztuce – każde słowo opuszczające jego usta miało ściśle określony cel i starannie wybraną ofiarę, bo Ha'garth był niekłamanym mistrzem podstępów i prowokacji.

Ya'rean popełnił błąd. Pewnego dnia w rozmowie ostrzegł jego ojca, że nie powinien ufać swojemu najstarszemu synowi, i od tej pory zyskał zaprzysięgłego wroga, którego intryg musiał się strzec na każdym kroku.

O ile w głębi serca nienawidził dziedzica rodu Ewallah, o tyle na swojego następcę przeznaczył jego najmłodszą latorośl – Aedrina. Nieco wyższy od brata, mocniej zbudowany, o sylwetce typowego wojownika, był absolutnie pewnym kandydatem do zaszczytnego tytułu ka'hete. Rozważny, opanowany, należał do niewielkiego grona osób, którym Ya'rean całkowicie ufał, bo miał w sobie tak rzadką godność czyniącą z niego osobę na wskroś wyjątkową. Cechowało go wrodzone wyczucie tego, jak należy postępować, oraz szacunek dla obowiązujących zasad. Od najmłodszych lat wiedział, co jest właściwe, i zachowywał się odpowiednio, budząc podziw oraz respekt dla swojej mądrości.

Ciemnoblonde włosy nosił wbrew zwyczajom krótko obcięte, na dumnej twarzy może zbyt często gościł wyraz wyniosłej wzdąrdy, ale ta cecha nie znajdowała odzwierciedlenia w jego zachowaniu i charakterze. Brązowe oczy, których wyraz zdradzał silny charakter, sprawiały, że był niepodobny do pozostałych przedstawicieli błękitnookiego rodu. Szlachetne rysy i niezwykły szczerzy uśmiech czyniły z niego wymarzonego kandydata na męża, lecz jak na ironię niewiele dziewcząt zwracało na niego uwagę, swoje westchnienia kierując w stronę Ha'gartha.

Tymczasem to Aedrin miał powody do dumy, należał do elitarnej grupy wojowników, z których każdy przeszedł trudny sprawdzian odwagi i honoru. Jeśli Ya'rean kogokolwiek miałby stawiać za wzór, to najmłodszego z rodu Ewallah. Serce mu pękało na widok głębokiej więzi braterskiej łączącej tych młodych mężczyzn, tak odmiennych z wyglądu i charakteru.

– Odwagi mi nie brakuje – odpowiedział zimno starzec – dlatego stoję przed wami, gotów na osąd, zamiast ukrywać się za plecami brata.

Na te słowa Ha'garth podniósł się z miejsca i spojrzał na niego z jawnym lekceważeniem.

– O tak, starcze, bo o wiele łatwiej możesz się ukryć za plecami kapłanów. W razie niepowodzenia będziesz miał na kogo zrzucić winę.

– Aghar nie będzie klękać przed ludźmi z równin. – Starł się za wszelką cenę trzymać nerwy na wodzy.

– Pewnego dnia podziękujemy ci za twoje starania – w głosie Ha'gartha zabrzmiała jawna groźba. Młody mężczyzna zszedł ze schodów i stanął naprzeciwko wiekowego ka'hete, wzrostem górując nad pochylonym starcem. Odwrócił się do członków Rady siedzących w sześciu rzędach i powiedział z mocą:

– Nie lękajmy się kolejnego wędrowca, na to Aghar jest zbyt potężny i dumny, a także następnych i kolejnych, którzy zaleją nas falą barbarzyństwa i nienawiści. Gdy zginą wojownicy, szlachetna krew zostanie rozbełtana z dziczą, stworzona przez nas kultura, prawa i zwyczaje odejdą w niepamięć, zasypane popiołem naszych miast, pozostanie nam pamięć o tym, jak nieulekły był Aghar i jego przywódca.

Aedrin poczuł się w obowiązku wziąć w obronę Ya'reana, on również zszedł ze swojego miejsca i dołączył do dwójki rozsierdzonych wrogów.

– Zwiadowco – zwrócił się do mężczyzny, który jako pierwszy przyniósł złe wieści – jak wielu barbarzyńców możemy się spodziewać?

– Pierwsza dotrze samotna kobieta o płowych włosach, za nią w odległości dwóch dni podąża grupa około piętnastu tropicieli.

– Kobieta ucieka przed nimi? – zaintrygowała go ta informacja.

– Wszystko na to wskazuje – zwiadowca nie spuścił wzroku, był jednym z najlepszych w swoim rzemiośle i zdawał sobie sprawę, że jego opinia miała teraz zasadnicze znaczenie.

– A zatem – Aedrin odwrócił się twarzą w stronę członków Rady, ignorując swojego brata i ka'hete – niech kapłani zadecydują, czy udzielimy jej schronienia. Jeśli chodzi o pozostałych, jesteśmy gotowi, żeby w każdej chwili wyruszyć...

Wypowiedź przerwało mu wejście okutanego w brązową pelerynę niskiego przygarbionego człowieka. Wszyscy członkowie Rady powstali ze swoich miejsc, a stojący na środku mężczyźni z szacunkiem pochylili głowy.

Swoją obecnością zaszczylił ich jeden z dwunastki, uznawany przez mieszkańców za usta wyroczni.

– Historia zatoczyła koło – powiedział łamiącym się głosem, twarzy skrytej w otchłaniach szerokiego kaptura nie widział nikt z żyjących. – Niestale w przestrzeni dni odwróca żarna losu.

Były to słowa rozpoczynające wieszczanie. Święte słowa nawiedzonego Proroka, oczywiście kompletnie niezrozumiałe i dające pole do dziesiątek interpretacji.

Ya'rean bywał często w świątyni ukrytej głęboko w zboczu góry, wstęp tam miało niewielu, stąd szacunek, jakim darzono ka'hete, który bywał u kapłanów regularnie, żeby wysłuchiwać prorocत्व. Teraz należało zawierzyć jego mądrości, że zdoła odszyfrować zawiły przekaz. Jednak najwyraźniej starzec nie miał zamiaru zostawiać niczego domysłom i wbrew zwyczajom wprost zadał pytanie stojącej przed nim postaci.

– Zmierza do nas kobieta, mamy jej udzielić schronienia?

Ku kompletnemu zaskoczeniu wszystkich obecnych kapłan odpowiedział twierdząco.

– Taka jest wola bogów.

– Jesteś pewien? – mina Ha'gartha zdradzała głęboką konsternację.

– Kobietę przywiał wiatr zmian, które są nieuniknione. Za wszelką cenę musi do nas dotrzeć.

– A pozostali? – Ya'rean nie potrafił ukryć emocji. Po raz pierwszy w dziejach zdarzyło się, żeby prorok tak kategorycznie i jednoznacznie nakazywał coś swoim wiernym.

– Nieistotni.

Aedrin zrozumiał.

– Dobrze. Niechaj i tak się stanie – powiedział głośno.

Uklonił się nisko i wyszedł, a za nim podążyło dziesięciu mężczyzn, kwiat wojowników.

Postać zakutana w brąz odwróciła się i zaraz opuściła zgromadzenie. W czeluściach swojego kaptura kapłan uśmiechnął się drapieżnie.

Gra się rozpoczęła. Stawką w niej był zupełnie nowy świat. Na szczęście, gdy będzie się rodził w bólu i krwi, on znajdzie się bardzo, bardzo daleko stąd.

Rozdział VIII

– **N**azywam się Veronica Mallory i mam trzydzieści sześć lat – powiedziała do swojego odbicia w lustrze.

Głos, sposób mówienia powinny emanować taką pewnością, jakby urodziła się z tym obcym imieniem i nazwiskiem, przywykła do niego, bo było częścią jej samej.

Z lustra popatrzyły na nią puste podkrążone oczy bez wyrazu.

Od wyjazdu Jonathana minęły dwa tygodnie. To była bolesna lekcja samotności, podczas której czas płynął inaczej. Budziła się wczesnym rankiem, lecz nie miała odwagi biegać ani wychodzić na spacer, a o wyprawach do kina czy restauracji zdążyła już zapomnieć. Czytała książkę, raz na dwa dni robiła niezbędne zakupy w sklepie oddalonym o przecznicę od domu. To wszystko.

I kompletnie uzależniła się od telefonu. To małe pudełko stało się jej jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym, utrzymywało ją przy życiu i zdrowych zmysłach.

Od momentu otwarcia oczu czekała na informacje z Cheyenne, a Jonathan – chyba wiedziony przeczuciem – dzwonił przynajmniej dwa razy dziennie, informując o wszystkich swoich działaniach i ich skutkach przynoszących wyłącznie rozczarowania.

Na początku zazdrościła mu tego, że może działać, jest aktywny w przeciwieństwie do niej, uwięzionej w trzypokojowym ponurym apartamencie z widokiem na ulicę. Bezczytność doskwierała jej bardziej, niż przypuszczała, po okresie nadzwyczajnej mobilizacji sił fizycznych i psychicznych nastąpił bowiem paskudny czas totalnej bierności.

Dni wypełnione monotonnymi czynnościami sprawiały, że zaczynała się dusić i tęsknić do czasów, gdy nie miała chwili dla siebie. Trwanie w stagnacji było biegunowo odległe od jej natury, bo Vic uchodziła za osobę rzutką i przedsiębiorczą, która zawsze potrafi znaleźć godne siebie wyzwania. W dodatku była sama.

Cichy pusty pokój, brak osoby, z którą można byłoby porozmawiać,

choćby o pogodzie, zaczynały dawać się jej we znaki. Wcześniej nie przyszło jej do głowy, że Jonathan stał się tak ważnym elementem nowego życia. Gdy był w pobliżu, mogli ze sobą nie rozmawiać cały dzień, ale był to inny rodzaj milczenia, inny typ samotności.

W zasadzie oprócz pozornych działań egzystencja rodziny Carterów także ograniczyła się do nieustannego oczekiwania na telefon, jakąkolwiek informację, nowe tropy.

Zniknięcie bliskiej osoby przybliżyło Jonathana do stanu, który ona przeżywała każdego dnia. Niekończące się rozmowy o Michaelu były niczym wyrzut sumienia lub rozdrapywanie bolesnej rany i doprowadzały Rachel do płaczu.

Na początku wszystkie informacje budziły nową nadzieję, z biegiem czasu rozbujana huśtawka emocji spychała ich na skraj zubożenia, dlatego każdy z nich, mimo że stanowili zżyłą i ufającą sobie rodzinę, zamknął się w swoim świecie. Rob i Jonathan czuli się kompletnie bezradni, bo efekty ich poszukiwań były więcej niż mizerne.

Od dnia zniknięcia nikt nie widział Michaela, nikt się z nim nie kontaktował. Młody człowiek przepadł jak kamień w wodę. Siedzieli więc razem – trójka nieszczęśliwych ludzi pogrążona w ciężkim milczeniu – i na swój sposób przeżywali to, co się stało.

Vic miała wrażenie, że rozmowy z Jonathanem są dla niego i dla niej wyjściem z jakiegoś pustego, szklanego naczynia. Zaskoczyło ją, że ten typ twardego, surowego mężczyzny, który raczej rzadko tracił czas na dyskusje, potrafi mówić tak otwarcie o swoich uczuciach.

Wiele razy była zmuszona zastanowić się nad jego argumentami i sposobem rozumowania, bo w niczym nie pasowały do opinii, którą sobie o nim wyrobiła. A przy okazji – wbrew jej początkowym obawom – poważnie brał pod rozwagę udział El'lara w zniknięciu brata.

Przyznał się do tego podczas pewnej rozmowy o świecie, pięć dni po swoim wyjeździe.

– Znalazł się samochód Michaela – zaczął bez ogródek i zwyczajowego powitania; widać było, że jest głęboko poruszony. – Wczoraj na terenie parku strażnicy odkryli jego forda bez numerów, policja wysłała nam zdjęcia.

– Czy... – Zachłysnęła się, pytanie o ślady krwi nie mogło jej przejść przez usta.

Zrozumiał.

– Ani wewnątrz, ani na zewnątrz nie ma nic, żadnych śladów, według policji po prostu zostawił swój wóz, chociaż, jak przyznają, nie ma w tym za wiele sensu.

– Nie zastanowiło ich, czemu wcześniej zdjął tablicę rejestracyjną?

– Detektyw, który prowadzi sprawę, ma koło czterdziestki i na koncie kilkanaście spraw dotyczących zaginięć. Jego interpretacja wydarzeń nie różni się za wiele od zdania policjanta przyjmującego zgłoszenie.

Przypomniała sobie zaskoczenie Carterów, gdy na posterunku potraktowano ich lekceważąco. Dyżurny oficer najpierw zrobił im wykład i przedstawił statystyki na temat uciezek z domu, a później wykazał się kompletnym brakiem taktu, zadając pytania w typie: „Jak go zmusiliście, by zamieszkał pod jednym dachem ze starszym bratem i matką?”. I dopiero zdecydowana postawa Roba nakłoniła go do przyjęcia zgłoszenia.

– Skąd to wiesz? Powiedział coś na ten temat? – W sumie poglądy detektywa nie miały żadnego znaczenia, i tak nigdy nie odkryje, co się naprawdę zdarzyło.

– Wystarczyło na niego popatrzeć, gdy przyjmował sprawę. Wyraźnie znudzony, notował zeznania z takim wyrazem twarzy, jakby chciał powiedzieć: znowu jakaś rodzina nie upilnowała rozpuszczonego dzieciaka. Nawet zażartował, mówiąc, że jak wytrzeźwieje, pewnie znajdzie drogę do domu, ale chyba nie spodobała mu się odpowiedź Rachel.

– Co powiedziała? – Vic miała przyjemność rozmawiać z matką Jonathana, która ujęła ją swoją bezpretensjonalną szczerością. Umiała przy tym zachować takt oraz ów szczególny rodzaj humoru, który pozwala wybaczyć każdą niezręczność, lecz jeśli jej na czymś zależało, potrafiła być obcesowa i kategoryczna.

– Zasunęła mu typowy tekst, zwracając się do niego cały czas per młody człowieku. Po tej akcji musiał nabrać stuprocentowej pewności, że przez nią Michael uciekł z domu. Oczywiście postraszyła go prasą i dorzuciła wiązanek na temat jego stosunku do matki oraz sposobu prowadzenia. Ale najlepsze z tego wszystkiego było, jak wysyczała mu w twarz, że postara się, aby wszyscy przesiedleńcy z Lake Falls poznali prawdę o zwyczajach tutejszej policji, na koniec przypomniała, z jakich pieniędzy dostaje pensję. Cała Rachel.

Vic się uśmiechnęła. Podczas jego opowiadania miała wrażenie, że widzi matkę Jonathana, starszą kobietę o siwych włosach, z ogniem płonącym

w oczach. Policja w Cheyenne nie przywykła jeszcze do twardych, zaprawionych w bojach mieszkańców Lake Falls.

– Kiedy zwrócą wam samochód?

– Po wszystkich badaniach w laboratorium, co pewnie trochę potrwa, bo mają zamiar rozebrać go na kawałki.

Jedyną wspólną cechą wampirów był ich *modus operandi* – zacieranie za sobą wszelkich śladów. Jeśli policja niczego nie znajdzie, będzie to potwierdzeniem oczywistej teorii o zemście. Powiedziała mu o swoich wnioskach i ku zdziwieniu usłyszała w odpowiedzi:

– Bierzemy to pod uwagę.

– Dlatego powinniście zachować szczególną ostrożność.

Przeciągające się milczenie po drugiej stronie zbiło ją z tropu, myślała nawet, że Jonathan się rozłączył. Ale wtedy padły słowa, których nigdy nie chciała usłyszeć z jego ust:

– Liczę się z możliwością konfrontacji...

Gdy dotarło do niej znaczenie tej wypowiedzi, poczuła pierwszy zwiastun ataku paniki.

– Czy ty ze szczętem oszalałeś!!! – Nie chciała krzyczeć. – Co masz zamiar w ten sposób osiągnąć!!? I jak twoja śmierć zmieni los Michaela? Masz matkę i brata, ludzi, którym na tobie zależy, dlatego nie wolno ci tego zrobić!

W myślach dodała: a co ze mną? – jednak nie powiedziała tego na głos, bo musiałaby przyznać, że bardzo go potrzebuje. Był jedyną na świecie osobą, która ją rozumiała, dlatego chyba nigdy nie będzie gotowa na to, żeby go stracić.

– Nie mamy innego wyjścia – powiedział spokojnym głosem. – Rozmawiałem z Robem i Rachel, oboje przyznali mi rację.

– Tak bez protestów zgodzili się na twoje samobójstwo? – Nie mogło się to jej pomieścić w głowie. Czuła, że zaraz spakuje swoje rzeczy i jednak pojedzie do Cheyenne, żeby osobiście wybić mu ten pomysł z głowy.

– Nie traktuj tego w ten sposób...

Nie chciała słuchać tych bzdur.

– Jeżeli chcesz stać się przynętą, wcześniej wybierz odpowiedni nagrobek. Nie masz z nim żadnych szans.

– Nie będę sam – zamilkł, jakby czekał na jej reakcję.

– Skrzyknąłeś bandę emerytów – szyderstwem próbowała zamaskować

strach – weteranów poprzedniej bitwy, sąsiadów z Lake Falls, i zamierzacie zabić El’lara? I to nie jest żart?

– Właściwie nie, wzięliśmy do pomocy wszystkich oprócz weteranów, bo jak ci zapewne wiadomo, niewielu ich pozostało. Razem stanowimy całkiem pokaźną siłę, prawie trzydzieścioro młodych mężczyzn i kobiet, wszyscy nawykli do używania broni, gotowi, żeby dokończyć stare sprawy. Nie ma lepszej motywacji.

– I pretekstu do jatki. – Teraz mówiła ciszej, ale furia brzmiąca w jej głosie wybijała niemal każdą sylabę. – Wiesz, że w ten sposób skazujesz ich na śmierć. Bierzesz to na swoje sumienie? Przecież zdajesz sobie sprawę, że zwykła broń w walce z wampirami jest nieskuteczna. Na litość boską, znasz historię sprzed dwudziestu lat i masz odwagę prosić tych nieświadomych niczego ludzi, żeby poświęcili swoje życie?

– Jeśli odzyskamy szansę na...

– O nie – krzyknęła do słuchawki, chociaż miała ochotę rzucić telefonem o ścianę, rozbić go w drobne kawałeczki i spuścić w toalecie – nie zrobisz ze mnie osoby współodpowiedzialnej za swoje błędy, nie próbuj mi wmawiać, że robisz to dla nas. Jeśli choć jednej osobie spadnie włos z głowy, będzie to wyłącznie twoja wina.

– Zależy ci na nim? – zapytał ze stoickim spokojem, który kontrastował z jej wściekłością.

– Nie i nigdy nie zależało – warknęła. – Kiedy masz zamiar wreszcie skończyć z tą dziecinadą? Chcesz poświęcić swoich przyjaciół, żeby pozbyć się konkurenta?

– Nie – odpowiedział zimno – zabiję go za mojego ojca, Benjamina, Eve i Michaela.

– A zatem dołączysz do nich szybciej, niż planowałeś – odpowiedziała i się rozłączyła.

Brakło jej sił, żeby kontynuować tę bezsensowną wymianę zdań.

Jonathan miał prawo podejrzewać, że demonizując El’lara, w jakiś chory sposób osłania wampira, chce zapewnić mu bezpieczeństwo. Ale było to równocześnie absurdalne i żałosne. Vic żyła z Obcym pod jednym dachem przez trzy miesiące, poznała jego prawdziwą naturę i nie miała żadnych złudzeń co do finału pojedynku mieszkańców Lake Falls z chodzącą definicją drapieżnika.

Zimny, wyrachowany, o zmysłach wykraczających poza ludzkie

pojmowanie, instynkcie łowcy z wielowiekowym doświadczeniem, stanowił poważne wyzwanie. Tym bardziej że kule nie wyrządzały mu krzywdy, w szybkości nie miał sobie równych, a zdolność wpływania na ludzkie umysły czyniła z niego prawdziwego potwora.

Z kimś takim miała się zmierzyć banda młokosów wyposażona w bezużyteczną broń i zapal. Wielu pamiętało opowieść sprzed lat, lecz żaden z nich nie doświadczył osobistego kontaktu z Obcymi, nie był – jak Benjamin – naocznym świadkiem tamtych wydarzeń. Z czasem stwierdzili pewnie, że ich rodzice i dziadkowie mocno podkoloryzowali całą historię. Ona jedyna zdawała sobie sprawę z tego, że każde słowo opowieści było prawdziwe, a mieszkańcy wygrali z wampirami tylko dzięki pomocy wiedzy.

Resztki zdrowego rozsądku powstrzymały ją przed wyjazdem do Cheyenne. Pakując się pośpiesznie, uświadomiła sobie bowiem – było to niczym cios prosto w splot słoneczny – że swoją obecnością tylko przyspieszy bieg wydarzeń. Nie ma możliwości, by El’lar przegapił jej nagłe pojawienie się w samym środku dramatu. A podejmując takie ryzyko, z własnej woli ustawi się w pozycji czerwonej płachty zawieszanej przed nosem szarżującego byka.

Usiadła na łóżku wśród rozrzuconych ubrań i wzięła telefon. Musiała porozmawiać z Jonathanem.

Aż za dobrze poznała wadę mieszkańców Lake Falls – stygmat bohaterstwa – choć błędnie zrzuciła go na karb pionierskich tradycji i trudnych warunków, w jakich przyszło im żyć. Ta cecha skaziła ich dusze i serca niczym trujący kolec.

Twardzi mężczyźni o zimnych spojrzeniach, gotowi na wszystko, aby zapewnić bezpieczny byt swojej rodzinie. Silne kobiety, dla których problemy nie były przeszkodami, lecz wyzwaniem – oni wszyscy nosili piętno wydarzeń sprzed lat. Pielęgowali wspomnienia, pamiętając o ofiarach i ich poświęceniu.

Potomkowie rodzin doświadczonych spotkaniem z Obcymi rozumieli znaczenie słów, które dla innych były już tylko czczymi sloganami – lojalność i odwaga. Nigdy nikt nie dowiedział się prawdy o wydarzeniach, które rozegrały się w tej niewielkiej osadzie, bo milczący mieszkańcy stali na straży tajemnicy, a dyskrecja stała się ich credo. Swoje charaktery, wykute w ogniu walki z mrocznymi siłami, o których zapomniał świat, przekazali

następnym pokoleniom i nauczyli dzieci szacunku dla tego dziedzictwa. Dlatego młodzi zgodzili się bez wahania wziąć udział w krucjacie Jonathana, nieodrodnego syna Lake Falls. Widzieli w tym szansę na zemstę za cierpienie swoich rodziców i możliwość udowodnienia, że im także należą się szacunek oraz uznanie, bo są następcami tamtych pogromców.

Wybrała numer i wzięła głęboki oddech. Podczas rozmowy przede wszystkim musiała zachować spokój. Najstarszy z Carterów został wychowany w kulcie odwagi, więc ani krzyki, ani prośby nie były go w stanie zawrócić z raz obranej drogi, zwłaszcza jeśli uważał, że postępując w ten sposób, może komukolwiek pomóc. A ona nie mogła pozwolić mu na puste bohaterstwo i bezsensowne poświęcenie.

– Tak? – zapytał zimno.

Teraz był jej wrogiem, bo zamierzała odebrać mu – wydawałoby się pewny – laur wybawcy.

– Co według ciebie spotkało Michaela? – Zaskoczyła go tym pytaniem, więc była szansa, że jednak zechce z nią porozmawiać.

– Nie mam pojęcia – okazał lekkie zirygowanie, ale się nie rozłączył. To dobrze wróżyło.

– Poznałeś El'lara osobiście, więc zastanów się dobrze, bo moje pytanie wcale nie jest głupie. Mamy dwie możliwości: albo zabił Michaela, albo go porwał. Spróbuj zastanowić się nad tym, co zrobił twojemu bratu.

Odpowiedziała jej cisza.

– Proponuję, wejdź w skórę El'lara, zacznij myśleć tak jak on, rozważ różne możliwe opcje i gdy już poznasz odpowiedź na pytanie, oddzwon.

Rozłączyła się, pewna, że Jonathan, któremu gwałtownie kończyły się pomysły, podejmie wyzwanie. Wieczorem, zgodnie z przewidywaniami, odezwał się ponownie, lecz ich rozmowa miała już – na szczęście – inny przebieg.

– Zrozumiałem. Podjąłem też decyzję, która nie spodobała się ani bratu, ani matce...

– I? – Odetchnęła z ulgą, kryzys na jakiś czas został zażegnany.

– Jeśli zgodzą się wyjechać, znalazłem dla nich bezpieczną kryjówkę.

– A co z tobą? – Miała nadzieję, że powie: przyjeżdżam do Los Angeles, jednak rozczarował ją.

– Zostanę tu jeszcze z tydzień, muszę pozałatwiać kilka spraw, poza tym dziwnie by wyglądało, gdybyśmy wyjechali, nie czekając na informacje od

policji.

– Pamiętaj – nadal trudno jej przechodziły przez gardło słowa, które nawet w ulotny sposób mogły być odebrane jako swego rodzaju deklaracja. El'lar miał rację, mówienie o uczuciach było zdecydowanie jej słabą stroną. – Czekał na ciebie.

Po tym wolałaby, żeby rozmowa już się skończyła, ale Jonathan złapał wiatr w żagle i postanowił wykorzystać nadarzącą się okazję.

– Wróć na pewno, ale czy... – zająknął się – dasz nam wtedy szansę?

Tylko wróć – pomyślała.

– Wcześniej powinniśmy porozmawiać – odparła dyplomatycznie.

Zgodził się z nią bez zastrzeżeń.

– Tak... też uważam, że oboje jesteśmy sobie to winni.

Zbyła go swoim sposobem, bo dla niej było zdecydowanie za wcześnie na rozważania o nowym związku. Po poprzednim epizodzie z Obcym skończyła kompletnie zdruzgotana, miała wrażenie, że już nigdy nikogo nie zdoła obdarzyć choćby cieniem tamtych uczuć.

Jonathan był jedynym mężczyzną, jakiego spotkała w swoim życiu, godnym szacunku, zasługiwał na miłość i zaufanie, na wszystko... czego nie mogła mu dać. Rozpaczliwe próby zatrzymania go przy sobie wynikały wyłącznie z egoizmu, bo nie chciała zostać sama, choć w zamian mogła mu ofiarować jedynie przyjaźń, co, jak się okazało, było zdecydowanie niewystarczające.

Bała się, że przez własne tchórzostwo wpadnie w pułapkę bez wyjścia, uwikła się w związek, który unieszczęśliwi ich oboje. Miała tydzień, żeby przemyśleć, co odpowie Jonathanowi, lecz w gruncie rzeczy zdawała sobie sprawę, że przyparta do muru może się posunąć za daleko. Ten czas spędzony w zamkniętym mieszkaniu bez kontaktu z ludźmi udowodnił jej, że samotność jest najgorszą z opcji, i wystawił na pastwę przemyśleń, które nie podnosiły na duchu. Z dwojga złego łatwiej byłoby zmusić się do podjęcia niewygodnej gry, niż pogodzić ze stanem permanentnej próżni wokół siebie.

– Jesteś wstrętną konformistką – powiedziała na głos i przypomniał jej się znieścacka ojciec, który uważał, że mówienie do siebie jest pierwszą oznaką szaleństwa. Roześmiała się gorzko.

Niewiele już jej brakowało, by poddać się ekspansji kilku zaawansowanych neuroz – następne tygodnie w ciemnym pokoju, wypełnione wiecznym oczekiwaniem, wyrzutami sumienia i gorzkimi

wspomnieniami, i od razu dostanie miejscówkę w najbliższej klinice psychiatrycznej. Ratunkiem oraz wybawieniem okazał się tylko jeden człowiek – Jonathan, który w zamian za swoją pomoc oczekiwałby odrobiny ciepła, kilku miłych słów i seksu. Niska cena za pozostanie przy zdrowych zmysłach.

Otrząsnęła się, jakby po jej ciele przebiegł niewidzialny prąd. Największym problemem pewnie okaże się pójscie z nim do łóżka. Nie ma takiej siły na ziemi i niebie, która pozwoliłaby jej zapomnieć o dotyku Obcego, tak jak żaden mężczyzna nie jest jej w stanie ofiarować więcej niż El'lar. Samo wyobrażenie, że inne dłonie mogłyby wędrować jego śladami, budziło w niej niepoohamowany wstręt.

Zasada wybijania klina klinem nie sprawdzała się w jej przypadku, bo czy tego chciała, czy nie, na zawsze została kobietą wampira.

Musiała z siebie spłukać tęsknotę i żar obudzony wspomnieniami, który na nowo rozpalił niechcianą namiętność. Nie umiała sobie tego wybić z głowy. Gdy stała pod strumieniem lodowatej wody, przeraziła ją myśl, która od pewnego czasu czekała na okazję, przyczajona w najgłębszych zakamarkach mózgu.

– Czyżby Jonathan miał jednak rację? – zapytała samą siebie. – Nie pozwoliłam go zabić, bo tak naprawdę za bardzo mi na nim zależało?

I choć natychmiast odrzuciła to przypuszczenie, cień podejrzania pozostał i nie była go w stanie niczym usunąć z otchłani obolałej duszy.

Tego wieczoru miała jeszcze jeden telefon; odezwał się Głos – po zwyczajowej wymianie grzeczności poinformował ją, że Kat czuje się doskonale i uczy się jeździć konno. Zgodnie z umową nie pytała, gdzie jest jej dziecko, nie chciała wiedzieć. Ten telefon stał się dla niej wyraźnym znakiem, uczepiła się go niczym ostatniej deski ratunku.

– Widzisz – powiedziała do swojego odbicia w lustrze, które od pewnego czasu stało się jej jedynym przyjacielem i wrogiem zarazem. Miało wiele zalet, było cierpliwe i nie próbowało z nią dyskutować, chociaż z uporem godnym lepszej sprawy pokazywało, jak bardzo się fizycznie zmienia. –

Marzysz o swoim kochanku, zapominając, co przez niego straciłaś? Powiedz, było warto?

Rozdział IX

KRONIKI WAMPIRÓW

Iia siedziała na niewielkim pagórku, obolałe mięśnie stanowczo odmówiły jej posłuszeństwa, dlatego bez względu na wszystko musiała odpocząć. Przez jakiś czas żywiła nadzieję, że uda jej się znaleźć lepsze schronienie, miejsce, w którym przynajmniej będzie woda, ale nie dała rady dotrzeć do żadnego źródła. Jak okiem sięgnąć, okolica sprawiała wrażenie kompletnie wymarłej.

Oki twierdził, że jest tylko jedna gorsza rzecz od poruszania się po płaskowyzu – postój na nim w samo południe.

Rozżarzona pustka, pozbawiona zbawienego cienia, i gorący wiatr, który wypijał każdą kroplę wody zarówno z ziemi, jak i ludzkiego ciała. Z rozpaczą patrzyła na łańcuch górski mający w oddali. Wydawało jej się, że od dwóch dni nie zbliżyła się do niego nawet o krok. Wokół rozciągały się jedynie jałowe ziemie równiny poprzecinanej setkami mniejszych i większych wąwozów, których obejście kosztowało ją coraz więcej wysiłku.

Była tak zmęczona, że Tel-Aramel wydawał się już tylko złym snem, porzuconym bez tęsknoty i smutku. Łudziła się, że pościg, o ile w ogóle istniał, dał za wygraną i nie będzie zapuszczał się w te niegościnne, pozbawione życia rejony.

Nie widziała, bo jej wzrok nie sięgał aż tak daleko, że na odległym szczycie Uszby stoją dwie wysokie postacie: Ha'garth i Aedrin z rodu Ewallah. Obaj milczeli, uważnie przyglądając się ziemiom południa, skąd miał nadejść wiatr zmian. Prawie jednocześnie zauważyli podnoszącą się ku niebu kurzawę i lekko zbiegli po zboczu. Od tej chwili zostało im niewiele czasu.

Zrezygnowana Iia spojrzała w stronę gór, które z tej odległości wydawały się chmurami poszarpanymi przez niesforne poddmuchy wiatru. Czekala ją długa i mozolna droga, a ona powoli traciła resztki sił. Brakowało jej wody

i pożywienia, nie mogła polować, bo oprócz niesionych wiatrem wysuszonych traw żadna żywa istota nie poruszała się w zasięgu wzroku.

Miarowy dźwięk, jedyny, który zakłócał grobową ciszę rozpościerającą się nad wyżyną, powoli zbliżał się do jej obozowiska. Iia go nie usłyszała, bo zmorzona trudem zasnęła z twarzą przytuloną do na wpół pustego tobołka. Śniła o krainie wypełnionej wodą, gdzie stada antylop podchodziły niemal do wyciągniętych dłoni, a nad głową wisiały gałęzie ciężkie od dojrzałych owoców. Krainie, którą na zawsze opuściła, zamieniając na piekło płaskowyżu i obietnicę lepszego życia.

Łzy same napłynęły jej do oczu, gdy nagle poczuła silne szarpnięcie bezpowrotnie wyrywające ją z objęć kojącego snu. Zerwała się przerażona, pewna, że w końcu dopadł ją pościg, i odruchowo sięgnęła po nóż, który do tej pory spoczywał bezpiecznie w pochwie przytroczonej do uda, ale skórzany pasek zniknął razem z podarunkiem Okiego.

Ręce jej opadły, dopiero teraz spojrzała na mężczyznę, który tak bezceremonialnie przerwał jej odpoczynek.

Znała wszystkich tropicieli z Tel-Aramelu, ale ten człowiek, dużo wyższy od mieszkańców równin, bez wątplenia nie był jednym z nich.

Odetchnęła z ulgą i nerwowo oblizała spierzchnięte wargi. Obcy w długiej brązowej szacie, z twarzą ukrytą w cieniu obszernego kaptura podał jej bukłak. Pragnienie wzięło górę nad ostrożnością, z ochryplym mruknięciem przyjęła dar i struga chłodnej wody spłynęła jej do wyschniętego gardła.

Do kryjówki ludzkiej kobiety przywiódł go zapach opowiadający historię każdego kilometra, który przemierzyła, powiewów wiatru smagających jej twarz, nawet głodu, który czuła. Zapach ucieczki i strachu. Patrzył na nią z pogardą, bo ludzie równin zawsze napawali go obrzydzeniem.

Od opuszczenia szczytu Uszby w duchu przeklinał kapłanów i ich prorocstwa. Gdyby od niego zależała decyzja, obca dogorywałaby właśnie w kałuży własnej krwi, co zdecydowanie ułatwiłoby mu życie.

– Ruszaj – warknął, niemal kalecząc sobie usta nieprzyjemnie brzmiącymi głoskami.

Iia wpatrywała się w niego zaskoczona, słyszała język swojego ludu, ale nie pojęła znaczenia wypowiedzianego nakazu.

Zniecierpliwiony, pociągnął ją za ramię. Głupia kobieta nie domyślała się nawet, jak niewiele zostało im czasu, zanim pojawią się tropiciele, którzy w przeciwieństwie do niej nie odpoczywali w palącym słońcu południa.

– Musimy iść – irytacja w jego głosie była niemal namacalna.

– Kim jesteś? – spytała, cały czas stawiając zdecydowany opór.

Przez głowę przeszła mu myśl, że najlepiej będzie ją ogłuszyć i zanieść do miasta, ale doszedł do wniosku, że byłoby to zbyt duże poświęcenie z jego strony. W końcu skoro dotarła aż tu, dalej także mogła iść o własnych siłach.

– Nie ma czasu na rozmowy.

Wystawiona na cel z uporem stała na pagórku i chciała rozmawiać, żądała, żeby się przedstawił. Tego było już za wiele, a jego cierpliwość właśnie się wyczerpała. Szarpnął nią nieco brutalniej, niż zamierzał.

Zaparła się z siłą, której się po niej nie spodziewał. Puścił jej ramię.

– Za chwilę dotrze tu pogoń – postanowił użyć perswazji, bo siłą najwyraźniej nic nie był w stanie wskórać.

– Pościg? Jak, kiedy? – Aż zachłysnęła się z wrażenia.

– Na wszystkie odpowiedzi nadejdzie właściwy moment, musimy uciekać.

Nareszcie posłuchała, poderwała swój tłumoczek z ziemi i ruszyła szybko w dół. Jednak jego radość była przedwczesna. Kobieta po kilkunastu krokach zaczęła wyraźnie zwalniać i nie mogąc dotrzymać mu tempa, zatrzymała się, ciężko oddychając.

– Nie dam rady – obwieściła ponuro.

Zaklął pod nosem, przyszło mu niańczyć słabą ludzką kobietę w imię racji, z którymi się nie zgadzał. Jego dłoń mimowolnie dotknęła rękodojczyki szytletu.

Zrobię to szybko – pomyślał, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że jego broń nie opuści pochwy. Jeszcze nie teraz.

Z trudem powstrzymując odrzę, objął ją wpół i powoli ruszył przed siebie.

– Jak tak dalej pójdzie – był wściekły – nie zdążymy.

I tak się stało.

Tariq miał wątpliwości. Pojawiły się w momencie, gdy opuścili Tel-Aramel i wjechali do lasu. Nigdy nie lekceważył przeczuć, które wiele razy uratowały mu życie, ale w tej chwili nie miał wyboru. Nie mógł wrócić

z pustymi rękami, bo Suria ogarnięty szałem kazałby go zgodnie z zapowiedzią łamać kołem.

Doszedł do wniosku, że największym jego błędem było osiedlenie się w miejscu, którym rządził człowiek kompletnie niezrównoważony i opętany żądzą. Gdy Tariq się dowiedział, co chodzi mu po głowie, miał zamiar chyłkiem opuścić Tel-Aramel, jednak pech go dosięgnął, zanim zdążył zebrać swój dobytek. Ponieważ był jednym z najlepszych tropicieli, Suria przydzielił mu grupę poszukiwawczą i nakazał, nawet za cenę życia, przyprowadzić córkę z powrotem.

Od wielu dni szli śladem uciekającej dziewczyny, chociaż sympatia Tariqa była zdecydowanie po jej stronie. Po cichu modlił się do bogów, aby przesłonili jej ślady, niestety, mimo kilku chytrych sztuczek Iia zostawiała za sobą wyraźny trop, którego ślepiec by nie przeoczył. Była zbyt pewna siebie i tego, że nikt nie odważy się zapuścić na północne niezbadane rubieże. Pomyliła się w rachubach, bo obrany przez nią kierunek wskazywał jednoznacznie majaczące w oddali góry. Tariq także znał opowieść Okiego i szybko doszedł do wniosku, że dziewczyna będzie szukać pomocy u Obcych.

Las skończył się nagle zastąpiony przez bujny step, który ustąpił miejsca czerwonym skałom. Póki mogli, trzymali się koryta rzeki, korzystając z dobrodziejstwa czystej wody. Trzeciego dnia pogoni musieli porzucić przyjazną krainę i zapuścić się w coraz wyższe wzniesienia oraz dzikie ostępy.

Na horyzoncie zamajaczyły ośnieżone szczyty. Tariq nigdy nie widział tak wysokich gór i miał obawy, czy jego towarzysze dadzą radę przeżyć na płaskowyżu. Przede wszystkim jednak nie chciał spotkać Obcych, więc krzyczał na swoją drużynę i zmuszał do zwiększenia tempa, aby dopaść dziewczynę, zanim przekroczy granice ich terytorium.

To właśnie wznieconą przez nich kurzawę dostrzegli Aedrin i Ha'garth. Łatwo zorientowali się, że od tropicieli dzieli uciekinierki niecałe pół dnia marszu, więc aby wypełnić nakaz kapłanów, rozdzielili swoje siły. Aedrin na czele dziesięciu wybornych wojowników udał się na spotkanie z pogonią, a Ha'garth w pojedynkę miał przyprowadzić kobietę do miasta.

Plan nie wypalił, ponieważ oni byli za daleko, a tropiciele zbyt blisko celu.

– Szybciej – ponaglał tajemniczy mężczyzna.

Jego krzyki tylko ją zdenerwowały, nic nie mogła poradzić, ból w udach wydawał się rozrywać każdy mięsień z osobna, więc szła sztywno i powoli niczym drewniana lalka.

Nie wytrzymał, poderwał ją do góry, jakby ważyła tyle co piórko i ruszył równym, spokojnym tempem. Od razu rozpoznała w nim doskonałego, wytrzymałego biegacza. Obcy był jednocześnie zwinny i silny, o czym świadczyła rzeźba naprężonych mięśni oraz to, że niósł ją z zadziwiającą łatwością. Mocno złapała go za szyję i poddała się rytmowi kroków, a wtedy podmuch wiatru zrzucił mu kaptur. Iia bezgłośnie wciągnęła powietrze i zamknęła oczy.

Złote promienie słońca oświetliły bladą, niemal przezroczystą twarz, gniewne oczy w kolorze chmurnego nieba i zaciśnięte ze złości szczęki. Ale to wyraźna pogarda, którą dostrzegła w jego spojrzeniu, odebrała jej nadzieję.

Obcy nie przynosił ratunku, nie był przyjacielem, ale śmiertelnym wrogiem. Zrozumiała to w ułamku sekundy wpatrzona w lodowate oczy.

Rozdzierający wrzask dopadł ich, zanim zdążyła się otrząsnąć z wrażenia. Postawił ją gwałtownie na ziemi i już go nie było. Półprzytomnym wzrokiem spojrzała w stronę, skąd dochodził szcęk żelaza. Wtedy zrozumiała powód jego pośpiechu.

Śmierć spadła na nich niepostrzeżenie, cicho i bezbłędnie. Pierwsi zginęli dwaj tropiciele z tylnej straży.

Tariq odwrócił się, słysząc za sobą głuchy łomot upadającego bezwładnie ciała, i zanim zdążył w jakikolwiek sposób zareagować, wysokie postacie otoczyły następnego łowcę.

– Obcy!– pomyślał, czując, jak strach zaciska mu się żelazną obręczą na sercu. – Jak mamy walczyć z demonami?

Nagi miecz nagle znalazł się w jego dłoniach i razem z ocalałą trzynastką rzucili się do walki. Przed nimi wyrosły upiorne istoty w długich szatach,

których poły wydawały się skrzydłami. Niczym huragan wzniecony na wyżynie kosili jego zastępy z szybkością umykającą ludzkim zmysłom, w ich dłoniach błyszcząły kolorem popiołu długie miecze, tnące ciała z łatwością sierpa ścinającego dojrzałe kłosa.

Zanim krzyknął ostrzegawczo, cała tylna straż została przetrzebiona. Tariq widział twarze towarzyszy umierających z wyrazem zaskoczenia w oczach, dookoła pojawiło się więcej kałuż połyskujących świeżą czerwienią.

Śmierć, która się zbliżała, była błyskawiczna, żaden cios wymierzony przez demony nie był zbędny. Ustawił się do obrony, zacisnął mocno dłonie na rękojeści i czekał.

Pierwsze uderzenie nadeszło z boku, odparował je z trudem, uświadamiając sobie, że przewagę Obcych zwiększa różnica wzrostu, dłuższy zasięg ramion wspomaganych przez smukłe – i przez to dużo lżejsze niż jego – ostrza.

Spojrzał na przeciwnika i przeklął chwilę, w której zdecydował się udać w pościg. Wiedział już, że nie ma szans na przeżycie tego starcia. Stał przed nim potwór z wykrzywioną wściekłością twarzą poznaczoną siatką przedziwnych krwawych znaków, które przypominały rysunki. Oczy Obcego budziły pierwotny strach, bo zdawały się odbiciem nieskończonego zła. Odciskiem śmierci. Ich głęboka czerń przywoływała mrok z czającą się w nim grozą.

Tariq wzdrygnął się i odpędził niepotrzebne myśli. Mimo wszystko nie był gotów, aby opuścić broń, z wprawą odparowywał kolejne ciosy, cały czas starając się utrzymać pozycję. Ciężar masywnej klingi dawał już się we znaki nadgarstkom, każde uderzenie wprawiało jego miecz w drzenie przenoszące się aż do przedramienia.

Zaczął się cofać, kątem oka dostrzegając kolejne ofiary ataku. Jego towarzysze byli przede wszystkim tropicielami i łowcami, a nie wojownikami, ich umiejętności nie pozwalały dotrzymać pola czarnym demonom. Padali jeden po drugim niczym łany zboża pod kosą żniwiarzy.

Na placu boju pozostała ich tylko garstka, wzięci w śmiertelne okrążenie ustawili się do siebie plecami i dzielnie stawiali czoła zmasowanym uderzeniom. Pierwsza krew pojawiła się, gdy poczuł silne pchnięcie w ramię, ciepły strumień spłynął do dłoni i kroplami czerwieni znaczył każdą kolejną zasłonę. Obejrzał się za siebie. Zostało ich tylko trzech, okaleczonych, ledwie trzymających się na nogach. Wyłom w obronie sprawił, że atak przybrał na

sile.

Niespodziewany cios nadszedł od tyłu. Ostrze przebiło mu płuco i rozharatało większość narządów wewnętrznych. Trzymając się za brzuch, upadł na kolana.

Śmierć, a nie niewola – pomyślał.

Obcy stanął przed nim w rozkroku i zadał ostateczny cios.

Głowa Tariqa potoczyła się kilka kroków dalej, by ostatecznie wpaść pomiędzy dwa samotne głązy.

Ochrypnięta od krzyku Lia nie mogła już patrzeć na rzeź, która rozgrywała się przed jej oczami. Choć od dawna przywykła do widoku zwierzęcej krwi i wnętrzności, po raz pierwszy w życiu była świadkiem prawdziwej bitwy. Obcy zaatakowali z zaskoczenia i dokonali masakry. Znane z Tel-Aramelu twarze myśliwych, tropicieli – odważnych ludzi, kiedyś jej kompanów, znikwały jedna po drugiej, chyląc czoła przed srebrzystymi błyskami wrogich mieczy. Najdzielniejsi zebrali się razem, próbując ocalić życie, jednak ich przeciwnikami byli bez wątpienia prawdziwi wojownicy, z którymi aramelczycy nie mieli najmniejszych szans.

Ten obraz wstrząsnął nią do głębi. Gdyby wiedziała, co się wydarzy, z pochyloną głową wróciłaby do domu, gotowa nawet poślubić własnego ojca.

Wina za śmierć łowców poległych na placu boju bezpośrednio obarczała jej sumienie, a ona nie mogła już nic zrobić, aby zmienić ich i swój los.

Koło niej wyrósł znieczeka wysoki mężczyzna ochlapany krwią krzepnącą na brązowym materiale peleryny i o twarzy poznaczonej cienkimi strugami szkarłatu. Z trudem go poznała; powstrzymała jednak obrzydzenie, nie cofnęła się.

– To byli dobrzy ludzie – syknęła. – Nie zasłużyli na śmierć.

Popatrzył na nią dziwnie.

– Ścigali cię...

– I co z tego?

Nie odpowiedział, milczał przez chwilę, nie spuszczał z niej wzroku. To milczenie sprawiło, że wydawał jej się zimnym i nieczułym posągiem. Kamieniem podobnym do tych, które zalegały na płaskowyżu, czyniąc

z niego miejsce jałowe, niezdatne do życia.

Wzdrygnęła się, bo ktoś za jej plecami cicho odparł:

– Musieli zginąć, taka była wola bogów.

Rozdział X

Pomimo mieszanych odczuć przed spotkaniem i zapowiedzianą rozmową odliczała każdą upływającą godzinę w oczekiwaniu na powrót Jonathana. Żeby czymś zająć umysł, posprzątała apartament, nawet – oczywiście w południe – pojechała do centrum handlowego. Wróciła bardzo z siebie zadowolona.

Wszystko wokół wyglądało normalnie, żadne tajemnicze samochody nie śledziły jej po drodze, cień sąsiednich budynków nie skrywał czujnych obserwatorów. Zwyczajny dzień w słonecznym Mieście Aniołów.

Wzięła szybki prysznic, lecz zamiast jak zwykle wskoczyć w wygodny szlafrok, włożyła sportowy dres, uczesała mokre włosy i zaczęła przeglądać zakupy. Sporą część stanowiły książki oraz filmy, które stały się jej jedyną odskocznią od ponurej rzeczywistości, chociaż miała spory kłopot z ich wyborem. Z góry wykluczyła rozdzierające serce romanse, odkładała na półkę wszelkie thrillery i oczywiście horrory. Jej obecny zbiór – siłą rzeczy – ograniczał się do tematyki obyczajowej oraz historycznej.

Zrobiła sobie mocną kawę, po czym zasiadła do lektury, ale przerwał jej telefon od Jonathana.

– Co u ciebie? – zapytał.

Miała mu ochotę odpowiedzieć: „A jak sądzisz?”. W porę zdążyła się ugryźć w język.

– Bez zmian – odparła.

Zwyczajowe pytania nie miały sensu, przecież doskonale zdawał sobie sprawę, że kisi się sama w pustym mieszkaniu, pozbawiona jakiegokolwiek kontaktu ze światem.

– Przyszedł raport z laboratorium, jutro odbieram samochód Michaela.

– Znalaziono coś? – Jakoś dziwnie była pewna jego odpowiedzi.

– Kompletnie nic, i to chyba w końcu obudziło ich wątpliwości.

– Masz na myśli...

– Właśnie. W środku nie było żadnych śladów, nawet Michaela, jakby ktoś celowo usunął każdy odcisk i pyłek. Detektyw stwierdził, że wymagało to

wiele zachodu, i już bez zbędnych komentarzy określił sprawę jako podejrzaną. Przy okazji wyszło na jaw, że monitorują aktywność jego kart kredytowych. Oczekiwał pewnie, że zaskoczą mnie bilingi z banku i telefonu, na których było widać brak jakichkolwiek operacji od daty zniknięcia.

– Nie wątpię, co mu powiedziałaś?

– Czego się pan spodziewał, że naprawdę zaszył się z dala od domu i świetnie się bawi?

– Macie jakieś konkretne plany? – Bała się zadać to pytanie. Jeśli usłyszy o jakiejś kolejnej misji skazanej na niepowodzenie, chyba zacznie krzyczeć.

– Użyję tego samochodu, żeby odwrócić uwagę. Zostanie tak jak motocykl Roba przed garażem. Nasza nieobecność ma sprawiać wrażenie tymczasowej, zyskamy wtedy więcej czasu na kolejną zmianę miejsca. Ciebie to również dotyczy, zarezerwowałem nocny lot do Los Angeles, więc możesz zacząć się pakować, zaraz po moim powrocie wyjeżdżamy.

Ucieszyła się, bo zdążyła już na dobre znienawidzić Miasto Aniołów, Kalifornię i swoją beczynność. To, co proponował, brzmiało jak zapowiedź upragnionych zmian.

– Dokąd jedziemy?

– Na razie Miami. – A więc jeszcze więcej słońca, kolejny moloch i następny apartament z grubymi zasłonami w oknach, lecz najważniejsze, że mogła nareszcie coś zrobić, zebrać się do działania.

– A później? – zapytała z ciekawości, bo czuła, że Jonathan jeszcze nie skończył.

– Lubisz jachty?

Głośno przełknęła ślinę. Tego się nie spodziewała, chociaż z drugiej strony...

– Nie mam nic przeciwko temu. – W jej głosie zabrzmiało dawno niesłyszane ożywienie. – Chociaż nigdy nie pływałam, jednak pomysł mi się podoba.

– Uważam, że warto od czasu do czasu popróbować czegoś nowego. Na łodzi będziemy w ciągłym ruchu, mobilni, lecz jednocześnie bezpieczni. Obcy poznał cię na tyle dobrze, że jest w stanie przewidzieć niemal każdy twój ruch, więc nadeszła pora, żebyśmy zaczęli go zaskakiwać.

– Mówiłam ci, że czasem miewasz przebłycki geniuszu? – Już nie mogła się doczekać wyjazdu.

Okazało się, że Jonathan miał absolutną rację, naprawdę potrzebowała

nowych wyzwań.

– Nie, ale zawsze swój błąd możesz nadrobić. Z nawiązką. – Zaczął jej się udzielać jego dobry humor. – Miałem dużo czasu na przemyślenia i zrozumiałem, jakie popełniliśmy błędy, na przykład wybór Los Angeles, zmianę wyglądu...

– Oczywiście. – Teraz do niej dotarło, jacy byli naiwni i przewidywalni. Chcąc uciec przed swoją nemezis, powinni postępować dokładnie odwrotnie, niż Vic i Jonathan zrobiliby w ich sytuacji.

Przede wszystkim mieszkanie: sądziła, że grube story, solidne zamki i brak kontaktu z sąsiadami uchronią ich przed ciekawością osób niepowołanych. Czyż nie stało się dokładnie odwrotnie? W mieście, gdzie kwitnie życie towarzyskie, a każdy marzy o możliwości autoprezentacji, ich alienacja tym bardziej musiała budzić zainteresowanie.

Dwoje dziwaków, którzy rzadko wychodzą, ukrywają się za szczelną kurtyną tajemnicy – w ten sposób zapewne awansowali do tematu numer jeden wszelkich plotek, a ich zachowanie stało się pożywką najdziwniejszych spekulacji.

W sprawie zmiany wyglądu także się nie popisała. Czyż nie było do przewidzenia, że przefarbuje się na czarno? Karnacja i kolor oczu nie współgrały z obecną fryzurą oraz odcieniem włosów, nawet ktoś mało spostrzegawczy zorientowałby się, że coś jest nie tak z jej wyglądem.

Inną kwestią były ubrania, nijakie, bez wyrazu, odróżniały się od feerii kolorów i fasonów królujących na ulicach metropolii, która chciała uchodzić za drugą po Nowym Jorku stolicę mody. Wszystko zrobili źle.

– Do jakich jeszcze doszedłeś wniosków?

– Że nasz znajomy nigdy nie zaryzykuje otwartej konfrontacji, za długo się ukrywał, aby jednym ryzykownym pociągnięciem ujawnić swoją tożsamość. Mój poprzedni pomysł, żeby zwabić go do Cheyenne i wystawić na odstrzał, był naiwny, bo zakładał, że El'lar ponad wszystko pragnie spektakularnej zemsty. Porozmawiałem z sąsiadami i przedstawiłem swoje wnioski. Jestem pewien, że będzie nas wyłapywał pojedynczo, raz na jakiś czas, by nie zwracać na siebie uwagi. Michael był pierwszy i zakładałam, że jeszcze żyje. W końcu wychował się w Lake Falls, zna wszystkich, ich przyzwyczajenia, słabości i dlatego jest użyteczny. Doktor Barrow, jakiego poznałem, nigdy by sobie nie pozwolił na zmarnowanie takiego skarbu.

– Brawo. – Musiała się uśmiechnąć.

Jonathan podjął słuszną decyzję, lecz najważniejsze, że przestał śnić o wielkiej bitwie, po której pozostałyby tylko zgliszcza i dziesiątki martwych bohaterów.

– Mam zamiar zagrać z nim według nowych reguł.

A więc nie do końca wyzbył się myśli o starciu z Obcym, najwyraźniej zmienił tylko taktykę, ale to i tak było lepsze niż jego poprzedni samobójczy plan.

– Szerzej porozmawiamy o tym, gdy się spotkamy. Nie będę już dzwonił, czekaj na mnie jutro.

Z ulgą odłożyła słuchawkę, tylko dwadzieścia cztery godziny dzieliły ją od wyzwolenia. Nie mogła zmarnować ani chwili, pozwolić, żeby przygoda życia czekała, więc z pasją rzuciła się do pakowania. Na jedną kupkę odkładała nieprzydatne rzeczy, na drugą wszystkie te, które mogły się okazać potrzebne. Gdy uporządkowała z grubsza swoje dobra, jeszcze raz przejrzała uważnie każdą rzecz, która wydawała jej się niezbędna. W ten sposób jej dobytek skurczył się z dwóch okazałych walizek do jednej dużej torby podróżnej.

Ponownie wyrzuciła całą jej zawartość na łóżko i zaczęła od początku.

– Pamiętaj, różne rzeczy możesz sobie kupić, zabierz tylko to, co niezbędne – powiedziała na głos.

Wydawało jej się, że jeśli o czymś zapomni, nie spakuje, ta rzecz okaże się najbardziej potrzebna. Aby dokonać ostatecznej selekcji, wróciła pamięcią do swoich poprzednich ucieczek.

Z domu Roberta wyszła, mając w dłoniach tylko portfel i kluczyki, Lake Falls pożegnała z niewielką torbą podróżną. Za każdym razem bez żalu zostawiała swój dorobek, i tym razem chciała zrobić podobnie. Z bólem serca odłożyła na bok świeżo nabyte książki, wyrzuciła całą z trudem skompletowaną kosmetyczkę, zostawiając tylko flakonik ulubionych perfum – jedyny przejaw hedonizmu.

Nareszcie osiągnęła zamierzony cel, sarta zbędnych rzeczy urosła, a jej stan posiadania skurczył się do rozmiarów spacerowego plecaka. Dokumenty, karty kredytowe, niezbędne leki, notebook i ciemne okulary wypełniły go do połowy. Z poczuciem dobrze wykonanego zadania zasunęła zamek i zadowolona z siebie poszła przygotować kolację.

Nie mogła się już doczekać następnego dnia, chwili, kiedy jej życie radykalnie się zmieni. Krojąc plasterki sera, planowała, jakie kroki powinna

poczynić, zanim na zawsze opuści Los Angeles.

Dzwonek do drzwi przerwał jej w połowie. Zastygła z nożem w dłoni, obawiając się nawet głośniej odetchnąć.

Odczekała chwilę, na korytarzu panowała kompletna cisza. Zganiła się w myślach za kolejny atak niepotrzebnej paniki. Pewnie to był znowu administrator z jakąś sprawą niecierpiącą zwłoki. Ale pomimo uspokajającego głosu rozsądku serce jej waliło niczym po maratonie, nawet w gardle czuła jego głuchy łomot. Na palcach podeszła do drzwi i spojrzała przez wizjer.

Po drugiej stronie stał Michael.

Gdyby ją zapytano, czemu nie otworzyła, nie umiałaby udzielić sensownej odpowiedzi. Może to złowiony ukradkiem wyraz i kolor jego oczu, a może przeczucie, które w porę ją ostrzegło, w każdym razie zamiast z okrzykiem radości powitać odnalezionego brata Jonathana, po cichutku wycofała się do pokoju.

Dopiero teraz pozwoliła sobie na głęboki oddech, delikatnie zamknęła za sobą drzwi do sypialni. Złapała plecak i ostrożnie uchyliła okno, za którym znajdowało się wyjście na schody przeciwpożarowe. Powoli przełożyła obie nogi, nieświadomie przygryzając wargę, i najciszej, jak to tylko możliwe, z powrotem zamknęła okno. Starając się nie hałasować, zeszła na dół.

Od tej pory każda sekunda miała znaczenie. Rzuciła się pędem środkiem pustej o tej porze ulicy. Zamiast skierować się do góry, gdzie wśród rozległych wzgórz mogłaby znaleźć schronienie, ruszyła w stronę centrum. Biegło jej się szybciej w dół, a z każdym pokonanym metrem pojawiała się coraz więcej ludzi.

Wypadła na skrzyżowanie, omal nie powodując wypadku. Znalazła się na ulicy tętniącej życiem, pełnej przechodniów i samochodów – na szczęście nie była to jedna z tych snobistycznych na wpół martwych dzielnic. Bary, nocne kluby i restauracje wypełnione gwarem gości, prostytutki stojące wzdłuż drogi, podejrzani mężczyźni w kabrioletach albo wielkich pick-upach stali się dla niej wybawieniem.

Zwolniła i weszła na chodnik. Musiała zwracać powszechną uwagę w dresie, z plecakiem, ale bez butów. Po cichu modliła się o to, żeby jakikolwiek taksówkarz zechciał ją zabrać. Machała rozpaczliwie na widok przejeżdżających samochodów z włączonymi na dachu znakami, aż w końcu ktoś się zatrzymał. Z ulgą wsiadła, jednak brakło jej odwagi, aby spojrzeć za

siebie.

– Na lotnisko – rzuciła, zsuwając się na siedzeniu.

Kierowca odwrócił się do niej.

– Daleki kurs – powiedział, taksując ją podejrzliwie – wystarczy pani pieniędzy?

Otworzyła portfel i podała mu studolarowy banknot. Obejrzał go pod światło i ruszył z piskiem opon, jakby widok Franklina dodał mu skrzydeł.

Najpierw zacznij oddychać – upominała się w duchu.

Drżały jej ręce i miała wrażenie, że włosy nadal stoją dęba. Ciało sprężone do morderczego biegu nie było w stanie się uspokoić, a wybity w niebo poziom adrenaliny sprawił, że wydawało się jej, jakby była pod wodą, częściowo głucha i otumaniona.

Ujechali kawałek trasy w milczeniu, jednak ciekawość taksówkarza wygrała z nieufnością.

– Co się stało? – zapytał, zerkając na nią z lusterka.

Nie wiedziała, czy da radę odpowiedzieć, bo nie była pewna swojej reakcji, w każdej chwili mogła przecież się rozryczeć albo dostać ataku hysterii.

– Zły wybór. – Suchość w ustach, drżące, nieprzyjemne brzmienie głosu i narastający ucisk w gardle nie chciały ustąpić, ale zmusiła się do wydukania tych kilku słów w obawie, że zostawi ją na środku ulicy.

Bez trudu domyślił się reszty.

– Narzeczony czy mąż? – Najwyraźniej nie miał zamiaru odpuścić.

– Narzeczony. – Słowa kaleczyły jej krtań.

– Może powinna pani pojechać do szpitala albo na policję? – Jak na złość trafiła na troskliwego taksówkarza.

– Nie. Wracam do domu – odparła cicho.

– Zrobił pani coś? – Jego spojrzenie przewiercało ją na wylot, a ona marzyła tylko o tym, żeby się zamknął. Zamiast odpowiedzi pokiwała przecząco głową.

Zrozumiał, że nie ma ochoty rozmawiać, i przez całą drogę, ku jej wielkiej uldze, milczał. Gdy dojeżdżali na miejsce, uświadomiła sobie, że znalazła się w idiotycznej sytuacji, więc poprosiła, żeby wysadził ją na parkingu. Zatrzymał samochód, odwrócił się i mimo protestów wcisnął jej w dłoń resztę.

– Nie wszyscy mężczyźni to dranie, proszę o tym pamiętać – powiedział

zamiast pożegnania.

Wysiadła pospiesznie, skinieniem głowy dziękując mu za pomoc. Wybrała najgorsze miejsce, o tej porze niewielu ludzi kręciło się przy swoich samochodach, a wytłumione światło sprawiało, że obręcz lęku zacisnęła się mocniej na jej gardle.

Posiadanie pieniędzy, choć nie uwalniało od wszystkich problemów, znacznie ułatwiało ucieczkę, o czym przekonała się, kupując koszmarnie drogie trampki w sklepie całodobowym.

Z ulgą założyła buty na poobijane stopy i pojechała windą do głównej hali. Zasadniczo było jej kompletnie obojętne, dokąd leci, byle samolot stał już na pasach.

Popatrzyła na tablice odlotów, najbliższy kierował się do Albuquerque. Bez wahania kupiła bilet i jako ostatnia znalazła się na pokładzie. Mijając siedzących pasażerów, z trudem powstrzymywała odruch uważnego przyglądania się każdemu z nich, ale nawet jeśli dojrzałyby znajomą postać, na ucieczkę było już za późno. Zresztą żaden z jej wrogów nie ryzykowałby chyba konfrontacji na pokładzie samolotu, a ona nie miała przecież zamiaru zatrzymać się na dłużej w Albuquerque.

Z ulgą usiadła na fotelu i zapięła pasy, dopiero teraz miała czas zastanowić się nad tym, co tak naprawdę się zdarzyło.

Rozdział XI

KRONIKI WAMPIRÓW

Dzień zamienił się w noc, noc z powrotem w dzień. Resztkami sił Iia próbowała nadążyć za oddziałem. Żaden z Obcych nie zatrzymał się na odpoczynek, dopiero widząc, że ślania się na nogach, dowódca dał znak i grupa stanęła. Zmęczona, ledwo łapiąc oddech, spojrzała na niego z wdzięcznością.

Wytrzymała i zwinna, myślała, że wśród myśliwych Tel-Aramelu nie ma sobie równych, teraz się okazało, że przeceniała swoje umiejętności. Sposób, w jaki wędrowali Obcy – instynktownie omijając pułapki terenu, z naturalnym wyczuciem kierunku, niezmordowanie – uzmysłowił jej własne niedoskonałości. Ich pewny krok i szybkość przez cały czas zmuszały ją do nadludzkiego wręcz wysiłku.

Wypiła kilka łyków rześkiej wody, zjadła twardy kawałek suszonego mięsa i znów znalazła się w drodze. Poprowadzili ją ścieżką niewidoczną dla niewtajemniczonych, która wiodła prosto do kotliny. Gdy spojrzała przed siebie, z wrażenia zatrzymała się na skalistym grzbiecie zauroczona niezwykle widokiem.

Przed jej oczami rozpościerał się surowy krajobraz, tak różny od zielonych pól i niskich wzgórz wokół Tel-Aramelu. Naprzeciwko w błękit nieba wbijały się zębiska potężnych gór, ich szczyty nakryte śnieżnymi czapami odbijały różem i fioletem promienie zachodzącego słońca. Stojąc u ich stóp, miała wrażenie, że skalne szpice niemal zahaczają o chmury.

Strome zbocza skąpane w odcieniach szarości spływały kaskadą w dół, aż do brzegów jeziora. W świetle odchodzącego dnia jego czarna toń zdawała się mniej ponura, niż opowiadał Oki. Otoczone koroną gór tonęło we wnętrzu kotliny niczym połyskliwy obsydian zatopiony w srebrnej oprawie.

Środkiem jeziora – bez wątpienia stworzona dłonią człowieka – wiła się

wąska grobla, by po drugiej stronie wprowadzić wędrowców w ogromne naturalne wrota, wejście do jaskini. Iia rozejrzała się niepewnie. Wyglądało na to, że niebawem przekroczy jej próg, by jako pierwsza przedstawicielka równin znaleźć się w tajemniczym mieście.

Głośno przełknęła ślinę. Nigdy nie brakowało jej odwagi, wiele razy popychana pustą ciekawością inicjowała szalone wyprawy, lecz to, co przeżyła na płaskowyżu, było prawdziwą szkołą przetrwania. I przy okazji pokazało naocznie, że zamieszkujący te strony bardzo różnili się od aramelczyków.

Obcy byli nieodrodnymi mieszkańcami niegościnniej krainy, ludźmi o lodowatych spojrzeniach i równie lodowatych sercach. U zarania dziejów osiedlili się w ukrytej dolinie, skąd ich zwiadowcy wyruszali na łowy, przemierzając wzdłuż i wszerz rozżarzone piekło surowej wyżyny. Pochodząc z Agharu, miasta-państwa leżącego na granicy gór i pustyni, sami obwołali się strażnikami otaczających ich niegościnnych terenów.

Z jednej strony czuła wobec nich wdzięczność za pomoc i obiecane schronienie, z drugiej – nie mogła opanować narastających wątpliwości. Z mieszanymi uczuciami patrzyła na oddział przechodzący przez groblę, klęknięta i pochylona się, by zaczerpnąć wody. Tak naprawdę chciała ukryć spojrzenie, które mogłoby zdradzić zbyt wiele.

Silna dłoń ścisnęła ją za ramię.

– Nie wolno – warknął nieprzyjemnie mężczyzna w brązowej opończy.

Szarpnęła się ze złością. Drugi jej towarzysz – czy raczej strażnik, jak pomyślała – podał jej bukłak.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Te wody niosą śmierć – wyjaśnił cicho.

Od pierwszej chwili poczuła do Aedrina sympatię, pewnie dlatego, że w niczym nie przypominał swojego brata. Wysoki, z krótkimi włosami koloru jaintaru – tak w Tel-Aramelu nazywano drogocenne łyżo morza – i szczerym spojrzeniem oczu o podobnej barwie, próbował oswoić jej lęki. Mówił głosem łagodnym, cichym, odnosił się do niej uprzejmie. Zupełnie inaczej niż posępny ciemnowłosy Ha'garth o złej, zaciętej twarzy i pogardliwym spojrzeniu. Poznała ich imiona, gdy razem przemierzali płaskowyż, chociaż w jej przypadku można byłoby powiedzieć raczej o beznadziejnej próbie dotrzymania im kroku.

Aedrin się odwrócił, spojrzał w niebo, niemal każdy nerw ostrzegwał go

przed nadchodzącymi kłopotami.

Słońce powoli kończyło swoją wędrówkę, kierując się ku stromym iglicom gór. Wiatr rozwiął ostatnie obłoki, więc nieskalany błękit nieba – jaki czasem bywa przed zachodem – niemal raził w oczy. Pogoda była idealna, dlatego Aedrin nie potrafił określić, skąd nagle wziął się ów wewnętrzny niepokój.

Przyspieszyli kroku. Obaj z bratem wiedzieli, jak niebezpiecznie byłoby czekać do zmroku na brzegu jeziora. Zanim góry ostatecznie połąkły rozżarzoną kulę jasności, przeszli przez groblę i zniknęli w zimnej czeluści jaskini.

Iia nie mogła opanować podziwu na widok ogromnego skalnego korytarza. Usiany dziwnymi kopcami, przypominającymi te, które jako dziecko usypywała z piasku nad rzeką, migotał w świetle pochodni niczym klejnot. Kolejne pasma rdzawo-szarych skał, poprzedzielane naturalnymi potężnymi filarami, zamykały wysoko nad głową kopułę ginącą przed wzrokiem.

Chyba ze czterdziestu ludzi mogłoby tu przejść ramię przy ramieniu – pomyślała zafascynowana wygodnym szerokim traktem prowadzącym lekko pod górę.

Nigdy wcześniej nie widziała tak ogromnej jaskini, która bez problemu połąkaby cały Tel-Aramel wraz z godną podziwu świątynią, a jej szczyt nawet nie musnęłyby sklepienia.

Wzrok Iii przyciągnęła rozlewająca się wewnątrz plama jasności, która obmywała złotym blaskiem ściany i filary. Dotarli do drugiego wyjścia.

– Dokonało się – pomyślała i z niepokojem spojrzała za siebie. Nie było już odwrotu. Wyszła na zewnątrz i zamarła z wrażenia; jeśli droga do miasta odebrała jej dech, to samo miasto kazało znieruchomieć z otwartymi ustami. Zachód słońca dodatkowo pokolorował i nasycił brązem najpiękniejszy widok, jaki w owych czasach mogły ujrzeć ludzkie oczy.

Trakt tym razem opadał lekko w dół, meandrując wśród starannie utrzymanych ogrodów z bajecznymi roślinami o niezwykłych kwiatach. Na dnie kotliny rozciągało się miasto. Nie miało sobie równych na całym świecie i musiało upłynąć wiele stuleci, zanim pojawiły się nieśmiałe próby stworzenia czegoś, co mogłoby mu choć odrobinę dorównać.

Pośrodku doliny, na najwyższym ze wzgórz pysznił się oślepiający bielą pałac, mieszczący salę spotkań Wielkiej Rady i siedzibę ka'hete. Poniżej rozsiadły się budynki oraz place, sprawnie połączone siecią ulic wyłożonych gładkimi kamieniami. Drogi te nie były proste, tylko zataczały kręgi, łączyły

się ze sobą, przecinały nawzajem, tworząc w jasnym kamieniu wzór czytelny jedynie dla mieszkańców.

Domy w kolorze ochry – wszystkie zaopatrzone w tarasy, wodotryski i utrzymane starannie ogrody – rozrzucone z pozorną niedbałością wdzięczyły się w lustrze błękitno-zielonej doliny. Nie mogła się napatrzeć ich urodzie, a także ażurowym konstrukcjom smukłych wież wyrastających ku górze z placów ogrodzonych przez bujną roślinność. Tę obfitość drzew i krzewów mieszkańcy zawdzięczali licznym strumieniom spływającym ze zboczy chmurnego szczytu zamykającego wylot kotliny. Prawdziwego strażnika Agharu.

Z resztą oddziału rozstali się tuż po przekroczeniu linii zabudowań, a niezmordowani – w przeciwieństwie do niej – Aedrin i Ha'garth narzucili szybkie tempo. Z żalem oraz westchnieniem, wyraźnie sugerującym potrzebę odpoczynku, mijała wyglądające na wygodne niskie ławy ukryte pośród żywopłotów przyciętych do ich kształtu.

Prawie w biegu przyszło jej rozglądać się, chłonąć i podziwiać. Pewnie dlatego dopiero gdzieś w połowie drogi zdała sobie sprawę z otaczającej ich ciszy.

Na ulicach nie było żywej duszy, nikt nie wyglądał przez uchylone drzwi, hordy dzieci – powodowane odwiecznymi zwyczajami i równie odwieczną ciekawością – nie biegły za nimi, aby wzniecać przy okazji jeszcze większy tumult. Wokoło panował bezruch, charakterystyczny dla martwych, opuszczonych miast.

Nie zdążyła jednak zapytać o to swoich przewodników, ponieważ właśnie skręcili w szeroką aleję prowadzącą wprost przed symboliczną bramę pałacu zbudowaną z drewnianych bali. Dalej – jako Obca – nie miała już wstępu.

Aedrin razem z bratem natychmiast podjęli wspinaczkę po pnących się stromo schodach. Przez moment obserwowała dwie malejące sylwetki, lecz szybko odwróciła wzrok, bo nagle zdała sobie sprawę, że została sama. Spłoszona, bacznie lustrowała otoczenie, nie dostrzegła jednak niczego niepokojącego.

Ciekawe, czemu się ukrywają? – pomyślała zaintrygowana.

W Tel-Aramelu podróżnych zazwyczaj witał szpaler mieszkańców głośno komentujących wygląd, odzienie, dyskutujących o powodach, które sprowadziły ich do miasta. Handlarze krzykiem zachwalali swoje wyroby, kobiety łowiły spojrzenia przybyszy, wdzięcząc się bezwstydnie, a dzieci za

punkt honoru uznawały dotknięcie każdej części garderoby wędrowców i wyżebranie chociaż miedziaka.

Nie tak dawno sama stała w takim tłumie, śmiała się i wskazywała na dziwaczne elementy przyodziewku gości, dlatego kompletny bezruch panujący w Agharze wydawał jej się równie nienaturalny, jak przerażający. Żeby zająć czymś umysł, rozglądała się z bezczelną ciekawością gościa zaproszonego po raz pierwszy.

Wtedy ujrzała najdziwniejszą z budowli, jaką kiedykolwiek dane jej było zobaczyć. Ciężkie westchnienie, które mimowolnie wydało jej się z płuc, echo poniosło ku niebu jako dowód zachwytu.

Niedaleko w szarzejącej poświacie wieczoru stok potężnej góry wydawał się jednocześnie bliski i daleki, w taki sposób rześkie rozrzedzone powietrze płatało figla zmęczonym oczom. Na tle kamiennych piargów wyraźnie odcinała się szeroka ścieżka, która kończyła się w połowie zbocza, tuż pod pionową skałą. Powierzchnię gigantycznego głazu naznaczyły regularnie wyciosane otwory i zwisające festonami liny, za ich pomocą można było się dostać na półkę skalną wieńczącą szczyt. Położona na wysokości przyprawiającej o zawrót głowy wydawała się celem niemożliwym do osiągnięcia przez człowieka, bo na tej wysokości jedynie ptaki mogłyby budować swoje gniazda.

Może to dzieło olbrzymów? – pomyślała Iia, z niedowierzaniem obserwując wzniesione na skale trzy łukowato sklepione bramy, przed którymi powiewały wyblakłe od słońca chorągwie.

Po namyśle odrzuciła ten pomysł, co zmusiło ją do zadumy nad odwagą budowniczych, którzy obciążeni narzędziami wdrapali się tak wysoko, by stworzyć...

Nie wiedziała jeszcze, czym naprawdę była tajemnicza budowla, postanowiła więc zapytać o to Aedrina, gdy tylko ten wyjdzie z pałacu.

Zafascynowana widokiem, nawet nie zauważyła, gdy mężczyźni z powrotem pojawili się na placu. Towarzyszył im nobliwie wyglądający starzec, przed którym – kierowana wyłącznie instynktem – pochyliła głowę w geście uszanowania.

Ubrany skromnie mężczyzna uśmiechnął się ciepło, lecz nie zmylił jej ani ten uśmiech, ani dobroduszny wygląd, bo w jego postawie, sposobie zachowania oraz spojrzeniu dostrzegła ów rodzaj apodyktycznej władczości charakterystyczny dla prawdziwych przywódców. Od pierwszej chwili

wiedziała, że dostąpiła zaszczytu prywatnej audiencji udzielonej przez samego króla Agharu.

– Zaoferowaliśmy ci pomoc, jednak zanim nie poznasz miasta – mówił biegle w języku równin – a ono ciebie, moim życzeniem jest, byś skorzystała z ochrony oraz gościnności Aedrina. Ale zasady obowiązujące gospodarza nakazują zapytać także o twoje pragnienia.

Zaskakujące – pomyślała – że nie zapytał mnie o nic. Ani skąd pochodzę, ani dlaczego uciekłam. Naprawdę dziwni są ci agharczycy.

– Dziękuję – spuściła skromnie wzrok – za wszystko. Owszem, mam jedno życzenie, by to również szlachetny Aedrin wprowadził mnie w tajniki zwyczajów, objaśnił prawa panujące w tej pięknej krainie. Nie chciałabym przez nieroztropność lub przypadek uczynić czegoś niewłaściwego lub okazać niewdzięczność.

Chyba spodobała mu się taka odpowiedź okraszona pokorną miną i postawą, bo delikatnie pogładził ją po ręce.

– Drogie dziecko – powiedział zaskakująco młodym melodyjnym głosem – witaj w domu.

Podniosła wzrok, chociaż na widok min obu braci natychmiast tego pożałowała. Spojrzenie Ha'gartha płonęło czystą wściekłością, zaciśnięte szczęki sugerowały, że decyzja władcy była mu zdecydowanie nie na rękę. Aedrin wydawał się niewzruszony, jednak na darmo szukałaby w jego oczach dowodu na to, że z radością przyjął powierzoną mu rolę, co – ku jej zaskoczeniu – odrobinę ją rozczarowało.

Gdy pojawiał się w pobliżu, czuła się dziwnie, serce biło jej szybciej, policzki okraszała zdradliwa czerwień. Nigdy wcześniej nie doświadczała takich emocji i pewnie dlatego nie potrafiła ich jeszcze zdefiniować.

Tymczasem Aedrin wyszedł z pałacu załamany. Na spotkaniu z radą oraz Ya'reanem okazało się, że powrót do miasta nie był – jak wcześniej sądził – końcem jego zobowiązań wobec jasnowłosej kobiety. Podstępnie zmuszony do przejścia dalszej opieki – oczywiście wbrew swojej woli – został w ten sposób wmanipulowany w kolejną odsłonę niekończącej się wojny między bratem a ka'hete. Zacięta dyskusja na temat losów gościa podzieliła Radę na zwolenników Ya'reana, który uważał za wiążący nakaz świątyni, nie chciał

także przeciwstawić się odwiecznemu prawu gościnności, a Ha'gartha twierdzącego, że Obca powinna trafić w miejsce odosobnienia. A najlepiej od razu do cytadeli, gdzie mogłaby w spokoju odliczać dni do spotkania z katem.

W opinii Aedriny całe to mocowanie się na słowa naprawdę nie miało nic wspólnego z losem kobiety, lecz było próbą podważenia władzy i kompetencji obecnego ka'hete. Słowo „bunt” niemal samo cisnęło mu się na usta, gdy słuchał zaciętrzewionego brata i jego popleczników.

– Wiesz, że jeśli pozwolimy mu zająć się dziewczyną, wykorzysta ją jako kartę przetargową, a jej dni będą policzone? – zapytał go cicho Ya'rean. – Przemyśl to, tym bardziej że nadal nie wyjaśniliśmy, dlaczego zainteresowali się nią prorocy i jakie plany ma wobec niej przeznaczenie.

Dowódca gwardii nie mógł pozwolić, by tak ostentacyjnie lekceważono nakaz kapłanów oraz prawowitego ka'hete, sięgnął więc po ostateczny argument – laskę Ka, symbol władzy nad miastem. Uderzył jej okutym końcem o posadzkę, aż rozdzwoniły się kryształowe ozdoby lichtarzy. Zapadła grobowa cisza.

I wtedy Aedrin złożył przysięgę, której słów przyszło mu później gorzko pożałować:

– W imieniu obowiązujących w Agharze praw i świadomy obecności bogów biorę pod opiekę kobiety z równin. Będę jej strzegł, chronił, dbał, by w progach miasta nie spotkała jej żadna krzywda, bo tak nakazuje odwieczny zwyczaj oraz mój honor. Sam wprowadziłem ją przez Skalną Bramę, dając w ten sposób gwarancję nietykalności. Każdy, kto uważa inaczej, będzie musiał spotkać się ze mną w otwartej walce – obwieścił wszem i wobec, przypieczętowując deklarację specjalnym spojrzeniem dedykowanym potencjalnym buntownikom.

Zrozumieli, nikt już nie ośmielił się zabrać głosu ani zaprotestować przeciwko bezprawnemu zawłaszczeniu atrybutu wyłącznie przynależnemu ka'hete. Oburzony do żywego Ha'garth opuścił salę obrad, a Ya'rean spojrzał na Aedriny ze współczuciem.

– Wiesz, do czego się zobowiązałeś? – zapytał. – I co poświęciłeś?

Młodzieniec milczał, bo właściwie nie miał nic do powiedzenia.

Dręczące go przez cały dzień złe przeczucie okazało się idealnie trafioną prognozą. W ciągu chwili krótszej niż mgnienie oka zrobił sobie wroga z brata, który póki życia nie daruje mu, że podczas konfrontacji poparł

ka'hete, a nie jego wybujałe ambicje. Z własnej woli podjął się podwójnego obowiązku wprowadzenia Obcej do społeczności i zapewnienia jej bezpieczeństwa. Przysięga narzucała na niego odpowiedzialność, choć wcale nie chciał zajmować się tą dziwną kobietą, nawet jeśli w jej przyszłość były zaplątane tajemnicze prorocтва. Musiał jednak tak postąpić, bo wymagał tego interes Agharu, zawsze nadrzędny wobec poszczególnych interesów jednostek, ich pragnień i ambicji, ważniejszy niż zobowiązania, więzy krwi oraz chwilowe sojusze.

Aedrin wiedział, że słuszość była po jego stronie, jednak ta świadomość wcale nie poprawiała mu humoru. Dlatego później patrząc na pochyloną pokornie płowowłosą dzikuskę, skłamał:

– Będę zaszczycony, jeśli pozwolisz mi zostać twoim przewodnikiem – skłonił szarmancko głowę – oraz skorzystasz ze skromnej gościny w moim domu.

– Dziękuję. – Widać było, że kamień spadł jej z serca, spojrzała na niego z wdzięcznością.

Bez słowa odwrócił się, a Lia powędrowała za nim.

Rozdział XII

Po wylądowaniu wyszła przed budynek lotniska. Mimo wczesnej pory Albuquerque przywitało ją oślepiającym słońcem i upałem dającym się we znaki.

Naładowana adrenaliną, nie czuła zmęczenia, napędzała ją energia, której źródła tkwiły głęboko poza świadomością – czysty, fizyczny strach. Najpierw zadzwoniła do Jonathana, bo wcześniej, zanim nie poukładała wszystkich faktów, nie mogła się na to zdobyć. Odebrał po pierwszym sygnale.

– Wiem, co się stało z Michaelem – nie chciała się bawić w bezsensowne uprzejmości, więc od razu przeszła do rzeczy. – Odwiedził mnie wczoraj.

Odpowiedziała jej głęboka cisza.

– Stał się jednym z nich.

– Jesteś pewna? – nie wydawał się zaskoczony.

– Widziałam jego oczy – odparła. – Nie mam innego konkretnego dowodu...

Przerwał jej gwałtownie.

– Tylko tyle? W jakich okolicznościach go zobaczyłaś? Zrobił ci coś? Rozmawiałaś z nim?

Nie wiedziała, jak go przekonać, w końcu sama długo nie była w stanie uwierzyć w to, co zobaczyła przez ułamek sekundy w ciemnym korytarzu.

– Zadzwonił do drzwi, spojrzałam przez wizjer i... Znowu wpadł jej w słowo, zadając oczywiste pytanie:

– Wpuściłaś go do środka?

– Nie. – Zawahała się.

Gdyby rozmawiali normalnie, byłoby zdecydowanie łatwiej, zobaczyłby wyraz jej twarzy, paniczny strach wyzierający z rozszerzonych oczu i być może zrozumiałby, o czym mówi. Ale czarna cienka komórka ścisnana kurczowo w bielejących dłoniach była martwym przekaźnikiem, który nie był w stanie oddać całej prawdy, zwykłym, niedoskonałym narzędziem nastawionym wyłącznie na informowanie, rzadko będące mieszaniną przeczuć, ogłuszającego wrzasku intuicji i wrażenia tak ulotnego jak

podmuchał wzniecony skrzydłem motyla.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, stał na korytarzu w półmroku, obserwowałaś go przez wizjer i na tej podstawie twierdzisz, że stał się wampirem?

Zapędził ją w kozi róg i zmusił do defensywy, a to była zdecydowanie zła taktyka. Poczowała narastającą złość.

– Przez trzy miesiące mieszkałam pod jednym dachem z wampirem i umiem rozpoznać Obcego na odległość. Możesz bawić się w kwestionowanie szczegółów, pewnie na żaden twój argument nie znajdę odpowiedzi, nawet nie będę się starać. Wiem, że Michael został przemieniony, dlatego proszę cię, żebyś przestał go szukać.

Po drugiej stronie zaległo ciężkie milczenie. Czekwała cierpliwie, aż oswoi się z przerażającą prawdą.

– Nie potrafię. – Głos po drugiej stronie zabrzmiał bezradnie i żałośnie. – Nie umiem sobie tego wszystkiego poukładać.

– Ja również – odpowiedziała cicho.

Chciałaby teraz być u jego boku, ofiarować mu tyle samo siły i wsparcia, ile sam dał jej wcześniej.

– Dlaczego wybrał Michaela, a nie mnie? Na szczęście – pomyślała i odparła:

– W ten sposób dokonał zemsty doskonałej. Najpierw zagrozi naszym bliskim, nas zostawi sobie na koniec. Powinieneś uprzedzić sąsiadów, że pojawił się wśród nich.

Nie chciała go dobijać podejrzeniem graniczącym z pewnością, że przemiana Michaela miała jeszcze jeden cel – obnażyła intencje El'lara, który przez prawie półwiecze pielęgnował w sobie nienawiść, a jego żądza zemsty sięgała dalej w przeszłość do dnia, kiedy Tom Carter i jemu podobni zmierzili się z jego braćmi.

– I co teraz?

– Nie wiem. – Doskonale rozumiała jego rozterki.

Ci sami ludzie, którzy tak łatwo zgodzili się na plan użycia Jonathana jako przynęty, teraz staną się albo ofiarami, albo katami jego ukochanego młodszego brata. O wiele łatwiej było podważyć jej ocenę sytuacji, tkwić w swoich wątpliwościach, bo choć zaginięcie Michaela było tragiczną okolicznością, nie wymagało dokonania najtrudniejszego z wyborów. Z tym problemem jednak musiał uporać się sam, przyszedł już bowiem czas na zadanie mu kolejnego ciosu.

– Wyjechałam z Los Angeles...

– Zauważyłem. – Zatem dotarł już na miejsce. – Gdzie jesteś?

– Daleko. – Nie mogła mu zdradzić swoich planów. – To nasza ostatnia rozmowa, za chwilę wyrzucę komórkę i więcej się nie usłyszymy.

Oczami wyobraźni zobaczyła jego minę i nagle zachciało jej się płakać.

– Żartujesz? – naprawdę był zaskoczony.

– Zrozum – starała się nie przekazywać mu swoich emocji, choć ciężko było ignorować łzy spływające bezgłośnie po policzku – jeśli będziesz wiedział, gdzie jestem, staniesz się jego głównym celem.

– Nie możesz...

– Zależy mi na tobie – musiała mu przerwać. – Wiem, że bez wahania zginiesz, próbując mnie ratować, ale nie mam prawa – zawahała się – nie wolno mi wymagać nic ponad to, co zrobiłeś do tej pory. Wyjedź z Cheyenne, dołącz do rodziny i zacznij normalnie żyć. Pora najwyższa zostawić za sobą koszmary z Lake Falls.

I mnie – dodała w myślach – bo pociągnę cię za sobą. Na dno.

– Już drugi raz rozstajesz się ze mną w taki sposób i oczywiście nie mogę ani wpłynąć na twoją decyzję, ani poprosić, żebyś ją przemyślała. – Głos po drugiej stronie słuchawki miał temperaturę ciekłego azotu. – Jakbyś nie zauważyła, jestem dorosły i sam umiem oszacować ryzyko, ale teraz wydaje mi się, że wykorzystujesz Michaela jako pretekst do ucieczki. Czyżbyś wystraszyła się, gdy zacząłem nalegać na szczerą rozmowę? Obawiałaś się, że zmuszę cię do niechcianych deklaracji? Wystarczyłoby powiedzieć: nie jestem gotowa na nowy związek. Uszanowałbym to – zawahał się i dodał twardo: – Nie mówiąc, gdzie jesteś, przyznajesz mi rację, dlatego chciałbym cię ostrzec, tym razem nie będzie powrotów.

Niewidzialna obręcz zacisnęła się na jej gardle, niesprawiedliwe oskarżenia zaboląły, chociaż zdawała sobie sprawę, co chciał w ten sposób osiągnąć.

– Skoro tak uważasz – odparła cicho i się rozłączyła.

Nawet nie zirytowało jej, że Jonathan – opoka i kotwica normalności – ostentacyjnie próbował nią manipulować. Vic przeszła pranie mózgu zrobione przez mistrza w tej dziedzinie, doktora Barrowa, więc była wyczulona na każdy, nawet najmniejszy przejaw narzucanej kontroli i reagowała na nią niemal automatycznym wycofaniem.

Zdawała sobie sprawę, że Jonathan już żałuje słów podyktowanych przez

złość i rozczarowanie. Sądził, że gdy użyje emocjonalnego szantażu, zagrozi samotnością i ostatecznym rozstaniem, złamie jej postanowienie, dlatego był gotów uderzyć w każdą nutę, aby zmusić ją do zmiany decyzji. Ale tym razem nie mogła sobie pozwolić na okazanie słabości.

Jonathan wydawał się spełnieniem marzeń każdej kobiety, odważnym i prawym mężczyzną, lecz miał dwie niebezpieczne słabości. Z niezrozumiałych powodów pierwszą była ona, naprawdę głęboko przywiązał się do myśli, że kiedyś będą razem. Ale ten związek narodzony w cieniu mrocznej gwiazdy nie miał żadnych szans oraz przyszłości.

Drugą z wad była naiwność. Szybko zapomniał o tym, że naraziła jego rodzinę na śmiertelne niebezpieczeństwo – a znając El’lara, należało przyjąć, że było to zaledwie preludium do dramatycznego finału – i prawdopodobnie przyczyniła się do tragedii, która spotkała jego brata.

Obie te słabości stanowiły razem klucz do hipotetycznej klęski. Co prawda, Vic nie potrafiła przewidzieć wszystkich możliwych scenariuszy, jednak zakładała najprostsze z rozwiązań. Jej eks podczas ostatecznej konfrontacji wykorzysta ich uczucia, wzajemną bliskość, rodzące się przywiązanie, żeby dostać to, czego najbardziej pragnął – Kat.

Długa spokojna podróż pozwoliła jej przemyśleć wiele spraw, dojść do kilku ważnych wniosków, które powoli zaczynały się układać w spójną i logiczną całość – korzystając nadal z towarzystwa oddanego przyjaciela, wystawiała siebie oraz córkę na cel. Jonathan, w ten czy inny sposób, okazał się mimowolnym zdrajcą...

Celowo zataiła przed nim informację, że zgodnie z wiadomościami uzyskanymi od Obcego niemal niemożliwe było dokonanie przemiany. A jednak wzrok i przecucia jej nie myliły. To, co dostrzegła w oczach najmłodszego z Carterów, bez wątpienia było stygmatem wampira.

Widok tęczyówek poznaczonych siatką jasnych, wręcz żarzących się plam, ostro kontrastujących z ich naturalnym brązowym kolorem, nie był wytworem jej wyobraźni ani efektem gry światłocienia. Ale to nie Michael wytropił ją w Los Angeles, on był tylko posłańcem zwiastującym nadejście swojego pana, stwórcy. Z jego rozkazu pozwolił jej uciec, ponieważ głupotą byłoby przypuszczenie, że umknęła przed żadnym krwi wampirem dzięki swojemu sprytowi, szybkości i odwadze. Gdyby chciał ją naprawdę zabić, nie miałyby szans wydostać się z mieszkania ani dobiec do głównej ulicy.

Z tych faktów rodziły się trzy pytania – w jaki sposób, do cholery, udało się Obcemu dokonać przemiany, po co przysłał do niej Michaela i jak wpadł na jej trop? Kluczem do rozwiązania zagadek okazał się niestety Jonathan.

Przed swoim zniknięciem Michael wiedział, dokąd się udają, więc namierzenie apartamentu nie stanowiło żadnego problemu. Kto wie, może nawet starszy brat dał mu na wszelki wypadek jej numer telefonu.

Pojawienie się posłańca tuż przed powrotem Jonathana było czytelnym przesłaniem – koniec zabawy w chowanego, wiem, gdzie jesteście. Zabite wampiry w każdej chwili mogą zastąpić nowymi, a ponieważ mam wyrefinowane poczucie humoru, spodziewajcie się... niespodziewanego. Dlatego właśnie El'lar wybrał Michaela, najmłodszy z Carterów także miał na sumieniu śmierć jego pobratymców. Tak oto dokonał zemsty doskonałej. Z jakiegoś jednak powodu zamiast trzymać w zanadrzu swoją kartę przetargową, wysłał ją z wiadomością, której znaczenie było jasne.

Adresatem następnego telefonu był Głos. Poinformowała go krótko, że zmienia numer i najszybciej, jak to będzie możliwe, poda mu nowy, po czym nie zwracając uwagi na wyświetlający się uporczywie znajomy numer, wyjęła kartę, złamała ją na pół i wyrzuciła do kosza. Zamknęła w ten symboliczny sposób pewien rozdział.

Wróciła na lotnisko, bo wywołano jej lot – tym razem do Atlanty. Chciała zatrzymać się tam na nocleg, bo mijała kolejna doba od ostatniej przespanej nocy i zmęczenie powoli zaczynało wygrywać ze strachem. W trakcie lotu wymyśliła, że będzie najlepiej, jeśli zacznie często zmieniać miejsca pobytu, starannie zacierając wszelkie ślady.

Wokół zawirował kalejdoskop miast, obcych ludzkich twarzy, hoteli i ulic, z których nie zniknęło widmo lęku, bo przecież zawsze przywoziła go ze sobą.

Dopiero teraz zrozumiała, czym naprawdę jest przekleństwo tułaczki. Budziła się w obcych pokojach hotelowych przypadkowych miast, przemierzała dziesiątki podobnych do siebie ulic, spazmatycznym brakiem tchu reagując na przypadkowe zaczepki. Całą siłę woli wkładała w tłumienie rozpaczliwego łomotu serca na widok pojawiających się znienacka cieni, jej wierny przyjaciel – strach – zamiast z upływem czasu przeminać, uspokoić się, stawał się coraz silniejszy. Paraliżował.

W spakowanym „na wszelki wypadek” bagażu spoczywało czarne etui ze strzykawkami wypełnionymi koktajlem z końskiej dawki środków

nasennych. Opracowany przez nią specyfik w założeniu miał być czymś w rodzaju broni, choć zdawała sobie sprawę, że jej skuteczność zweryfikuje dopiero spotkanie z dawnym kochankiem. Pudełko – być może bezużyteczne – dawało jej przynajmniej iluzję bezpieczeństwa. Bardzo kruchą iluzję.

W rzeczywistości... przygotowała je z myślą o sobie. Wiedziała, że gdyby pewnego dnia ich drogi ponownie się skrzyżowały, nigdy – nakłaniana siłą, perswazją ani szantażem – nie wyjawí miejsca pobytu Kat. O to już zatroszczył się małe buteleczki wepchnięte do automatycznego podajnika.

Istniała jednak także pozytywna strona życia nomady – doświadczanie zmian, innych zapachów, nocy w coraz to nowszych łózkach pozwalało na krótko oderwać się od własnych myśli, złapać oddech pomiędzy wahaniami rozpędzonej huśtawki uczuć.

Podejmowane przez nią działania polegające na dokładnym zacieraniu śladów nie były wynikiem narastającej paranoi, lecz chłodnej kalkulacji. Jej wrogiem był nie tylko El'lar, choć on sam wystarczyłby aż nadto. Równie niebezpieczni byli łowcy, którzy już w Lake Falls wpadli na ich trop, a jedynym celem zdeterminowanych mężczyzn o zimnych oczach było eliminowanie istot ukrytych w mroku, do których bez wahania zaliczyli również ją i Kat.

Jednak najpotężniejszego przeciwnika zawsze miała przy sobie. Tkwił w niej niczym zadra niemożliwa do usunięcia, kolec wbity w duszę. Nosiła jego znak wypalony w umyśle i sercu, bo przecież została naznaczona przez samego Azdarotha – praojca wampirów.

Rozdział XIII

KRONIKI WAMPIRÓW

Zaraza zaatakowała po cichu i bez uprzedzenia.

Pierwsi chorzy pojawili się niedługo po tym, gdy Iia zamieszkała w domu Aedrina, ale uzdrowiciele tłumaczyli, że nie ma powodu do niepokoju. Gorączkę, bóle stawów oraz światłowstręt uznali za typowe, może nieco przedwczesne objawy przesilenia, choroby, która pojawiała się każdego roku razem z pierwszymi deszczami. Jednak – o czym nie wspomiano głośno – do początku pory deszczowej miało upłynąć jeszcze wiele księżyców.

W pałacu Rady urządzono tymczasowy punkt opieki nad chorymi, pięciu mędrców szkolonych w sztuce leczenia i kilka kapłanek bogini Weji opiekowało się nielicznymi na razie pacjentami, choć zachodziła realna obawa, że z dnia na dzień będzie ich przybywać.

Do domu Aedrina położonego po przeciwnej stronie miasta nie docierały jeszcze żadne niepokojące wieści, zresztą Iia nie interesowała się światem położonym za murami ogrodu, ponieważ miała poważniejsze zmartwienie.

Od spotkania na płaskowyżu upłynęło wiele zachodów, a dziwna reakcja w jej sercu na widok przystojnego gospodarza zamiast minąć jak zły sen, zamieniła się w stan permanentny, objawiający się huśtawkami nastroju i wewnętrznym napięciem. Nawet przed sobą Iia nie miała odwagi przyznać, że przystojny dowódca nienagannym zachowaniem i życzliwością kompletnie ją oczarował.

Otoczona troskliwą, chociaż nie natrętną opieką, była traktowana niczym księżniczka. Aedrin zawsze znajdował dla niej czas, cierpliwie objaśniał panujące zasady i niezrozumiałe zwyczaje. Wpatrzona w jego oczy, zasłuchana w miłe dla ucha brzmienie głosu nie zawsze rozumiała znaczenie wypowiedzianych słów. Za to nocami nie mogła zasnąć, przypominając sobie wszystkie detale rozmowy – wyraz jego twarzy, gesty, spojrzenia – i marzyła

o chwili, gdy usłyszy z jego ust miłosne wyznanie.

Na razie musiały jej wystarczyć uprzejme słowa, oszczędne komplementy i skrywana głęboko nadzieja, że pewnego dnia nie ujrzy w niej mieszkanki równin, uciekinierki, nad którą sprawuje tymczasową pieczę, ale kobietę. Dla niego zmieniła swoje zwyczaje, zamiast luźnych szarawarów, lnianej koszuli oraz skórzanej kamizeli zaczęła nosić suknie, włosy starannie upinała na wzór fryzur podpatrzonych u innych dziewcząt, a szorstkie, nawykłe do męskich prac dłonie smarowała balsamem, żeby odzyskały miękkość. Sama nie mogła się nadziwić, jak łatwo porzuciła tak cenioną do tej pory niezależność i zastąpiła ją marzeniami o wspólnym życiu.

Im bardziej zakochiwała się Aedrinie, tym mocniej nienawidziła i obawiała się Ha'gartha. Różnice w charakterze oraz obyczajach braci dostrzegła już podczas wędrówki po płaskowyżu, a później tylko utwierdziła się w swoich przekonaniach. Sposobności do porównań i obserwacji dostarczały jej częste wizyty w domu Ha'gartha – bywała tam chętnie, ponieważ od pierwszej chwili polubiła jego żonę, Teę, kobietę z urody i zachowania zupełnie niepodobną do krępych spracowanych mieszkanek Tel-Aramelu.

Szczupła, niewiele niższa od męża, sprawiała wrażenie wiotkiej niczym nadbrzeżna trzcina, jej długie czarne włosy lśniły w promieniach słońca, przypominając kolorem tafłę jeziora przed bramą Agharu, natomiast delikatne rysy i dłonie nieskażone ciężką pracą byłyby stosowniejsze u kapłanki niż gospodyni domu.

Iia po cichu współczuła kobietom mieszkającym w jej rodzinnej osadzie. Los bardzo wczesnie obdarzał je licznymi obowiązkami, dlatego ich uroda trwała krótko, zgaszona bezpowrotnie przez ciężką pracę w obejściu, dogadzanie mężowi oraz nieustanną opiekę nad gromadą wiecznie głodnych dzieci. Bogaci mężczyźni mieli wiele żon, które między sobą rzadko bywały w dobrych układach, biedniejsi używali kobiet niczym narzędzi, od świtu kazali im ciągnąć radła, kosić i karmić zwierzęta. Kobiety szybko zaczynały się garbić, ich twarde spracowane dłonie nie nadawały się już do przędzenia wełny, spalone słońcem twarze poryte głębokimi zmarszczkami czyniły z nich staruszki, zanim przeżyły dwadzieścia pięć wiosen.

Tea była starsza, lecz życie nie zamieniło jej w wysuszoną, przygarbioną kobietę. Nosiła dumnie uniesioną głowę i rozpuszczone włosy – na równinach symbol stanu bezzennego – zamiast zwyczajowo przynależnej mężatce czerni chodziła w drapowanych sukniach mieniących się wszystkimi

barwami tęczy, jej nadgarstki oraz szyję, nie tylko od wielkiego święta, zdobiły kunsztowne ozdoby. Podczas uczt zajmowała miejsce obok Ha'gartha, zabierała głos w dyskusjach, wykazując się wiedzą i poczuciem humoru, zawsze odważnie patrzyła w oczy mężczyznom, uśmiechała się do nich – rzecz nie do pojęcia w Tel-Aramelu.

Płowowłosa łowczyni z ukłuciem lekkiej zazdrości pomyślała, że Tea prowadzi przyjemne, wygodne życie. Nawet opieka nad niesfornym jedynakiem nie przysparzała jej problemów, bo każdego poranka malec udawał się do pałacu na naukę i spędzał tam większość dnia. W tym czasie Tea spotykała się z innymi mężatkami przy ciepłych źródłach, a ich rozmowy często dotyczyły dziedzin – w pojęciu Iii – zarezerwowanych wyłącznie dla mężczyzn. Raz w miesiącu na cztery dni Tea oraz pozostałe niewiasty opuszczały swoje domostwa, aby udać się do świątyni. To, co tam robiły, pozostawało głęboko strzeżonym – nawet przed mężami – sekretem. Co więcej – gdy ogłaszano zebrania Wielkiej Rady, kobiety uczestniczyły w nich, współdecydując o najważniejszych dla miasta sprawach. Iię, wychowaną w duchu służebności i podporządkowania, nieustająco zaskakiwała panująca tu obyczajowa swoboda.

Z takich oraz wielu innych powodów Aghar nadal, mimo starań Aedriny, pozostawał dla Iii miejscem tajemniczym, zachowania mieszkańców, styl życia i panujące zwyczaje stanowiły dla niej źródło nieustającego zdumienia. Zasypywała go więc gradem pytań lub prośb o udzielenie wyjaśnień. Cierpliwie tłumaczył, objaśniał, podpowiadał i dzięki temu – ku niekłamanej radości dziewczyny – spędzali ze sobą wiele czasu.

Dom, którego połowę zajęła, oczarował ją na równi z gospodarzem, więc choć starała się – biorąc w tym miejscu przykład z agharczyków – powściągliwie okazywać emocje, nie mogła opanować okrzyków zachwytu nad ogromnym miękkim łóżem, przestronnym pokojem dziennym, olśniewającym tarasem, z którego rozciągał się widok na idealnie utrzymany ogród.

– Sam się nim zajmujesz? – Nie umiała ukryć podziwu w głosie.

– Nie – odparł, wyraźnie zadowolony z jej reakcji – w trakcie wielu lat nauki poznajemy indywidualne zdolności naszych następców. Niektórzy zostaną uzdrowicielami lub żołnierzami, inni, wyjątkowi, obdarzeni darem komunikowania się z roślinami, będą uprawiać nasze ogrody. To bardzo zaszczytna funkcja.

– Ale po co wam tyle kwiatów? – Jako mieszkanka żyznych równin nie mogła pojąć, czemu ludzie tak wiele uwagi poświęcali bezproduktywnym zabiegom, zmierzającym wyłącznie do tego, by jakieś miejsce uczynić piękniejszym. Ogrody, a właściwie niewielkie zagony przy domach aramelczyków, służyły jedynie do hodowania roślin niezbędnych w kuchni. Wśród ziół, warzyw i owoców ozdobne kwiaty, uważane za bezużyteczne chwasty, były bezlitośnie wyrywane.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Odpoczywamy tutaj, odnajdujemy spokój. – Zawahał się przez chwilę i uśmiechnął. – W górach rośliny to rzadki skarb, dlatego wymagają poświęcenia. I wprawnych dłoni.

Musiała mu przyznać rację, ogrody Agharu rzeczywiście były wyjątkowe. Szybko nauczyła się korzystać z ich dobrodziejstw, zatapiać w pachnących ustroniach, koić umysł szumem strumieni i zapachem świeżych liści.

Bracia od czasu do czasu znikali, udając się na łowy. Wiele razy prosiła, by pozwolili jej się przyłączyć, ale za każdym razem słyszała tę samą wymówkę:

– Nie tropiłaś zwierzyny w górach, więc nie znasz tutejszych niebezpieczeństw.

Po kolejnej odmowie udała się do Ya'reana z prośbą, żeby poparł jej racje, jednak to, co usłyszała, okazało się znacznie poważniejszą kwestią, niż wcześniej przypuszczała.

Starzec siedział na tarasie pałacu i obserwował dzieci uczące się dziwnych znaków wyrytych w glinie.

– Wśród ścieżek prowadzących na szczyt wiele jest rozpadlin, których ludzkie oko nie zgłębi, łatwo tam pomylić drogę i równie łatwo spaść – odparł, gdy już wyłuszczyła mu swoje żale.

– Ale przecież – zaprotestowała oburzona – będą mnie prowadzili najlepsi z łowców, Aedrin i Ha'garth.

– Właśnie o tym mówię – odpowiedział, po czym zamilkł. Rozmowa była skończona.

W zaciszu domu zaczęła się zastanawiać nad znaczeniem tych słów i wnioski, do których doszła, nie były pocieszające. Najwyraźniej stary ka'hete uważał, że jeden z braci marzył, by zobaczyć jej ciało leżące na dnie przepaści, na szczęście – przynajmniej taką żywiła nadzieję – nie był nim Aedrin.

Każdy upływający dzień kończyła modlitwą do opiekuńczych bóstw, prosiła o wskazówkę lub radę, bo nigdy wcześniej nie czuła w stosunku do żadnego mężczyzny podobnych emocji. Pogubiona w rozterkach, nie wiedziała, co ma zrobić. Tak bardzo chciała wierzyć, że przystojny dowódca gwardii zwraca na nią uwagę nie tylko powodowany grzecnością gospodarza, lecz także...

Dorastała w przekonaniu, że to mężczyzna winien wykonać pierwszy krok, czekała więc cierpliwie, aż Aedrin porzuci na dobre rolę opiekuna, okazując inny rodzaj zainteresowania. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Starannie pilnował, by w żadnym przypadku nie przekraczać granic przyzwoitego zachowania oraz pełnej szacunku grzesności. Szczerze mówiąc, miała już tego serdecznie dość. Dlatego pewnego dnia wybrała się do żony Ha'gartha, którą uważała już za przyjaciółkę, i zadała owo niezręczne pytanie, od dawna będące przyczyną jej bezsenności:

– Czy jest jakiś dopuszczalny sposób, bym mogła mu dać do zrozumienia, co czuję? – Zakończyła tym swoje nieśmiałe wynurzenia.

Zamiast odpowiedzi Tea uściskała ją mocno.

– Jestem taka szczęśliwa – powiedziała – od dawna martwiłam się o Aedrina. Samotność nikomu nie wychodzi na dobre, a on był sam od zbyt wielu zim. Jeśli jest to szczere uczucie, pomożesz mu bardziej niż on tobie i obdarzysz radością, na którą od dawna zasługuje.

– Powinam poczekać, aż sam mi to powie?

– W naszej kulturze jest przyjęte – Tea uśmiechnęła się z pobłażaniem – że kobieta może otwarcie mówić o swoich uczuciach.

Ta wiadomość bardzo Iię ucieszyła. Niecierpliwie, w myślach układając przemowę, czekała na spotkanie z Aedrinem, który miał niebawem wrócić z łowów, jednak nie dane było jej wygłosić przygotowanej oracji.

Rano ocknęła się spocona, z potwornym bólem głowy oraz przenikliwym łamaniem w stawach, a zanim słońce wdrapało się na najwyższy punkt nieboskłonu, była nieprzytomna.

Tea, zaniepokojona brakiem wiadomości, sama przyszła z wizytą. Zastała okropny widok, Iia leżała na podłodze wstrząsana drgawkami, jej czoło niemal parzyło dłoni.

Żona Ha'gartha bezzwłocznie sprowadziła mędrca, który nakazał zatrzymanie chorej w domu pod troskliwą opieką, bo sale pałacu przeznaczone dla cierpiących pękały w szwach. I było coś jeszcze, o czym

powiedział szeptem, oglądając się czujnie za siebie.

– Lepiej, żeby nikt nie dowiedział się o jej chorobie – niepewnie przekazał najgorszą z nowin – w mieście zaczyna się mówić...

– To znaczy? – Jego konspiracyjny ton poważnie wystraszył Teę.

– Choroba przyszła wcześniej niż zwykle, na długo przed pierwszymi deszczami. Wystarczył szept, przypadkowo rzucone słowo – popatrzył na nią, jakby zastanawiał się, czy już się domyśliła, kto był źródłem tych plotek – żeby powiązano ją z przybyciem Obcej. Ludzie cierpią, więc po omacku szukają winnych. Jeśli rozejdzie się wieść, że ją także złożyła niemoc, przyjęte wyjaśnienie stanie się dla niej wyrokiem.

– I rozwiążą problem, nie oglądając się na świątynię ani ka'hete – dodała po cichu Tea.

– Widzę, że rozumiesz powagę sytuacji? – Spuścił wzrok. – Jestem wierny prawom Agharu, nigdy nie dopuściłbym... – Zająknął się. – Nie w ten sposób.

– Co rok wielu zapada na gorączkę, chyba każdy z nas ją przeszedł. – Wydawało się, że jeszcze niezupełnie dowierza słowom uzdrowiciela. – Objawy są takie same, później wszyscy wracają do zdrowia. Nie rozumiem, dlaczego nagle zaczęto szukać winnych?

– Bo tym razem nie wracają – odpowiedział mędrzec ponuro.

– Co to znaczy? – Poczła nagły zamęt w myślach, a dziwny lęk ścisnął ją za gardło.

– Chorzy nie wracają do zdrowia – powiedział ze wzrokiem wbitym w podłogę – a to nie jest gorączka pory deszczowej.

– Z czym więc mamy do czynienia? – Miała coraz gorsze przeczucia.

– Jedynie Weja i prorocy wiedzą...

– Chcesz wypróbować moją lojalność? – Uśmiechnęła się blado. – Przecież sama widziałam ozdrowieńców opuszczających pałac.

– Owszem, pierwsze ostre objawy ustępują po trzech dniach – spojrzał na nią i wtedy zobaczyła strach w jego oczach – lecz po chwilowej poprawie chorzy zaczynają marnieć, łapią ciężko oddech, męczą ich nieustające pragnienie i słabość. Później umierają. Gorączka znana nam od zawsze nie przynosi takich skutków, zatem pojawiła się nowa choroba, na którą nie mamy lekarstwa. I nic nie wskazuje na to, że zdołamy je znaleźć.

– Czy ty także uważasz – wskazała dłonią zamknięte drzwi, za którymi leżała nadal nieprzytomna Iia – że ona ją przyniosła?

Zamiast odpowiedzieć, tylko wzruszył ramionami.

Rozdział XIV

Podczas kolejnego lotu miała dziwny sen. Cichy szum silników, wygodny fotel i chwilowe poczucie bezpieczeństwa uspokoiły galopadę myśli. Bezwiednie osunęła się w stan z pogranicza jawy i snu.

Znalazła się w swoim domu na wzgórzu i wyglądała przez okno. Z niecierpliwością czekała na kogoś, kto miał lada moment się pojawić i wnieść odrobinę życia do zatęchłej atmosfery opuszczenia panującej od tak dawna w jej więzieniu.

Drzwi skrzypnęły rozdzierająco, nie potrafiła opanować radości na widok wchodzącego mężczyzny. W końcu się pojawił, a razem z nim upragniona przestrzeń i światło. Patrzyła długo na męską sylwetkę ukrytą w cieniu korytarza, serce zaczęło jej bić gwałtownie z radości. Zrobił krok i stanął w świetle słońca, zabłąkanym promieniu, który przedarł się przez postrzępione żaluzje. Poznała go. Kolana się pod nią ugięły, a lodowate macki strachu zdusiły oddech.

– Tu się schowałeś – powiedział z uśmiechem – mogłem się tego spodziewać.

Szedł w jej stronę. Nie miała dokąd uciec. Chciała krzyknąć, błagać, żeby zostawił ją w spokoju, ale słowa nie opuściły jej ust.

Był coraz bliżej, widziała krwawe błyski w tęczęwkach, czuła nawet znajomy zapach, który doprowadzał ją do szaleństwa.

– Przestraszyłem cię? – Delikatna szczupła dłoń spoczęła na jej policzku. – A może spodziewałaś się kogoś innego?

I Vic rozplakała się rozpaczliwie, zachłystując własnymi łzami.

– Proszę pani! – Młodziutka stewardessa delikatnie potrząsała jej ramieniem, wyglądała przy tym na przejętą i zdenerwowaną.

Zapewniła ją, że to był tylko zły sen i wszystko już jest w porządku. Ale nie było.

Przepisowo ubrana, starannie uczesana kobieta nie musiała o tym wiedzieć, dla niej istniał jedynie ten zwyczajny, normalny świat, który Vic opuściła bezpowrotnie w chwili, gdy odkryła cień i półmrok.

Nikogo nie obchodzę – pomyślała z goryczą.

Otaczała ją udawana troska, sztuczna sympatia, fałszywe zainteresowanie i puste pozbawione szczerości słowa. Grzeczność wliczona w cenę biletu.

Po wylądowaniu, wbrew swoim poprzednim planom, nie zatrzymała się na dłużej. Kolejne miasto stało się jedynie punktem na mapie, przystankiem, z którego złapała następny samolot. Zdawała sobie sprawę, że nie da rady do końca życia latać do wszystkich większych i mniejszych miast, łudząc się nadzieją, że uda jej się zatrzeć ślady. Po wizycie Michaela straciła nawet tę odrobinę naiwnego przekonania, że zdoła wyprowadzić w pole El'lara, który zawsze będzie czaił się krok za nią, gotowy udowodnić, jak bardzo się pomyliła, robiąc sobie z niego śmiertelnego wroga.

Rozpędzona karuzela lotnisk, kolejne hale odpraw, niewygodne krzeselka w poczekalniach, mijane obojętne tłumy i życie pomiędzy.

Austin, Richmond, Portland – nie zobaczyła żadnego z nich, zahaczając o nie w biegu, aby uciec od własnych koszmarów. Jakimś cudem dotarła do Chicago i wtedy powiedziała kategorycznie: dosyć. Po raz pierwszy, zamiast skorzystać z noclegu w hotelu obok lotniska, wyszła z hali i dotarła na postój taksówek.

Wietrzne miasto powitało ją gościnnie, bo miała mu wiele do zaoferowania. Zatrzymała się w jednym z najlepszych hoteli, słynącym z doskonałej ochrony, zrobiła zakupy, odwiedziła fryzjera i salon masażu.

– Skoro i tak wie, gdzie jestem, przynajmniej przed naszym spotkaniem zafunduję sobie odrobinę luksusu – pomyślała i zanurzyła się w świat hedonistycznych przyjemności.

Głos skomentował jej nowe hobby tylko jednym zdaniem:

– Poszukać pani mieszkania?

Zawahała się, nie miała zamiaru zatrzymać się na stałe w Chicago. Jeśli każdy zakątek Ziemi stał przed nią otworem, dlaczego trzymała się uparcie Stanów, które nagle zrobiły się za ciasne.

– Nie – odparła z przekonaniem – za dwa dni lecę do Londynu.

Zamiast komentarza usłyszała jedynie:

– W czym mogę pomóc?

Za to właśnie uwielbiała Głos.

Ustalili plan podróży, omówili szczegóły, porozmawiali o Kat i rozmowa dobiegła końca.

Za sukces można było uznać to, że już wcześniej przekonała go do swojej

nowej pasji – niekończących się podróży. Nawet nie zdziwił go fakt, że zamiast wybierać eleganckie hotele, wolała mieszkać w wynajętych mieszkaniach lub przydrożnych motelach, po prostu rezerwował wskazane miejsce i załatwiał konieczne formalności. Widocznie uznał Vic za jedną z tych ekscentrycznych bogatych kobiet, które nieustannie szukają przygód, ale zupełnie jej nie obchodziło, co myślał na ten temat. Ani na żaden inny. Płaciła mu, by wiedzieć, co dzieje się z jej dzieckiem, nie za wydawanie sądów.

Z trudem powstrzymała chęć wybrania znajomego numeru, obawa o los Jonathana i jego rodziny była dla niej nie do zniesienia, ale nie chciała prowokować kolejnej awantury.

Gdy dwa dni później, zgodnie z zapowiedzią, wsiadała na pokład boeinga, nikt nie rozpoznałby w niej zahukanej uciekinierki sprzed miesiąca. Ubrana w elegancką białą garsonkę, z naturalnymi jasnymi włosami i subtelnym makijażem wyglądała na kobietę sukcesu udającą się w interesach za ocean.

Zajęła swoje miejsce w kabinie pierwszej klasy i nagle przypomniał jej się pasujący do sytuacji tytuł filmu, który widziała dawno temu.

– Świat to za mało – pomyślała rozbawiona. – Spróbuj mnie teraz złapać.

Silniki warknęły i maszyna powoli zaczęła kołować. Tablicę rozjaśnił czerwony napis:

– Prosimy o zapięcie pasów.

Usadowiła się wygodnie, założyła słuchawki i pogрузzyła w rozmyślaniach.

– Pani Veronica Mallory? – Młody mężczyzna w uniformie stanął obok fotela.

Wzdrygnęła się nerwowo. Chyba nigdy nie zdoła się przekonać do tego obco brzmiącego imienia i nazwiska.

Skinęła potakująco, a steward wręczył jej białą kopertę.

Nie oczekiwała żadnej przesyłki od Głosu, wszystko zostało wcześniej omówione i dopiero w Londynie mogła się spodziewać dalszych instrukcji.

Pewnie w ostatniej chwili coś mu się przypomniało – pomyślała, ale jej umysł już włączył alarm.

Końcami palców wzięła kopertę, jakby brzydziła się dotknąć kawałka papieru.

– Kto ją panu dał? – Nagle odpowiedź na to pytanie stała się niezwykle istotna.

– Kazano mi doręczyć zaraz po starcie – odparł zmieszany. Poproszono go

o doręczenie zwykłej, na dodatek otwartej koperty, więc nie spodziewał się żadnych problemów.

Zrozumiała, że innej odpowiedzi nie będzie, poczekała, aż steward zniknie, żeby ostrożnie zajrzeć do środka.

Poczuła zapach wanilii i piżma.

W samolocie zapanowała kompletna cisza, umilkł dźwięk silników, rozmowy pasażerów, dialogi w puszczonej filmie, jedynie łomot jej serca roznosił się echem po całym pokładzie.

Z koperty wysunęła się złożona na pół kartka w kolorze écru. Otworzyła ją, choć już wiedziała, kto był nadawcą.

Starannym pochyłym pismem, które zdradzało nawykłą do kaligrafii rękę, napisał: „Miłego lotu”. Był jeszcze zamaszysty podpis na dole: „Doktor Barrow”.

Rozdział XV

KRONIKI WAMPIRÓW

Dni mijały powoli, Lia większość czasu przeleżała w łóżku pod troskliwą opieką Aedrina, który przynosił jej posiłki oraz zabawiał rozmową. Gdy tylko minęła gorączka i poczuła się lepiej, zaczęła się zastanawiać nad tym, w jaki sposób powinna go powiadomić o swoich uczuciach.

Pewnego poranka przyniósł śniadanie znacznie później niż zwykle. Widać było, że jest zmęczony i roztargniony. Próbowала z nim porozmawiać, ale zbył ją zdawkowymi grzecznościami. To ją rozgniewało.

– Wcale się mną nie interesujesz – powiedziała cierpko – gdybym umarła, nawet byś tego nie zauważył.

Spojrzał na nią zaskoczony podniesionym tonem i słowami, które brzmiały jak wyrzut.

– Jeśli czegoś potrzebujesz... – zaczął, ale przerwała mu zniecierpliwiona.

– Wiem, wiem, natychmiast dasz mi wszystko, czego chcę. – Spojrzała na niego chytrze. – A co, jeśli nie potrzebuję czegoś, lecz kogoś?

Przyglądał jej się przez chwilę. Bardzo nie podobało jej się to, co dostrzegła w jego brązowych oczach, jednak postanowiła zaryzykować.

– Mieszkamy pod wspólnym dachem, tylko ślepiec nie zauważyłby moich uczuć. – Zająknęła się, wypowiedzenie tych kilku słów okazało się trudniejsze, niż przypuszczała, a on najwyraźniej nie miał zamiaru niczego jej ułatwiać. – Zajęcie miejsca u twego boku byłoby dla mnie zaszczytem, chciałabym cię uszczęśliwić, wspierać na dobre i złe. Na zawsze. Czy myślisz o mnie w ten sposób?

Odsunął się i odłożył na bok srebrną tacę. Uniosła się nieco na łokciach, żeby obserwować dokładnie, co robi, wewnątrz drżała, niepewna, jaką usłyszy odpowiedź.

Była krótka. Ostateczna.

– Nie – powiedział, po czym nie zwracając uwagi na jej reakcję, wyszedł z pokoju.

Tego się nie spodziewała, opadła na poduszki, a łzy zawodu i ponizenia popłynęły po policzkach.

Iia nie знаła strasznej tajemnicy Aedrina, którą nosił szczelnie zamkniętą w najgłębszych zakamarkach duszy. Tajemnicy – w jego mniemaniu – tak strasznej, że uczyniłby wszystko, aby nigdy nie ujrzała światła dziennego.

Od zawsze był zakochany w Tei, żonie swojego brata, choć określenie „zakochany” w żaden sposób nie oddawało skali jego uczuć. Śnił o niej nocami i na jawie, wielbił ziemię, po której stąpała, upajał się dźwiękiem jej głosu, toteż możliwie najrzadziej – prawie balansując na granicy lekceważenia – bywał u nich w domu. Bał się, że zdradliwe spojrzenie, nieopatrzone słowo może naprowadzić kogoś na trop jego mrocznego sekretu.

W konsekwentnym unikaniu wizyt, odmawianiu udziału w hucznych biesiadach wyprawianych przez brata posunął się tak daleko, że wzbudził zgoła odmienne podejrzenia.

– Twój brat chyba mnie nie lubi – poskarżyła się pewnego dnia Ha’garthowi Tea. – Kolejny raz odmówił, gdy zaprosiłam go na święto Weji. Porozmawiaj z nim, nawet jeśli nie darzy mnie sympatią, nie powinien unikać kontaktów ze swoją rodziną, wiesz przecież, jak Set go uwielbia.

– Nigdy nie pochwalałem twojego małżeństwa – odpowiedział Aedrin bratu, co więcej, była to szczerą prawdą.

O nie, zdecydowanie nie pochwalał, bo był wręcz boleśnie zazdrosny o każdą chwilę, którą Tea spędzała w ramionach swojego męża. Pojawienie się Obcej i obowiązki związane z opieką nad nią stały się wygodnym pretekstem, by całkowicie odciąć się od rodziny oraz wspólnych znajomych.

Wbrew obawom Ya’reana znał swojego brata, szczególnie jego rozliczne wady, małostkowość, żądzę władzy oraz skłonność do intryg. Cały czas miał nadzieję, że Tea przejrzy na oczy i w końcu go zostawi, lecz niestety ich małżeństwo zdawało się rozkwitać, a przyjście na świat jedynego dziedzica ugruntowało tylko ich wzajemną więź.

W ten sposób Aedrin nabawił się podwójnego poczucia winy: za grzeszne uczucia wobec żony brata oraz za nienawiść, która gdzieś po drodze zastąpiła braterską miłość i przywiązanie.

W głębi serca nie mógł mu darować, że w ów dzień, gdy lekkomyślnie pokazał mu Teę, Ha’garth zdecydował się stanąć z nim w szranki, podjął

rywalizację o względy kobiety, dla której Aedrin bez wahania oddałby życie. Nieświadoma wywołanego wrażenia bawiła się wtedy ze swoimi przyjaciółkami, a jej uroda jaśniała niczym Gwiazda Wędrowców na nocnym firmamencie.

– Spójrz – powiedział, chociaż gdyby potrafił przewidzieć dalszy bieg wydarzeń, wolałby odgryźć sobie język – to najmłodsza córka Horna, Tea.

– Podoba ci się? – zapytał węzowy język, rodzony brat i pomiot demonów.

– Oby z woli bogów kiedyś została moja – odparł wpatrzony w dziewczynę Aedrin.

To wystarczyło.

Ha'garth zmierzył go rozbawionym wzrokiem, podszedł do niej i zaczął roztaczać swój urok, któremu do tej pory nie oparła się żadna kobieta. Także Tea nie pozostała obojętna i rychło publicznie ogłosili swój związek. Do tej chwili Aedrin miał nadzieję, że to perfidia oraz chęć udowodnienia swojej wyższości popchnęły Ha'gartha do rozpoczęcia starań o dziewczynę, ale gdy osiągnie swój cel, znudzi się i odstąpi. Tak się nie stało.

Ślub tych dwojga był dla niego dniem żałoby, nie mógł... nie chciał pogodzić się z utratą miłości swojego życia. Wierzył, że w ramiona córki Horna popchnęło go przeznaczenie, dlatego nigdy nie zaakceptował – w jego mniemaniu lekkomyślnego – wyboru, jakiego dokonała. Bezlitośnie mijające zimy podkopały fundament słabnącej nadziei, jednak nigdy nie pozbył się marzeń. I nie potrafił zapomnieć.

Otoczenie miało mu za złe, że tolerował wszystkie wybryki Ha'gartha, popierał na posiedzeniach Rady, często, może nawet zbyt często, próbował tłumaczyć karygodne postępowanie, które zawsze miało jeden cel – osiągnięcie własnej korzyści, lecz nikt nie zdawał sobie sprawy, ile naprawdę kosztuje go udawanie braterskiej więzi, ostatecznie pogrzebanej podczas przeklętej ceremonii ślubnej.

Aedrin uchodził za człowieka wyjątkowo powściągliwego w krainie, która ze wstrzeмиęźliwości uczyniła najwyższą wartość, wśród ludzi tak opanowanych i chłodnych, że zdawali się w ogóle pozbawieni emocji. Wszystkie uczucia zamykał w sobie głęboko, na samym dnie duszy. Tam buzowały, wrzały nieustająco, wikłając go w trudne wybory, grę pozorów i doskwierającą obłudę. Szlachetny Aedrin, według Ya'reana wzór honoru, skrywał wewnątrz jątrzącą się ranę, która była konsekwencją życia opartego na wiecznym kłamstwie. Dlatego w ramach wyznaczonej sobie pokuty bez

protestu przyjął Obcą pod swój dach i opiekował się nią troskliwie.

Oczywiście widział, co czuła jasnowłosa, w gestach, przypadkowych słowach dostrzegał echo pragnienia, które ją spalało. Nawet przez chwilę krótszą niż błysk gromu pomyślał, że mógłby w jej ramionach oszukać tęsknotę, zapomnieć o Tei, ale szybko porzucił tę myśl. Nie potrafił w swoim sercu wzbudzić niczego, choćby śladu pożądania. Bał się, że próbując znaleźć ucieczkę z pułapki, w której od tak dawna tkwił, zbudowałby kolejny związek oparty na następnym oszustwie i unieszczęśliwiłby ich oboje. Dlatego we wzajemnych kontaktach starał się utrzymywać dystans. Najwyraźniej nawet to mu się nie udało.

Zdawał sobie sprawę, jak bardzo zranił Iię, bo – o czym sam się dotkliwie przekonał – odtrącenie boli zawsze, każdą ze stron, choć z różnych powodów. Jednak nie znalazł w sobie współczucia koniecznego, żeby zmienić decyzję.

Od ponurych rozważań wybawiło go nagłe wezwanie do pałacu. Sprawa była pilna, goniec nalegał na pośpiech. Aedrin ucieszył się, że wraca do swoich obowiązków, był przecież dowódcą gwardzistów słynącym z odwagi i żelaznego charakteru, a nie poetą usychającym z miłości.

Kiedy stanął w progu wielkiej sali, zdziwił go tłum kłębiący się koło podwyższenia, na którym zwyczajowo zasiadał ka'hete. Pośród morza głów nie było prawie widać drobnego starca na drewnianym tronie.

Im bliżej podchodził, tym wyraźniej docierał do niego gniewny ton, jakim przemawiali.

- Przekleństwo!
- Klątwa!
- Żądamy zemsty!

Wykrzykiwane słowa układały się w napastliwy pomruk.

Zaczął się bezceremonialnie przepychać, aż dotarł do stóp podwyższenia, tam odwrócił się i zapytał głośno.

- Z czym przybyliście?

Kilku odważnych zaczęło mówić jeden przez drugiego, a chór dopowiadał. Hałas, który powstał przez echo porywające ich głosy i odbijające się od ścian, był nie do zniesienia. Aedrin spojrzał na starca, ten natychmiast zrozumiał i sięgnął po swoją laskę, donośny metaliczny dźwięk przebił się przez wrzawę. Uciszył podniesione głosy.

- Złamaliście panujący zwyczaj – powiedział cicho, prawie szeptem,

dowódca gwardzistów, ale usłyszał go nawet ostatni szereg. – Obstąpiliście Ya'reana niczym rajcujące baby przy studni. Gdzie się podziały wasze obyczaje? Należy wezwać strażę, by wam o nich przypomniały?

Tłum zafalował i cofnął się o krok, wizja przywołania groźnych strażników pałacu podziałała chłodząco na rozpalone gniewem głowy.

– Jeśli macie jakieś roszczenia, możecie je zgłosić do ka'hete osobiście i pojedynczo – położył nacisk na ostatnie słowo – albo zwołać Radę. Nie widzę tu jednak jej przedstawicieli. Czyżby nagle obywatelom przestały się podobać zasady panujące w Agharze? Zasady, które sami ustanowili i przyjęli?

– Rada! Zwołajmy Radę, niech wszyscy się dowiedzą! – zaczęło krzyczeć kilku dogłębnie oburzonych mieszkańców.

– Dlaczego żądacie obrad? – Nadal był spokojny.

– Zło pojawiło się w mieście – krzyknął któryś.

– Tak – zawtórował mu inny – spadła na nas klątwa.

– Z tego powodu zakłóacie spokój całego miasta, łamiecie prawo? – Aedrin silił się na cierpliwość. – Mamy uchwalić, że owo zło należy przegnać, a klątwę odwrócić?

Najwyraźniej jego słowa trafiły w sedno, bo rozentuzjasmowany tłum przyklasnął ochoczo, głuchota na wyraźny sarkazm była dowodem, że emocje sięgnęły już niebezpiecznego pułapu.

Powinienem uważać – upomniał się w duchu – w końcu horda rządzi się własnymi prawami.

Niewłaściwy komentarz, przypadkowe zdanie mogły zainicjować działania, nad którymi nikt nie byłby w stanie zapanować. Teraz najważniejsza stawała się gra na czas.

– Zwołamy radę najszybciej, jak to będzie możliwe. – Odwrócił się do Ya'reana i mrugnął znacząco. – Jednak zanim rozpoczniemy obrady, chciałbym wiedzieć, kto spośród was wystąpi jako mówca?

Ludzie rozejrzeli się między sobą, zapadła pełna konsternacji cisza. Wtedy na czoło wysunął się krępy mężczyzna o szerokich ramionach i silnych dłoniach. Aedrin poznał go od razu, był to kowal Daren, człowiek słynący do tej pory raczej ze spokojnego usposobienia.

– Przemówię – powiedział pewnym głosem – w imieniu wszystkich.

– Zatem przedstaw nam swoje racje, abym mógł je poznać.

– Z całym szacunkiem, panie – schylił się układowie w stronę Aedriny, ale

nie spuścił z niego czujnych oczu – nie zasiadasz jeszcze na tronie ka’hete. Nie tobie się będziemy spowiadać z naszych uczynków.

Z drewnianego prostego tronu podniósł się Ya’rean, złapał laskę i trzymając ją ponad głową, zaprezentował zgromadzonym.

– Aedrin jest tu z mojego polecenia – oznajmił mocnym, gniewnym głosem. – Traktujcie go z szacunkiem przynależnym dowódcy gwardii. Poznałem wasze racje, żądam jednak, byście przedstawili sprawę raz jeszcze.

Daren nie wydawał się zbity z tropu słowami starca, kiwnął głową na znak zgody, jakby ostentacyjnie akceptował jego prośbę. I lekceważył rozkaz.

Zapachniało buntem.

– Obca, którą wbrew opinii większości wpuściliście za bramy, sprowadziła na nas klątwę – podjął donośnie, pewien poparcia otaczających go ludzi. –

Zaczęło się od gorączki wiosennej. Uzdrowiciele uspokajali, że to ta sama choroba, która przychodzi co roku, jednak się mylili. Żaden z nieszczęśników nie wrócił do zdrowia – znacząco zawiesił głos. – Wczoraj pochowałem dwóch moich czeladników, czy trzeba wam lepszego dowodu? Każdy z nas na własne oczy widzi, co się dzieje. Chorzy wracają do domów uznani za wyleczonych, jednak zamiast nabierać sił, marnieją, jakby schli od wewnątrz. Nie znaleźmy do tej pory takich przypadków, więc nikt nie może im udzielić pomocy. Pytamy, skąd się wzięła choroba, co ją wywołało? I znamy odpowiedź. Zarazę przyniosła Obca. Niech ją ogień pochłonie!

Skończył, a tłum przytaknął mu zgodnym chórem. Aedrin miał ochotę z całych sił rąbnąć w tępy pysk rozochoczonej burdą, ale opanował złość, wiedział bowiem, czyje słowa powtarza naiwny kowal.

– Pamiętacie? Gdy nadchodziła kobieta z równin, zapytaliśmy o nią proroka – odparł spokojnie. – Wszyscy słyszeliście, jak żądał, abyśmy udzielili Obcej schronienia. Sugerujesz zatem, że klątwę sprowadzili bogowie? Ich plan obejmował wprowadzenie zarazy i wygubienie mieszkańców Agharu? Jeśli nie jest to bluźnierstwo, naprawdę nie wiem, czym są twoje oskarżenia?

Daren szarpnął się, słysząc to, i już otwierał usta do odparcia zarzutów, gdy koło niego wyrosła wysoka postać o ciemnych włosach.

Tylko jego tu brakowało – pomyślał Aedrin na widok swojego brata – teraz może być już tylko gorzej.

I nie pomylił się.

– Zaraza, jak ją zaczęliście między sobą nazywać – Ha’garth spojrział mu

w oczy wyzywająco – nie jest klątwą, lecz darem. Wielu po cichu szeptało o nawiązaniu kontaktów z mieszkańcami równin – podniósł głos – wielu mówiło o wymianie, handlu i wzajemnej pomocy, jakby byli nam równi. My, mieszkańcy dumnego Agharu, chcieliśmy sojuszu z barbarzyńcami! Prędzej czy później przyjęlibyśmy ich obyczaje, nauczyli się uprawy roli i wypasu bydła – rosnący, cichy pomruk był odpowiedzią na jego słowa – porzucilibyśmy naszych bogów i zastąpili śmiesznymi wierzeniami pasterzy. Dobrze, że Weja ustami proroka przekazała nam swoją wolę. Bogini, matka wszelkich istot, dała nam wszystkim bolesną lekcję, pokazała, czym skończą się marzenia szaleńców szukających przyjaciół na równinach. Odebraliśmy ją z pokorą – pochylił głowę przed Darenem – a najmędrsi zrozumieli jej cel.

Odwrócił się w stronę Ya'reana i zrobił coś, na co nie poważyłby się nikt z obecnych – lekko wskoczył na podwyższenie i klęknął, unosząc ramiona w geście modlitwy. Tłum zamarł.

– Najszlachetniejsza z istot, najmędrsza z bogiń, przyczyno wszelkiego życia, dziękujemy ci za ostrzeżenie. – Podniósł się z klęczek, ale nie opuścił rąk. – Nie zmarnujemy twojego przesłania, jednak wystarczy nam już zmarłych. Pora zakończyć zarazę... I wiemy jak.

Pomruk zaczął narastać, kilku bardziej zapalczywych awanturników także znalazło się na klęczkach.

Aedrin chyba po raz pierwszy w swoim życiu poczuł cieniutkie strużki potu płynące po plecach i zaczął się bać. Na jego oczach Ha'garth wyrastał na przywódcę buntu, który za jednym zamachem mógł zmieść autorytet ka'hete, prawo oraz ład do tej pory obowiązujące w społeczności. Stawał się płomieniem, w którym – wbrew woli proroków – spłonie Iia.

Obaj wiedzieli, że los kobiety z równin w ogóle go nie obchodził, zależało mu wyłącznie na zdobyciu siły, którą dawało mu pospólstwo, otwierając swoje umysły na jego pozornie szalone idee. Tym razem jednak posunął się za daleko.

– Bracie – Aedrin zwrócił się do niego bezpośrednio – od kiedy tłumaczysz myśli i zamiary bogini lepiej niż jej prorocy? Może stałeś się jednym z nich?

Zamiast mu odpowiedzieć, Ha'garth roześmiał się głośno.

– Obca jest gościem w domu Aedriny – tym razem to Daren przystąpił do ataku. – Jaką mamy pewność, że dowódca gwardii nie uległ jej urokowi?

– Oto jest pytanie – oblicze Ha'gartha nie wyrażało żadnych emocji – czy

ten wojownik zgodnie z nakazem honoru stanie na straży waszego bezpieczeństwa, czy może poprzez racje zniedołęźniałego starca, bo miłość do kobiety odebrała mu jasność widzenia, zaćmiła umysł i skaziła tchórzostwem?

Po tych słowach Aedrin zacisnął zęby i odprowadzany szeptami, uśmieszkami, złośliwymi komentarzami bez słowa opuścił salę. Gdyby tego nie zrobił, przed wieczorem wdowy oplakiwałyby wielu mężów, wśród nich byłaby jedna o kruczonych włosach. Stałby się w jej oczach zwykłym mordercą, najgorszym wrogiem, który odebrał ojca ukochanemu synowi. Dlatego nie wyrwał bratu języka ani nie skrzył mu karku.

Jasnowłosa dzikuska czekająca na niego zostałaby bez opieki, zdana na niełaskę tłumu, który po omacku szukał winnego. Ta śmierć skalaby jego duszę, byłaby świadectwem, że nie dotrzymał przysięgi złożonej przed tronem ka'hetu. Dlatego nie zażądał od kowala zapłaty za zniewagę, krwawego rachunku za nazwanie go zdrajcą.

Dla mieszkańców Agharu na wieki pozostałby człowiekiem, który krwią nieszczęsnych rodaków szukających pomocy zbrukał świętą salę pałacu. Dlatego nie wrócił z mieczem i nie dokończył rozmowy na swoich warunkach.

Wiele wysiłku kosztowało go założenie wędzidła na szalejące emocje. Bezkarne nazwano go tchórzem, praworządność określono jako zdradę, a on po prostu wyszedł i zamknął za sobą drzwi. W duchu poprzysiął im zemstę, ale nie ugasiło to furii, która wkradła mu się do umysłu i zagotowała krew w żyłach. Odwlekanie, knucie, żywienie zapiekłych uraz było domeną Ha'gartha, dla dowódcy gwardzistów istniała wyłącznie prosta i uczciwa droga miecza. A sprawiedliwość zawsze odnajdywał na drugim jej końcu. Dotarł do domu, nie oglądając się za siebie, było mu prawie obojętne, czy rozjuszony tłum podąży za nim. Podejrzywał jednak, że brat upojony świeżo zdobytą chwałą przywódcy będzie się jeszcze popisował, wygłaszając patetyczne oracje, przecież tak bardzo chciał pokazać Ya'reanowi swoją siłę i nowo narodzony autorytet.

Aedrin wpadł do pokoju Iii, nie zadając sobie trudu zapukania do drzwi. Dziewczyna cicho łkała do poduszki, ale gdy podniosła oczy, szloch zamarł jej na ustach, bo w spojrzeniu Aedriny zobaczyła strach.

Rozdział XVI

Londyn mignął jej w oczach, pozostając jedynie nazwą portu lotniczego. Stała chwilę przed tablicą odlotów i zastanawiała się nad kolejnym posunięciem. Paryż, Rzym, Zurych pominęła jako zbyt oczywiste.

Podświadomie czuła, że jej mała córeczka jest gdzieś w Europie. Ogólniki sprzedawane jej przez Głós tylko ją w tym utwierdzały. Podejrzane były Francja, Szwajcaria, Anglia – tamtejsze szkoły prywatne potrafiły dotrzymać powierzonych im sekretów na równi z poziomem nauczania. Dlatego wolała trzymać się z daleka od miejsc, które mogłyby doprowadzić wampiry do Kat.

Spojrzała na listę odlotów i podjęła błyskawiczną decyzję. Ze wszystkich miejsc Sztokholm wydawał się najbardziej intrygujący. Nieprzewidywalny.

Kupiła bilet, zadzwoniła do Głosu, krótko informując o zmianach planów, i niecałe dwie godziny później z powrotem siedziała w wygodnym fotelu pierwszej klasy.

List od El'lara ostatecznie jej uświadomił, że nie ma miejsca na ziemi, gdzie mogłaby się ukryć. Znał jej nowe nazwisko, potrafił bezbłędnie odszukać ją w największych miastach, przewidywał plany i wyprzedzał każdy ruch, jakby lepiej od niej wiedział, co zrobi za chwilę. Gdyby miała do czynienia z człowiekiem, mogłaby podejrzewać, że wszczepił jej chip, za którego pomocą dokładnie ją namierza.

Wyjechała z Los Angeles, łapiąc pierwszy samolot, po drodze do Chicago kilkakrotnie – na zasadzie przypadku – odwiedzała różne miejsca. Wtedy powinien zgubić jej ślad, tymczasem chaotyczna trasa ucieczki okazała się dla niego tak prostą zagadką, że zdążył ją rozwiązać, zanim poczuła się zbyt pewnie.

W Londynie spanikowała, lecz – obiecała sobie – był to ostatni raz, gdy strach wziął górę i zmusił do porzucenia planów.

Teraz – pomyślała z oczywistą w tej sytuacji dawką fatalizmu – przynajmniej obejrzę sobie stary kontynent.

Odpuściła i przestała się stresować.

Inną fascynującą kwestią, która zaprzętała jej umysł podczas krótkiego lotu

do Sztokholmu, było zagadnienie związane ze sposobem przemieszczania się wampirów. Łądem, owszem, statkami – wykonalne, choć czasochłonne, ale czy latają samolotami?

Skoro były nieodporne na światło dnia, nie powinny ryzykować długich transatlantyckich podróży. W takim przypadku list byłby wyłącznie skądinąd udaną próbą zastraszenia lub wpędzenia jej w paranoję. Jednak jeśli znał sposób, by bezpiecznie znaleźć się po drugiej stronie oceanu, rozpaczliwe próby zatarcia za sobą śladów były śmieszne i całkowicie bezcelowe.

Miała zatem dwa wyjścia: albo do końca życia pozostawać w drodze, albo przyjąć do wiadomości, że wszystkie jej wysiłki są pozbawione sensu, i poczekać na nieuniknione. Z jakiegoś powodu to drugie rozwiązanie urzekło, a przy okazji pozwalało nacieszyć się zmianami. Poczuć klimat mijanych miejsc.

I znów skończyło się wyłącznie na dobrych chęciach, bo szczerzy zamiar zatrzymania się na dłużej w Sztokholmie spalił na panewce. Miasto przegnało ją po kilku dniach chłodem podstępnie wkradającym się do kości oraz nieustanną mżawką. Szare ulice, ludzie chowający się pod parasolami i opustoszałe place podziały na nią zbyt depresyjnie.

To w ogóle nie był dobry czas na podróż. Jesień nie miała nic pociągającego do zaoferowania oprócz nawracającego wspomnienia po lecie. Zmieniła więc rejon i przeniosła się do Pragi, która mimo paskudnej pogody zrobiła na niej niesamowite wrażenie. Może była to zasługa mgły, może oczarował ją klimat miasta zatrzymanego w czasie, gdzie życie płynie spokojnie, w każdym razie postanowiła pomieszkać tu przez chwilę.

– Tydzień – bez wahania odparła na pytanie recepcjonisty o planowany czas pobytu w hotelu.

Od deski do deski przeczytała przewodnik, w ciągu pierwszych dni nie rozstając się z mapą, za punkt honoru pociążyła sobie zaliczenie obowiązkowego programu dla turystów, ale czwartego dnia odłożyła go na półkę, by odkryć miasto na własny sposób. Często przystawała na brzegu leniwej Wełtawy, która przecinała miasto na pół. W jej ciemnozielonej toni odbijały się budowle wyrosłe na brzegach i parki z drzewami pochylającymi się z troską nad rzeką toczącą swoje wody tak wolno, że nurt był widoczny jedynie w miejscach, gdzie ręka ludzka ustawiła niewielkie kaskady.

Oba brzegi spinały liczne mosty, niektóre ze stali, potężnych śrub i przęseł, inne kamienne, bogato rzeźbione, na czele ze sławnym mostem Karola. Po

jego jednej stronie rozłożyło się stare miasto, z wieżą ratusza, na której wisiał zegar Orloj. Zagadkę jego cyferblatu rozgryzło niewielu dociekliwych – ponoć w głównym mechanizmie twórcą ukrył sekretne przesłanie, ale zegar był jak Praga, czasem wyrazisty, innym razem niedopowiedziany, w milczeniu strzegący swoich tajemnic.

Na drugim brzegu, na Malej Stranie, ukryty wśród malowniczych domów i starych drzew okupujących opuszczone skwery, znajdował się hotel, w którym zamieszkała. Wybrała go starannie spośród wielu ofert przedstawionych przez Głos, ponieważ nie próbował jej olśnić marmurowym holem lub złotymi sztukateriami. Utrzymany w tonie subtelnej elegancji ani myślał korzyć się przed nowobogackim gustem. Stare, szlachetne drewno, tłumiące hałas dywany i cisza, która była jej niezbędna do życia, stanowiły jego główne atuty oprócz oczywiście znakomitej ochrony oraz lokalizacji. Położony w ścisłym centrum, równocześnie stał dość daleko od gwarne go rynku wiecznie wypełnionego tłumami.

Specjalni goście doceniali jego nobliwy urok, otoczeni niezauważalną opieką wyszkolonego personelu czuli się swobodnie – niemal jak w domu. Późnym wieczorem wracała do niego z ulgą, zostawiając za sobą wielojęzyczny gwar i ulice zakorkowane turystami, uciekała przed nachalnością licznych klubów, restauracji i barów, które ożywały przed zmierzchem, rozświetlając mapę nieba migotliwymi punktami. Bo miasto nocą zmieniało swoje oblicze.

Uwielbiała ten klimat późnego wieczoru, który zatapiał w mroku dachy, pozwalając dojść do głosu rozbawionym suterenom i piwnicom. Wtedy otwierała się inna Praga, pełna ciemnych pustych zaułków i wąskich uliczek, na które spoglądały ślepe oczy okien zabitych deskami. To był świat latarni gazowych oświetlających swoim zielonkawym blaskiem place zaginione w czasie, a ich mdłe światło pozostawiało miejsce dla domysłów i legend ożywających tylko nocami.

Zachwyceni autorzy bedekerów określali Pragę mianem złotej, choć wśród dachów i murów próżno byłoby szukać tego koloru, jednak w świetle dogasającego dnia wyobraźnia Vic odkrywała złote błyski zakłete w cokołach skruszonych przez czas, starych, spróchniałych ramach czy miedzianych rynnach przeżartych przez rdzę.

Tak naprawdę Praga była czerwona. Miasto migotało karminem dachówek barokowych kościołów, renesansowych kamieniczek oraz nobliwych

mieszczkańskich domów, w ten elegancki sposób przypominając o swojej krwawej historii. Po stuleciach mroku z powrotem lśniła własnym niepowtarzalnym blaskiem. Teraz była miejscem, w którym artystyczne dusze poszukiwały natchnienia, romantycy zapatrzeni w przeszłość odnajdowali ślady sprzed wieków, różnej maści włóczyki na dobre znikali połknięci przez labirynty uliczek i placów. A miłośnicy tajemnic schodzili pod ziemię, by zatracić się w tunelach i katakumbach, których przeznaczenia nikt jeszcze nie odkrył.

Podczas swoich spacerów Vic dotarła do miejsca, skąd rozciągała się najpiękniejsza panorama miasta. Ze szczytu petrńskiego wzgórza miała widok na całą okolicę, od ściśniętej zabytkowej części aż po nową, zagarniającą długimi ramionami kolejne tereny pod nowoczesne biurowce i osiedla. Stąd Praga przypominała morze czerwieni rozlanej przez puentylistę, skrzącej się w ostatnich promieniach słońca, które pozłacało korony starych dumnych dębów i grabów w parkach Malej Strany.

Niepostrzeżenie tydzień zamienił się w dwa i nadal nie miała ochoty wyjeżdżać. Zadomowiła się na dobre. Rano zaczynała dzień od śniadania w małym barze koło klasztoru loretanek, później snuła się wąskimi uliczkami do popołudnia, w dzielnicach zapomnianych przez turystów szukała odpowiedniego miejsca na obiad, a wieczorem pozwalała sobie na lampkę wina w ulubionej restauracji pod mostem Karola.

I każdego dnia coraz mocniej żywała się z miastem, jego atmosferą – tak różną od znanych jej rozpędzonych metropolii – ciszą, której nie były w stanie zakłócić hordy najeźdźców przewalające się niczym fala przyboju od Hradczan po rynek. Co najdziwniejsze – przestała jej doskwierać samotność. Zaakceptowała ją jak niechcianego towarzysza podróży, polubiła i nauczyła się cieszyć z małych radości, które od czasu do czasu prezentował jej los: kwiatów w ogrodzie botanicznym, smaku kawy na Wyszehradzie, ostatnich słonecznych dni, muzyki Dvořáka, dźwięku dzwonów kościelnych, koncertów na moście i szumu Weławy.

Kiedy wreszcie przestała uciekać, odpuściła, poczuła się wolna. Nie było to odczucie równoznaczne z rezygnacją lub poddaniem się, przypominało raczej pogodną akceptację, zrobiło jej się wszystko jedno, czy na małym placyku, czy w podcieniach kamienicy, a może pod parasolem ulicznej kafejki natknie się na swoje przeznaczenie. Jeśli miało ją odszukać, to Praga była wymarzoną miejscem na dokończenie dawnych spraw.

Wędrowała sama przez miasto pogrążone w mroku, lekceważąc ostrzegawcze upomnienia rozsądku, ponieważ miała serdecznie dosyć jego tyranii. Dusił ją od miesięcy, mając iluzję bezpieczeństwa, teraz więc na przekór wybrała wolność, nawet jeśli oznaczała śmiertelne ryzyko. I tak wszystko było lepsze niż życie w klatce nieustannego lęku.

Zamiast przejmować się nieodgadnioną przyszłością, lepiej było skonkretyzować i uprościć swoje plany. Stary kontynent miał wiele ciekawych rzeczy do pokazania i zaoferowania, takich jak praskie Hradczany i Wyszehrad, spoglądające czujnie ze swoich wzgórz ku tętniącym życiem, choć jednocześnie zaskakująco nieśpiesznym ulicom. W zastygłym trwaniu widziały więcej niż wiele innych twierdz, jednak zamknęły się w wyniosłej ciszy. Kamień, którego lico wytarły nieubłagane wiatry czasu, spokojnie stał na straży miasta, jak zwykł to czynić od setek lat.

Mała kawiarnia w wyszehradzkim parku, ukryta wśród winorośli i zasłonięta ceglany murem, stała się jednym z jej ulubionych miejsc. Codziennie wpadała tam na kawę i przeglądała kupioną po drodze prasę, aż pewnego dnia zamiast z niepokojem wczytywać się w kolejne złe wiadomości, zabrała ze sobą książkę. Rytuał dopiero wtedy nabrał sensu.

Trzeci tydzień jej pobytu, wypełniony takimi niewielkimi przyjemnościami, minął prawie niezauważenie. Głos, zaskoczony wiadomością, że jeszcze zostaje, zapytał, czy powinien rozejrzeć się na rynku praskich nieruchomości. Niemal ją tym rozbawił.

Tamtego popołudnia wróciła do hotelu zmęczona włóceniem się po mieście, wzięła szybki prysznic i położyła się na chwilę, bo wrócił ból głowy, jak miał w zwyczaju od czasu do czasu, i tęnym pulsowaniem przypomniawszy o swoim istnieniu. Nie pozwalała mu jednak nigdy w pełni rozwinąć skrzydeł, połknęła od razu dwie tabletki, uchyliła okno, położyła się i ku własnemu zaskoczeniu natychmiast zasnęła kamiennym snem.

Znalazła się pośrodku niewielkiej sali, w której nie było drzwi ani okien. Ściany poprzecinane dziwaczными symbolami zdawały się napierać, zawłaszczając ciasną przestrzeń.

Znikąd pojawiła się szachownica, zaczęła się rozrastać, aż wypełniła środek pomieszczenia i wtedy powietrze nad planszą zadrgało. Pokazały się palce, które przestawiły pionek. Gra się rozpoczęła...

Przecież nie znam zasad! – pomyślała z rosnącą paniką.

Wiedziała – po prostu, jak to zazwyczaj bywa w snach – że wyjście z sali

uzależnione jest od przebiegu rozgrywki, więc na odczepne podniosła figurkę, przyjrzała jej się uważnie i postawiła na jakimś polu.

Palce nabrały kształtów, zamieniając się w dłoń, z szachownicy na posadzkę spadła drewniana postać, lecz zanim dotknęła kamieni, stała się człowiekiem. Potwornie okaleczone ciało lśniło od potu, mięśnie napięte do granic wytrzymałości wyzierały spod zniszczonego ubrania. Twarz przypominała bardziej poszarpany, krwawiący ochłap.

– Nie będę dalej grać! – wrzasnęła porażona tym widokiem. – Nie umiem!
Ale oprócz zwielokrotnionego echa jej protestu nic się nie zmieniło.

Dłoń wisząca nad biało-czarnym kwadratem trwała w oczekiwaniu. Vic rozpaczliwie próbowała sobie przypomnieć strzępy wiedzy na temat szachów, ruchy zapamiętane z różnych filmów. Skoncentrowała się i przesunęła pionek.

Błyskawiczna odpowiedź dowiodła, że mierzy się z pewnym siebie przeciwnikiem, który przemyślał każdy swój ruch, zaplanował w detalach przebieg potyczki. Dłoń zamieniła się w ramię, gdy zbijał kolejną figurę.

Drewniana rzeźba, spadając, stała się mężczyzną w średnim wieku o zaskakująco znajomej twarzy. Na piersi miał głęboką ranę, z rozerwanego gardła płynął strumień bulgoczący czerwienią.

Zaczęła krzyżeć, chciała przewrócić szachownicę, uniemożliwiając przeciwnikowi dalszą grę, ale nic to nie dało, tak samo jak zrzucenie figur, które natychmiast milczącym szeregiem wróciły na swoje miejsca. Wszelkie próby przerwania pojedynku kończyły się fiaskiem. Przesunęła jakiś pionek, straciła wieżę, za to ramię osadziło się w szerokim barku.

Kolejne ciało osunęło się jej do stóp.

– To tylko sen – powtarzała w myślach – głupi koszmar, który zaraz się skończy. Natychmiast się obudź!

Bez efektu.

Postanowiła nie zwracać uwagi na ofiary, lecz okazało się to trudne do wykonania. Gdy kładła figury niezgodnie z zasadami, ręka cofała jej ruch i kiwała ponagląco. A ona niemal za każdym razem traciła swoich.

Starła się całą uwagę skupić na istocie powstającej z próżni, widziała już tułów, zmaterializowaną drugą rękę i nogi. Na szachownicy pozostało niewiele czarnych postaci.

Zupełnie zrezygnowała z walki, chociaż w gruncie rzeczy bała się tego, co się stanie po przegranej. Wszystkie jej pionki padły, biali murem otoczyli

ostatnie figury.

Postać nabierała kształtów, pojawił się zarys głowy, gdy na polu został tylko król. Przeciwnik zastawił na niego pułapkę, w którą ten dał się złapać jak niesforna mucha wpadająca w sidła wielkiego pająka. Twarz nabrała znajomych rysów.

– El’lar – szepnęła, gdy upadał król.

Wampir uniósł miecz i przeciął figurę razem z szachownicą.

Nie czuła bólu, tylko obezwładniającą świadomość, że umiera. Wtedy dopiero się ocknęła, spocona z wrażenia i oziębiała. Właściwie nie chciało jej się już nigdzie wychodzić, ale wyjrzała przez okno i zmieniła zdanie, bo wiał przyjemny orzeźwiający wiaterek, ulice rozjarzone blaskiem latarni zachęcały do wieczornego spaceru, a filiżanka mocnej kawy kusiała. Poza tym to był dobry sposób na wymazanie wspomnienia po koszmarze.

Założyła ciepłą kurtkę, przyglądała niesfornym włosom i poszła do ulubionej restauracji, gdzie jak zwykle uprzejmy kelner uśmiechnie się na jej widok i przyniesie lekarstwo na wszelkie troski – kieliszek białego wina.

Na miejsce dotarła parę minut po siódmej. Niewielki stolik przy ścianie, który w myślach nazwała już swoim, był pusty. Usiadła, rozglądając się ciekawie.

Panował niezły tłok, ale nie można się było dziwić. Nadszedł piątek, międzynarodowy dzień świętowania końca tygodnia. Kilka niezajętych jeszcze stolików opatrzonych było adnotacją o rezerwacji, postanowiła więc wyjść nieco wcześniej niż zwykle, jako że koło dziesiątej gwar i tłum staną się zapewne nie do zniesienia.

Zajęła miejsce, skinęła głową w stronę sympatycznego kelnera i na stoliku natychmiast pojawił się kieliszek napełniony winem.

Od pierwszej wizyty polubiła tę restaurację znajdującą się nieco na uboczu turystycznych traktów, bo miała przyjemną atmosferę, miłą obsługę i grzejniki z nawiewem, które w chłodne wieczory pozwalały mimo wszystko cieszyć się pobytem na świeżym powietrzu. Stonowane światło lampionów, cicha muzyka i stary czerwony mur obrosnięty bluszczem nadawały jej niepowtarzalnego klimatu.

Zamówiła kawę i rozsiadła się wygodnie, dyskretnie obserwując swoich sąsiadów pochłoniętych własnymi sprawami.

To było jej ostatnie zajęcie, nieszkodliwe hobby – przyglądanie się normalnym ludziom oraz wymyślanie o nich opowieści na podstawie

strzępków informacji wyłuskanych z tonu rozmowy, wyglądu i sposobu, w jaki się do siebie odnosili.

Ot, chociażby para siedząca naprzeciwko. Oboje sporo po trzydziestce wkładali wiele wysiłku, żeby zachowywać się zupełnie zwyczajnie, unikali gestów świadczących o zażyłości, ale między nimi istniała niemal wyczuwalna chemia. Musieli mieć romans, choć ostrożność w manifestowaniu uczuć dowodziła, że przynajmniej jedno z nich nie było wolne.

I tak w jej głowie rodziła się historia o namiętności, zdradzie i złamanym sercu. Żadna z tych opowieści nie kończyła się happy endem, żadna nie niosła ze sobą pokrzepiającego morału, bo jej pesymizm skaził wszystko wokół, sprowadzając każdą sytuację do nieuniknionego tragicznego finału.

Spojrzała na gości przy sąsiednim stoliku. On – czterdziestoletni mężczyzna, ona – młodzianka dziewczyna, która na pewno nie była jego córką. Wpatrzona w niego jak w obraz, wyraźnie zakochana znalazła w swoim wybranku mentora, substytut ojca czy może zasobne konto? Na ile była to gra pozorów? Przyjrzała się uważniej mężczyźnie i nagle zrozumiała pobudki, którymi kierowała się dziewczyna.

Nie można było o nim powiedzieć, że był przystojny, jednak rozsnuwał wokół siebie czystą stężoną charyzmę. Oparty nonszalancko o poręcz krzesła wydawał się znudzony ostentacyjną kokieterią swojej towarzyszki. Średniego wzrostu, ciemny blondyn o gęstych lekko kręconych włosach, może nieco zbyt delikatnych rysach, emanował takim poczuciem pewności siebie, władczością i autorytetem, że fascynację nastolatek miał zapewnioną.

Niczym gwiazdor filmowy lub władca ze swoim harem – pomyślała rozbawiona i żał jej się zrobiło naiwnej dziewczyny.

Mężczyzna odwrócił głowę i trafił na spojrzenie Vic, która się zmieszała, że przyłapano ją na podglądaniu. Zanim odwróciła wzrok, zdążyła jeszcze zauważyć jego niesamowite czekoladowe oczy, niespotykane przy tak jasnej karnacji i kolorze włosów.

Pewnie się farbuje – pomyślała i uśmiechnęła się zdawkowo, w ten sposób próbując przeprosić za nietakt – to byłoby typowe dla kogoś takiego jak on, aroganckiego, zarozumiałego bufona, który uważa, że jedynym właściwym miejscem dla świata jest warowanie u jego stóp.

Odwróciła się od nich i podniosła kieliszek do ust.

– Dobrze wychowane dziewczynki nie powinny bawić się z niegrzecznymi

chłopcami – rozległ się szept tuż koło jej ucha – bo z tego rodzą się same problemy.

Prawie podskoczyła z wrażenia, a okrzyk zamarł jej na ustach.

Nie zauważyła momentu, w którym odszedł od swojego stolika, ani tego, jak się do niej dosiadł. Dlatego nie musiał się przedstawiać.

Odsunęła się i już chciała wstać, gdy stalowy uścisk osadził ją na miejscu.

– Musimy porozmawiać – powiedział cicho z nienagannym brytyjskim akcentem.

Nikt nie zwrócił uwagi na niezwykłą sytuację. Wyglądali teraz jak para konspiratorów przekazujących sobie tajne informacje. Jego ramię otoczyło ją w czułym na pozór geście, twarz znalazła się obok i Vic dopiero teraz zauważyła w oczach wyraźnie odcinające się ślady soczewek kontaktowych.

Powstrzymała chęć wyszarpięcia ręki, bo coś w postawie i zachowaniu mężczyzny mówiło, że znacznie lepiej będzie, jeśli wysłucha go do końca.

To byłoby na tyle, jeśli chodzi o ukrywanie się – pomyślała – z drugiej strony jakiego trzeba mieć pecha, żeby na przestrzeni roku spotkać się aż z trzema przedstawicielami niemal wymarłego gatunku. Czy ja jestem jakimś dziwolągiem, chodzącą przynętą na wampiry?

Nie zdążyła go o to zapytać, bo roześmiał się szczerze i wesoło.

– Nic o nas nie wiesz, prawda? Czujesz się kompletnie dezorientowana, nasz wspólny znajomy nakarmił cię wyświechtanymi stereotypami i omamił banałami. Typowe.

– Skąd wiesz? – Już nie musiał jej kurczowo trzymać, teraz za nic w świecie nie odeszłyby od stolika.

Zaczynało się robić ciekawie.

– Powiedzmy, że z El'larem znamy się od pewnego czasu. – Chrząknął znacząco. – Jego sposób działania... no cóż, pewnie dziś określilibyśmy go jako autoplgiat. Bez polotu, do bólu przewidywalny.

– Nie rozumiem. – Aż zakręciło jej się w głowie.

– A widzisz – obwieścił z triumfem – ile mamy tematów do omówienia? Choćby ten o stygmacie Azdarotha na twoim nadgarstku, dzięki niemu jesteś dla wampirów niczym latarnia morska wysyłająca sygnały zabłąkanym statkom. Jeśli miałaś złudzenia, że kiedykolwiek zdołasz się ukryć, muszę cię rozczarować. Ciebie po prostu nie da się nie zauważyć.

Westchnęła ciężko. Właśnie z powodu takich nieprzewidywalnych okoliczności większość jej planów legła w gruzach u samego zarania.

– Nie oceniaj się zbyt surowo – powiedział i puścił jej rękę, był pewien, że już nie spróbuje ucieczki.

Kompletnie wytrącił ją tym z równowagi.

– Grzebiesz w mojej głowie?! – wysyczała z oburzeniem.

Miała wrażenie, że kilka osób z ciekawością odwróciło się w ich stronę. Nie odpowiedział, tylko wstał i podał jej wizytówkę.

– Gdy będziesz gotowa, czekam pod tym adresem. Możesz się wprowadzić choćby dziś.

Zniknął, a razem z nim dziewczyna.

Rozdział XVII

KRONIKI WAMPIRÓW

Lia nie uwierzyła mu, gdy pospiesznie wyznał jej miłość, bo nie było po niej śladu w jego oczach, ale bez wahania zgodziła się na zaślubiny.

Lepsze to niż nic – przekonywała siebie, próbując założyć bogatą szatę o niezwykłym kroju. – Jeśli mnie lepiej pozna, będziemy razem, wtedy może jego serce się odmieni.

Nie była jednak szczęśliwa. Wszystko wyglądało inaczej, niż się spodziewała. Zamiast celebrować rodzący się związek, Aedrin sprowadził do domu gwardzistów i nalegał na przeprowadzenie natychmiastowej ceremonii. Na to także wyraziła zgodę, choć zupełnie nie odpowiadało jej tempo, z jakim działał, bo w tym szaleństwie zabrakło czasu na zaproszenie gości, spotkanie z Teą, którą koniecznie chciała zobaczyć u swojego boku w tym wspaniałym dniu.

Oschle poinformował ją, że sama uroczystość odbędzie się w sanktuarium.

– Później, zgodnie ze zwyczajem, zostaniesz tam przez jakiś czas – powiedział – co pozwoli mi przygotować dla nas nową siedzibę.

Nie chciała innego domu, ponieważ polubiła ten, w którym mieszkali, jednak najbardziej przeraziła ją wizja rychłego rozstania.

– Ile to będzie trwało? – zapytała wprost. – Dzień, kilka dni, może dłużej?

Wzruszył ramionami.

– Zależy od decyzji kapłanek – odpowiedział chłodno. – Czy mogłabyś się pospieszyć?

Nie mogła, bo zmarnowała dużo czasu, czekając – nie wiadomo na co – w sypialni zaraz po jego przedziwnych oświadczeniach.

– Wiem – powiedział cicho z oczami wbitymi w jeden punkt – że zraniłem twoje uczucia, ale nie byłem przygotowany na zaszczyt, który mi uczyniłaś. Po namyśle jestem gotów stać się z tobą jednością zgodnie z nakazami

tradycji. Pragnąłbym ofiarować ci miłość, przywiązanie i troskę.

Chociaż nie знаła powodu, dlaczego tak nagle zmienił zdanie, i po – wydawać się mogło zdecydowanej – odmowie wrócił, nie zapytała go, lecz rozpląkała się drugi raz tego dnia, tym razem z radości.

– Uczyniłeś ze mnie najszczęśliwszą kobietę pod słońcem – odparła łamiącym się głosem.

I wtedy, ku jej kompletnemu zaskoczeniu, Aedrin odwrócił się na pięcie.

– Nie zwlekaj, ceremonia odbędzie się przed zachodem – rzucił od niechcenia w drzwiach i wyszedł.

– Dziś?! – Nie mogła w to uwierzyć.

– Tak – usłyszała razem z echem kroków oddalających się korytarzem.

Była absolutnie pewna, że jak na normalnego młodego mężczyznę przystało, nie zdoła się oprzeć pokusie i wróci, choćby po to, by skraść jej pocałunek.

Starannie uczesała swoje – już na szczęście dłuższe – włosy, natarła ciało wonnymi olejkami, przywdziała zwiewne szaty. Bała się tego, co mogło się zdarzyć między nimi, choć równocześnie nie mogła opanować rodzącego się podniecenia.

Aedrin, choć był w stanie przyspieszyć bicie jej serca, budził również lęk, ponieważ nie zdołała poznać jego prawdziwego oblicza. Tak starannie ukrywał uczucia, że zupełnie się pogubiła, zrzucając jego oschłość na karb niezrozumiałych obyczajów. Czasami odnosił się do niej z zaskakującą czułością i troską, by po chwili zmrozić chłodem. Bywał dumny, wręcz pogardliwy, a jednocześnie wyrozumiały i szlachetny. Chciała wierzyć, że znalazła idealnego mężczyznę, ale zmuszona była przyznać, że zupełnie go nie rozumie. I tak naprawdę nie zna.

Zamiast szczerzej rozmowy i miłosnych wyznań miała pospieszny ślub oraz obowiązek spędzenia koszmarnych dni w sanktuarium obcych dla niej bogów.

Ocalała rozsądna część umysłu z zewnątrz przyglądała się jej przygotowaniom i pytała, jakim cudem ona, niezależna łowczyni z równin, ponad wszystko kochająca swobodę oraz nieskrępowaną wolność, nagle zmieniła swoje cele. Porzuciła marzenia. Zamiast radować się podmuchami ciepłego wiatru, promieniami słońca na skórze, z drzeniem serca czekała na mężczyznę.

Chciałaby umieć oszukać własny umysł, łudzić nadzieją, że Aedrin

dostrzegł w niej kobietę, ale doskonale maskuje i ukrywa swoje emocje, jednak była na to zbyt mądra i uczciwa wobec siebie. Słowa „po namyśle” i „zgodnie z nakazami tradycji” zasiały gorzkie ziarno niepewności, jednak nie zdążyło ono w pełni dojrzeć, pochłonięte przez rozpędzony wir wydarzeń.

Rozdygotana wewnątrz, niezdolna skupić się nawet przez moment, czekała na jeden gest, który ukołby wszystkie jej obawy – jakiś dowód namiętności. Tymczasem nic się nie działo, dom zdawał się kompletnie wymarły. Aedrin zniknął. Dowiedziała się tego od gospodyni, gdy zniecierpliwiona wyszła z pokoju.

– Wybiegł, jakby go coś goniło – powiedziała, przyglądając jej się uważnie. – To prawda z tym ślubem?

– Tak – Iia lekko poczerwieniała – dziś ma się odbyć ceremonia.

– Niech mnie na miejscu spali grom Narduka, jeśli się tego spodziewałam – uśmiechnęła się ciepło – ale życzę wam wszystkiego, co najlepsze. On jest tego wart. I wiesz o tym dobrze.

– Czy mogłabyś – jasnowiąsa się zająknęła, wiedziała, że prosi o zbyt wiele – powiadomić o tym Teę. Chciałabym, żeby teraz była ze mną, czuję się taka... zagubiona.

– Oczywiście, drogie dziecko – gospodyni pogłaskała ją po włosach – zaraz pójdę. Czy potrzebujesz jeszcze czegoś? Może jesteś głodna?

– Nie – powiedziała – dziękuję ci bardzo.

– A niech mnie... – szepnęła gospodyni tym razem do siebie, zdjęła kuchenny przyodziewek i wyszła przez tylne drzwi.

Dobrze zrobiła, bo od frontu zaczęli wchodzić groźni mężczyźni uzbrojeni po zęby. Kilku z nich Iia poznała, był to oddział Aedriny, który eskortował ją na płaskowyżu. Miny mieli zacięte, a twarze ponure. Nie chciała z nimi rozmawiać, uśmiechnęła się blado i prawie biegiem wróciła do sypialni.

– Może tu panuje taki zwyczaj – pomyślała – że żołnierze przychodzą na ślub swojego dowódcy.

Czas mijał nieubłaganie, słońce przeszło już prawie większość swojej drogi po horyzoncie, ale Aedrin wciąż się nie pojawiał. Podniecenie przerodziło się w smutek, później coraz głębszą rezygnację. Zmorzył ją sen, przytuliła twarz do wilgotnej poduszki i wróciła na bezkresne równiny, wspominając smak wolności utraconej na zawsze.

Delikatna dłoń pogładziła jej policzek, instynkt łowcy zadziałał, Iia

natychmiast otworzyła zapuchnięte od łez oczy.

Nie okazała rozczarowania, choć na łożu zamiast upragnionego mężczyzny siedziała Tea w sukni koloru bezchmurnego nieba.

– Już czas – powiedziała melodyjnym głosem – musisz się przygotować.

– Tak się cieszę, że jesteś! – Udawała zachwyconą, lecz jej serce tonęło w żalu.

Zamiast zerwać się z łoża, Iia usiadła, mocno objęła przyszłą siostrę. Tea odwzajemniła uścisk, uspokajająco pogłaskała, a później odsunęła na odległość ramienia i uśmiechnęła się.

– Chcę ci pomóc, bo masz przed sobą bardzo trudne zadanie. – Wstała i rzuciła jej bogato haftowaną suknię. – Musisz dziś swoją urodą przyćmić wszystkie boginie. Oraz kilku bogów. Załóż ją, wróć za chwilę.

Zadanie było trudniejsze, niż mogła podejrzewać – jeszcze nie tak dawno nieokiełznana łowczyni zaplątała się w dziesiątki wstążek, halek, haftek, walcząc z upiornie sztywnym materiałem. Dlatego nie usłyszała cichej awantury, która rozpętała się na dole.

– Dziękuję za zaproszenie! – syknęła ciemnowłosa piękność na widok Aedriny.

– Co tu robisz? – poczuł, jak krew uderza mu do głowy.

Przychodząc do niego, naraziła się na śmiertelne niebezpieczeństwo, bo gdyby tłum rozwścieczony przemowami sforsował bramę, nie okazałby litości żonie Ha'gartha, która przyszła do domu wroga. Gorsze jednak było to, co groziło jej także z jego strony... Olśniony widokiem z trudem się powstrzymał, by nie paść jej do stóp.

– Wracaj do domu! – rzucił przez zaciśnięte szczęki. – Najlepiej natychmiast!

– Widzę, że staniała u ciebie uprzejmość. – Na dodatek była zła, bo celowo ją teraz obraził. – Nie jestem moim mężem ani jednym z jego szpiegów. Wiem, co się stało w pałacu.

– Więc rozumiesz, że nic tu po tobie – brnął dalej. Jeśli to miałyby jej uratować życie, byłby gotów nawet użyć siły.

– Wręcz odwrotnie – podeszła blisko i zmierzyła go wzrokiem – moje miejsce jest właśnie tu. Żeby przygotować twoją przyszłą żonę do ceremonii, pomóc jej przebrnąć przez zawiłości obrzędu, wytłumaczyć, jak się powinna zachować. Także po to, żeby odwrócić od was wrogość tłumy chociażby swoją obecnością, bo nikt z popleczników Ha'gartha nie podniesie na mnie

ręki. A na koniec po to, żeby uświadomić chorym z nienawiści, że ja, żona pierwszego oskarżyciela, sama nie wierzę w oszczerstwa rzucane przez motłoch. Dlatego wezmę twoją przyszłą żonę za rękę, w ten sposób pokażę, że nie obawiam się zarazy. Tłum wierzy czynom, nie pustym słowom.

– Straciłaś rozum, kobieto! – warknął.

– Nie, to ty straciłeś swój – odpowiedziała cicho – bo najwyraźniej zapomniałeś, z kim masz do czynienia. Jeszcze raz zachowasz się wobec mnie obelżywie... – Jej oczy płonęły, zapamiętana w gniewie wyglądała zjawiskowo. – Pamiętaj, że tylko ja mogę przekonać kapłanki, by przetrzymały ją na okres rozruchów bezpiecznie za bramą. Z drugiej strony jedno moje słowo i ze ślubu nic nie będzie – odsunęła się od niego – znam cię dobrze, Aedrinie, bracie mojego męża, masz lód zamiast krwi. Uczucia kamienia są bogatsze niż twoje, jednak teraz dokonujesz prawdziwie szlachetnego czynu. Tak, wiem o tym, że zamierzasz dla niej otworzyć bramę sanktuarium, w którym będzie się mogła schronić na tak długo, aż ostygną emocje. A w przyszłości rodowe miano odwróci od niej stygmat Obcej. Tylko tyle i aż tyle. Więc pozwól, bym chyba po raz pierwszy poczuła do ciebie szacunek.

– Jak trafnie zauważyłaś – użył najmocniejszego z argumentów – twoje miejsce jest u boku Ha’gartha. Przychodząc tu, wykazałaś się haniebnym brakiem lojalności względem prawowitego małżonka. Możesz nie popierać jego racji, lecz nie wolno ci go wystawiać na pośmiewisko, a tak się stanie, gdy pójdziesz z Iią do sanktuarium. To jest zdrada, tym boleśniej, że pokażesz wszystkim, jak bardzo lekceważysz prawo i własnego męża. Nie mogę tego tolerować, dlatego proszę, byś opuściła mój dom.

Nie odeszła, była uparta. I dumna.

– Przez lata tolerowałam twoje impertynencje oraz niechęć, milczałam dla dobra rodziny, choć obrażałaś mnie każdym gestem, każdą odmową. – Hardo popatrzyła mu w oczy. – Teraz jednak posunąłeś się za daleko. Dałam słowo Iii i dotrzymam go nawet wbrew twojej woli. – Pogarda w jej słowach bolała niczym palące piętno. – Brzydzę się tchórzami, a jesteś nim, skoro tak bardzo boisz się mojego męża i opinii motłochu.

– Jeśli zostaniesz... – zaczął.

– Nie ma żadnego „jeśli” – przerwała mu. – Wracam na górę, a ty zacznij zachowywać się jak mężczyzna, a nie przestraszone dziecko. Zaklął najgorszym z przekleństw. Nawet jej powieka nie drgnęła.

Pewnie musiałyby wezwać gwardzistów, by siłą wyprowadzili ją z domu, a tego nie był w stanie zrobić. Mimo wszystko. Patrzył w ślad za nią, gdy weszła na schody, i zastanawiał się, dlaczego wtedy, wiele lat temu, pozwolił Ha'garthowi odebrać sobie światło. Zatrzymać oddech.

Może ma rację – pomyślał – i rzeczywiście jestem tchórzem.

Tym razem wyciszenie emocji przyszło Tei z trudem, przed drzwiami do komnaty Iii musiała się na chwilę zatrzymać, po czym przystroiła twarz w uśmiech i weszła z podniesioną głową.

– Aedrin poprosił, bym pomogła ci przebrnąć przez trudy ceremonii – powiedziała spokojnym tonem. Nikt by nie uwierzył, że kilka chwil temu była gotowa wydrapać mu oczy. – Wiemy, że nie zdołałaś poznać wszystkich obowiązujących zasad, dlatego za zgodą kapłanek będę ci towarzyszyć także podczas odosobnienia.

– Czemu sam nie przyszedł? – Nic nie mogło zamaskować rozżalenia niemal słyszalnego w głosie jasnowłosej.

Bo jest nieczułym tchórzem i podłym człowiekiem – chciała powiedzieć, ale zamiast tego udała oburzoną.

– Żeby cię zhańbić? Żaden mężczyzna nie odważy się wejść do komnat kobiety przed ceremonią. To nie tylko uświęcony zwyczaj, ale przede wszystkim zdrowy rozsądek. Któraż z nas chciałaby zostać przyłapana na czynnościach poprzedzających zaślubiny? Czyli poprawianiu natury. Ty jednak – krytycznie oceniła wysiłki Iii – jak widzę, nie masz o tym pojęcia. Zaraz spróbujemy to nadrobić.

Pomogła jej zapiąć niezliczoną ilość guzików, wyprostowała halki, zawiązała wstążki, dopiero teraz odsunęła się o krok, z uwagą przyglądając się efektom swoich starań.

– Usiądź – przysunęła okazałego karła – musimy nad tobą popracować. Przede wszystkim zakryć te okropnie opuchnięte powieki. Płakałaś?

– Myślisz – Iia zwróciła się do niej jak do wyroczni – że on mnie naprawdę kocha?

Tea prawie się roześmiała.

Aedrin, drogie dziecko, kocha wyłącznie siebie – z trudem zapanowała nad chęcią, by postąpić słusznie i powiedzieć prawdę – jeśli w ogóle potrafi cokolwiek czuć. Jego serce jest soplem lodu, a we krwi płynie wyłącznie żelazo.

Jednak nie zdobyła się na szczerość, która byłaby równoznaczna

z wydaniem wyroku na płowowłosą, więc zamiast tego nakarmiła ją kolejnym niedopowiedzeniem:

– Nie ma siły na niebie i ziemi, która byłaby w stanie zmusić kobietę lub mężczyznę do złożenia niechcianej przysięgi. Słyszałam, że w innych stronach wydaje się dziewczyny za mąż wbrew ich woli, ale w Agharze coś podobnego traktowane jest jak przestępstwo...

– Gdy mu powiedziałam, co czuję – Iia tak bardzo pragnęła usłyszeć słowa dodające otuchy, że z rozbijającą naiwnością przyjmowała każde niedomówienie jako pewnik – najpierw zdecydowanie odmówił, później zmienił zdanie... Dlaczego?

– Pamiętaj, że mianowano go twoim opiekunem. – Rola obrońcy powoli zaczynała Tei doskwierać, wymyślanie przekonujących argumentów nijak nie korespondowało z jej uczuciami do Aedrina i gniewem, który jeszcze buzował w jej żyłach. – Gdy rozniesie się wieść o ślubie, złośliwi mogą pomyśleć, że bezdusznie cię wykorzystał albo posunął się dalej i przymusił do miłości. Za zamkniętymi drzwiami czasem dzieją się straszne rzeczy. Mieszkanie z nami, tak jak od początku chciał Ha'garth, byłoby najlepszym świadectwem, że złożona deklaracja miłości jest czysta i uczciwa.

– Myślisz, że to był powód – Iia spłoszyła, wypowiedzenie na głos tych słów wiele ją kosztowało – dla którego omijał moją sypialnię?

Tea wzięła szpilę i zaczęła starannie układać włosy dziewczyny. Dzięki temu nie musiała jej patrzeć w oczy.

– Czy ty w ogóle wiesz, czemu służy odosobnienie w świątyni? – zapytała.

– Nie.

– Ach, ci mężczyźni... – Tea westchnęła z udawaną przyganą. – Oczywiście nie powiedział ci, czemu po ceremonii musisz zostać w sanktuarium. Kapłanki Weji uczą tam kobiety, jak mądrze korzystać z własnego ciała. Przekazują wiedzę o różnych aspektach miłości, co należy uczynić, aby oszczędzić sobie trudów nieustannych porodów, dbać o siebie i partnera, cieszyć się wzajemnym szacunkiem oraz czerpać radość ze spełnienia. Dzięki ich radom twój pierwszy raz będzie przyjemnością, a nie bolesnym obowiązkiem. Sądzisz, że Aedrin pozwoliłby sobie na jakikolwiek gest, mając świadomość, że nic nie wiesz o tych sprawach? Uważasz go za brutalne, pełne żądzy zwierzę? Pytasz o jego uczucia, ale obawiam się, że ty w ogóle nie rozumiesz pojęcia miłości i traktujesz pospolity gwałt jako jej przejaw. Gdybym się dowiedziała, że Aedrin wykorzystał twoją naiwność,

straciłabym dla niego cały szacunek. I nie byłabym sama.

Argumenty Tei brzmiały jak balsam. Uwierzyła w każde słowo, bo chciała uwierzyć, pragnęła tego jak niczego innego na świecie.

Uśmiechnęła się radośnie, z ulgą oddała się w ręce doświadczonej przyjaciółki, która dokonała cudu, by zetrzeć z jej twarzy ślady łez, wahań i rozpacz. Toteż gdy w końcu Iia opuściła komnatę, prezentowała się zupełnie inaczej. Jasne włosy miała upięte w misterną fryzurę poprzetykaną złotymi ozdobami, delikatny pyłek kwiatów zatuszował oczy podkrążone z niewyspania i płaczu, usta muśnięte płatkami róż nabrały głębokiego odcienia czerwieni. Wyglądała wspaniale i tak samo się czuła.

Zniecierpliwiony Aedrin w odświętnym stroju koloru szarego nieba z haftowanymi zielonymi ornamentami czekał przed wejściem do ogrodu. Był wyraźnie zły, jednak na ich widok rozjaśnił się, nawet uśmiechnął. Po raz pierwszy dostrzegła w jego oczach to, na co czekała od dawna. Zachwyt i uwielbienie.

– Zostawiasz nam eskortę? – Tea z wdziękiem poprawiła fałdy sukni i zeszła po stopniach. – Mam nadzieję, że odpowiednio liczną, w końcu ich dowódca ma dziś ślub. Całe miasto powinno o tym wiedzieć.

– Oddział już jest gotowy – powiedział, z szacunkiem kłaniając się żonie brata. Iii podał ramię. – Możemy już iść?

– Będziesz nam towarzyszył? – Tea wyglądała na zaskoczoną, bo zgodnie ze zwyczajem nie powinni iść razem po błogosławieństwo bogini.

– Ze względu na nietypową sytuację – odparł swobodnie – pozwolono mi na to niewielkie odstępstwo.

Nie było sensu roztrząsać tematu, ponieważ Obca mogłaby się domyślić, że dzieje się coś dziwnego, zamiast więc udzielać niepotrzebnych wyjaśnień, wikłać się w kolejne kłamstwa, Tea wzruszeniem ramion zbagatelizowała jego słowa.

Za bramą czekało już na nich dwudziestu gwardzistów uzbrojonych w miecze, ubranych w skórzane pancerze, każdy dzierżył w dłoniach tarczę, a na plecach miał przytroczony łuk. Wyglądali, jakby wyruszali na wojnę, a nie ślub. Zdziwiona Iia spojrzała na swoją niezastąpioną przyjaciółkę.

– Honorowa asysta – skłamała kolejny raz Tea. – Dowód szacunku, jaki żołnierze żywią dla twojego przysłego męża.

Droga poprowadziła ich ku górze, aż do wrót przybytku Weji. Tam powinny czekać na nich kapłanki ubrane w czerń. Jeśli udałoby się im

dotrzeć do sanktuarium, Lia byłaby już bezpieczna.
Jeśli...

Rozdział XVIII

Nie mogła zasnąć. W palcach obracała wizytówkę, jakby próbowała z niej wyczytać ukryte niewidzialne przesłanie. Elegancki tłoczony papier w kolorze kości słoniowej, czarny, dyskretny druk, lecz bez numeru telefonu. Żadnych dodatkowych informacji, po prostu imię, nazwisko, adres – Gabor Keller, U Młyna 170.

– Co, u licha, miał na myśli, mówiąc o przewodniczce? – szepnęła cicho do białego kartonika.

Instynkt, wyćwiczony przez miesiące ukrywania się, podpowiadał: uciekaj, gdzie oczy poniosą. Rozsądek przytakiwał mu bez wahania, ale intuicja nakazywała skorzystać z zaproszenia. Jeśli to, co powiedział o znaku na jej ręce, było prawdą – a nie miała podstaw, by w to wątpić – mógł bez problemu zabić ją w pierwszym ciemnym zaułku i nie pozostałby żaden ślad po Victorii Mc’Petersen. Najwyraźniej chciał porozmawiać, chociaż propozycja wprowadzenia się była... dwuznaczna. I jednocześnie niedorzeczna.

Wyszła na przechadzkę, żeby nieco ostudzić emocje, ale źle trafiła, bo akurat rozpoczynał się weekendowy rytuał. Część pubów i klubów zamykała swoje podwoje, oznajmiając to głośnym brzękiem wyrzucanych śmieci i drzwi zatraskiwanych bez pardonu, co zmuszało niedobitki klientów do obrania nowych celów. Głośne, rozradowane grupki, do których należała cała szerokość ulicy, mijały się, spotykały, mieszały niczym wielobarwne ławice, zmierzając w stronę dyskotek i hoteli, by aż do świtu szukać zapomnienia w objęciach tęczowych drinków.

Do wschodu słońca zostało zaledwie parę godzin. Z nielicznych ciemnych bram, jakby na przekór lśniącym galeriom wystawowym, różnobarwnym sklepom, które skrywały swoje wnętrza w poziomych więzieniach rolet i aluminiowych żaluzji, dobiegały hałasy zwiastujące poranek. Inny typ przechodniów, wezwany jego apelem, wyłaniał się z mgły na podobieństwo korowodu duchów. Łatwo ich było odróżnić. Poszarzali z chłodu i niewyspania piekarze, robotnicy oraz sklepikarze zaczynali nowy dzień,

choć oficjalnie nie ogłosił go jeszcze dźwięk kościelnych dzwonów. Z pochylonymi głowami chyłkiem zmierzali do pracy, nie mieli czasu, by podziwiać pejzaż malowany przedświtem.

A szkoda, bo jesień utuliła ulice na poły śpiącej Pragi pasmami mgły, które tłumili pomruk silników i blask gazowych latarni. Błady opar rodził się ponad taflą leniwie sunącej Wełtawy, okrywając jej toń puszystym woalem, tylko reflektory nielicznych widmowych statków świadczyły o tym, że pod tą zwiewną kołdrą nadal płynie rzeka.

Zapięła kurtkę i założyła kaptur, bo nieprzyjemny mglisty chłód ciągnący od wody przenikał na wylot całe ciało.

I oczywiście gdzieś tam – za kolejnym zakrętem, na pustym placu, wśród nieregularnej siatki tak podobnych do siebie miejsc – kompletnie się pogubiła.

W ciasnych gardłach uliczek kamienice zbliżyły się do siebie, tworząc nieme mury zwieńczone nieprzeniknionym sklepieniem szarego świtu zaklętym na wysokościach. Większość z nich jeszcze spała, ciemne okna od czasu do czasu rozjaśniał przypadkowy prostokąt światła – pojedyncze oko cyklopa.

Zapamiętane miejsca i kierunki zniknęły, zmieniły się. Błądząc po tajemniczych alejach, wąskich przejściach, o których istnieniu nie miała pojęcia, Vic poczuła się wolna i w jakiś przewrotny sposób szczęśliwa.

Umysł, zaprzątnięty wyłącznie topografią miasta i wyszukiwaniem kolejnych dróg, powoli oczyszczał się z toksyn natrętnych myśli. Leczył w białej ciszy poranka.

Słyszała echo własnych kroków na bruku ulic prowadzących między milczącymi podwórzami, podcieniami zapleśniałych kolumnad i zatęchłych klatek schodowych. Ich labirynt skierował ją na plac, gdzie kikuty drzew wyrastały z pordzewiałych rynien i popękanych ceramicznych płytek. W ten sposób dotarła do zapomnianego świata wyłamanych framug, drzwi zwisających żałośnie ponad głowami nielicznych wędrowców, alei przechodzących niepostrzeżenie w objęcia kolejnych, jeszcze węższych, dzikszych, pozbawionych nawet lamp. Tam, wśród pokruszonych murów, wciąż czaił się mrok, szczelnie ukryty za szarą poświatą.

Stado spłoszonych gołębi poderwało się do lotu, tworząc na ołowianym niebie wzór malowany pociągnięciami pastelowej mgły oraz czarnej nocy, z której objęć zostały brutalnie wyrwane.

Dopiero wtedy usłyszała nieśmiało, niesione echem w przestrzeni pierwsze dźwięki dzwonów. Nadchodził świt, w magiczny sposób mgła zniknęła, a świat wypełnił się migotliwą jasnością. Teraz dopiero się zorientowała, gdzie trafiła prowadzona przez widmowego przewodnika – znajomy układ budynków skierował ją wprost w podwoje hotelu.

Boy otworzył przed nią drzwi, uśmiechając się szeroko. Nie wydawał się zdziwiony szaloną godziną jej powrotu.

– Dzień dobry – powiedział ze śmiesznym akcentem.

Ledwo skinęła mu głową, niezdolna do odpowiedzi, bo jej twarz z zimna zastygła w kamienną maskę.

Z ulgą weszła do ciepłego holu, była zmęczona i wychłodzona, przez całą drogę marzyła o gorącej kąpieli oraz filiżance herbaty. Już miała wejść po schodach, gdy podszedł do niej zaaferowany recepcjonista.

– Mógłbym zamienić z panią słowo? – zapytał konspiracyjnym szeptem.

Spojrzała na niego zaskoczona i odruchowo rozejrzała się po korytarzu, oprócz nich nie było żywego ducha.

– Proszę, to bardzo pilne – nalegał.

– O co chodzi? – Wyglądało na to, że paranoja bywała zakaźna.

– Nie tutaj – powiedział, co było prawie niemożliwe, jeszcze ciszej – zapraszam do mnie.

Ręką wskazał otwarte pomieszczenie za dębowym blatem recepcji.

Bez sensu – pomyślała, trzęsąc się z zimna. Stanowczo nie miała ochoty na pogaduszki.

– To sprawa pani bezpieczeństwa...

Zaintrygował ją na tyle, że bez dalszych protestów poszła do niewielkiego pokoiku na zapleczu. Usiadła na kanapie, a wyraźnie przejęty recepcjonista błyskawicznie zrobił dwie mocne kawy, podał jej filiżankę, którą objęła, próbując ogrzać zlodowaciałe dłonie ciepłą porcelaną.

– Nie chciałbym pani zdenerwować – w ten sposób skutecznie udało mu się wyprowadzić ją z równowagi – ale zaszły pewne okoliczności, o których powinna pani wiedzieć...

– Na litość boską – wybuchła – niechże pan w końcu powie, co się stało!

– Zaraz po pani wyjściu do hotelu przyszedł mężczyzna, próbował wy badać, czy niedawno zameldowała się tu jakaś Amerykanka. Podał bardzo dokładny rysopis, pewne detale co prawda się nie zgadzały, ale na pewno chodziło mu o panią. Proszę sobie wyobrazić, że posunął się do próby

przekupstwa! Zgodnie z obowiązującymi u nas zasadami nie zdobył żadnych informacji, a ochrona zareagowała błyskawicznie.

– Zatem w czym problem? – Choć udawała pierwszą naiwną, wiadomość niemal ją sparaliżowała.

– Nasz monitoring obejmuje nie tylko teren budynku i parkingu, zamontowaliśmy kamery także po drugiej stronie ulicy, na skwerze. Ten mężczyzna – pochylił się, znów zaczął szeptać – spotkał się z kimś, rozmawiali przez chwilę i zniknęli z wizji. Niedługo po tym zajściu chciał się zameldować u nas nowy gość. – Zawahał się przez chwilę. – Proszę mnie dobrze zrozumieć, nie mamy stuprocentowej pewności, że to ów znajomy ze skweru. Ochrona przegląda jeszcze nagranie, jednak w nocy obraz nie był na tyle wyraźny, żeby na jego podstawie można było dokonać jednoznacznej identyfikacji. Sądzę, że... – popatrzył na nią z uwagą, jakby oceniał, czy te rewelacje zrobiły na niej jakiegokolwiek wrażenie – tamten drugi mężczyzna zauważył kamery i wyraźnie starał się pozostawać w cieniu, co nie świadczy dobrze o jego zamiarach. Dlatego po skonsultowaniu się z ochroną oraz kierownikiem postanowiliśmy panią poinformować o naszych podejrzeniach.

Skończył i czekał na jej reakcję, ale nie pozwoliła sobie na okazanie emocji. Uprzejmie podziękowała mu za kawę oraz informacje.

– Czy w tej sytuacji powinniśmy zachować szczególną ostrożność? – spytał ją o radę, lecz źle trafił.

Ewentualności były dwie: albo odnaleźli ją szpiedzy El'lara, albo łowcy, jednak summa summarum w obu przypadkach miała tak samo przechłapanie.

– Być może – odparła enigmatycznie. – Proszę mi przygotować rachunek.

Poderwał się z miejsca, jakby podrzuciła go niewidzialna sprężyna.

– Jest pani gościem – zaprotestował gwałtownie. – Zapewnienie dyskrecji i bezpieczeństwa rezydentom to nasz obowiązek, więc jeśli istnieje choć cień podejrzenia, że...

– Nie – przerwała mu – proszę się nie obawiać, i tak miałam zamiar dzisiaj wyjechać.

Recepcjonista nie wyglądał na przekonanego. Zostawiła go z rozchyłonymi ustami, widocznie próbował coś jeszcze dodać, ale już go nie słuchała. Wróciła do swojego pokoju. Nie miała zamiaru sprawdzać, kim był nowy gość, dochodzić, po czyjej grał stronie, bo każda z nich obrała sobie jeden cel.

Oczywiście, że to mógł być przypadek, Bogu ducha winny człowiek

o czwartej nad ranem chciał wynająć pokój w hotelu, wywołując tym panikę ochrony. Tylko że ona już od dawna przestała wierzyć w takie przypadki. I prawdopodobnie dlatego jeszcze żyła.

Dochodziła siódma, gdy spakowała się, wymeldowała i wyszła na wyludnioną ulicę. Wezwana taksówka już czekała, aby zawieźć ją na miejsce. Problem tkwił tylko w tym, że nie miała pojęcia, gdzie owo miejsce się znajduje. Mogła albo zlekceważyć głos intuicji i pojechać na lotnisko, albo zastukać do drzwi, za którymi czekał kolejny morderca, pozbawiony skrupułów drapieźnik, zło w czystej postaci.

Różnił się od El'lara wszystkim, będąc jednocześnie jego kopią, miał identyczną manierę lekceważącej wyższości, irytującą pewność siebie i lodowate spojrzenie. Nie była pewna, czy ma ochotę pakować się w kolejny chory układ z nawiedzonym wampirem, ale wszystko wskazywało na to, że tylko przyjęcie propozycji było równoznaczne z otrzymaniem odpowiedzi, których tak bardzo potrzebowała.

Podążyła kierowcy wizytówkę i po chwili znalazła się przed zaniedbaną starą kamienicą. Na przerdzewiałej tabliczce zobaczyła numer 170.

Dwupiętrowy budynek sprawiał ponure wrażenie, dolne okna miał zabite deskami, a brama na podwórze wisząca na słowo honoru i nadgryziona zębem czasu, obdarte z farby drzwi, urwana kołatka i wszechobecny odór stęchlizny nie napawały optymizmem. Trochę ją to zaskoczyło, myślała, że nieśmiertelni bywają bardziej wybredni przy wyborze swoich siedzib. Z drugiej strony opuszczona okolica wydawała się wręcz idealną scenerią dla wampira. Wyludnione domy, zarośnięte place, atmosfera rozpadu i zapomnienia jako żywo korespondowały z obecnością pierwotnego zła. Obcego, który przemierzał otchłanie czasu, aby polować na naiwne ofiary w mrokach opustoszałych ulic.

Nie znalazła żadnego przycisku od dzwonka, więc powstrzymując gwałtowną chęć ucieczki, nacisnęła klamkę i znalazła się w obskurnym korytarzu. Odłóżką płatami farba, drewniane schody pamiętające epokę Franciszka Józefa i spróchniała poręcz wzmocniona gdzieniegdzie prętami owiniętymi drutem poprowadziły ją na piętro.

Szerokie dwuskrzydłowe odrzwia z matową szybą w połowie, kiedyś zapewne białe, bo ślady lakieru pozostały w rzeźbionej płycinie, teraz stanowiły smutny obrazek kompletnego zaniedbania. Z odrazą sięgnęła po wiszący obok brudny sznur zakończony porcelanową rączką.

Po drugiej stronie rozległ się cichy dźwięk dzwonka i po chwili drzwi otworzyła bosa kobieta, sporo starsza od jego towarzyszki z restauracji. Na twarzy miała jeszcze ślady snu, długie włosy w nieładzie opadały na delikatną twarz o subtelnych rysach.

Vic odruchowo spojrzała w jej oczy. Zielone tęczówki otaczające zwężoną źrenicę były najzupełniej normalne. Dziewczyna gestem zaprosiła ją do środka, zupełnie nieskrępowana faktem, że ma na sobie tylko krótką męską koszulę odsłaniającą smukłe uda.

Na widok wnętrza Vic musiała westchnąć. Urządzone było w taki sposób, że najlepsze magazyny dekoratorskie byłyby się o prawo zrobienia w nim sesji zdjęciowej.

Korytarz prowadzący do pięciu różnych pomieszczeń miał ozdobne gzymsy zachowane w stanie idealnym oraz podłogę wyłożoną białym marmurem, na środku stał okrągły stół z ciemnego drewna, a na nim mienił się odcieniami bieli i fioletu bukiet świeżych kwiatów.

Kobieta, ziewając ostentacyjnie, zapukała i nie czekając na zaproszenie, wpuściła ją do pokoju.

Ogromne pomieszczenie otwierało się na ścianę okien, pod którymi stały przepastne popielate sofy układające się w półokrąg. Na murze z rdzawej cegły wisiał doskonale jej znany obraz przedstawiający rozświetlone słońcem nenufary. Po drugiej stronie ciąg czarnych komód ukrywał w swoich przeszklonych wnętrzach prawdziwe arcydzieła – maski, figurki, porcelanę – oświetlone przez subtelną grę światła. Dywan leżący na środku podłogi z ciemnych desek pysznił się dojrzałymi brązami i czerwienią, nawet oko kompletnego laika wyceniłoby go na sumę z wieloma zerami. I tylko masywna ława ginąca pod stertą rozrzuconych w nieładzie książek oraz magazynów świadczyła o tym, że był to jednak dom, a nie muzeum.

Zauroczone wnętrzem, dopiero po chwili zauważyła kolejny skarb – żelazny żyrandol zwisający na grubych łańcuchach z kasetonowego sufitu. Nigdy wcześniej nie widziała tak niezwykłego przedmiotu. Usiadła, żeby mu się lepiej przyjrzeć...

– Rzeczywiście robi wrażenie. – Pojawił się znikąd i przysiadł obok. Zdecydowanie za blisko. – Oryginał z czternastego wieku. Doceniam, że doceniłaś.

Nie wystraszyła się, przez te kilka miesięcy spędzonych pod jednym dachem z doktorem Barrowem nauczyła się panować nad takimi emocjami.

Na znak dezaprobaty chciała go spiorunować spojrzeniem, ale gdy się do niego odwróciła, żadne słowa nie przeszły jej przez usta.

Wystarczyło, że wyjął z oczu soczewki i nagle stał się Obcym, którego w żadnym wypadku nie można byłoby pomylić z człowiekiem.

O ile El'lar miał szare tęczęwki poprzecinane czerwonymi żyłkami i ostatecznie można było je uznać za jakąś przypadkową mutację, o tyle u tego wampira nic takiego nie wchodziło w grę. Ciemna obwódka tęczęwek zamknęła w swoim wnętrzu niemal granatowe tło z rozlanymi skontrastowanymi pasmami bieli i żółci, które docierały nawet w głąb źrenicy. Sprawiało to makabryczne wrażenie.

Pochylił się, ze stolika podniósł ciemne okulary, założył je i dopiero wtedy Vic pozwoliła sobie odetchnąć. Wiedziała, że pokazał jej swoje prawdziwe oblicze w jakimś celu, pewnie była to próba, może jedna z wielu, zanim zacznie się prawdziwa rozgrywka.

– Nasz wspólny znajomy się nie mylił. – Wygodnie rozparty na miękkich poduszkach opierał ręce o zagłówki w taki sposób, że jedna z dłoni znalazła się za jej plecami. – Doprawdy jesteś niezwykłą osobką.

– Niezwykłą, bo nie uciekłam z wraskiem, czy dlatego, że w ogóle tu przyszłam? – W jej głosie zabrzmiała pewność, której nie czuła.

Stawała się coraz lepsza w zabawie opartej na wzajemnym oszukiwaniu i pozorach. W końcu na coś przydały się lekcje pobierane u samego mistrza.

– Nie oczekuj komplementów o siódmej rano. – Wyraźnie się z nią droczył. – Dla nas obojga to zdecydowanie za wcześnie.

Ubrany w ciemnozielony golf i tweedową marynarkę wyglądał tak, jakby wrócił właśnie z popołudniowego spaceru. Lekko kręcone jasnobrązowe włosy, układając się wzdłuż ostro zarysowanych policzków, podkreślały nienaturalną bladość skóry. Gdyby nie oczy, których kolor i wyraz miała jeszcze świeżo w pamięci, można byłoby go uznać za całkiem interesującego.

Przesunęła się, siadając niczym skromna pensjonarka na samym brzegu kanapy. Chciała w ten sposób uniknąć jakiegokolwiek fizycznego kontaktu i – w swoim mniemaniu tak ostentacyjnym zachowaniem – raz na zawsze zdefiniować zasady obowiązujące w ich przyszłych relacjach.

Roześmiał się, pokazując idealnie równe białe zęby.

– Kazałeś mnie śledzić? – Z jakiegoś powodu ten śmiech mocno ją zirytował. – W hotelu?

– Po co? – Wydawał się zaskoczony. – Ciekawość ludzka jest cechą co

najmniej przewidywalną, więc byłem pewien, że skorzystasz z zaproszenia.

Uwierzyła mu, bo wyjaśnienie zabrzmiało przekonująco, a zatem pozostała tylko jedna możliwość – łowcy. I nagle Praga stała się jakby ciaśniejsza, bardziej niebezpieczna. Powinna jednak była pojechać na lotnisko... zamiast tego opowiedziała mu o nocnym spotkaniu.

– Ucieczka nie zawsze bywa najlepszym rozwiązaniem – powiedział. – Później sprawdzę, co się tam stało. Pamiętaj, u mnie jesteś bezpieczna.

– Czy – nagle odpowiedź na to pytanie stała się dla niej bardzo ważna – naprawdę umiecie czytać w myślach?

– Miałaś w tym względzie jakieś złudzenia? – Popatrzył na nią z udawanym ubolewaniem. – O, jakże mi przykro.

– Możesz...

– Później – przerwał jej. – Nie sprzedajemy naszych tajemnic za miedziaka, najpierw sprawdzę, czy jesteś tego warta, dopiero wtedy przejdziemy do interesów. Teraz po prostu rozgość się wygodnie i ciesz wolnością. – Wstał, dając jej jednoznacznie do zrozumienia, że skończyli rozmowę.

Vic zagryzła zęby. Niczego się nie dowiedziała, a zaproponowany układ niewiele miał wspólnego z wolnością. Utknęła w domu wampira, otoczona murem tajemnic i niedopowiedzeń. Czyli jak zwykle.

– Drzwi obok prowadzą do twojego apartamentu – wskazał jej wejście – a Tatiana będzie zaszczycona, służąc ci pomocą. Każdą – uśmiechnął się w taki sposób, że zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć.

Zdążyła się ugryźć w język, zanim spytała, kim jest Tatiana. W końcu to nie była jej sprawa.

– Widzę, że doskonale się zrozumiemy – spojrzał na nią taksująco, a Vic wbrew własnej woli spłonęła rumieńcem.

Jego śmiech odprowadził ją do drzwi, towarzyszył w drodze, ale przestała zwracać na niego uwagę, gdy tylko weszła do apartamentu. Pokój został urządzony w stylu, który uwielbiała. Idealną harmonię osiągnięto przez połączenie dwóch odpowiadających sobie elementów. Wysokie pomieszczenie optycznie obniżył zawieszony na stalowych linach biały prostokąt podwieszanego sufitu z ukrytym w nim nowoczesnym oświetleniem. Natomiast drewnianą podłogę przecinał tej samej wielkości podświetlony prostokąt przykryty płatem hartowanego szkła.

Niewielkie popielate kanapy ustawione w pozornym bezładzie pod

ścianami odcinały się od murów ledwie maźniętych bielą, która uwypukliła delikatny zarys cegieł. Na ścianach królowały obrazy utrzymane w oszczędnej szarej tonacji, jedynym kontrapunktem kolorystycznym była ciekawa abstrakcyjna rzeźba z mahoniu wypolerowanego na błysk, stojąca na postumencie z surowego drewna ustawionym w niszy między oknami.

Wszystko zostało doskonale zaprojektowane, lecz... nie było łóżka. Położyła torbę i rozejrzała się uważnie, dopiero wtedy zauważyła ciemniejszy prostokąt – celowo zostawiony niewielki otwór pomiędzy rozsuwanymi drzwiami. Podeszła bliżej i spojrzała w głąb korytarza.

Zapędy w odkrywaniu tajemnic powstrzymał ledwie widoczny zarys schodów, żeby więc nie ryzykować upadku, zaczęła szukać włącznika. Znalazła go przy kinkiecie wiszącym obok, pociągnęła srebrny sznurek i światło zalało strome stopnie prowadzące w dół. Zeszła po nich z lekkim drżeniem kolan, pewna, że postępuje co najmniej niewłaściwie. Tymczasem zaprowadziły ją wprost pod drzwi sypialni z ogromną szafą oraz... łazienką.

Oniemiała stanęła na progu rajy, z trudem panując nad dziecięcym odruchem, który kazał jej wszystkiego dotknąć i wypróbować. W pomieszczeniu wielkości mieszkania nie było ani wanny, ani prysznic. Na środku pysznił się niewielki basen wyłożony biało-błękitną mozaiką, do którego prowadziły szerokie stopnie. Na brzegu wśród różnokolorowych świec stały olejki do kąpieli, wonności o egzotycznych nazwach, a przed lustrem zajmującym całą ścianę rozłożył się ogromny kosz z kwiatami.

Mimo że okno od zewnątrz zostało zabite deskami, pomieszczenie nie wywoływało efektu zamkniętego pudełka, ponieważ zamiast szyby pół ściany zajmowała dębowa rama z podświetlonym secesyjnym witrażem. Po przeciwnej stronie stała stylowa toaletka, a przed nią wiklinowy fotel z podnóżkiem. Szafa z ręcznikami, prysznic oraz toaleta zamknięte zostały w osobnych pomieszczeniach.

O ile salon i sypialnia robiły wrażenie swoją oszczędną elegancją, o tyle łazienka była szczytem marzeń hedonisty zakochanego w barokowych zdobieniach. Przepych, luksus i wygoda. Nie brakło nawet poduszek, na których można się było oprzeć podczas kąpieli, puchatych szlafroków i luksusowych kosmetyków od perfum po szczoteczki do zębów. Ciepła posadzka wzorowana na motywach antycznych przyjemnie grzała w stopy, a ukryte dysze jacuzzi obiecywały relaksacyjny masaż. Czystość wokoło była wręcz oślepiająca, drobinka kurzu nie osiadła na rzeźbionych szkatułkach

ukrywających w swoich wnętrzach komplety gustownej biżuterii.

Nie zastanawiała się długo, wrzuciła rzeczy do szafy i z ulgą zanurzyła w idealnie ciepłej wodzie. Razem ze zmęczeniem pod wpływem kojącego strumienia powoli puściło także napięcie, umysł oszołomiony zapachem gardenii przeszedł z trybu aktywności w spoczynek, a oczy same się zamknęły. Marzyła, by pozwolono jej zostać w takim stanie przez najbliższy milion lat.

Jedno należało przyznać Obcemu – wiedział, jak uprzyjemnić życie sobie i innym.

I tylko pewien drobiazg psuł nastrój – brak męskich, silnych dłoni. Dotyku z jednej strony pełnego czułości, z drugiej...

Zapachu wanilii i piżma, cichego szeptu wprost do ucha, mięśnięć rozpalających zmysły, pocałunków prowadzących poza granice światów, spojrzeń budzących najdzikszy z głodów. Milczenia, które mówi więcej niż tysiące słów.

Nie mogła się pozbyć utrwalonego pod powiekami obrazu, który burzył z trudem odbudowywany wewnętrzny spokój. Na tym obrazie był pokój z oknem wychodzącym na las, miękkie światło lampy i otwarte drzwi, w których stał On.

Twarz ukryta w cieniu z krzywym uśmieszkiem, mięśnie widoczne pod opiętym podkoszulkiem i kompletna cisza zastygła w czasie.

Dlaczego, gdy wraca do niej ten obraz, widzi jedynie oczy rozpalone pełgającym w nich ogniem? Dlaczego jej ciało odpowiada na niego pożogą, która rujnuje i niszczy?

Płomień w szarych oczach przybiera na sile. Ile w nim jest wściekłości, a ile pragnienia? Czy to, co ją czeka, to naturalny akt fizyczny, czy raczej próba okiełznania huraganu. Miłość albo nienawiść? A może obie, połączone nierozzerwalnym węzłem odwiecznego pożądania, które zawsze niesie w sobie załączek autodestrukcji.

Za każdym razem On podchodzi o krok bliżej, stając w kręgu światła, przygląda się uważnie. Napięcie w pokoju zdaje się tak ciężkie, że można je kroić, jej umysł i ciało porzucają bastion rozsądku. Zamierają w oczekiwaniu.

Obezwładniająca słabość jest jedyną odpowiedzią na pożar, który ogarnia świat. Słowa kłamią, są niepotrzebne. Ich pustka nie ugasi płomieni.

Patrzy mu w twarz. Niemal pod palcami czuje mocny zarys kości policzkowych, wykrój ust, jednak nie ma odwagi ich dotknąć

zahipnotyzowana orgią kolorów rozpalających szarość tęczy.

Czy mogłaby wtedy aż tak się pomylić? Wrogość, żądzę krwi i nienasycony głód przypisać pożądaniu? Jej ciało było uczciwe, wiedziało, czego chce, czekało na to z gorączkową niecierpliwością. Odpowiedziało na zew niczym doskonale dostrojone skrzypce na dotyk smyczka. Być może jednak nie grali tej samej melodii, a fałszywe akordy były zapowiedzią nadchodzącego chaosu.

Najgorsze, że gorączka, która nieustannie trawiła jej umysł, mogła zostać ukojona tylko w jego ramionach. A jeśli to było oszustwem, Obcy nie był lekarstwem, lecz śmiertelną chorobą.

Zawiódł ją wyczulony instynkt, tak rozpaczliwie tęskniła za istotą, której nienawiść zdolna była wszystko wokół obrócić w popiół.

– Powiedz mi – szepnęła do widmowego kochanka – na ile tamten ogień był prawdziwy?

A niesłyszalne echo poniosło słowa przez tysiące mil, ponad szeroką wodą i wysokimi górami wprost do adresata.

Rozdział XIX

KRONIKI WAMPIRÓW

Według naszych wierzeń istnieją trzy światy – opowiadała jej po drodze Tea. – Świat ansai, miejsce, gdzie w płynącym strumieniu czasu odbija się obraz wiecznej duszy, echo esencji, z której zbudowano otaczającą nas rzeczywistość. Świat mennai, gdzie wszystko, co cielesne, znajduje swoje miejsce na tkaninie życia, istnieje tu i teraz w równoległych wiązaniach, oraz świat ihsai, gdzie żyje dusza każdej istoty, jej pragnienia i lęki, muzyka słów i myśli. Tylko zespolenie ich w jedność przy zachowaniu odrębności każdego elementu stwarza szansę na szczęście. Stąd wynika główne założenie obrzędu, który ma na celu połączenie waszych dusz oraz osiągnięcie harmonii w przyszłym związku. Tekst przysięgi będzie brzmieć: na zawsze, teraz i niezmiennie.

Aedrin, słysząc jej słowa, uśmiechnął się ironicznie, w jego małżeństwie harmonia czy jedność były pustymi obietnicami bez znaczenia. Liczyło się jedynie bezpieczeństwo kobiety z równin. Bo tego chcieli prorocy, tego wymagała złożona przysięga.

Przez całą drogę rozglądał się czujnie, zachowując najwyższą ostrożność. Wierni gwardziści bez wahania stanęliby u jego boku, nawet jeśli przyszłoby im się zmierzyć ze swoimi bliskimi, rodziną, sąsiadami... Pozostawało mieć nadzieję, że tym razem dopisze im szczęście i nie dojdzie do konfrontacji. Tłum żądny krwi zapewne dopiero zbierał się przy pałacu Rady, na oślep szukając przywódców i broni, co dawało orszakowi bezcenną przewagę.

Iia wyglądała na mocno oszołomioną. Stopień skomplikowania tajemniczego rytuału, cała mistyczna otoczka narosła wokół tego wydawały jej się dziwaczne. Z uwagą przysłuchiwała się wyjaśnieniom i instrukcjom Tei, ale nie umiała sobie tego wszystkiego wyobrazić. Pochłonięta opowieściami o świecie bogów nie zwracała uwagi na kompletnie

wyludnione ulice i opuszczone place porażające martwością.

Aedrin i Tea wiedzieli, że jak najszybciej muszą się dostać do podnóża Góry Mędrców, chmurnego szczytu, który zamykał kotlinę Agharu wewnątrz swoich skalnych ramion. W całości uznawany za święte sanktuarium udzielał gościny przybytkom wszystkich bóstw sprawujących opiekę nad miastem. U jego stóp, zgodnie z hierarchią panującą w niebiosach, rozłożyła się świątynia Weji, wyżej – jej czterech braci, a ponad nimi – pałac władcy gromów Narduka. Wszystkie jednak rozlokowały się poniżej przybytku proroków, niedostępnej samotni na skale. To stamtąd nadchodziły polecenia i rozkazy, którym musieli podporządkować się wierni.

Bez przeszkód opuścili miasto i mijając tysiąc wyślizganych stopni, którymi pielgrzymi od wieków podążali pod świętą skałę, weszli na wąską ścieżkę prowadzącą do świątyni. Zanim słońce zaszło za szczyt Góry Mędrców, dotarli do przejścia otwieranego na specjalne życzenie kapłanek i przy wyjątkowych okazjach. Ślub dowódcy gwardii spełniał oba te kryteria.

Ukryta ścieżka doprowadziła ich na plac rozświetlony drgającą luną ustawionych w kręgu pochodni. Iia poczuła suchość w gardle, mocno ścisnęła dłoń przyjaciółki. Dotarli na miejsce.

Świątynia bogini Weji, stworzycielki światów, siostry Narduka, najważniejszego z bóstw Agharu, uderzała skromnością. W jaskiniach odgradzonych od spojrzeń ciekawskich potężnymi wrotami mieściły się cele klasztorne i wewnętrzny ołtarz, do którego wstęp miały jedynie zamężne kobiety. Jeszcze głębiej mieszkały opiekujące się przybytkiem kapłanki, które z różnych powodów porzuciły doczesne życie i złożyły śluby czystości. Do ich sal modlitewnych nie wolno było wejść nawet zaproszonym gościom. Od początku historii miasta żaden mężczyzna nie ośmielił się przekroczyć wrót, żaden nie zajrzał w głąb tajemnych korytarzy. Obrzędy na cześć bogini zawsze odbywały się na placu przed świątynią, a podwoje klasztoru były wtedy zamykane na klucz.

Na widok kapłanek przystrojonych w czarne szaty Tea cofnęła się poza krąg, zostawiając przyszłych małżonków samych wewnątrz świetlnej kuli.

Była zadowolona z decyzji Aedrina, bo w jej mniemaniu tak należało postąpić, tego wymagało dobre imię miasta. Gdy poznała szczegóły historii Obcej, powód jej ucieczki i zajrzała w głąb samotnego, przerażonego serca, niemal od razu przygarnęła ją, stając się przyjaciółką, powiernicą, trochę opiekunką.

Wychowana w kulcie odwagi i honoru, wiedziała, że przyprowadzenie Iii do Agharu było równoznaczne z udzieleniem jej azylu. Jeśli mieszkańcy nie byli gotowi na otwarcie swoich podwoi dla Obcych, należało zabić jasnowłosą, zanim została zaproszona. Prawo gościnności mówiło wyraźnie, że przybysz w progu domostwa jest chroniony dobrym imieniem gospodarza. W ten sposób pojmowana zasada rozciągała się na całe miasto.

Rozumiała intencje Ha'gartha, jego strach przed tym, co nowe i nieznanne, choć zupełnie nie zgadzała się ze sposobem działania. W pełni natomiast popierała racje Aedriny, tym bardziej że – podobnie jak on – od początku spotykała się z Iią i nie zachorowała. Nieracjonalne zachowanie przerażonych ludzi uważała za barbarzyństwo, poszukiwanie na oślep kozła ofiarnego. Wierząc w to, o co walczy, nie bała się ochłodzenia relacji z mężem ani ryzyka spotkania z wściekłym motłochem.

Ślub był jedynym możliwym rozwiązaniem, w dodatku – jeśli wszystko pójdzie po ich myśli – bezkonfliktowym. Warunkiem zatrzymania Iii za bezpiecznymi murami klasztoru była ceremonia zamążpójścia, bo zgodnie z tradycją panny nie mogły przekraczać bram świątyni Weji. Poza tym przyjęcie dziewczyny do szanowanej rodziny zdejmowało z niej odium Obcej. Istotne było także, że kobieta – młoda, ładna, zakochana – miała szansę oswoić w końcu Aedriny, rozbić pancierz jego obojętności i odkryć bijące serce, zanim nie skamienieje na zawsze.

Dlatego Tea uśmiechnęła się szczerze, ciepło, w głębi duszy życząc młodemu wiele szczęścia, bo szczególnie teraz było im bardzo potrzebne.

Do kręgu weszła jedna z kapłanek, w dłoniach trzymała dwa puchary mieniące się złotem. Wypili oboje, płyn był w smaku nieprzyjemnie gorzkawy. Iia się zatoczyła, gdy dziwna słabość objęła jej ciało i umysł. Przed upadkiem ochroniły ją silne ramiona Aedriny. Uniosła głowę, z wdzięcznością spojrzała mu w oczy. Zobaczyła, jak jego błyszczące źrenice zaczynają matowieć, wdziera się do nich biała mgła. Szarpnęła się, ale trzymał ją mocno, dopóki sama nie poczuła pieczenia pod powiekami.

Świat zatonął w kompletnym mroku, Iia oślepla.

Zgodnie z instrukcją Tei odsunęła się od mężczyzny, który puścił ją bez sprzeciwów. Skupiła się, odcięła od bodźców zewnętrznych, ciężkich kroków gwardii wchodzącej do wnętrza kręgu, cichego tupotu i szelestu powłóczyстых sukien.

To była ceremonia połączenia w krainie ansai. Szukanie swojego odbicia,

którego nawet w tłumie obcych nie sposób przeoczyć. W wirującym kole mężczyzn i kobiet kochankowie musieli się odnaleźć, by dowieść swojego oddania. Potwierdzić wyroki przeznaczenia.

Zgodnie z poleceniem Iia wyciągnęła dłoń, zaczęła szukać. Czuła dotyk jedwabistych szat i obcych ciał, żadne jednak nie było Aedrinem. Jemu znalezienie drugiej połowy poszło znacznie sprawniej, natychmiast odszukał tę, która niepodzielnie zawładnęła jego sercem. Tea drgnęła zaskoczona niespodziewanym dotykiem, dyskretnie podprowadziła mężczyznę do zagubionej w tłumie dziewczyny, zdjęła dłoń ze swojego nadgarstka i połączyła przyszłych małżonków. Bezradna Iia przyjęła wsparcie, dotykiem rozpoznała, czyją własnością były węzły twardych mięśni i silne ręce. Z westchnieniem ulgi przytuliła się do ukochanego. Okowy ślepoty puściły, oboje odzyskali wzrok.

Krąg opustoszał, znowu zostali sami.

Na placu zabrzmiał donośny dźwięk potężnych trąb, ogromna sowa wypuszczona z niewoli załopotąła skrzydłami. Płomienie pochodni zasyczały i rozjarzyły się gwałtownie, lecz Aedrin nie dał się oszukać, błyskawicznie sięgnął po miecz. Głowa ptaka oszołomionego światłem upadła im do stóp. Po żelaznej klindze spłynęła krew, mężczyzna podniósł oręż i złożył na nim pocałunek, łowczyni postąpiła tak samo. Między ich ustami znalazło się skrwawione ostrze.

Aedrin zerwał rękaw ozdobnej delii i wytarł usta, materiał podał Iii, która postąpiła tak samo, oboje zwinęli w ten prowizoryczny całun zwłoki ptaka, posłannika przeznaczenia.

Tak dopełnił się mennai, rytuał księżycy, krew przelana podczas obrzędu miała na zawsze zjednoczyć kochanków pod czujnym spojrzeniem strażnika nocy. Jego zadaniem było w tym świecie, i każdym innym ze światów, połączyć ich losy oraz utkać z nich sukno życia.

Ostatni był rytuał ihsai przypisany słońcu. Z głębin świątyni wypływał miarowy, harmonijny zaśpiew. Gwardziści i kapłanki zbliżyli się do kręgu, powtarzali rytmicznie słowa, których znaczenia nie znała. Pochodnie zaczęły przechodzić z rąk do rąk, tworząc ruchome koła. Aedrin chwycił ją za dłonie i porwał do dziwacznej tańca pomiędzy płomieniami. Gdzieś na środku wystrzelił kolejny okrąg ognia, następne otaczały ich coraz ciasniejszą ścianą. Lawirowali pomiędzy nimi, z trudem unikając płonących jeziorów. Ucieczką przed ogniem było łamanie narzuconego zaśpiewem rytmu,

podobnie jak w miłości, która nie uznaje żadnych reguł. Zsynchronizowali swoje kroki i obrali wspólny kierunek.

Iii zaczęło się kręcić w głowie od dzikiego tańca, lecz obok pojawiła się Tea i podtrzymała osuwającą się dziewczynę.

– Teraz, niezmiennie i na zawsze – kapłanka podeszła do nich i zarzuciła szal na splecione dłonie – taka jest wola Weji.

Pochodnie zgasły, ceremonia dobiegła końca.

Aedrin odetchnął z ulgą, nic nie zakłóciło przebiegu ślubu, więc zgodnie z panującym prawem stali się małżeństwem. Iia mogła już udać się do klasztoru. Była bezpieczna za jego solidnymi murami, których strzegły drzwi obite żelaznymi ćwiekami, choć prawdziwym strażnikiem była tu tradycja zakazująca wstępu mężczyznom.

Czuł się zmęczony, cały dzień spędził w pośpiechu, biegając między świątynią, koszarami a pałacem. Pokazna darowizna kupiła mu przychylność kapłanek, jeszcze większa przekonała, że powinny zatrzymać Iię na dłużej. Ya'rean zapewnił mu czas konieczny do wezwania gwardzistów i ukrycia broni, by nie wpadła w ręce rebeliantów. Zdołał zdobyć jeszcze ceremonialny strój, wygłosić płomienne przemówienie do swoich żołnierzy oraz przygotować strażę na wypadek ochrony ka'hete.

Do tego wszystkiego zupełnie zbędna ceremonia ciągnęła się w nieskończoność, bo ustępstwa kapłanek nie obejmowały uproszczenia rytuału.

– Tak nakazuje tradycja. – Przełożona okazała się twardym negocjatorem.
– Chociaż możemy zapewnić ci – popatrzyła na niego wymownie – oczywiście pod pewnymi warunkami, odpowiednie ułatwienia...

– Na przykład?

– Skrócenie przebiegu każdej próby.

Nie wahał się ani przez moment, wyjął ostatni z argumentów i rzucił jego brzęczącą zawartość na stół.

– Skończymy rytuał przed wschodem księżyca – obiecała i dotzymała umowy.

Teraz pozostało tylko pożegnać jasnowłosą. Z wyraźną niecierpliwością przyjmował oficjalne gratulacje od gwardzistów i kapłanek. Widział, że Iia promieniała ze szczęścia, ale nie zamierzał dłużej ryzykować, pocałował ją, właściwie tylko musnął ustami policzek, i delikatnie popchnął w stronę drzwi.

– Już czas – szepnął.

Uśmiech rozjaśniający jej twarz znikł nagle, jakby został starty przez tę samą ciemność, która ją pochłonięła za bramą.

Tea odwróciła się, by pójść za nią, lecz Aedrin złapał ją za rękę.

– Przepraszam i dziękuję – powiedział ze wzrokiem wbitym we własne buty. – Wiem, ile ci zawdzięczam.

– Nie! – Odwróciła się, jej oczy miały barwę chmurnego nieba. – Nie wiesz. Dla ciebie okłamałam własnego męża, złamałam wszystkie zasady i na koniec oszukałam tę biedną dziewczynę. W zamian zostałam poniżona i wyproszona z twojego domu. Zaprawdę wielki masz u mnie dług, dumny Aedrinie z rodu Ewallah, i postaram się, byś go spłacił.

Podniósł głowę, ich oczy się spotkały. Błękitne, ciskające gromy zajrzały w brąz poznaczony tak głębokim cierpieniem, że ich furia osłabła.

– Jest już bezpieczna, świątynia ochroni ją przed tłumem i zapewni spokój, aż znajdziesz jakieś rozwiązanie – powiedziała cicho.

Na widok jego bólu, który mylnie odebrała jako przejaw żalu i tęsknoty za młodą żoną, gniew musiał ustąpić miejsca współczuciu.

Obojętnie, czy jesteśmy przyjaciółmi, czy wrogami – pomyślała i ujęła jego dłoń w swoją – teraz tak bardzo potrzebuje pocieszenia. Znowu został sam.

Po raz pierwszy poczuł jej fizyczną bliskość, ciepło, bicie serca. I moc tego doznania rzuciła go na kolana, ustami dotknął delikatnej dłoni, ale nie podniósł wzroku. Bał się, że z jego oczu Tea wyczyta prawdę.

– Wystarczy – powiedziała zakłopotana – wybaczam ci.

Nie wyszarpnęła dłoni, nie odsunęła się ze wstrętem ani nie uciekła do mrocznego sanktuarium. A powinna.

Jej skóra pachniała słodko mimoszą i dojrzałym owocem brzoskwini. Od tego zapachu zakręciło mu się w głowie, teraz był gotów dokonać niewybaczalnego. Wstał, ich oczy się spotkały.

Zrozumiała. Krok po kroku zaczęła się wycofywać w ciemną otchłań bramy.

Stał jeszcze długo wpatrzony w pustkę przed sobą, bo serce rozpryśnięte na tysiąc kawałków nie mogło odnaleźć właściwego rytmu.

– Odeszła – usta wyszeptaly to, czego nie umiał pojąć mózg. Odwrócił się i szedł do miasta, by stawić czoło gniewowi tłumy.

Rozdział XX

W końcu musiała wyjść z basenu, nie mogła tam spędzić wieczności. Owinięta długim miękkim ręcznikiem usiadła w fotelu, przyglądając się prawie obcej twarzy w lustrze.

Machinalnie sięgnęła po kredkę do oczu i puder. Pomalowała rzęsy, ułożyła włosy, czerwoną szminką podkreśliła usta, lecz ani najlepsze z kosmetyków, ani starannie przygotowana fryzura nie były w stanie zmienić wyrazu oczu, w których na dnie przyczał się stygmat samotnej kobiety – smutek.

Gdyby to było możliwe za pomocą szminki, chciałyby zamienić starą Vic na nową, wyzwoloną od destrukcyjnych uczuć, wątpliwości i roztrząsania dawnych błędów. Lalkę o porcelanowej skórze i ustach rozciągniętych w sztucznym uśmiechu. Pustą w środku. Szczęśliwą, która dopiero w tak przygotowanej wersji byłaby gotowa stawić czoło światu.

Z walizki wyjęła sukienkę; kupiła ją zachęcona przez obrotną sprzedawczynię, choć od początku uważała to za niepotrzebny wydatek. Grafitowy kaszmir opinał ciało, podkreślając talię i nogi. Wysoka stójka wieńcząca dekolt uwypuklała szyję i była doskonałą oprawą dla dyskretnych brylantowych kolczyków. W tym stroju czuła się nieswojo, ale odważny fason ostatniego krzyku mody był tak bardzo nie w jej stylu, że idealnie nadawał się dla nowej Vic. Uzupełniał wykreowaną postać niczym brakujący element układanki.

Ostatnim akcentem były wysokie czarne szpilki. Dopiero teraz wstała i obejrzała się dokładnie w ogromnym lustrze.

– Jestem Veronica Mallory – powiedziała na głos i roześmiała się perliście.

Narzuciła płaszcz, zabrała torebkę. Z mieszkania wyszła po cichu, starając się nie trzasnąć żadnymi drzwiami.

– Powiedział „jesteś wolna”, zaraz się przekonamy, jak bardzo – wyszeptała do siebie, czekając na taksówkę.

Najistotniejszą kwestią była odpowiedź na pytanie o długość smyczy, na której El’lar prowadzi Gabora. Tego właśnie chciała się dowiedzieć.

Oczywiście nie miała ochoty – szczególnie po wydarzeniach w hotelu – narażać się na ryzyko spotkania z łowcami, dlatego wybrała miejsce publiczne. Najlepsza wydawała się kawiarnia w operze.

Ledwie usiadła przy stoliku, natychmiast zjawił się przystojny młody mężczyzna o śniadej cerze, który mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Instynktem pożeracza kobiecych serc bezbłędnie wyczuł ofiarę.

Nie miała żadnego skonkretyzowanego planu, więc postanowiła dać się ponieść biegowi wydarzeń. A może po prostu ten żigolak rozbawił ją nieudolnymi karesami i pretensjonalnym sposobem bycia. Peter, bo tak się przedstawił, od razu poinformował ją, że jest studentem reżyserii i poszukuje „nieogranych” twarzy do swojego debiutanckiego filmu.

Boże, co za banał – pomyślała z niesmakiem.

– Jeśli zechcesz, pokażę ci Pragę, której nie zapomnisz do końca życia – powiedział, nachylając się w jej stronę.

Owionął ją zapach wody kolońskiej i alkoholu.

– W to nie wątpię – powiedziała chłodno – jednak czekam tu na kogoś. – Już jej się znudziła ta rozmowa, więc ostentacyjnie spojrzała na zegarek.

Nie rozumiał aluzji lub udawał, że nie rozumie.

Wyjęła portfel, by zapłacić za kawę i niedojedzone ciastko, oczy mu błysnęły na widok platynowych i złotych kart w portfelu, ale szybko się opanował. Położył dłoń na jej ręce, chcąc ją zatrzymać przed uregulowaniem rachunku.

– Pozwól mi...

To przeważało szalę, jego dotyk był śliski jak on sam. Wzdrygnęła się i gwałtownie wstała od stolika.

– Wykluczone! – rzuciła lodowato.

– Dżentelmen – zabrzmiał głos za jej plecami – raczej by posłuchał.

Nie mogła się pomylić. Ten charakterystyczny lekko chrapliwy głos należał do pewnego bardzo zdenerwowanego wampira, chociaż określenie go w ten sposób było eufemizmem. Obcy wręcz kipiał od wściekłości powstrzymywanej z trudem. Oczywiście poza nią nikt tego nie zauważył.

Gabor objął Petera z pozorną czułością, młodzieniec wzdrygnął się i szarpnął, ale żelazny uścisk przytrzymał go na miejscu.

– Powinieneś zniknąć tak szybko, jakby cię tu nigdy nie było – z kieszeni wyciągnął kilka banknotów – i dyskretnie niczym kurz na wietrze.

Wtedy instynkt zawiódł uwodziciela, na widok pieniędzy uśmiechnął się

nieprzyjemnie. Był gotów zaryzykować, bo dobrze zapamiętał błysk kart w portfelu kobiety.

– Pani powinna zdecydować, który z nas będzie jej towarzyszył. – Puścił do niej oko.

Vic zamarła.

– Tak myślisz? – zapytał Gabor głosem, który wywoływał ciarki. Kilka osób odwróciło się w ich stronę. Zostali zauważeni.

– Chcesz mnie nastraszyć? – Młody człowiek, widząc reakcję obserwatorów, celowo podniósł głos. – Czy aby nie jesteś za stary na bójki w knajpach?

Zrobiło się nieprzyjemnie.

– Tak – odpowiedział cicho wampir i spuścił głowę – nie chcę żadnych kłopotów. Żadnych bójek.

W oczach Petera zobaczyła jawny triumf, który nieco zbladł, gdy bezgłośnie szepnęła do niego:

– Uciekaj!

Chyba była bardzo blada i przerażona, bo młodzieniec zawahał się, jednak chciwość okazała się silniejsza niż rozsądek.

– Odsuń się, dziadku – pojechał po bandzie – pani pójdzie ze mną!

– Oczywiście. – Gabor odsunął się na odległość ramienia. – Nie mam nic przeciwko temu. Synku.

Nie zdążyła nic powiedzieć, zaprotestować przeciw uprzedmiotowieniu przez obie strony.

Młody człowiek nagle się wyprostował, kaszlnął, po czym nie swoim sztywnym krokiem odwrócił na pięcie i zniknął za szklanymi drzwiami restauracji.

Wyszła z Gaborem na ulicę, po nachalnym żigolaku na szczęście nie było śladu. Blade promienie słońca z trudem torowały sobie drogę przez skłębione szare chmury. Ale dzień był stosunkowo jasny, prawie samo południe, więc według teorii – chyba wszystkich specjalistów od nieśmiertelnych – jej towarzysz powinien już być kupką popiołu.

Zatrzymała się w pół kroku, zniecierpliwiony odwrócił się ze złością.

– Jeśli czekasz, aż moje szczątki rozwieje wiatr – syknął – możesz sobie darować, dziś nie będzie wiało.

Ciemnozielony bentley parkował przy krawężniku. Wsiadł do niego – co jej wcale nie zdziwiło – i przytrzymał otwarte drzwi. Usiadła obok

i odwróciła się w stronę okna, lecz tak naprawdę nie zwracała uwagi na okolicę. W samochodzie panowało ciężkie naładowane złością milczenie.

Wiedziała już, jak Gabor rozumiał pojęcie wolności. Była gościem, choć bez jego zgody i błogosławieństwa nie mogła opuszczać luksusowej klatki. Pilnował jej – była pewna, że z dużym zaangażowaniem – bo takie dostał rozkazy. Od ich wspólnego znajomego.

Kierowca zatrzymał się przed obskurnym budynkiem. Weszli razem do jej apartamentu. Gestem wskazała mu możliwie jak najdalej odsuniętą kanapę, ale zlekceważył tę żalospną próbę zachowania dystansu.

– Czekam na wyjaśnienia. – Jeśli miała nadzieję, że złość już z niego wywietrzała, srogo się pomyliła.

Zaciśnięte szczęki, lodowato pogardliwe spojrzenie i ton głosu sugerowały raczej nieprzyjemny przebieg tej rozmowy. Vic postanowiła wyłożyć karty na stół, bo miała serdecznie dosyć śliskiej gry pozorów, którą starannie i w różnych wariantach przerobiła z doktorem Barrowem.

– Najpierw mi powiedz – odpowiedziała chłodno – zlecono ci rolę bardziej strażnika czy opiekuna?

– Skąd domniemanie, że w ogóle się z nim kontaktowałem? – Uśmiechnął się, ale udawane rozbawienie nie objęło jego oczu pulsujących bladymi żyłkami.

– Niegrzeczni chłopcy – nie mogła sobie darować drobnego prztyczka – powinni unikać inteligentnych dziewczynek.

– *Touche*. – Lekko skinął głową w jej stronę. – Określiłbym swoją rolę bardziej jako dyskretnego towarzysza.

– Kiedy mogę się spodziewać wizyty?

– Miejmy nadzieję, że nigdy. – Wzdrygnął się lekko, teatralnie. – Niespecjalnie byłbym rad.

Zaintrygował ją, uważnie spojrzała mu w oczy, szukając śladów kłamstwa.

– A to dlaczego?

– Rozejrzyj się, odpowiedź masz na wyciągnięcie dłoni. Nasz gatunek rozdzieliły ocean, czas i warunki. W odróżnieniu od fanatycznych wyznawców Azdarotha – powiedział ze słyszalnym lekceważeniem – jesteśmy kompletnie zasymilowani. Przyjeliśmy zasady oraz styl życia ludzi, a co za tym idzie – nauczyliśmy się korzystać z tego, co przynosi cywilizacja. Nie dyszymy żądzą zemsty za rzezie ginące w pomroce dziejów, nie szukamy wrogów ani nie tworzymy sobie nowych. Bardziej od krwawej wojny

interesuje nas gra rynkowa, gromadzenie dóbr i wygodne życie.

– Nowy gatunek *vampiris saphiensis*?

Nie wyglądał na rozbawionego tym żartem.

– Od dwustu lat nie zabiłem człowieka...

– To czym się żywisz? – przerwała mu zaintrygowana tą nową bardzo interesującą informacją.

– Zdziwiłabyś się, jak wielu jest chętnych do znalezienia się w naszym menu. – Dopiero teraz uśmiechnął się naprawdę.

– Tatiana? – zapytała z ciekawością.

– Nie tylko, dziesiątki następnych cierpliwie czekają w kolejce.

Nie okazała tego, ale trochę wstrząsnął nią fakt, że istnieją ludzie dobrowolnie oddający krew wampirom.

– Jak się to odbywa? – zapytała, choć nie była pewna, czy naprawdę chce wiedzieć.

– Zagubione młode kobiety szukające wrażeń, znudzone własnym życiem – rozsiadł się wygodnie. – Ratujemy je, pomagamy stanąć na nogi i dajemy nowy cel, w zamian zgadzają się na małą wymianę.

– Żerujecie na nich – nie udało jej się ukryć pogardy – za pieniądze, luksusy, obietnicę lepszego życia. Tani ten pokarm.

– Nie tylko obietnice... Zapomniałaś? – Zanim zdążyła zareagować, męska dłoń delikatnie musnęła jej twarz.

To, jak na ten niewinny lekki dotyk odpowiedziały zmysły, kompletnie ją zaszokowało. Musowanie bąbelków na skórze obudziło znaną słabość, przyprawiło o kołatanie serca, zapaliło ogień w żyłach.

Gwałtownie odepchnęła dłoń niebezpiecznie zbliżającą się do warg, jeszcze chwila i pozwoliłaby mu na zbyt wiele. Jednak po tej nauczce aż za dobrze rozumiała, co miał na myśli.

– Krew za seks? – W duszy się modliła, żeby czerwień policzków i rozszerzone źrenice wziął wyłącznie za objaw gniewu. – Nie wierzę, że godzą się na to z własnej woli.

– Tak trudno to zrozumieć? – Ironiczny uśmiech sygnalizował, że bez trudu rozszyfrował jej grę. – W naszym wykonaniu akt cielesnego obcowania zamienia się w doznanie niemal metafizyczne, o czym zresztą sama doskonale wiesz. Nie da się tego z niczym porównać, z wyjątkiem perwersyjnego seksu po LSD na orbicie okołoziemskiej. Lub w szklanej windzie, co kto woli.

– Pochlebiasz sobie – prychnęła z dezaprobatą, ale w duszy musiała mu przyznać rację. – Wykorzystujecie nieświadome kobiety, mamicie wizjami szalonego seksu i we własnym mniemaniu jesteście lepsi od tego żigolaka z opery.

– Ten żigolak – coś na kształt ciemnej chmury przemknęło mu przez twarz – wyglądał mi na kogoś, kto żyje z bogatych turystek.

– Poczuleś się dotknięty porównaniem, bo przecież wampir łowiący młode naiwne dziewczyny i oferujący seks w zamian za pożywienie ma moralne prawo oceniać złodziei oraz gwałcicieli. Boże – westchnęła – jacy jesteście zakłamani i pewni swoich racji. Szlachetni krwiopijcy przygarniający zagubione owieczki, powinnam być chyba pod wrażeniem, doceniać czyste intencje. Ale nic z tego.

– Nieszczęśliwe dziewczyny, często po traumatycznych przejściach, odnajdują u nas spokój, opiekę i namiastkę uczuć. – Wyglądał na lekko urażonego. – Nie pytaj, z jakim posagiem Tatiana opuści ten dom. Wyczyszczę jej pamięć, zostawiając tylko wspomnienie szalonego romansu oraz okazałe konto, dzięki któremu będzie mogła uwolnić się od dawnych koszmarów. A wierz mi, przy nich flirt z wampirem jest niczym zabawa dzieci w piaskownicy. Nigdy nie pozwalałam sobie nadszarpnąć sił życiowych ofiar, potrafię zachować umiar i zdrowy rozsądek. Zresztą dzięki temu przeżyłem stulecia, nigdy nie narzekając na głód. Możesz to oceniać, jak chcesz, ale proszę cię, nie baw się w hipokrytkę. Nie ty.

Nie odezwała się słowem, bo w duszy przyznała mu rację. Powinna raz na zawsze dać sobie spokój z przymusem oceniania ludzkich oraz nieludzkich zachowań.

– Skończymy tę fascynującą rozmowę później, bo dla mnie to nie jest odpowiednia pora na towarzyskie pogawędki. – Wstał i podszedł do drzwi. –

Proszę cię tylko o to, żebyś mi oszczędziła kolejnej wycieczki. Aż tak bardzo nie lubię słońca. I ludzi.

Rozumiała go doskonale, po wypadkach w operze sama czuła się zmęczona. Wypalona, ale za żadne skarby nie przyznałaby się, że to odczucie miało jakikolwiek związek ze wspomnieniami, pustką, która się w niej na dobre zaległa.

Zamknęła drzwi na klucz, zmyła makijaż i położyła się do łóżka z książką w ręce, jednak nie udało jej się dokończyć rozdziału, bo nieprzespane noce przypomniały o sobie otępiającym zubożeniem. Zamknęła oczy i zasnęła.

Po raz pierwszy od dawna nic jej się nie przyśniło.

Rozdział XXI

KRONIKI WAMPIRÓW

Spotkał się z Ha'garthem nieopodal pałacu. I nie było człowieka, którego Aedrin nienawidziłby w tej chwili bardziej niż własnego brata.

– Gdzie jest Obca? – przywitał go pytaniem mąż Tei.

– Poza twoim zasięgiem – odparł zimno. – Jako moja żona skorzystała z gościny świątyni.

– Zapłacisz za to – syknął Ha'garth. – Twoich uczynków nie zaakceptuje nawet Ya'rean. Pogwałciłeś zasady – uśmiechnął się złośliwie – ty, który sam mianowałeś się ich strażnikiem. Wykorzystałeś dla prywaty gwardię, okłamałeś Radę i ukryłeś Obcą, aby nie dosięgła jej ręka sprawiedliwości. Karą za potrójną zdradę może być tylko wygnanie.

– A zatem jesteś szczęśliwy. – Aedrin siłą się hamował, żeby nie dobrać sztyletu. – Usunąłeś z drogi konkurenta do tytułu ka'hete.

– Mylisz się, zarzucając mi swoje przywary, oskarżając o żądzę władzy, bo wszystko, co uczyniłem, miało na celu jedynie dobro Agharu. – Odwrócił się i powiedział głośno: – Brać go!

Z cienia wyszła grupa ludzi, Aedrin nie rozpoznał w nich strażników z pałacu, lecz zwykłych mieszkańców. Odważył się na wiele, uzbrajając obywateli miasta, więc jest już po zamachu – nawet w myślach te słowa wywoływały gniew.

Nie zakuli go w kajdany, ale prowadzili między sobą ulicami pełnymi gapiów. Wielu odwracało wzrok, inni rzucali niewybredne komentarze, jeszcze inni spluwali mu pod nogi. Najważniejsi byli jednak ci, którzy nie garnęli się do przodu, żeby obejrzeć widowisko, stali nieco z tyłu i gdy omiatał ich wzrok Aedriny, sięgali pięścią do prawego ramienia. To byli jego ludzie, gwardia złożona z samych doborowych wojowników. Do końca mógł być pewien ich lojalności i oddania.

Wiedział, że czekali na znak, którego nie mógł im dać, bo jeśliby to uczynił, ich gniew spadłby na całe miasto, zatapiając je w morzu krwi. Najodważniejsi z wichrycyli nie mogli się równać z wyszkolonymi wojownikami, bo determinacja i zaciełość były niczym przy doświadczeniu i umiejętnościach wykuwanych przez lata ciężkiego treningu. Starcie motłochu z gwardzistami wywołałoby wewnętrzny konflikt, i choć Aedrin był gotów walczyć przeciwko rebelii, nie miał zamiaru pogrążyć Agharu w bratobójczej wojnie. Z rozmysłem wybrał inną drogę, zamierzał dochodzić sprawiedliwości zgodnie z sumieniem, w ramach obowiązującego prawa.

Zaprowadzono go do więzienia i wtrącono do celi, gdzie skuty kajdanami miał czekać na wezwanie. Usiadł na deskach pryczy i popadł w zadumę.

Na jego oczach ukochany Aghar zmienił się nie do poznania, nie takiemu miastu ślubował wierność i posłuszeństwo. Postanowienie Rady dotyczące kobiety z równin było ostateczne, mieszkańcy słowami swoich przedstawicieli zobowiązali się do ochrony i udzielenia jej pomocy, a bogowie ustami proroka potwierdzili tę decyzję. Czy się mylili?

Choroba nękająca mieszkańców mogła mieć przyczyny naturalne, ponieważ w innym przypadku...

Po zastanowieniu odrzucił tę myśl, bo jaki cel przyświecałby prorokom, którzy żądali schronienia dla Obcej, jeśli miała ona przynieść ze sobą śmierć i zagładę? Powiedziane było, że przeznaczenie łączy ją z przyszłością miasta, a tą przyszłością w żaden sposób nie mogła być zaraza ani Ha'garth opętany żądzą władzy.

Jak większość obywateli, Aedrin wiedział, komu Ya'rean zdecydował się przekazać tytuł ka'hete. Nie odpowiadało mu to, nigdy nie marzył o rządach i przywilejach, a do szczęścia wystarczał mu zupełnie tytuł dowódcy gwardii. Zdawał sobie sprawę, że przyjęcie laski Ka było równoznaczne z wzięciem na barki brzemienia, które będzie musiał dźwigać do końca życia. W jego oczach władza nie była darem, ale niekończącym się obowiązkiem.

– Właśnie dlatego się nadajesz – odpowiedział mu Ya'rean, gdy podzielił się swoimi wątpliwościami. – Jak nikt rozumiesz, że rządzenie to nie złudny blask korony, lecz trud i codzienna ofiara. Tron nie wynosi cię ponad innych, lecz upokarza nieustannym balansowaniem na krawędzi wśród ludzi, których nic tak nie ucieszy jak twój upadek. Kował wykuwa miecz i nic go ponad to nie obchodzi, od ciebie będzie zależeć, w czyich znajdzie się dłoniach i co ze sobą przyniesie. Osądzać cię zaś będą wrogowie, komentować – głupcy,

a złośliwi obrzuca błotem. Oto cała nagroda, której możesz się spodziewać za swój trud.

– Jestem dowódcą gwardii i znam się tylko na rzemiośle wojennym – spróbował ostatniego argumentu – mógłbym lepiej służyć miastu, walcząc z rzeczywistymi wrogami niż intrygantami.

– Nie martw się, synu. – Starzec oparł się o złoty uchwyt laski. – Poznasz wszystkie inne dziedziny życia dogłębnie. Do ciebie przyjdzie kupiec z prośbą o rozstrzygnięcie sporu, rzemieślnik poprosi cię o radę, strażnik będzie czekał na rozkazy, nauczysz się sprawiedliwego odważania towarów, tajników kucia metalu, nawet zasad, według których należy wychować niesforne dziecko. Żaden zawód nie będzie miał przed tobą sekretów, ta wiedza przyjdzie z czasem, ale najważniejsze, że już potrafisz wzbudzić szacunek żołnierzy, utrzymać dyscyplinę i użyć autorytetu wtedy, gdy jest to konieczne. Te umiejętności zdobywałeś latami, wykuwałeś tę naukę w ogniu walki i płaciłeś za nią własną krew. Znasz prawo stojące na straży porządku oraz cenę wolności. – Spojrzał na niego mądrym, przenikliwym wzrokiem. –

Tylko omamiony głupiec może sądzić, że nadaje się do sprawowania władzy, człowiek rozsądny widzi swoje niedostatki i pyta pokornie: dlaczego ja?

Aedrin uśmiechnął się niewesoło.

– Właśnie, dlaczego ja?

– Jest wielu kandydatów, między innymi twój brat. Czy widzisz go na tronie Agharu? Pamiętaj, nasze dzieci będą dorastać pod jego rządami, on ukształtuje na lata sposób myślenia ludzi, wpłynie na ich życie i decyzje. Jesteś gotów zrzec się dla niego tytułu ka'hete?

Nie odpowiedział, bo nie znalazł żadnego argumentu. Jego milczenie sprawiło, że starzec uśmiechnął się chytrze.

– Wybór przyszłego władcy bardzo często przypomina próbę ratunku przed rozwścieczoną bestią; łapiesz wtedy najlepsze, co masz pod ręką, aby się skutecznie bronić, nawet jeśli to tylko drewniany kij.

Słyszając te słowa, Aedrin się roześmiał.

– Najpierw czarujesz mnie opowiadaniem, że jestem jedynym, najlepszym z kandydatów, a później przyrównujesz do drewnianego kija...

– I obyś nim na zawsze pozostał, bo jeśli pewnego dnia zamienisz się w żelazo, będzie to oznaczało, że bardzo się co do ciebie pomyliłem. –

Ya'rean wstał i zamachnął się, wymierzając mu siarczysty policzek. –

Przygotowano cię do srogiej służby, a zatem służ wiernie i z pokorą, pamiętając przy tym, że nikomu nie wolno wyrosnąć ponad prawo. Po raz ostatni okazałeś słabość oraz zwątpienie, po raz ostatni oczekiwałeś ode mnie rady. Należysz do dumnego rodu, więc zachowuj się jak jego prawowity potomek, przyjmij los, który jest ci przeznaczony. Ludzie nie chcą władcy targanego wątpliwościami, niepewnego i słabego. Musisz pokazać, że pokonałeś cię, który załagał się w twojej duszy. Inaczej staniesz się swoim najgorszym wrogiem.

Słowa starca zapiekły równie mocno jak czerwony ślad po uderzeniu. Nigdy więcej z nim nie rozmawiał na ten temat, choć coraz bardziej obawiał się chwili, gdy zostanie zmuszony do oddania miecza i przywdziania ceremonialnych szat. Wiedział, że sobie poradzi, stał za nim przecież autorytet gwardii, jednak z drugiej strony przyszła funkcja wydawała mu się śmiertelnie nudna. Zamiast wypraw burzących krew w żyłach czekały go godziny spędzane na rozstrzyganiu sporów, posiedzenia Rady trwające nieraz kilka dni, na których omawiane były nadzwyczaj nieciekawe sprawy, intrygi i wzajemne oskarżenia bandy pochlebców. Tak mu się wtedy wydawało.

Życie w Agharze toczyło się ustalonym rytmem do momentu, gdy zwiadowcy przynieśli wiadomość o nadejściu Obcej. Później wszystko się zmieniło.

Jego brat stanął na czele rebelii, on sam znalazł się w więzieniu, rozdarty pomiędzy koniecznością przestrzegania prawa a wojną domową. O nie, rządy nad miastem wcale nie były nudne.

Wiedział, że gdy nadejdą strażnicy, aby go zaprowadzić do wielkiej sali, musi mieć przygotowaną linię obrony na tyle mocną, że złotousty Ha'garth nie zdoła jej podważyć, nawet odwołując się do wszystkich bogów i okadzając tłum spektakularnymi gestami.

Długo zastanawiał się nad każdym słowem przyszłej przemowy, z niecierpliwością wyglądając nieuchronnego procesu. Tymczasem mijał dzień za dniem i oprócz miski ze strawą wsuwanej pod drzwi nic się nie zmieniało.

Przez niewielkie okienko obserwował, jak noce przeradzały się w poranki, które starzały się szybko, przechodząc w zmierzch. Powoli zaczynał już wątpić, czy kiedykolwiek stanie przed Radą. Tylko wypowiedziane słowa „czeka cię wygnanie” dawały mu cię szansy. Nie wyobrażał sobie, żeby ktokolwiek ośmielił się bez wyroku wygnać z miasta głównodowodzącego

gwardią, chyba że...

Coraz więcej mnożyło się wątpliwości i pytań, na które nie znał odpowiedzi. Martwił go los miasta pogrążonego w chaosie, a jednocześnie obawiał się próby odbicia przez wiernych towarzyszy broni, bo oznaczałoby to wojnę.

Sen z oczu spędzało mu odejście Tei, jednoznaczne odrzucenie jego uczuć, los Obcej, która nie miała pojęcia o zamieszaniu, które wywołało jej przybycie, tajemnicza przepowiednia leżąca u podstaw wszystkich wydarzeń. A nad tym rozpościerał swój złowieszczy cień Ha'garth, sprawca wszelkiego zła, przyczyna i powód jego obecnego stanu.

Pewnego dnia, kolejnego z wielu podobnych do siebie niczym dwie krople wody, coś się jednak zmieniło. Minał poranek, przeszło południe, zachód zaczerwienił mur krwistą poświatą, ale nie rozległ się brzęk naczyń, ręka strażnika nie wsunęła miski z nędzną polewką i kawałkiem na wpół surowego placka.

Aedrin był wojownikiem, który przeszedł twardą szkołę, wiele razy zdarzyło mu się głodować, cierpiał pragnienie i niewygody, lecz inaczej one smakowały w gronie podobnie doświadczanych towarzyszy, na wolności, gdy wizja nadchodzącej walki skutecznie odpędzała inne, mniejsze lęki. Teraz, zamknięty w celi i kręgu własnych niewesołych myśli, zaczął się bać. Nie śmierci głodowej, lecz tego, że braknie mu sił, aby godnie stanąć przed Radą i pewnym głosem przemówić do tłumu. Nie zniżył się jednak do przywołania strażników, duma w rodzie Ewallah była niczym nieuleczalna choroba i żaden powód nie okazywał się dość dobry, by się jej wyrzec.

Trzeciego dnia ciche kroki, które w niczym nie przypominały odgłosu ciężkich buciorów dozorców, postawiły go natychmiast w stan czujności. Ten, kto przystanął za drzwiami, nie był strażnikiem. Zdeterminowany więzień stanął obok wejścia, gotów za wszelką cenę wywalczyć sobie drogę do wolności.

– Aedrin? – pytanie zabrzmiało cicho i niepewnie. Poznał ten głos, bo śnił o nim po nocach.

– Tea. – Serce ścisnęło mu się na myśl, że przez niego znalazła się w takim miejscu. – Co tu robisz?

– Nie wiem, jak otworzyć drzwi, nigdzie nie ma klucza – poskarżyła się żałośnie.

To było tak niepodobne do kobiety jego marzeń, że poczuł uderzenie

głuchej furii, jej siłę miał szansę poznać każdy, kto ośmielił się doprowadzić Teę do takiego stanu.

– Nie ma strażników?

– Nikogo nie ma. – Długa chwila ciszy i słaby szept: – Umarli.

Ta wiadomość zaskoczyła go kompletnie. Od trzech dni był pilnowany przez widma.

– Uwolnię cię, tylko nie mam pojęcia, jak to zrobić.

– Nie szukaj. – Na samą myśl, że musiałyby dotykać ciał umarłych, przeszedł go dreszcz. – Na dole są małe drzwiczki, wystarczy, że podasz mi coś ciężkiego, a spróbuję sam się wydostać.

– Mam przy sobie tylko twój miecz. – Zawahała się. – Na górze widziałam inny oręż, może coś się przyda.

Uchyliła niewielką klapkę i zamiast miski ze strawą ostrzem do przodu wjechał jego stary kompan, dwuręczny miecz o potężnej bogato rzeźbionej głowni. Broń w sam raz na drewniane drzwi wzmacniane żelazem.

Tupot stóp na schodach upewnił go, że odeszła na bezpieczną odległość. Wziął potężny zamach i rąbnął na odlew, najpierw w pierścień przytrzymujący łańcuch, a później w okolice skobla. To, że był głodny i wycieńczony, nie zatrzymało impetu – po drugiej stronie była Tea, więc jego stan nie miał znaczenia. Musiał się wydostać.

Kolejne łupnięcie wyszczerbiło deski, dopełnił zniszczenia silnymi uderzeniami jelca i odszedł na drugi koniec celi. Odłożył miecz i rzucił się na drzwi. Za drugim razem nadwyręzione okolice zamka puściły, a głucho trzaśnięcie oznajmiło, że znów był wolnym człowiekiem.

Wrócił po miecz i wbiegł po schodach. Tea stała na szczycie w szarej zniszczonej sukni, bez biżuterii i ozdób. Od ostatniego spotkania postarzała się, ciemne długie włosy upięte niestarannie nad karkiem straciły swój dawny blask, oczy podkrążone sinymi obwódkami świadczyły o nieprzespanych nocach. Skóra opinała ostro zarysowane kości policzkowe, a blade usta stały się prawie niewidoczne.

Ból rozdarł mu duszę, w myślach już wydał wyrok na swojego brata, którego natychmiast uznał za winnego jej nieszczęść.

Wtedy Tea podeszła i objęła go mocno. Skamieniał.

Nie chciał przerwać tej jedynej w jego życiu chwili, gdy czuł bicie jej serca przy swoim, ale musiał się dowiedzieć.

– Co się stało? – zapytał, odsuwając się o krok.

Usiadła na stopniu i zaczęła opowiadać, a jemu coraz bardziej kręciło się w głowie, bo wiadomości, które przynosiła, były złe.

Po jego aresztowaniu Ha'garth obwołał się namiestnikiem, zajmując bez zgody Rady miejsce obalonego Ya'reana. Pozbycie się prawowitego władcy Agharu stało się faktem, teraz nikt i nic nie potrafiło już zatrzymać rozpędzonego koła powszechnego rozzuchwalenia. Tytuł ka'hete zdobyty przemocą i wbrew prawu miał swoją cenę – ci sami ludzie, którzy wynieśli go tak wysoko, oczekiwali, że stanie się marionetką w ich rękach. Żądali wydania kobiety z równin, aby w końcu mogli dokonać samosądu. I Ha'garth ustąpił. Razem z liczną eskortą udał się do świątyni Weji, tam nakazał kapłankom, aby przekazały im żonę Aedrina. Roześmiały mu się w twarz.

Żeby nie stracić autorytetu i świeżo zdobytej władzy, jego brat odważył się zagrozić nietykalności świątyni. W odpowiedzi zobaczył, jak zatrząskują się przed nim drzwi. Tea, przerażona czynami męża, z własnej woli wyszła na zewnątrz, aby – póki jeszcze pora – przemówić mu do rozumu, lecz wydawał się głuchy na jej argumenty.

Rozkazał sforsować solidne wierzeje, motłoch z jego eskorty rzucił się do dzieła, szczęśliwy z kolejnej możliwości zademonstrowania siły i dokonania spustoszeń. I wtedy kapłanki posunęły się do niespotykanego wcześniej aktu odwagi. Za pomocą nieużywanego od wieków mechanizmu chciały zasunąć wewnętrzną kamienną bramę.

Po drugiej stronie Tea usłyszała potworny huk i spod progu uniósł się tuman pyłu. Gdy rozbito wierzeje, ich oczom ukazał się straszny widok, skalny korytarz zawalił się, odcinając świątynię rumowiskiem kamiennych bloków. W ten sposób sanktuarium zamknęło się przed niepowołanymi, za życia grzebiąc w swoich trzewiach niepokorne kobiety. Oraz Iię.

I tak spełniła się pierwsza część przekleństwa, które rzuciła najstarsza z kapłanek.

– Pierwej runie góra, niżli wewnątrz postanie stopa mężczyzny – odpowiedziała na żądanie Ha'gartha – a ty niedługo cieszyć się będziesz zagrabionym tronem. O nie, nikt ci go nie odbierze, nikt nie wydrze ci laski Ka, na zawsze pozostaniesz królem umarłego miasta, władcą widmowego Agharu, ale twoje serce skamienieje z rozpaczy, zanim nadejdzie kolejny nów.

Wydawało się, że Ha'garth w ogóle nie przejął się klątwą kapłanki. Wrócił do pałacu, zostawiając zasypane kobiety swojemu losowi. Przez całą drogę

Tea błagała go niemal ze łzami w oczach, aby nakazał odgruzowanie przejścia. Spojrzał na nią dziwnym pustym wzrokiem i powiedział:

– Nie dopuszczę do tego, żeby jakikolwiek mężczyzna przekroczył przeklęty próg. Tak, jak sobie tego życzyły.

Tego dnia dotarły do nich wieści o następnych chorych, zaraza zaczęła zbierać swoje śmiertelne żniwo. Wiadomo było, że umarło kilkudziesięciu rzekomych ozdrowieńców, lecz później choroba zaatakowała ich rodziny, znajomych i sąsiadów. Co dzień ponury wóz okryty czarną materią wywoził z domów kolejne ciała, a pogrążone w żałobie konduktory odprowadzały je nad brzeg jeziora.

Mędracy byli bezradni, zalecane przez nich napary i zioła zdawały się przynosić wręcz odwrotny skutek, choroba przebiegała szybciej i gwałtowniej, już nie tygodnie dzieliły nieszczęsnych od śmierci, ale doby.

Tea oburzona zachowaniem męża wróciła do domu tylko po to, żeby się przekonać, jak jej syn rzuca się po łóżku targany gorączką. Czuwała nad nim całą noc, rano zostawiła jedynaka pod opieką siostry i poszła błagać o uwolnienie Aedrina. Zastała męża siedzącego na złotym tronie ka'hete. Przywitał ją niczym obcą i nie pozwolił dokończyć prośby.

– Każdy, kto zwraca się do mnie o uwolnienie zdrajcy, jest wrogiem Agharu – powiedział zimno, jednak nie odważył się spojrzeć jej w oczy.

Wyszła z pałacu zdruzgotana i nogi same zaprowadziły ją do więzienia. Okazało się, że część strażników uciekła, inni...

– Leżą na swoich pryczach – zachłysnęła się szlochem. – Nawet nie zdążyli wrócić do domu.

Nie potrafił jej pocieszyć, nie znajdował słów, które byłyby właściwe, przynosiły nadzieję i pomogły przetrwać najgorsze.

Objął ją mocno, położyła głowę na jego ramieniu. Oboje zamilkli.

Aedrin pierwszy raz w życiu nie miał pojęcia, co powinien zrobić w tej sytuacji. Na polach bitew zawsze wykazywał się brawurą i zdolnością podejmowania szybkich decyzji, ale miecz nie był bronią, którą można byłoby pokonać bezlitosną zarazę.

Czuł wzbierającą falę gniewu, który ogarniał go niczym gwałtowna jesienna nawałnica. Patrzył na niegdyś piękną twarz Tei, teraz wychudzoną, poznaczoną trudami walki o życie syna. W jej świetlistych oczach czały się tylko rozpacz i bezradność.

– Nikt nie wie, jak to wyleczyć – poskarżyła się cicho. – Jestem taka

zmęczona.

– Nie wiesz, czy posłano po proroków? – Milczący posłańcy bogów byli ich ostatnią szansą.

– Z tego co wiem, nie. – Spojrzała na niego z nowo obudzoną ufnością. – Myślisz, że mogliby pomóc?

– Oczywiście – odpowiedział z pewnością, której nie czuł – a któż inny?

– Zrobisz to?

Nie musiała prosić, był zdecydowany udać się na szczyt góry, wydusić z nich odpowiedź na pytanie, jak uratować jej dziecko, nawet jeśli trzeba by ją było przemocą wyciągnąć z ich gardeł.

– Jesteś – zająknęła się – moją ostatnią nadzieją. Jeśli Set umrze...

Zrozumiał aż za dobrze, co chciała powiedzieć, i od tej pory strach o los ukochanej kobiety na zawsze miał zagościć w jego sercu. Ujął jej dłonie w swoje i złożył na nich długi pocałunek.

– Nie zawiodę cię. Nigdy. – Te słowa nie były obietnicą, ale przysięgą, która miała go zowiązać aż po grób i nawet krok dalej.

– Nie marnuj czasu – szepnęła.

– Chcę, żebyś zapamiętała. – Wstał i przytroczył miecz do pasa. – Nie masz wobec mnie długu. Robię to dla syna swego brata, bo płynie w nim także moja krew.

Podniosła się i spojrzała na niego oczami, w których na chwilę zapłonął dawny ogień.

– Oboje wiemy, że to nieprawda – powiedziała cicho.

Pogładziła dłonią jego policzek, palcem dotknęła ust. Wahał się tylko chwilę, upadł jej do stóp i objął mocno, jakby w ten sposób próbował przelać na nią część własnej siły. Pachniała mimozą. Delikatne ręce objęły jego głowę, poddał się im bez oporów i uniósł twarz, aby spojrzeć na kobietę, dla której był gotów rzucić wyzwanie światu.

Po jej bladych policzkach spływały łzy.

– Popełniłam straszny błąd, Aedrinie, rozpałam uczucie Ha'gartha, bo nie dostrzegłam miłości w twoim sercu. Byłam ślepa i naiwna. Wybaczysz mi kiedyś?

– Kiedy wrócę – odpowiedział z przekonaniem – odmienimy nasz los.

– Życzę ci Ba'etha – szepnęła, gdy potężna sylwetka zniknęła za drzwiami.

A on odszedł z wiarą i radością w sercu. Nic już nie było w stanie go zatrzymać na ścieżce wykutej w ogniu przeznaczenia.

Rozdział XXII

W sypialni nie było okien, więc gdy otworzyła oczy, poczuła się kompletnie dezorientowana. Wyrzucona poza czas. Piasek pod powiekami i specyficzny rodzaj oczadziałego znużenia świadczyły, że popołudniowa drzemka okazała się zdecydowanie za długa. Zasnęła po dwóch dobach na adrenalinie, dlatego widok, który zobaczyła w lustrze, był przede wszystkim niesmaczny. Zapadnięte oczy w sinoczarnych obwódkach, blada, niemal przezroczysta skóra i rozczochrane włosy dopełniały obrazu idealnie korespondującego z jej samopoczuciem. Nawet najskuteczniejszy z kosmetyków nie był w stanie przywrócić jej normalnego wyglądu, chyba żeby stał się cud i przy okazji zamaskował wspomnienia z całego poprzedniego roku.

Wzięła prysznic, przebrała się, gotowa stawić czoło kolejnemu koszmarowi. Chyba czekał za drzwiami, bo gdy tylko weszła do salonu, rozległo się ciche pukanie. Zaprosiła go, chociaż w ten sposób straciła okazję, by w ciszy i spokoju wypić poranno-wieczorną kawę.

Był ubrany w koszulę i czarne spodnie. Tym razem darował sobie pozory i nie założył ani ciemnych okularów, ani szkieł kontaktowych.

– Dobrze spałaś? – zapytał uprzejmie.

– Tak, dziękuję – odparła, odpędzając natrętą wizję parującej filiżanki z niewielką kremową pianką osadzoną na bokach. Prawie czuła ten elektryzujący aromat, cierpką słodycz mocnego naparu, posmak lekko kwaskowaty, z niemal niewyczuwalną nutą korzeni...

Dziwne spojrzenie Gabora szybciej przywróciło ją do rzeczywistości, niż zrobiłaby to pewnie wymarzona kawa.

– Nie chciałam, żeby tak wyszło. – Przepraszam za zajście w operze zdecydowanie mu się należały. – Próbowałam sprawdzić...

– Wiem – przerwał jej – długość łańcucha, na którym cię trzymam. I dzięki temu eksperymentowi już zrozumiałaś, że jest króciutki, ale – nonszalancko machnął dłonią – przynajmniej luksusowy.

– Co nie zmienia...

– Zmienia. – Uśmiechnął się z wyższością osoby o sporym doświadczeniu.
– Wierz mi, nawet bardzo. Nie chciałabyś gnić w średniowiecznych lochach na równie średniowiecznym sianie. A tak przy odrobinie złej woli można było zinterpretować odgórne zalecenie.

Nie musiała się dopytywać, to było oczywiste. Dawny kochanek nie zapomniał...

– Ale przeprosić możesz. – Ciekawe, skąd znała tę manierę. – Uwielbiam słuchać, jak kobiety proszą mnie o wybaczenie.

– Nie powinnam była tego robić. – Zabrzmiało to, nawet według niej, zbyt oschle. – Tak samo jak nie powinnam przyjmować oferty wampira, zgadzać się na jego warunki, ale...

Zrozumiał, o czym mówiła, i bezceremonialnie wszedł jej w słowo.

– Widzisz, zawsze jest jakieś „ale”. – Głos i sposób mówienia były irytująco podobne, jakby cofnęła się w czasie i prowadziła rozmowę z kimś innym. Szarookim. – Zrobiłam to dla dobra ojca, pomogłam siostrze, uratowałam swoje dziecko. Każdy z tych powodów jest idealnym pretekstem do podjęcia złej decyzji.

– Wy, nieśmiertelni, nie możecie tego zrozumieć, że troska o najbliższych, chęć niesienia pomocy nie jest ludzką słabością, ale siłą, napędza naszą wolę i determinację. – Skrzywił się, jakby powiedziała coś nieprzyjemnego. – Dlatego nie dostrzegam w tym żadnego oszustwa.

– Pozwolisz, że pozostanę przy swoim przekonaniu. – Zmierzył ją wzrokiem. – Podobno byłaś czy też nadal jesteś lekarzem, dlaczego zatem weszłaś z nami w układy? Nie mogłaś znieść myśli, że twoja córka odejdzie i zostawi cię samą, czy poczucia własnej bezradności wobec śmiertelnej choroby? Zwróć uwagę, cały czas mówimy o tobie, ani razu o tym, czego naprawdę chciało umierające dziecko...

– Chciało żyć – teraz ona mu przerwała, nie życzyła sobie, by mówił w ten sposób o Kat.

Nic nie wiedział, nie miał o niczym pojęcia. Prowadzenie tej rozmowy było błędem. Wbrew własnym postanowieniom zdenerwowała się. A jeszcze bardziej, gdy ostentacyjnie podał jej chusteczki.

– Uważasz nas za egocentryczne pasożyty pozbawione uczuć? – Przyglądał jej się badawczo, miała wrażenie, że zdaje jakiś rodzaj testu. –

Przetrwaliśmy tak długo, bo obce nam były altruizm, bezwarunkowe oddanie i uczucia? Jak dowodzą odkrycia naukowe, takich cech nie miały

dinozaury. I wyginęły.

– Nie twierdzą, że wszyscy tacy jesteście. – Z trudem nad sobą panowała.
– Ale obca wam jest najsilniejsza na świecie więź matki z dzieckiem. Żeby ratować potomstwo, kobieta jest gotowa na wszystko, nawet podpisanie cyrografu z samym szatanem. – Spojrzała na niego z ukosa. – To była przenośnia, więc nie rób mi wykładu.

Zrozumiał aluzję i uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Czyżbyś zapomniała o tym, że każdy pakt miewa dodatkowe klauzule umieszczone zazwyczaj na dole drobnym druczkiem? Oczywiście je zlekceważyłaś i w ten sposób dokonałaś wyboru najgorszego z możliwych. Życzę ci szczerze, żebyś pewnego dnia zdołała to sobie wybaczyć. A przede wszystkim, żeby wybaczyło ci twoje dziecko.

Jeszcze raz powie coś na temat Kat – pomyślała, zagryzając zęby – a go zabiję. Po prostu.

Nie spuszczał z niej wzroku, jakby oceniał, czy jest gotowa przyjąć kolejny cios.

Zaczął mówić, a gdy usłyszała, co miał do powiedzenia, jej świadomość, system wartości i pewność podjętych decyzji legły w gruzach. Prawda czasem miewa dewastującą moc.

Zamilkł, cisza stała się nie do zniesienia, wtedy powoli, delikatnie przykrył jej dłoń swoją i uścisnął. Nie wyszarpnęła ręki, wiedziała, że to miało podnieść ją na duchu, ale dotyk nie spełnił swojego zadania.

– Miałas pecha, trafiając na prawdziwego mistrza. – Nieudolnie próbował znaleźć słowa pocieszenia.

Wstała na sztywnych nogach, blada jak prześcieradło. Nie zapytała już o nic, bo to, czego się dowiedziała, wystarczyło w zupełności.

Zeszła na dół i niczym szmaciana zabawka pozbawiona sił osunęła się na podłogę przy łóżku. Nie potrafiła płakać, łez brakło jej dawno temu. Oddychała, serce biło miarowo, chociaż żal i ból – mroczniejsze niż kosmiczna pustka – zacisnęły swoje szpony na wyschniętym gardle.

Wiedziała, że Gabor nie kłamał, czuła to każdą cząstką ciała. Prawda zbyt straszna, żeby ot tak przyjąć ją do wiadomości, zawisła nad nią niczym mroczna chmura, oskarżycielsko wskazała palcem, mówiąc:

– To wszystko twoja wina.

I miała rację.

Vic własnymi rękami wypuściła na świat sześciu gwardzistów Azdarotha

i stworzyła nowego Wybrańca, którego krew była zdolna dokonywać przemiany. Ten dar ofiarowała nieśmiertelnej, pozbawionej ludzkich cech istocie. Antyczna Pandora była przy niej marną amatorką.

– Nie znasz go. – Cichy głos Gabora nadal brzmiał jej w uszach. – Nie pozwoliliby ci zbliżyć się do siebie na tyle, byś poznała jego prawdziwe oblicze. El’lar to wojownik, dowódca skrajnie fanatycznej grupy, która obrała za cel całkowitą zagładę ludzkości. Tej idei poświęcił życie. – Przerwał i zamyślił się przez chwilę. – Często ponosił klęski, choć po każdej odradzał się z nowymi nadziejami. Silniejszy niż wcześniej. Wiedział, że kluczem do zwycięstwa dla naszego gatunku było odkrycie możliwości reprodukcji. Liczebnie na prawdziwego drapieżnika przypadają setki lub tysiące potencjalnych ofiar. Matka natura doskonale to urządziła, więc stała się jego pierwszym i najważniejszym wrogiem. Pokonał ją krwią twojego dziecka. Jest teraz potężny i niezależny od kaprysów losu. Nie musi biernie czekać, może stworzyć armię, którą wyśle na front. Do tej pory utrata każdej jednostki z nielicznych starożytnych rodów była tragedią, rozsądni współplemieńcy nie godzili się na samobójcze pomysły El’lara. Dzięki twoim decyzjom, które podjęłaś, we własnym mniemaniu autonomicznie i niezależnie, wszystko się zmieniło, twoja córka to zmieniała. Jeśli wierzysz w Boga, pora, żebyś się zaczęła modlić, bo oprócz niego nikt inny nie zdoła wam pomóc.

Nie ogarnął jej stan depresyjny, po prostu rozpadła się na atomy. Nawet litościwe *coup de grâce* byłby zbyt łagodnym wyrokiem za to, co zrobiła.

Wpadła w rodzaj ciężkiej katatonii, wpatrzona w obraz na ścianie nie widziała jego kolorów ani kształtu, zmysły i percepcja odmówiły jej posłuszeństwa. Jak mantrę powtarzała w myślach: co dalej? Ale nie potrafiła znaleźć żadnego rozwiązania.

Czas razem z nią utknął w jakimś mrocznym i dziwnym miejscu wypełnionym skowytami rozdzierającym serce. Ból wyciskał powietrze z płuc, a umysł skoncentrował się na kolejnych ponurych wizjach.

Sześciu żołnierzy El’lara gotowych na wszystko prowadzi armię wampirów do ostatecznej walki z ludzkością nieświadomą niczego. Ulice spływają krwią pomordowanych. Kły i pazury wprowadzają nowy ład, na którego czele stoi on, prawa ręka płonącego demona.

Rozszarpywani, zagryzani, rozdzierani giną najpierw przesiedleńcy z Lake Falls, znajome twarze – Michael zabija Jonathana i całą swoją rodzinę,

ucztuje na ich ciałach, z lubością oblizując wargi czerwone od krwi. Kiedy skończą z dawnymi wrogami, rozpoczną prawdziwe polowania.

Ciemne zaułki miast staną się ich twierdzą, a nienasycony głód wskaże kierunek. Każda z tych ofiar obciąży sumienie prawdziwego sprawcy rzezi – Victorii Mc’Petersen, konkursowej idiotki, którą omamiły pragnienia. Szukała miłości, wsparcia oraz ciepła w ramionach czystego zła. W zamian za iluzję pożądania sprzedała duszę.

Horda wampirów jest jak stado tygrysów wypuszczone z klatek, winę za dokonane przez nich spustoszenia ponosi wyłącznie dozorca, który zapomniał zamknąć drzwi, tak jak ona zapomniała, że na świecie oprócz niej i córki jest ponad siedem miliardów ludzi. Czy będzie mogła dalej żyć ze świadomością własnych grzechów? Budzić się każdego poranka i patrzeć sobie w twarz bez przygniatającego poczucia winy?

– Manipulował tobą. – Tam, w pokoju, Gabor nie musiał tego mówić, przecież od początku podświadomie zdawała sobie z tego sprawę. – Z wyprzedzeniem wiedział, co powiesz, jak zareagujesz. Wszystko miał zaplanowane i rozpisane na odpowiednie role. Od lat ćwiczył właśnie ten scenariusz, więc się nie łudź, na nic nie miałaś realnego wpływu, tańczyłaś niczym lalka na sznurku do melodii ułożonej przez niego. W tej sytuacji branie na siebie winy nie ma sensu, przynajmniej ja cię rozgrzeszam. Zaskoczyło mnie tylko to, że wyszłaś z tego starcia żywa, widocznie do czegoś jeszcze będziesz mu potrzebna.

Bardzo dobrze wiedziała do czego i pragnął zemsty, chciał jej dziecka – wyłącznie tym dwóm czynnikom zawdzięczała przywilej oddychania.

Tak bardzo potrzebowała teraz przyjaciela, kogoś, kto wysłuchałby jej spowiedzi. Walczyła ze sobą, ale silna wola to była cecha pochodząca z innej epoki, przed doktorem Barrowem. I zanim zdążyła przemyśleć, zastanowić się, już z pamięci wystukiwała numer Jonathana. Długi głuchy dźwięk po drugiej stronie z każdą upływającą sekundą odbierał jej resztki nadziei.

– Zmienił numer – myślała gorączkowo. – Nie odbiera, bo domyślił się, że to ja.

Nie dała za wygraną. Dopiero za trzecim razem zaspany głos zapytał:

– Słucham?

Kamień spadł jej z serca, ale nie miała odwagi się odezwać. Cisza po obu stronach stawała się nieco przerażająca, Vic jednak nie odłożyła słuchawki.

– To nie jest śmieszne – powiedział. – Przedstaw się, inaczej kończę

rozmowę.

– To ja – przyznała się cicho, chyba w gruncie rzeczy chciała, żeby jej nie usłyszał.

– Vic? – Nie miał już zasnętego głosu. – Victoria?

– Tak – odparła zdecydowanie głośniej. – Posłuchaj...

– Gdzie jesteś? – Przerwał jej gwałtownie.

– Nieważne. – Może ten telefon nie był jednak najlepszym pomysłem.

– Ważne. Teraz ty posłuchaj. Kiedy rzuciłaś słuchawką – zamilkł na chwilę – zrozumiałem jedno, w twoim życiu nie ma dla mnie miejsca.

Tylko nie to – pomyślała – nie zaczynaj z powrotem swoich żalów. Oboje wiedzieliśmy, że nic z tego nie wyjdzie.

– Mylisz się – odparła. – Nawet nie wiesz, jak bardzo. Potrzebuję cię, bo nie mam nikogo.

– Odepchnęłaś mnie. – Jego głos brzmiał lodowato. – Nie pozwoliłaś podejść do siebie. Nie chciałaś pomocy, więc czemu teraz dzwonisz?

– Jesteś niesprawiedliwy. – Zabolało ją to, co powiedział. – Bałam się o was, każdego, kto się do mnie zbliży, czeka to samo co Eve, Roberta i pozostałych.

– Nadal uważasz swojego byłego za zło wcielone i siedem plag egipskich w pigułce? – Potrafił ją zdenerwować jednym zdaniem.

– Prawdopodobnie mój były tworzy właśnie armię. – Nie zamierzała znów wracać do dyskusji na tematy wielokrotnie omawiane i oczywiste: kto, kogo i dlaczego.

Nareszcie osiągnęła swój cel. Po drugiej stronie zapadła cisza. W duszy błagała go, by nie odłożył słuchawki.

– Powtórz, bo chyba cię nie zrozumiałem – odezwał się w końcu.

– El'lar buduje armię, ma zamiar wykorzystać do tego krew Kat. Tyle się dowiedziałam.

– Od kogo? – wyraźnie się zaniepokoił. – Spotkałaś się z nim?

– Oszalałeś?! – Nadal to był ten sam naiwny Jonathan. – Czy sądzisz, że wtedy byśmy ze sobą rozmawiali? Powiedział mi o tym... – zawahała się – pewien nasz wspólny znajomy.

– Macie jakichś wspólnych znajomych? – Wydawał się wstrząśnięty. – Może razem bywacie na grillu u sąsiadów? A od kiedy ludzie zadają się z – znów nie potrafił tego sformułować wprost – Obcymi?

– On także nie jest człowiekiem – odparła, ważąc słowa – ani tak naprawdę

znajomym. Mamy chwilowo wspólnego przeciwnika.

– Rozumiem. – Znów powiało lodem. – Kolejny wampir w twoim życiu. Mam go spalić, posiekać czy zaprosić na obiad?

– Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem, pamiętasz? – powiedziała odrobinę zdziwiona, że nie posunął się dalej i nie zapytał, czy spała z tym nowym sprzymierzeńcem, ale na to był chyba zbyt dobrze wychowany.

– Nie powiesz mi, gdzie jesteś? – Zmienił temat. Na szczęście.

– W Pradze. – Usłyszała, jak wciągnął głośno powietrze.

– Tej w Oklahomie czy Teksasie? – Prawie widziała, jak się uśmiecha. – To przynajmniej tłumaczy, dlaczego zadzwoniłaś do mnie o tak okrutnej porze. – Wiesz, która jest godzina?

– Pojęcia nie mam – odparła – nawet tu.

– Czyli spotkanie nie wchodzi w rachubę?

– Nie mam nic przeciwko temu – odparła ostrożnie. – Załatwię swoje sprawy i pewnie jeszcze w tym tygodniu wrócę do... – Zawahała się, przecież nie miała żadnego miejsca, które mogłaby nazwać domem.

– Na Florydę – i znów rozmawiała z dawnym Jonathanem. – Pamiętasz?

O tak, pamiętała bardzo dobrze. Może to rzeczywiście nie był zły pomysł, w końcu samotna ucieczka na koniec świata i tak niczego nie zmieniła. Demony poszły za nią.

– Dam ci znać, gdy tylko wyląduję – powiedziała i nagle zrobiło jej się odrobinę lżej na duszy.

– Czemu do mnie zadzwoniłaś? – Musiał to zepsuć.

– Jesteś jedynym człowiekiem na ziemi zdolnym podjąć wyzwanie. – Nie do końca była szczerą; wykręcając numer, miała zupełnie inne intencje. –

Udało ci się zmobilizować byłych mieszkańców Lake Falls, żeby byli gotowi do walki. Znasz także wroga, rozumiesz konieczność zachowania ostrożności. Wygląda na to, że razem staniemy się forpoczta obrony w nadchodzącej bitwie.

– Kobieto – wyraźnie nie takich słów się spodziewał – od roku mówisz wyłącznie o wojnie, zemście i wampirach. Może czas najwyższy odpuścić? Zostawić nieumarłych ich własnemu pokręconemu losowi i zacząć żyć.

I wtedy opowiedziała mu to, czego dowiedziała się od Gabora.

– Póki El'lar nie wie, gdzie ukrywa się Kat, jesteśmy w miarę bezpieczni. – Tym wcale nieoptymistycznym akcentem zakończyła dawkę hiobowych wieści. – Wiemy też, że ma ograniczony zapas krwi, więc używa jej

oszczędnie, dlatego nie stworzył jeszcze zastępów nowych żołnierzy, ale nie liczyłabym za długo na szczęście. Wejście w życie czarnego scenariusza jest kwestią czasu. Co z Michael'em, miałeś jakieś wieści?

Cisza trwała tak długo, że Vic była pewna, iż się rozłączył.

– Żadnych – odparł głucho. – Pozwolisz, że nie podziękuję ci za ten telefon. Teraz chciałbym przemyśleć wszystko, co powiedziałaś. W spokoju. Mogę zadzwonić jutro na ten numer?

– Oczywiście. – Prawdę mówiąc, nie takiej reakcji się spodziewała. – Będę czekać.

– Jasne, trzymaj się i do usłyszenia. – Po drugiej stronie zapadła głucha cisza.

Poczuła się jak idiotka. Właściwie już nie pamiętała, czemu do niego zadzwoniła, na pewno nie po to, żeby zostać w ten sposób zlekceważoną. Szybko traciła sprzymierzeńców oraz nielicznych przyjaciół. I tylko sobie mogła za to podziękować.

Po tej rozmowie coś się jednak zmieniło – wykrzesła z siebie resztkę energii, zarezerwowała bilet na samolot. Przed popadnięciem w obłęd samoudręczenia uchroniła ją przysięga, że ze wszystkich sił i nie oglądając się na konsekwencje posprząta zrobiony przez siebie bałagan. Stawi czoła wrogowi, zrobi wszystko, co w ludzkiej mocy, by go pokonać. Tego żądały dawne i przyszłe ofiary, a ona była im to winna.

Poszła poinformować Gabora, że jeszcze przez dwa dni nadużyje jego gościnności. Zastała go w swoim salonie i nie mogła się oprzeć wrażeniu, że tkwił na kanapie od ich ostatniej rozmowy, która wydawała się odbywać wieki temu.

– Pojutrze wyjeżdżam – oznajmiła zdawkowo – choć już teraz chciałabym ci podziękować za gościnę oraz... możliwość poznania prawdy.

– Zazdroszczę mu i żałuję, że nie spotkałem cię pierwszy. Drań, miał szczęście odnaleźć coś, czego bezskutecznie od dawna szukam. Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, w których czaiło się pytanie, ale go nie zadała, bo w tym momencie Gabor wstał.

– Zanim jednak ostatecznie i, jak sądzę, na zawsze opuścisz moje progi – podszedł do niej – chciałabym cię poprosić o pewną przysługę. – W przeciwieństwie do innego wampira okazał się uczciwy i szczerzy, dlatego czuła, że jest mu winna podziękowanie. – Jutro wieczorem zjedz ze mną kolację. – Nie zabrzmiało to jak prośba.

Zgodziła się bez wahania. Pożegnalna kolacja była niewysoką ceną za okazaną pomoc, tym bardziej że przebywanie z Gaborem – co odkryła z zaskoczeniem – sprawiało jej coraz większą przyjemność. Chyba powoli przyzwyczajała się do towarzystwa wampirów.

Rozdział XXIII

KRONIKI WAMPIRÓW

Przejście przez całe miasto w biały dzień wydawało się niepotrzebnym ryzykiem, ale nie miał czasu bawić się w podchody. Po drodze zapukał do jednego z domów.

Otworzył mu wysoki mężczyzna w średnim wieku, o włosach lekko przyprószonych siwizną. Obaj nie marnowali słów na grzeczności, wystarczyło tradycyjne powitanie gwardzistów – pięść na prawym ramieniu, symbol siły i lojalności.

– Po północy nad brzegiem jeziora – oznajmił zdawkowo Aedrin, po czym odwrócił się na pięcie, by zniknąć za rogiem.

Nie musiał niczego wyjaśniać, zaufany oficer zgodnie z poleceniem przyprowadzi wszystkich gwardzistów i oddziały straży wierne Radzie na miejsce spotkania. Wtedy nadejdzie właściwy moment, żeby przedyskutować odpowiedni sposób obalenia uzurpatora.

Później los pokierował go do jedyne miejsce, którego nigdy nie chciał odwiedzić – jaskini proroków.

Szeroka ścieżka poprowadziła go do rozwidlenia, tam, gdzie jedna z odnóg skręcała do sanktuarium bogini, druga, znacznie węższa i rzadziej uczęszczana, wiodła ku niebosiężnemu szczytowi. Przez chwilę pomyślał nawet o tym, żeby dotrzeć do zasypanej świątyni i pomóc uwięzionym tam kobietom. Przez chwilę pojawiła mu się przed oczami twarz jego młodej żony, ale nie zmienił wcześniej obranej drogi. Niebezpieczne przewężenia i przepaście zapierające dech w piersiach także nie robiły na nim żadnego wrażenia. Lekko przeskakiwał rozpadliny i nie zatrzymywał się na widok groźnie wyglądających osuwisk, bo coś znacznie bardziej przerażającego niż sama droga czaiło się na jej końcu.

Niezmiennie, od kiedy sięgał pamięcią, dwunastu proroków żyło

w wydrążonych podniebnych jaskiniach. Wiele razy odprowadzał tu Ya'reana, choć władca Agharu nigdy nie uzyskał zaproszenia poza przedsionek głównej komory. Po każdej wizycie starzec zarzekał się, że jego noga więcej nie postanie w tym, jak go nazywał, „przybytku szaleństwa”, jednak okoliczności czasem zmuszały do odłożenia na bok dumy i poproszenia o radę tych, których urodzenie oraz zdolności wyniosły do rangi „pośredników boga”.

Tym razem Aedrin nie wnosił na górę ka'hete, a krążąca w żyłach mieszanka strachu i gniewu uskrzydlała jego kroki. Szybko znalazł się na skalnym tarasie, po czym bez wahania odsunął wypłowiałą zasłonę – ostatni przystanek dla niepowołanych – wkraczając do niskiego ciemnego korytarza.

Musiał się schylić, żeby nie zawadzić głową o strop, nic nie widział, więc szedł, trzymając się śliskich ścian. W ten sposób dotarł do obszernej sali rozświetlonej przez płonące pochodnie umieszczone w wykutych niszach.

Komnata była ogromna, jej zwieńczenie niknęło w półmroku zaledwie rozjaśnionym wpadającymi promieniami słońca, z dołem łączyły go ogromne słupy przypominające ciężkie kolumny, tylko ich struktura świadczyła o tym, że były dziełem natury. Na wypolerowanym kamieniu w centralnej części wyrysowany był okrąg z dziesięcioma przecinającymi się promieniami. Choć nigdy wcześniej tu nie był, zrozumiał, że oto znalazł się w sercu zakazanego terytorium należącego do bogów i ich ludzkich wyroczni, miejsca najświętszego ze świątyni, gdzie nie powstała noga zwykłego człowieka.

Od skalnych ścian zaczęły się odrywać postacie ubrane w białe zwiewne szaty, ich twarze skrywały nasunięte głęboko kaptury. Dziesięcioro wybranych. Usta bogów.

Nie powitał ich, nie próbował się tłumaczyć. Obserwował. Trudno mu było zgiąć kark, narzucić sobie spokój i pokorę, bo miał niejednoznaczny stosunek do ich enigmatycznych przepowiedni, a poza tym w głębi ducha obwinał o sytuację, w której znalazł się Aghar.

Ostentacyjnie zignorowali intruza. W milczeniu stanęli na końcach promieni i wtedy zdarzyło się coś niezwykłego. Pomiędzy nimi w powietrzu zaczęły zarysowywać się symbole rozjarzone różnokolorowym światłem, które przypominały ślady, jakie zostawia po sobie gwałtowny wymach pochodnią, w przeciwieństwie do niego jednak trwały, tworząc przedziwny ażurowy wzór.

Gdy każdy z proroków został połączony świetlną mozaiką, centrum kręgu

wybuchło białym oślepiającym rozbłyskiem. Dziesięcioro rozpoczęło monotony zaśpiew, coraz głębiej zapadając w trans.

Aedrin stał z boku, z uwagą obserwując ich poczynania. Z jednej strony feeria kolorów i światła hipnotyzowała, z drugiej nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ma do czynienia z jakimś rodzajem przedstawienia urządzonego specjalnie na jego cześć.

Wewnątrz kręgu z oślepiającej jasności zaczęła się formować ludzka sylwetka, najpierw ramiona, później tors i głowa, gdy już cała postać wyłoniła się z poświaty, przemówiła. Jej głos echo poniosło aż do sklepienia.

– Aedrinie z rodu Ewallah, jesteś go dzien stanąć wśród nas?

Nie zdążył odpowiedzieć, bo potężnym wielogłosem zrobili to za niego.

– Prawowity następca ka’hete ma prawo ubiegać się o posłuchanie.

– Czego szukasz u źródła?

Zrozumiał, że zwrócili się bezpośrednio do niego.

– Wiedzy – odparł twardo. – Jak pokonać zarazę?

Rozległ się nieludzki, niemal ptasi świergot, a po nim zapadła cisza porażająca zmysły.

Powoli zaczął tracić cierpliwość.

– Czy to miało mi wystarczyć?

Milczenie. Żaden z nich nie raczył sobie zadać trudu wyjaśnienia przekazu zwykłemu człowiekowi, który mimo wszystko okazał się niegodny objawienia. Taki był ostateczny wyrok bogów.

Miał zatem wrócić do Tei z pustymi rękoma i powiedzieć, że ostatnia szansa na uratowanie jej syna przepadła. Bezradnie patrzeć, jak powoli, nieuchronnie pogrąża się w żałobie, traci wiarę, gaśnie przepełniona smutkiem i żalem, bo wyrocznia okazała się głucha na jego prośby.

W myślach słyszał jej słowa „Jeśli mój syn umrze...” i swoje przyrzeczenie.

Niepohamowany gniew zacisnął mu szczęki, nakazał mocniej ująć rękojeść miecza.

– Wyłącznie z woli bogów przygarnęliśmy Obcą, udzieliliśmy jej schronienia i pomocy. – Udało mu się powstrzymać obelgi cisnące się na usta. – Wtedy pojawiła się zaraza. Dlaczego ci, których od wieków karmiliśmy swoją wiarą, chcąc doprowadzić do zagłady Agharu? – Czuł, jak gorączka ogarnia całe jego ciało. – Czemu pragną ujrzyć trupy swoich wyznawców na ulicach?

– Herezja! – krzyknęli jednym głosem prorocy, ale niewiele go to obeszło.

– Skoro przyszłość ani przeszłość nie ma dla waszych panów tajemnic, pewnie już znacie własny los? – Lód w jego głosie zdawał się ciąć powietrze.

– Powtarzam więc pytanie, jak pokonać zarazę?

– Miasto przodków szejnie w splamionych krwią rękach, a śmierć przekroczy bramy Agharu. Nowo zrodzony pragnieniem zemsty skazi nawet Otchłań. Nasza misja skończona. Nasze dni policzone. Idź precz!!! – krzyknął mężczyzna z wnętrza kręgu.

– Nie omamicie mnie bełkotem, nie zmusicie do odejścia. – Wyjął miecz, a jego klinga zaśniła srebrem odbijającym światło pochodni. – Żałosne popisy zachowajcie dla wiernych. Każdy – czubek ostrza powoli przesunął się od proroka do proroka, zatrzymując się na chwilę przy białej postaci w centrum – ma szansę ująć stąd cało, wystarczy, że odpowie na moje pytanie.

– Chcesz do swoich win dołączyć najstraszniejszą z nich – zakapturzona postać, mijając płonące jasno symbole, zbliżyła się na długość ramienia – zbezczeszczenie sanktuarium? Grzech, za który twój duch nie zazna spokoju przez wieczność?!

– A jaki los spotka bezduszych bogów, którzy zesłali śmierć na moje miasto? – wysyczał z wściekłością. – Czy dla nich jest już przygotowany osobny krąg w Otchłani?

– Błuznisz. – Prorok splunął mu pod nogi. – W imieniu wszystkich bogów wyklinam ród Ewallah i jego...

A więc stało się – pomyślał.

Bezgłowy tułów profety jeszcze przez chwilę kolebał się niepewnie, aż runął do tyłu, wznecając czerwony deszcz, który splamił śnieżną biel szat kapłanów stojących najbliżej.

Świetlne symbole zadrgały i zniknęły, z sykiem zgasła też poświata w centrum kręgu. Rytuał dobiegł końca.

– Jak pokonać zarazę? – Był spokojny tym rodzajem niehumanicznego opanowania, które rodzi się w człowieku, gdy straci wszystko.

Po chwili kompletnej ciszy wynikającej z zaskoczenia, w jakie wpadli nietykalni do tej pory wieszcz, przestrzeń wielkiej sali rozdarł wielogłosowy chór.

Uśmiechnął się zimno, w końcu uwierzyli w jego groźby.

Wszedł między nich niczym zniwiarz pomiędzy łany. Srebrny błysk, który

wydawał się przedłużeniem jego dłoni, wzniecał za sobą fontanny purpurowych kropel.

Zatrzymał ostrze, gdy zostało ich tylko czterech, stłoczonych razem jak ofiarne zwierzęta. Miał już dość zabijania.

– Musicie znać odpowiedź. – Tym razem w jego głosie nie brzmiało żądanie, lecz prośba. – Pomóżcie nam.

Jeden z proroków rzucił się na niego, spod szerokiego rękawa wyłonił się krótki sztylet.

A więc nie są bezbronni – pomyślał i w jakiś sposób przyniosło mu to ulgę.

Czuł ją nawet wtedy, gdy uklękawszy na kolano, jednym pewnym cięciem miecza rozplątał brzuch napastnika.

Pozostali najwyraźniej doszli do przekonania, że najlepszą obroną przed grasującą bestią będzie ucieczka, i rozpiezchli się w trzy różne strony.

Szybko udowodnił im, jaki popełnili błąd, próbując wyprowadzić go w pole. Ostatniemu przyłożył ostrze do gardła i wtedy go olśniło.

– Gdzie jest dwunasty prorok? – zapytał.

– Odszedł – drżący głos zdradzał gotowość do pertraktacji – opuścił konwent zaraz po przybyciu Obcej. On jeden wiedział...

– Dokąd?

Jednak nie wszystko było stracone. Istniał ktoś, kto znał zamiary bogów i być może potrafił udzielić odpowiedzi na wszystkie pytania.

– Udał się do Xall – pisnął nie tak dawno temu dumny profeta. – Oszczędź mnie, błagam!

Aedrin opuścił miecz. Nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

Xall było jednym z mitów, bajką opowiadaną dzieciom przed zaśnięciem. Podniebne miasto zamieszkiwało potomstwo bogów i ludzi. Lato trwało tam cały rok, czasem przynosząc łagodny wietrzyk dla ochłody albo delikatne opady ciepłego deszczu. Na drzewach rosły złote kwiaty, a strumienie płynęły w diamentowych korytach. Była to idealna kraina, w której mądrzy dostojni mieszkańcy życie spędzali na uczonych dysputach oraz zabawach godnych szlachetnie urodzonych – tę opowieść znał każdy obywatel Agharu i od zawsze traktował z niedowierzaniem.

– Naprawdę?

Najwyraźniej prorocy żyli w swoim własnym świecie, gdzie Xall istniał, lub byli tak naiwni, że zaufali słowom zdrajcy.

– Nie miał powodu, żeby nas okłamywać. – Gdy ostrze znalazło się daleko od jego gardła, jeniec nagle odzyskał rezon.

– Obaj wiemy, że Xall nie istnieje – nie krzyczał. Jeszcze. – To mit, opowieść, nic więcej.

– Tak? – Zdziwienie proroka nie było udawane. – Owszem, jeśli masz na myśli krainę, w której ptaki śpiewają na życzenie mieszkańców, a pogoda zmienia się zgodnie z ich nastrojem – tej wersji Aedrin wcześniej nie słyszał – to rzeczywiście muszę się z tobą zgodzić, jednak istnieje prawdziwy Xall, miasto wśród chmur. I tam skierował się dwunasty brat.

– Gdzie dokładnie leży? – Może nie byli tak szaleni, jak wcześniej podejrzewał.

– Nie prowadzi tam żadna droga, więc musisz zaufać instynktowi. Udaj się w głąb gór, pokonaj przełęcz Indu, za nią skieruj się w stronę zachodzącego słońca. Dotrzesz do rozległej równiny, która przechodzi w pustynię, ale na szczęście nie musisz jej pokonywać, na granicy stoi bowiem samotna góra, to na jej szczycie zbudowano Xall, tam znajdziesz odpowiedzi, których szukasz.

– Żaden z was nie rozmawiał z bogami? – upewnił się. – Nie mogliście mi pomóc?

Ocalały pokiwał przecząco głową.

Rzeź proroków okazała się daremna, nie wiedzieli, skąd przyszła zaraza, i nie potrafili jej uleczyć. Pozostawało mu więc tylko jedno.

Wytarł ostrze miecza i odwracając się plecami do ostatniego z wybranych, powiedział na odchodne:

– Spal ich ciała. Nie zasłużyli na inny pochówek.

Z ulgą opuścił jaskinię i zszedł do miasta. Nikt nie odważył się go zatrzymać, żaden samozwańczy oddział nie stanął mu na drodze. Na jego widok ludzie uciekali do domów, zatraskując z hukiem drzwi – tym razem wygrał w nich rozsądek i instynkt przetrwania. Bez przeszkód dotarł do posiadłości Ha'gartha, zastał tam Teę pogrążoną w cichej rozpacz. Oczywiście samą, bo jej mąż – zbyt zajęty obowiązkami ka'hete – odmówił pomocy w opiece nad chorym synem.

– Chyba wiem, skąd wziąć lekarstwo – powiedział nieco na wyrost, ale uznał, że podtrzymanie gasnącej nadziei było w tej sytuacji najważniejsze. – Wrócę za kilka dni.

– Kilka? – Zmartwiała. – Może być za późno.

– Nie będzie – stwierdził z mocą – jest silny. Zdążę.

– Oby. – Nie wydawała się przekonana.

Zanim odszedł, poprosił, aby zorganizowała grupę chętnych kobiet do odgruzowania świątyni.

– Nie mogą tam zostać. Śmierć, która je niebawem czeka, będzie powolna i okrutna – powiedział.

– Zrobię to – Tea nie umiała ukrywać uczuć. – Pomogę ci odzyskać żonę i...

Spojrzał na nią takim wzrokiem, że zamilkła w pół słowa. Zamiast pustych, oklepanych deklaracji, włożył dłoń w jej włosy, przyciągnął mocno do siebie i pocałował. Ich usta na zawsze przypieczętowały umowę, którą zawarli. Uświęciły niewypowiedzianą przysięgę – akt bezwarunkowego oddania.

Tea zrozumiała, że dopóki Aedrin żyje, zrobi wszystko dla ratowania jej syna, bo miłość całkowicie wypełniła jego serce.

Patrzyła długo w ślad za mężczyzną, pewna dokonanego wyboru, bo gdy była z nim, strach oraz niepewność zniknęły, zamiast nich pojawiały się spokój i wiara.

Potrzebne było widmo śmierci u bram własnego domu, aby zrozumiała, który z braci okazał się jej prawdziwym przeznaczeniem.

Rozdział XXIV

Restauracja była urokliwa, stoliki zajmowali – co było widać po formie oraz stopniu zażyłości, z jaką zwracali się do obsługi – raczej stali bywalcy.

Usiedli w niszy, oddzieleni od pozostałych gości kamiennym filarem, i złożyli zamówienie. Ku jej zdumieniu Gabor także poprosił o potrawę polecaną przez szefa kuchni.

Gdy tylko kelner zniknął za drzwiami, zapytała go o to wprost.

– Normalnie jadasz? – Zniżyła głos do scenicznego szeptu.

– Nie, ale czuję aromat, napawam się widokiem. Poprawiam sobie w ten sposób humor, jednocześnie dbając o linię i pozory.

– Od jak dawna mieszkasz w Pradze? – Chciała podtrzymać niezobowiązujący ton rozmowy.

– Bywam tu od czasu do czasu, w ogóle jestem, jak by to ująć, raczej nieprzypisany do żadnego miejsca. Rozumiesz, różne nazwiska, siedziby...

– Latasz samolotami? – Oto znalazł się ktoś, kto mógł odsłonić rąbek tajemnic.

– Kiedy wybieram się dalej – uśmiechnął się półgębkiem – to jest jakieś rozwiązanie. Nie uważasz?

– Co ze słońcem?

– Światło dzienne nie wyrządza nam krzywdy od razu, żeby odczuć skutki promieniowania, musielibyśmy być dłużej wystawieni na jego działanie. Oczywiście staramy się go unikać, w końcu jesteśmy stworzeniami nocy i w dzień mamy także mocno przytępienie zmysły. Poza tym nasza skóra wchłania ciepło, co prowadzi do poważnych konsekwencji. Jeśli poszedłbym na plażę, prawdopodobnie doznałbym trwałych i śmiertelnych poparzeń, chociaż, jak się zapewne domyślasz, nie sprawdzałem. Na wszelki wypadek używam szyb z filtrami.

– Czyli w sumie nie możesz poruszać się za dnia?

Popatrzył na nią przeciągle, z politowaniem, nie musiał już nic mówić, sama się domyśliła.

– Masz swój samolot...

– Należy korzystać z tego, co oferuje ludzkość. – Zamilkł, bo pojawił się kelner z zamówionymi daniami i butelką wina.

Udawała skupioną na posiłku, chciała przemyśleć swój następny krok.

Mimo wszelkich pozorów ucywilizowania i faktu, że Gabor sprawiał wrażenie wampira dużo bardziej oswojonego niż El'lar, jedno nie ulegało wątpliwości – wciąż pozostawał śmiertelnie niebezpieczny. Pewnie niewiele trzeba było, żeby opadła maska dekadentckiego snoba, dlatego musiała być ostrożna z wyciąganiem pochopnych wniosków. Jeśli jednak jej przypuszczenia byłyby prawdziwe, mogliby w nim znaleźć równie potężnego co niespodziewanego sojusznika. Zagrała *va banque*, tym chciała go przekonać o czystości swoich intencji.

– A zatem za rozsądek – uniosła kieliszek i spojrzała na niego przez szkło – oraz wolność.

Roześmiał się i przyłączył do toastu.

– Na ile twoje przekonania są rozpowszechnione?

– Zasadniczo należałoby przeprowadzić linię demarkacyjną pomiędzy starym a nowym światem. Europa jest nieco – mrugnął znacząco – skażona hedonizmem. Myślę, że utrata wielu wygód i przywilejów dla większości z nas byłaby smutną koniecznością. Szanujemy tradycję, ale na litość jakichś tam bogów, żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku. Płonący demon z mieczem w dłoni jest ważnym symbolem bohaterskiej przeszłości, chociaż niekoniecznie powinien wytyczać nam kierunek na przyszłość.

– Czemu nie przeciwstawiliście się fanatykom? Z tego, co mówisz, wynika, że większość poparłaby wasze racje.

Popierała – poprawił ją i westchnął ciężko. – Rzeczywistość się zmieniła. Ty zmieniałaś, dając nam Wybrańca. Po wiekach ukrywania się w cieniu waleczni i honorowi herosi – powiedział z jawnym lekceważeniem – w końcu mogą wziąć odwet na swoich prześladowcach. Wielu skusiła ta perspektywa.

– A jeśli nawet byli przeciw, raczej się do tego nie przyznali... Przytaknął, kołysząc w palcach smukły kieliszek.

Zapadło ciężkie milczenie, miała tysiące pytań, dziesiątki wątpliwości, lecz rozsądek ostrzegał, by zachowała ostrożność. Wyglądało na to, że oboje tańczyli na cienkiej linii do rytmu muzyki tworzonej przez dyrygenta odległego o tysiące mil. Jeden fałszywy ruch oznaczał przegraną na wszystkich frontach.

– Kiedy wrócę do Stanów – zawahała się i widelcem zaczęła łowić niespokojne groszki – zamierzam zakończyć pewne sprawy. Definitywnie.

– Domyśliłem się.

Cisza, która zapadła po tych słowach, aż kłuła w uszy. Vic wydawało się, że umilkł gwar, sztucce przestały podzwaniać, ucichły rozmowy, jakby znaleźli się nagle w tunelu dźwiękoszczelnym.

– Chcę posprzątać bałagan, który zrobiłam. – Odczekała chwilę, aż serce zaczęło miarowo bić; dłonie miała zlodowaciałe, w ustach jej zaschło. – Muszę.

– Wybacz, ale nie mogę cię poprzeć. – Najważniejsze, że nie zareagował świętym oburzeniem. – Oficjalnie z niechęcią przyjmuję informację, że w najbliższej przyszłości zamierzasz zabić jednego z nas, chociaż rozumiem pobudki i doceniam odwagę. Obiecuję również – podniósł dwa palce jak dziecko do przysięgi – znajdę odpowiednio epickie memento, które każę ci wyryć na nagrobku.

– Sądzisz, że nie mam żadnej szansy?

– Czyżbyśmy się aż tak bardzo różnili w tej kwestii?

Kelner pojawił się znikąd, sprzątnął talerze i podał apetycznie wyglądający deser, ale Vic jedzenie nie chciało przejść przez usta. Wiedziała doskonale, że Gabor ma rację, i gdyby miała zrobić zakład, nie postawiłaby na siebie złamanego centa.

– Rozmawiałaś z nim? – Jej serce po raz kolejny tego wieczoru wywinęło koziołka.

– Nie bezpośrednio – spojrzał na nią dziwnie. – Chciałbym ci zadać dość niedyskretne, lecz istotne pytanie. Nadal coś do niego czujesz?

Najpierw chciała zaprzeczyć, oburzona podejrzeniem, jednak szybko zdała sobie sprawę, że okłamywać bezkarnie mogła Jonathana, nawet siebie, lecz Gabor był wampirem.

– Tak – odparła wpatrzona w niewidzialne okruchy – choć nie umiem zdefiniować własnych uczuć.

– Zdziwiłem się, że El’lar, zamiast jak zwykle zająć spektakularnej egzekucji, wydał inny rozkaz – powiedział. – Chciał, by cię pilnowano. Interesująca odmiana.

– Oczywiście – przerwała mu gwałtownie – bo wierzy, że prędzej czy później doprowadzę go do córki.

Nie przytaknął, tylko uśmiechnął się zdawkowo. Rozmowa zeszła na

niewygodny, zbyt osobisty temat.

– I mimo wszystko będziesz w stanie go zabić?

Tysiące razy zadawała sobie to pytanie, przecież kiedyś już miała okazję... Przypomniała jej się scena w jaskini, miotacze ognia i rozdzierający skowyt płonących żywcem mumii, a później podobna rozmowa z Jonathanem. Wtedy nie była gotowa. Najważniejszym pytaniem jest, czy teraz będzie.

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze – ale chyba nie zostawił mi wyboru.

Kolacja dobiegła końca. Wstał i znalazł się obok jej krzesła. Myślała, że chce je odsunąć, on jednak pochylił się, niemal dotykając ustami jej włosów.

– Pomogę ci – szepnął.

Cały wieczór czekała na te słowa, deklarację – nie jesteś już sama, zdobyłaś potężnych sprzymierzeńców. Uśmiechnęła się, bo nagle świat stał się nieco bardziej przyjazny. Wyszli przez drewnianą bramę na kompletnie pustą ulicę. Zatrzymał się nagle i spojrzał jej w oczy.

– Powinnaś coś zrobić.

Zrozumiała bez tłumaczenia, zadzwoniła na lotnisko i cofnęła rezerwację.

Zanim niebo rozjarzyła blada łuna wschodu, wrócili do domu Gabora. Tam rozstali się w milczeniu, by zniknąć w przytulnych wnętrzach swoich sypialni. Na nocnej szafce obok dzbanka ze świeżą wodą zobaczyła opakowanie tabletek nasennych. Bardzo jej się przydały.

Obudziła się wypoczęta, chyba po raz pierwszy od tygodni. Wzięła długą relaksującą kąpiel i założyła szary dres. Oswojona z miejscem, poczuła się na tyle swobodnie, że odważyła się pomaszerować do kuchni. Zastała tam wszystko, czego potrzebowała. Siedząc wygodnie przy stole zastawionym egzotycznymi przekąskami, popijała café latte z kubka wielkości wazonu. Dla odprężenia przeglądała jakieś pisma, ale nie zwracała uwagi na artykuły. Dom pogrążony w kompletnej ciszy sprawiał wrażenie wymarłego.

Sądząc po wskazówkach starego zegara, jako żywo przeniesionego z angielskiej stacji kolejowej, słońce już zaszło, wpuszczając mrok do wnętrza pokoi i korytarzy.

A jej do szczęścia nagle zaczęło brakować papierosa. Próbowала co prawda – nie raz – rzucić palenie po wyjeździe z Lake Falls, ale od czasu do czasu stary nałóg lubił o sobie przypomnieć. Wróciła do pokoju i na dnie walizki znalazła wymiętą paczkę, smutną pamiątkę po spotkaniu z Michaeliem.

Szeroko otworzyła okno i usiadła na parapecie, bo nie chciało jej się

wychodzić z budynku. Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – zachowała się jak małolata, ukradkiem chowając za plecami zapalonego papierosa.

Do salonu weszła Tatiana, a Vic bezgłośnie wciągnęła powietrze. Widziały się tylko raz, gdy dziewczyna przywitała ją w domu Gabora, ale dopiero teraz mogła jej się przyjrzeć i doszła do wniosku, że prawdopodobnie nigdy nie widziała piękniejszej kobiety.

Wysoka i smukła, miała w sposobie poruszania się wdzięk zawodowej tancerki, jakby cały czas stąpała na palcach. Wycięcie w eleganckiej bordowej sukni odsłaniało długie zgrabne nogi, a krój uwypuklał wąską talię i zarys łabędziej szyi. Jasne włosy zebrała w luźny kok, z którego kokieteryjnie wysuwały się pojedyncze pasemka, okalając doskonałą w rysunku twarz. Brzoskwiniowa, muśnięta słońcem cera blondynki stanowiła tło dla ogromnych zielonych oczu ozdobionych tak długimi i gęstym rzęsami, że aż rzucały cień na policzki. Prosty nos o szlachetnym kroju, niemal klasyczny zarys brwi i pełne usta zamykał kontur doskonałych kości policzkowych oraz idealnego w proporcjach czoła.

Tatiany nie można było nazwać ładną, bo jedynym pasującym do niej określeniem było słowo: zjawiskowa. Dyskretny makijaż i gustowna biżuteria tylko dodawały jej klasy. Wpłynęła do pokoju z gracją, trzymając przed sobą tacę z dwoma filiżankami kawy.

– Niesamowita – zauroczona Vic szepnęła na głos pierwszą myśl, która przyszła jej do głowy. Usłyszała śmiech i zza pleców dziewczyny wyłonił się Gabor.

– Uważaj, Tan skończyła filologię angielską. – Gabor delikatnie zdjął filiżanki z tacy. – Więc ostrożnie z komplementami, bo jej się całkiem poprzewraca w tej ślicznej główce.

Dziewczyna mruknęła coś pod nosem. Objął ją czule i pocałował w policzek, padło kilka śpiewnych słów w nieznanym Vic języku i Tatiana wyszła, ponętnie kołysząc biodrami. Kiedy zamknęły się za nią drzwi i zostali sami, rzucił od niechcenia:

– Mówiłem, że ludzkość ma wiele zalet...

– Którym pewnie trudno jest się oprzeć – odparła ze słyszalną wręcz przyganą – dlatego należy je włączyć do kolekcji razem z Brâncușim, stylowym bentleyem i Monetem. Powiem ci, że nawet pasuje.

Bardzo nie podobał jej się przedmiotowy sposób traktowania Tatiany,

którą – w jej opinii – Gabor trochę zlekceważył. Zeskoczyła z parapetu i odebrała od niego kawę.

– Widzę, że odrobiliśmy pracę domową – nie wydawał się przejęty tak jawną przyganą – choć nadal nie potrafimy odróżnić oryginału od kopii.

– Mam w to uwierzyć? – Prawie się roześmiała. – Naprawdę powiesiłbyś fałszywego Moneta?

– W życiu! – Zmrużył oczy i popatrzył na nią dziwnie. – Ale my przecież nie rozmawiamy o sztuce, nieprawdaż?

Zaniemówiła, przez chwilę w ogóle do niej nie dotarło znaczenie jego słów, później z niedowierzaniem spojrzała na drzwi.

– Tak, moja droga. – Pokiwał głową, jakby litował się nad jej naiwnością. – Akurat Tatiana niewiele zawdzięcza waszemu gatunkowi. Znalazłem ją wśród podobnych ofiar, wyplutych przez cywilizację. Niczym współczesny Hiob doświadczyła każdego nieszczęścia, o jakim kiedykolwiek słyszałaś – powiedział zaskakująco zimno – oraz paru takich, o których nawet ci się nie śniło. I choć wygodnie byłoby myśleć, że odpowiadamy za to my, krwiożercze potwory, jednak prawda jest inna. To dzięki naszej pomocy bez obaw może błyszczeć na salonach, choć teraz nie będziemy rozmawiać na ten temat. Powiedz mi lepiej, co naprawdę zdarzyło się w Lake Falls.

Nie chciała drążyć tematu Tatiany, więc ostrożnie przedstawiła mu swoją historię, powody, które popchnęły ją do podjęcia wszystkich trudnych decyzji. Nie próbowała się usprawiedliwiać ani wybielać, zmarginalizowała jedynie udział Jonathana i oczywiście nie wspomniała o Głosie ani ucieczce Kat. Szczególny nacisk w relacji położyła natomiast na sny, które bardzo ją ostatnio intrygowały. Większość sprawdziła się niemal kropka w kropkę, inne były nieco zamazanymi wizjami, lecz wszystkie dotyczyły tego samego, bo – pośrednio lub nie – były reperkusją przyjęcia pod dach pewnego mężczyzny o stalowym spojrzeniu.

Słuchał uważnie, nie przerywał, a kiedy dobrnęła do końca, zadał jedno pytanie.

– Kim była Elizabeth, czarownica, która uwięziła wampiry? – Może odniosła mylne wrażenie, ale wydawało jej się, że usłyszała w jego głosie nieuchwytnie napięcie.

– Nic o niej nie wiem, chociaż śniła mi się... – nie umiała łagodnie sformułować tego zdania – tuż przed naszą potyczką w jaskini.

– Nie żartuj – prychnął z pogardą. – Tylko niepoprawny optymista mógłby

rzeń określić w ten sposób. Z definicji wynika, że walka jest konfrontacją pomiędzy dwiema stronami. Aktywnymi i świadomymi. Swoją drogą, dlaczego nie próbowałaś się czegoś dowiedzieć na jej temat?

– Wypadki potoczyły się za szybko, nie miałam czasu grzebać w historii miasta i dociekać, jakie były jej dalsze losy – odparła.

Puściła mimo uszu ledwie tuszowaną przyganę na temat honorowego – lub nie – rozwiązania problemu wampirów w Lake Falls. W końcu należeli do różnych światów. To, co dla niego było haniebnym wykorzystaniem sytuacji, z jej perspektywy wyglądało na dobry sposób ratowania ludzkiego życia. Polityka wymagała jednak, by dała sobie spokój z kruszeniem kopii, schowała dumę do kieszeni, zamiast wdawać się w polemiki.

– Wiesz, gdzie mieszkała, kojarzysz miejsce?

– Teraz moja kolej. – Przerwała mu, z tej rozmowy zamierzała wyciągnąć możliwie najwięcej. – Macie w ogóle jakiś słaby punkt? Wadę, która sprawia, że... jesteście gatunkiem podobnym do nas?

– Moja droga – odpowiedział z dziwnym uśmiechem – nawet rekiny mają słabostki. Skądinąd rozliczne. Naszą piętą Achillea zawsze były uczucia, niepotrzebnie ich słuchamy, kierujemy się nimi, bezwolnie podlegamy dyktatowi spotęgowanych emocji. A w tym na pewno nie jesteśmy do was podobni.

– Jak go pokonać? – przeszła do konkretów, bo Gabor najwyraźniej mógł się bawić do rana w słowną ciuciubabkę.

– Zgodziłem się wam pomóc tylko dlatego, że sama nie byłaś pewna, czy dasz radę zabić naszego wspólnego przyjaciela – powiedział chłodno. –

Dotąd, dopóki wierzę, że El'larowi nie spadnie włos z głowy, masz moje poparcie. Dla większości z nas dowódca gwardii Azdarotha jest wybitnym przedstawicielem rasy, przypomnieniem czasów jej świetności i chwały. Nikt nie ośmieliłby się przyłożyć ręki do wykonania wyroku, dotyczy to również udzielania rad i wskazówek. Gdyby jednak znalazł się taki zdrajca, zostałby natychmiast skazany na los gorszy od śmierci – uśmiechnął się ironicznie – a El'lar awansowałby do rangi męczennika. Jego fanatyczni wielbiciel stworzyliby kult zrzeszający zastępy mścicieli żądnych krwi. Pamiętaj, tego właśnie nie chcemy.

– Jeśli...

– Nie ma tu miejsca na żadne gdybanie, wampira prawie nie da się zabić, przynajmniej ty nie jesteś w stanie tego dokonać.

Tak kategoriyczne stwierdzenie oburzyło ją do żywego.

– Mówisz do osoby, która...

– Tak, wiem, zabiłaś martwe od pięćdziesięciu lat mumie i to zaostriło ci apetyt na więcej. Po cichu marzysz o bardziej widowiskowym pojedynku z niepokonanym gwardzistą. Brawo, Buffy³, jednak pozwolisz, że nie będzie mnie wtedy u twojego boku. Mam alergię na akty pustego bohaterstwa.

– Jak to na wojnie bywa – coraz bardziej ją irytował – mogę się znaleźć w sytuacji, która nie pozostawi mi wyboru, powinnam się więc przygotować do konfrontacji.

– A co powiesz o trenowaniu raczej sprintu ratunkowego? – Nagle zmienił temat. – Myślisz, że El’lar, tak często przywołujący wyblakły honor naszej rasy, w jakimkolwiek punkcie był z tobą szczery?

Tego, że doktor Barrow przez cały czas ją okłamywał, była pewna, zatajał ważne informacje, nie odpowiadał wprost, lawirował i oszukiwał. O nie, jej kochanek, jak ujął to zręcznie Gabor, na pewno nie był z nią szczery. W żadnej kwestii.

– Nie rozumiem – odparła wewnętrznie przygotowana na kolejną porcję bolesnej prawdy.

– Zatem zacznijmy od początku. – Rozparł się wygodnie i upił łyk kawy. – Zatrzymałaś środkiem nasennym jego zapasy krwi?

Potakująco skinęła głową.

– Końską dawką, nie miał prawa się obudzić przez kilka najbliższych godzin. – Akurat z tego rozwiązania była dumna. Sprytne, czyste, zaplanowane. Dzieło niemal doskonałe.

– A jesteś pewna, że ją przyjął? – Popatrzył na nią z lekceważeniem.

– Nie sprawdzałam, ale...

Jego wzrok mówił więcej niż słowa.

Zamilkła, gorączkowo próbując znaleźć lukę w swoim rozumowaniu. Wampir pije krew, skoro do wszystkich jego zapasów wstrzyknęła potrójną dawkę leku...

Odpowiedź nasunęła się prawie natychmiast.

– Wyczuł go – powiedziała, w myślach obrzucając się stekiem najgorszych wyzwisk. Mogła to przewidzieć, po prostu przesadziła z ilością środka.

– Macie oczy, a nie widzicie, macie uszy, a nie słyszycie. El’lar musiał, chociaż mimochodem, napomknąć, że jest wampirem, czyli drapieżnikiem, który ma znacznie bardziej od ludzi wyostrzone zmysły. Ergo, próbowałaś go

napoić pachnącą nietypowo krwią i uważasz, że ją łyknął, oblizał się, po czym grzecznie poszedł spać.

Zasłużyła na wymówki, bo wykazała się karygodną bezmyślnością oraz brakiem wyobraźni. A wieczór najwyraźniej dopiero się rozkręcał.

– Pojechaliście do jaskini i po pokonaniu pułapek miotaczami załatwiliście cztery wampiry. W tym czasie El'lar, któremu ponoć zależało na ich uratowaniu, podkreślam: nieoszołomiony środkami nasennymi, grzecznie czekał na twój powrót, wierząc, że doprawiłaś mu krew jedynie dla walorów smakowych? Dobrze rozumiem?

Nie odezwała się, tylko spuściła głowę. Patrząc z tej perspektywy, wszystko, co zrobiła w Lake Falls, było bezgranicznie naiwne. Gabor miał całkowitą rację, powinna była słuchać uważnie każdego słowa wypowiedzanego przez El'lara i przede wszystkim wyciągać wnioski, starannie planować, nie polegać na myśleniu życzeniowym.

– Jest coś, co zrobiłam dobrze? – Nie miała odwagi spojrzeć mu w twarz.

– Nie bardzo – w jego głosie zabrzmiało rozbawienie – więc przestań się łudzić. Odnalezienie Kat jest wyłącznie kwestią czasu, skoro do tej pory tego nie zrobił, oznacza, że mu na tym nie zależało. Jeszcze.

– Co teraz? – Nie sądziła, że rady i wsparcia będzie szukać u wampira.

– Planuj, zanim zaczniesz działać. Myśl, zanim podejmiesz decyzję, i przede wszystkim pozbądź się tendencji autodestrukcyjnych. Śmierć nigdy nie jest rozwiązaniem. – Popatrzył na nią z politowaniem. – Martwa nie uspokoisz sumienia, nie naprawisz starych błędów.

– Wolałabym coś bardziej konkretnego. – W życiu by się nie przyznała, że mocno ubodła ją ta uwaga.

– O konkretach jeszcze porozmawiamy. – Podniósł się z miejsca na znak, że audiencję uważa za zakończoną. – Wcześniej muszę wykonać kilka bardzo ważnych telefonów. Mam prośbę, w dzień zajmij się haftem, pielęgnowaniem roślin doniczkowych albo czytaniem, tylko nie wychodź z domu. Pamiętaj, że przyjmując cię pod swój dach, udzielając pomocy, zirytowałem pewnego wampira, którego nie życzyłbym sobie mieć za wroga. Przynajmniej nie w tej chwili.

Zaczerwieniła się po same uszy. Pomysł, żeby sprawdzić intencje Gabora, okazał się tym, czym zwykle okazywały się wszystkie jej pomysły. Zrobiła z siebie kretynkę i co gorsza, była o krok od zdemaskowania nowego sojusznika. Faktycznie, może powinna pozostać przy robótkach ręcznych.

Gabor wyszedł, a ona wróciła do sypialni. Z bogatej kolekcji wyjęła – co gwarantowało nazwisko autorki – grzeczną powieść obyczajową i wskoczyła do łóżka. Po godzinie czytania o nad wyraz nudnych przygodach dziewiętnastowiecznej guwernantki oczy same jej się zamknęły.

Dźwięk telefonu postawił ją na nogi.

Oszalał – pomyślała, patrząc na zegarek, ale dzwonił Jonathan, więc nie mogła go po prostu zignorować.

– Słucham? – Chyba dotarła do niego lekka irytacja brzmiąca w jej głosie.

– Czymś cię zdenerwowałem? – zapytał z pozoru niewinnie.

– Ależ skąd – odparła, próbując zdławić ziewanie.

– Witaj w świecie różnych stref czasowych – zabrzmiało jadownicie po drugiej stronie.

Urażył ją złośliwością tak niepodobną do Jonathana, że na chwilę odebrało jej mowę.

– Twój telefon jest perfidną zemstą za to, że poprzednio obudziłam cię w środku nocy?

Roześmiał się szczerze i wesoło. Takiego śmiechu brakowało jej od dawna.

– Przy okazji – odpowiedział. – Dzwonię jednak, ponieważ mam złą wiadomość. Rozmawiałem z wieloma mieszkańcami i opowiedziałem o nowych planach naszego znajomego – nagle spoważniał – nie możemy już liczyć na ich poparcie.

– Nikogo? – Poczula dziwny ból w okolicy żołądka. Tak skończyły się jej sny o liczebnej przewadze.

– Tylko Rob opowiedział się po mojej stronie, i to pewnie dlatego, że jesteście rodziną, więc nie wypadało mu wyjść.

Zatem przeciwko El'larowi stanie do walki dwóch mężczyzn – niezły stosunek sił.

– Powiedziałeś im o Michaelu? – Łapała się nadziei niczym tonący brzytwy.

Po drugiej stronie zapadła wymowna cisza, Jonathan nie miał odwagi przyznać się publicznie, że jego rodzony brat przeszedł na drugą stronę i zasilił szeregi wroga. W sumie rozumiała jego pobudki i wątpliwości, bo była jedyną osobą, która widziała nowego Michaela, a żywiona obsesja wykluczała ją z grona wiarygodnych świadków.

– Kiedy wracasz? – zapytał.

Nie mogła mu dać konkretnej odpowiedzi, na którą czekał. Tłumaczenie, dlaczego, opowiadanie o sytuacji, w jakiej się znalazła, nie miało sensu. Nigdy by nie zrozumiał, dlaczego korzysta z gościny wampira, a swoje plany uzależnia od jego opinii i rady.

– Trudno powiedzieć – zaczęła ostrożnie – prawdopodobnie jeszcze w tym tygodniu, chociaż wiele się może zdarzyć.

W duchu prosiła go, żeby sobie darował wszelkie pytania.

– Chcesz, żebym do ciebie przyjechał?

– Mowy nie ma. – Zrobiło jej się gorąco. – Możemy się przecież rozminąć. Teraz jesteś bardziej potrzebny w Cheyenne – na oślep szukała decydującego argumentu – niż mnie podczas przeszukiwania bibliotek.

Temperatura po drugiej stronie opadła o kilka stopni.

– Jak sobie życzysz – powiedział zupełnie innym głosem.

Brakowało tylko, żeby porzucił ją ostatni, najwierniejszy z sojuszników.

– W ten sposób przygotujesz mój powrót, wynajmiesz mieszkanie – wydukała z trudem – zakończysz swoje sprawy w Cheyenne.

– Gdzie chcesz mieszkać? – Najwyraźniej odwróciła kierunek tornada.

– Proponuję miejsce, gdzie jest dużo słońca, tłumy turystów i niska przestępczość – powiedziała lekko, by zatuszować poprzedni nietakt.

Prawie widziała, jak się uśmiechnął, niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

– Hawaje – rzucił od niechcienia. – Polinezja Francuska, ostatecznie Galapagos, nie ma tam turystów.

– Floryda jest bliżej – także się uśmiechnęła.

– Brałem to pod uwagę. Wracaj szybko, wszystko będzie przygotowane. – Dziwne, jak łatwo dał się spacyfikować.

– Wiem – odparła, czując, że się pogrąża. – Wspaniale jest mieć kogoś, na kim można polegać.

– Nie przyzwyczajaj się. – Wrócił jej dobry przyjaciel Jonathan.

Uśmiechnięta, odłożyła słuchawkę, jeszcze przez chwilę trwała tak, starając się zatrzymać resztki dobrego nastroju, ale rzeczywistość szybko przywróciła ją na właściwe tory.

– Powinnaś tam być – powiedziała na głos – stać u jego boku, gdy tłumaczył ludziom, dlaczego muszą się zjednoczyć, stworzyć wspólny front. Tymczasem schowałeś się w Pradze, uciekłeś przed publiczną spowiedzią i pokajaniem się w oczekiwaniu na wybaczenie, które tak naprawdę nigdy nie nadejdzie.

Rozdział XXV

KRONIKI WAMPIRÓW

Zachodzące słońce rzuciło na pobliskie zbocze powiększone cienie wędrowców. Od dwóch dni biegli równym tempem, okutani w swoje długie peleryny, z mieczami i łukami przytroczonymi na plecach. Dzięki temu, że kazał im zostawić jedzenie oraz dobytek, a pozwolił zabrać tylko bukłaki z wodą, przekroczyli góry i dotarli na przełęcz Indu w czasie, o którym przyszłe pokolenia opowiadać będą legendy.

Aedrin gestem zatrzymał oddział i zaklął cicho pod nosem. Zbaczali ze szlaku. Trzy drogi wiodły na przełęcz, ale później żadna nie prowadziła tam, gdzie przy dobrych wiatrach powinni się znaleźć, nim wszędzie świt.

Mieszkańcy Agharu nigdy nie zapuszczali się tak daleko, bo masyw górski stanowił naturalną granicę pomiędzy światem ludzi a niezmierną pustynią. Właśnie tam wyrastało przedziwne w kształcie wzniesienie, które od podstawy przypominało normalne wzgórze, jednak nie pięło się wyżej, jakby pradawny olbrzym ściął mu szczyt. Tam miał leżeć Xall, stworzony i zamieszkały przez potomków bogów.

Jedna z wersji mitu mówiła o wiosce wiszącej nad wielką przepaścią, druga o mieście wydrążonym we wnętrzu góry. Każdy opowiadający za punkt honoru poczytywał sobie dodanie własnych wyobrażeń i wizji, więc historia co pokolenie obrastała w fantastyczne ozdobniki. Wszystkie wersje miały jednak pewien wspólny mianownik: mieszkańcy byli istotami tak mądrymi, że żadna tajemnica świata nie była im obca, więc musieli także znać lekarstwo na chorobę niszczącą ciało i duszę Agharu.

Aedrin zebrał dwudziestu czterech kompanów, których nie powaliła choroba, i ruszył z nimi w poszukiwaniu odpowiedzi, kierowany wskazówkami obłąkanego proroka oraz treścią zapamiętanych baśni.

Czy ja również jestem szalony? – Po raz kolejny powtarzał to samo

pytanie. – A co, jeśli zaraza skaziła i osłabiła mój umysł?

Jeśli tak, to owo szaleństwo tylko wzmacniało jego siły, kierowało krokami, pozbawiało okruchów współczucia, gdy nie pozwalał swoim ludziom odpoczywać.

Jeszcze raz sprawdził dokładnie zejście i ruszył na czele żołnierzy. Mieli szczęście, udało im się pokonać przełęcz, zanim zapadł zmierzch. Nawet nie musiał ich ponaglać, znali stawkę i cel, więc żaden nie zwolnił, żeby wymusić postój.

Od początku zakładał, że przez noc pokonają równinę, warunkiem było utrzymanie podobnego tempa oraz zachowanie właściwego kierunku w ciemnościach, bo brakłoby im sił, aby nadrobić stracony dystans. Trwał morderczy wyścig z czasem, własnymi siłami i bezlitosną chorobą.

Gdy słońce wstające zza horyzontu prześwietliło wzgórze i rzuciło im jego kształt do stóp, zrozumieli, że dotarli na miejsce.

Droga zajęła im trzy dni i noce, zakładał, że tyle samo zajmie powrót do Agharu. Razem sześć dni. Nie mógł przewidzieć, ile czasu zajmie mu przekonanie mieszkańców, żeby zdradzili tajemnice leku, choć z góry założył, że wykażą się dobrą wolą.

Dużo – pomyślał i złe przecucie ścisnęło mu serce – za dużo.

– Jakież rozkazy? – Głos gwardzisty wyrwał go z zadumy.

– Czekamy – odpowiedział.

Mieszkańcy Xallu, widząc uzbrojonych obcych, mogliby wszcząć panikę, dlatego wolał pozostać u podnóża, cierpliwie czekając na zaproszenie. Zbyt wiele zależało od dobrego wrażenia, które powinni wywołać pokorną, pełną szacunku postawą.

Przecucie go nie myliło, zanim promienie słońca na dobre zaczęły ogrzewać ziemię, wąską ścieżką zeszła ku nim przygarbiona postać z laską pasterską w dłoni.

Aedrin, zachowując pozorny spokój, przywitał się uprzejmie i zaproponował wspólny posiłek. Stary mężczyzna grzecznie odmówił.

– Co sprowadza szlachetnych wojowników w nasze skromne progi? – zapytał.

– Chcemy prosić o pomoc, bo mądrość mieszkańców Xallu znana jest od wieków.

– Pójdźcie za mną, sam przedstawię waszą sprawę władcy. Dumny wojownik skłonił głowę przed pasterzem i karny oddział ruszył powoli za

przewodnikiem. Przy prowizorycznej bramie czekał samotny strażnik.

– Jakim prawem naruszacie nasz spokój? – warknął nieprzyjemnym ochrypłym głosem.

Aedrin oddał broń przybocznemu i zsunął kaptur z głowy.

– Przybyliśmy błagać szlachetnych mieszkańców Xallu o ratunek dla umierającego Agharu.

Strażnik skinieniem głowy nakazał mu pójść za sobą, pozostałych gwardzistów osadziła w miejscu laska pasterza, którą zagroził im drogę.

Nie byli zachwyceni tym, że dowódca odchodzi sam, bez wsparcia, ale uspokoił ich spojrzeniem i posłusznie ruszył w głąb zabudowań. Im dalej wchodził, tym bardziej czuł się zawiedziony. Podświadomie spodziewał się miasta choć w części przypominającego to ze słyszanych w dzieciństwie opowieści.

Zamiast wiszących ogrodów zobaczył skromną wioskę, pełną niskich, przysadzistych domów zbudowanych bez planu lub pomysłu. Wrażenie tymczasowości potęgowały wszechobecne brud i zaniedbanie. Mijani mieszkańcy niewiele mieli wspólnego z bogami, chyba że byli oni niscy, starzy, często przygarbieni i niechlujnie odziani.

Aedrin doskonale rozumiał odwieczną prawdę, że czasem widzi się tylko tyle, ile chce pokazać druga strona, rozczarował go jednak zupełny brak przejawów legendarnej potęgi i bogactwa podniebnego miasta. Zdecydowanie nie było to miejsce z baśni, raczej osada przypominająca ohydne sadyby ludzi z równin.

Dotarli na niewielki placzyk z rusztowaniem, na którym wisiał miedziany dzwon, wokoło rozlewało się bajoro. Obrazu całkowitej ruiny dopełniło kilka świni z lubością biorących kąpiel w błocie.

Strażnik zatrzymał się przed jedną z chat i odsunął brudną szmatę zastępującą drzwi. Z trudem hamując obrzydzenie, Aedrin wślizgnął się do środka. Panowały tam półmrok i zaduch. Przy niewielkim otwartym palenisku siedział chudy stary człowiek ubrany w obszarpane szaty, powykrzywianymi dłońmi dokładał chrust do ognia.

Gdy Aedrin stanął naprzeciwko, ten podniósł na niego wzrok. Oczy, całkowicie okryte bielmem, należały do ślepcy.

– Co cię sprowadziło w nasze skromne progi, wędrowcze? – zapytał, pokazując wnętrza bezzębnych ust.

– Legendy mojego ludu, które mówią, że mieszkańcami podniebnego

miasta są synowie i córki bogów, dzięki swojej mądrości znający wszystkie tajemnice świata. Aghar umiera, niszczy go śmiertelna choroba, na którą uzdrowiciele nie mogą znaleźć lekarstwa. Słowa proroków skierowały nas do Xallu w poszukiwaniu wiedzy i ratunku.

Przerwał mu rechot starca, który przeszedł w ohydny kaszel.

– Dziećmi bogów, dobre sobie – odparł, gdy minął mu atak. – Czy tak według ciebie powinni wyglądać potomkowie wszechwładnych? Ubawiłeś mnie, młodzieńcze. Niestety, jak sam widzisz, jesteśmy skromnym ludem i niewiele posiadamy. Gdybyśmy byli tymi, za kogo nas uważasz, myślisz, że żylibyśmy w takiej nędzy i niedostatku? – Podniósł się z trudem i stanął przed Aedrinem. Był niski, sięgał mu zaledwie do piersi. – Xall to nie miasto z legend, ale osada starców, którzy czekają, aż los w swych żarnach przemieni ich na popiół. Lata naszej świetności i potęgi minęły, teraz mamy własne problemy. Zostaw nas w spokoju i odejdz, bo jak widzisz, nie możemy wam pomóc.

Aedrin prawie dał się przekonać, już miał odejść zrezygnowany, gdy nagle przypomniał sobie o zdrajcy, który szukał tu schronienia.

– Niedawno przybył do was – powiedział cicho – pewien mężczyzna. Czy mógłbym z nim porozmawiać?

– Nikogo nie było. – Irytacja starca nie była udawana. – Nikt tu nie przybył od dziesiątków zim. Czy prosimy o zbyt wiele, pragnąc, by wreszcie o nas zapomniano? Rozejrzyj się dookoła, nie znajdziesz tu żadnych odpowiedzi, tajemnic ani zaginionych proroków. Obaj zorientowali się w tym samym momencie, jaki popełnił błąd.

Starzec rozkaszłał się sztucznie, truchtem przeszedł pod drzwi, zamasyście podwinął szmatę.

– Idź już – rozkazał – i nie wracaj.

Pewnie miał nadzieję, że stosunkowo młody wojownik nie zwrócił uwagi na jego słowa. Aedrin nie miał zamiaru wyprowadzić go z tego przekonania, popatrzył na niego z politowaniem i opuścił chatę. Był wściekły.

Strażnik odprowadził go do granicy wsi, gdzie jego oddział czekał na wiadomości.

– Nie znajdziemy tu pomocy – powiedział głośno do swojego zastępcy – osadę zamieszkują sami starcy, którym śmierć zagląda już w oczy. Wracamy do Agharu.

Zaskoczony żołnierz spojrział na niego, ale szybko zrozumiał rozkaz

wydany bez słów. Odwrócił się do gwardzistów, którzy bez zbędnych komentarzy ustawili się w szereg i zeszli w dół zbocza.

Gdy tylko zniknęli mu z oczu, na twarzy strażnika wykwitł triumfalny uśmiech.

Odeszli niedaleko. Za kolejnym zakrętem ukrył ich cień rozłożystych drzew.

– Co mam przekazać pozostałym? – zapytał szeptem przyboczny.

– Prawdę – głośno odpowiedział Aedrin – zasłużyli na nią latami ciężkiej, wiernej służby. Bracia, obiecuję, że jeszcze przed świtem każdy z was pozna smak śmierci, lecz najpierw musicie upuścić krew bogów, tych samych, których imiona sławiliście na polach bitew, bo są kłamliwymi tchórzami o zgniłych sercach. Za ten czyn nie oczekujcie odpuszczenia, suto zastawione stoły nie będą na was czekać w krainie nieśmiertelnych, staniecie się potępieni po wsze czasy. Kto jest ze mną?

Cichy pomruk przeszedł przez szereg. Żaden z gwardzistów nie odszedł, wszyscy stanęli murem za swoim dowódcą.

Podziękował skinieniem głowy i opowiedział im ze szczegółami o spotkaniu w chacie wodza.

– Nie dodałem, że zbiegiem jest jeden z proroków – swoją relację zakończył z ogniem furii w oczach – skoro wiedział, zatem w którejś z chat grzeje się ścierwo winne śmierci waszych bliskich. Prawdziwa przyczyna i sprawca zarazy.

Zamiast okrzyków, protestów, pytań jeden gest – pięść uderzająca w prawe ramię. Byli z nim na dobre i złe.

Aedrin zdjął i odłożył na bok skórzany pancerz, włożył dwa sztylety w cholewki butów, ujął mocno zimną rękojeść miecza, który podał mu stojący obok gwardzista. Był gotów.

W martwej ciszy dwudziestu pięciu mężczyzn przyklęknęło, nie było im potrzebne błogosławieństwo ani modlitwa, ale skupienie.

Na znak zastępcy wstali. Zimne, zacięte twarze, puste oczy ludzi, którzy wkroczyli na ścieżkę całkowitego zatracenia i posłusznie czekają na polecenia.

Aedrin wskazał każdemu jego miejsce. Wydawało się, że precyzyjne planowanie napaści na bezbronną wioskę było przesadą, lecz jako dowódca nauczył się jednego – często decydujące dla wyniku bitwy okazywało się to, czego nie było widać na pierwszy rzut oka.

Ruszyli gęsiego, nie szczeknęło żelazo, żaden krok nie rozległ się w głuszy, zamiast wydawanych na głos poleceń wystarczyły wymowne spojrzenia, miecze bezszelestnie opuściły swoje pochwy, przygotowane łuki znalazły się w dłoniach. Gwardziści pojedynczo opuszczali oddział, kierując się, zgodnie z rozkazem, na tyły zabudowań.

Został sam, ostrożnie podkradł się do drzewa, miał stamtąd doskonały widok na zakręt oraz bramę. Przyjrzał się uważnie i odkrył, ku swojemu zaskoczeniu, że strażnik zniknął. Mogło to być równocześnie powodem do zadowolenia i budzić poważne obawy. Postanowił, że wykorzystując osłonę drewnianej, na wpół rozwalonej palisady, przyczai się na chwilę, by rozpoznać sytuację. I tak musiał poczekać, aż wszyscy zajmą wyznaczone stanowiska, a jego zastępca da sygnał do ataku. Do tego momentu mógł się jeszcze wycofać, zawrócić gwardzistów, ale mrok bramy nie ukrywał już Aedrina, lecz cień, którego myśli były posepniejsze niż bezgwiezdna noc.

Potomkowie bogów mieli czarne, zepsute serca, z paskudnym uśmiechem bezzębnego starca skazali na śmierć Aghar i jego mieszkańców. Tamta rozmowa obdarła go ze złudzeń, wiedział, że mieli lekarstwo, byli w stanie pomóc, gdyby tylko zechcieli. Gdyby ocalała w nich jakaś częśćka człowieczeństwa.

Ofiary składane odwiecznym poszły na marne, nic nie obchodził ich los wyznawców, bawili się ludźmi dokładnie w taki sam sposób, jak on miał zamiar zabawić się z ich potomstwem.

Czuł żądzę krwi pulsującą w żyłach i był gotów poddać się jej aż do końca, otworzyć umysł przed złem, które zagościło w jego duszy.

Zapłacą za każde odebrane życie – pomyślał zimno – każdą niewysłuchaną modlitwę i odrzucone błaganie.

Płomienna strzała rozdarła niebo, zapraszając do tańca, którego kroki znał od zawsze. Partnerowała mu śmierć, a muzyką był szcęk żelaza i jęki konających.

Niemal czuł w ustach smak krwi, gdy wtargnął pomiędzy domy, siejąc grozę i rozpacz. Pierwsi pod jego ciosami padli dwaj mężczyźni próbujący naiwnie schronić się we wnętrzu swoich domów, jakby drewniane drzwi były w stanie zatrzymać rozszalałą bestię.

Kątem oka zobaczył, że znany mu staruch – nagle cudownie uzdrowiony i pozbawiony bielma – biegnie żwawo w stronę placu. Aedrin głośno zaklął, bo w okolicy nie było żadnego z gwardzistów, dlatego zanim zdążył wyjąć

sztylet, mężczyzna kurczowo złapał za sznur i szarpnął.

Dwie rzeczy wydarzyły się równocześnie. Błysk rozciął powietrze, staruch zawisł bezwładnie z liną okręconą na nadgarstku i sztyletem wbitym po rękojęść w szyję. Jednak nic już nie zdołało zahamować miedzianego dzwonu, jego dźwięczny zaśpiew przyzwał posiłki.

W ciasnych uliczkach zaroilo się od zbrojnych, ich surowe pancerze i znakomita broń należały do uczestników niejednego boju.

Nareszcie godni przeciwnicy – pomyślał mimochodem, dorzynając wszystkich, którzy mieli pecha stanąć między nim a żołnierzami Xallu.

Kobiety, mężczyźni, dzieci – było mu wszystko jedno, chciał zamiast rozzierających jęków i błagań usłyszeć śpiew metalu, poczuć niecierpliwe drżenie ostrza, gdy w końcu spotka się ze swoim rywalem.

Impet zderzenia pozwolił mu bez trudu położyć trupem trzech wojowników broniących wejścia na plac. Z czwartym czekała go cięższa przeprawa, ale opętany żądzą mordy nie czuł zmęczenia, bólu ani ran. Świat dookoła przybrał barwę purpury.

Gdy przeskakiwał nad stertą martwych ciał, trafiła go zbłąkana strzała. Siła uderzenia odrzuciła mu ramię w tył, a miecz wypadł z bezwładnej dłoni. Zaklął siarczyście na widok nadbiegającej szóstki wrogów, odwrócił się, żeby podnieść broń i jednocześnie wyrwał strzałę. Krew chlusnęła, obryzgując mu twarz ciepłymi kroplami. Kopniakiem podrzucił miecz i złapał lewą ręką. Prawa, uzbrojona w strzałę o purpurowym grocie, już wymierzyła sztych prosto w szyję najbliższego napastnika.

Nie udał im się plan okrążenia go i zmuszenia do obrony, która nigdy nie była jego ulubionym sposobem walki. Znow przejął inicjatywę, spychając ich pojedynczo na niedogodne pozycje. Spróbowali jednoczesnego ataku; uśmiechnął się tylko, widząc czterech zapalczywych wojowników w niemal synchronicznym układzie.

Czekał na nich z błyskiem w oku. Ledwie podeszli na wyciągnięcie miecza, znalazł się na ich tyłach i pozostało mu jedynie dokończyć dzieła. Sprawnie, szybko, bez wahania.

Zatracił się zupełnie, nie zważał na los kompanów, którzy z dala od głównego placu umierali jeden po drugim. Ich siły topniały, obrońców z każdą chwilą przybywało, zalewali ich jak fala zmiatająca na swojej drodze wszelkie przeszkody.

Aedrin zdawał się nie dostrzegać, że los bitwy został przesądzony, a nawet

jeśli, w żaden sposób nie zakłóciło to rytmu jego kroków. Grupy zbrojnych wyrastające przed nim traktował niczym następne zaproszenie do zabawy.

Biegając między domami, wyrwał ze strzechy wiązkę słomy i kopniakiem otworzył drzwi. Skulone pod ścianami postacie na widok zakrwawionego szaleńca podniosły głośny lament. Uciszył je szybko, zanim ostatnie zwłoki opadły na klepisko, podpalił od paleniska wiecheć i zupełnie ignorując żołnierzy tarasujących mu wyjście, rzucił się w stronę okna. Błona, która je wypełniała, pękła z obrzydliwym trzaskiem. Znalazł się na zewnątrz, płomień zaczynał mu parzyć dłoń, więc Aedrin pozbył się go, zostawiając na strzesze.

Z przerażającym skamieniałym uśmiechem skupił się teraz na czterech żołnierzach, którzy próbowali zasypać go deszczem strzał. Gdy dokańczył dzieła, jednym ruchem podrzynając gardło ostatniemu przeciwnikowi, za plecami poczuł ciepły powiew. Nie obejrzał się, bo zupełnie nie obchodził go los ludzi uwięzionych w płonących domach. Gdzieś po drodze mrok i zło przejęły jego duszę na wyłączność.

Pierwszy cios nadszedł z najmniej oczekiwanej strony. Gdy mijał – jak mu się wydawało – martwe ciała, jeden z rannych uniósł się na łokciu i od tyłu przeciął mu nogę na wysokości kolana. Zanim ścięgna odmówiły ostatecznie posłuszeństwa, Aedrin zdążył go jeszcze przygwoździć mieczem, szarpnął nim dla pewności i wtedy dopiero ukląkł.

Głupia rana mocno pokrzyżowała mu szyki, jego przewaga opierała się na szybkości i sile, teraz musiał wymyślić inną, równie skuteczną taktykę.

Kilku obrońców dostrzegło go klęczącego z pochyloną głową i postanowiło wykorzystać nadarzącą się sposobność. Byli nierozsądni, bo nie zauważyli, że jest śmiertelnie niebezpiecznym oburęcznym szermierzem. Za swój błąd zapłacili najwyższą cenę. Pozostali okrążyli go ciasno, trzymając się jednak z dala od morderczych ciosów.

Przed kordon wysunęło się trzech kuszników. Bełty mieli włożone, a cięciwy naciągnięte, lecz Aedrin tego nie widział. Skupił się, wyciszył, przygotowując do ostatniego zrywu.

Przed jego oczami pojawiła się Tea, nachyliła się nad nim, otaczając zapachem brzoskwiń i mimozy. Przypomniał sobie smak jej ust i złożoną przysięgę.

– Nie zawiodę cię. Nigdy.

Wstał pewnie i uniósł miecze, gotów drogo sprzedać swój ostatni oddech, ale bełty, szybkie niczym błyskawice, wytrąciły go z równowagi. Pierwszy

trafił w brzuch, drugi przebił płuco, a ostatni rozerwał udo. Żaden go nie zabił. Każdy unieruchomił.

Gdy bogowie, przywabieni szczękiem oręża, zesli, aby spojrzeć na swoje dzieci, stanęli zdumieni. Wioski nie było, zamiast niej stały ruiny śmierdzące krwią i pożogą.

Na ulicach walały się sterty okaleczonych, bezgłowych trupów, zastygła posoka kleiła się do stóp, gdzieś płonął jeszcze ogień, trawiąc mozolnie drewniane konstrukcje.

Na osmalonej ścianie tkwił przybity pikami ranny mężczyzna, wciąż krwawił z dziesiątek większych i mniejszych ran, ale nadal był przytomny. W jego oczach odbijały się łuny dogasających pożarów, na ustach igrał zastygły, pełen pogardy uśmiezek. Poznali go, po czym zakrzyknęli jednym głosem. Narduk, najpotężniejszy z nich, władca ognia i burzy, podszedł do niego, spojrzał mu głęboko w oczy.

– Morderco – szepnęła jego zrozpaczona siostra, która miała dziś opłakiwać dwójkę swoich dzieci.

Mężczyzna splunął krwią.

– Przeklinam was – wycharczał – na wieki.

Szpony rozerwały mu gardło, wydarły serce i rzuciły w szkarłatne błoto.

Rozdział XXVI

Wróciła do łóżka święcie przekonana, że już nie zaśnie, jednak nim zdążyła dokończyć kolejny rozdział opisujący sercowe rozterki udręczonej dziewczycy, znalazła się pod wieżą prowadzącą na most Karola. Jakimś cudem tym razem pozostała świadoma, że to jest tylko kolejny z nocnych koszmarów.

Była noc, mrok zagarniał cegła po cegle okoliczne kamienice. Ostatnim bastionem walki z ciemnością były płomienie pochodni osadzonych w metalowych obejmach na końcach ramion gotyckiego sklepienia. Przeszła pod bramą na drugą stronę i stanęła na moście. Okazało się, że za kamienną balustradą nie było rzeki. Milcząca Wełtawa zniknęła, jej miejsce zajęła mgła, nieprzenikniona i nieruchoma, strzeżona przez kamienne posągi. Jeden z nich zszedł właśnie z postumentu, złotym mieczem zagrządzając drogę ucieczki. Wystraszyła się, gdy popatrzył na nią oczami kamiennej rzeźby pozbawionymi źrenic – zimnymi, bez wyrazu.

Nagle ktoś złapał ją za rękę. Bez trudu poznała kobietę w zielonej sukience.

Elizabeth Brown poprowadziła ją w kierunku balustrady i gestem nakazała spojrzeć w głąb nieistniejącej toni rozlanej szeroko pod łukami mostu. Skłębiona szarość szczelnie obsiadła grube pylony i rozlała się po horyzont. Wewnątrz rozrósł się obraz obudzony do życia zaklęciem wiedzy.

...przykuty łańcuchami mężczyzna w kamiennym lochu, krew spływa po ścianach, tworząc dziwny kręty wzór. Jakieś litery? Czy może ornament?

– Naucz się i zapamiętaj – słowa Elizabeth zabrzmiały koło jej ucha. – Jest ważny.

Tak bardzo próbowała go zatrzymać w pamięci, aż z tego wysiłku ocknęła się zlna potem. Drżącymi rękami wymacała zegarek, strącając przy tym szklankę z wodą i nocną lampkę. Zanim zupełnie wróciła do rzeczywistości, obiecała sobie, że przy najbliższej okazji porozmawia z Gaborem na temat sensu snów prześladowających ją z coraz większą zajadłością.

Ubrała się pospiesznie i w otchłani torby wyszperała paczkę papierosów.

Do szczęścia brakowało jej tylko potężnego kopniaka kofeiny.

Otworzyła okno w salonie i swoim zwyczajem usiadła na parapecie, podziwiając przy okazji wczesny świt, barwiący mdłą poświatą okoliczne dachy. Zapatrzona na różowiejące niebo nie dosłyszała cichego pukania, po którym do pokoju wjechał stolik ze śniadaniem oraz parującym dzbankiem kawy. Tym razem piękna zdobycz Gabora miała na sobie dzinsy i białą koszulkę, która podkreślała subtelną opaleniznę.

– Nie przeszkadzam? – zapytała wyraźnie spłoszona.

Vic poczuła się głupio. Nie dość, że traktowano ją w tym domu niczym udzielną księżną, to jeszcze Tatiana zachowywała się jak jej osobista służąca.

– Ależ skąd! – Poderwała się z miejsca, żeby pomóc, ale dziewczyna poradziła sobie świetnie sama. Błyskawicznie rozłożyła serwetki, przygotowała wiktuały oraz nalała kawy do filiżanki. Jednej. W trakcie przygotowań rzucała w jej stronę spłoszone spojrzenia. Najwyraźniej chciała o czymś pomówić, a ponieważ sytuacja stawała się z minuty na minutę coraz bardziej niezręczna, Vic postanowiła ułatwić jej pierwszy krok.

– Wasze mieszkanie – powiedziała – jest doprawdy niezwykle.

Po tych słowach usłyszała ciche westchnienie i Tatiana stanęła przed nią ze łzami w oczach. Nie takiej reakcji spodziewała się po luźnej uwadze na temat aranżacji wnętrza.

– Usiądź – podała jej chusteczkę – proszę.

Młoda kobieta przysiadła bokiem, nieśmiało, na brzegu kanapy i rogiem chusteczki ocierała płynące cicho łzy. Przypominała trochę bezbronnego skarconego psiaka.

– Nie chcę, żeby wiedział o naszej rozmowie. Prawdopodobnie nie byłby zadowolony – powiedziała cicho. Tak cicho, że Vic musiała usiąść obok, by usłyszeć całe zdanie.

– Mężczyźni – chciała, żeby zabrzmiało to lekko i rozładowało przyciężką atmosferę – tak ich trudno zadowolić.

Zamierzona ironia odbiła się od pustki obojętnych oczu, najwyraźniej układ między nią a wampirem nie był tematem do żartów. A to nie rokowało dobrze... Żadnej ze stron.

– Czy pani – dziewczyna się zająknęła – jest... zainteresowana głębszą relacją z...

– Nie, w żaden sposób. – Vic już wiedziała, jaki problem dręczył piękną Tatianę. – Broń Boże! Absolutnie nie jestem zainteresowana, w żadnym tego

słowa znaczeniu, pogłębieniem jakichkolwiek relacji z Gaborem.

Z trudem opanowała chęć roześmiania się w głos, bo naiwność tego podejrzenia rozbawiła ją, choć z drugiej strony odrobinę też połechtała kobiecą próżność.

Drogie dziecko – pomyślała z politowaniem – spójrz w lustro, zrozumiesz wtedy, dlaczego twoja sugestia była źle trafiona.

Ogromne zielone oczy, jeszcze mokre od łez, popatrzyły na nią z wdzięcznością.

– Boję się, że go stracę. – Młoda kobieta najwyraźniej szukała w niej sojusznika. – Jesteśmy razem od dwóch lat, to podobno bardzo długo, ale niestety jestem człowiekiem. Zmieniam się, starzeję. Chociaż wiedziałam od początku, że mnie zostawi, nie potrafię... – zająknęła się.

Niedopowiedziana deklaracja postawiła Vic przed poważnym dylematem. Mogła być szczerą i złamać jej serce lub zwyczajnie skłamać, żeby wywinąć się z niezręcznej sytuacji. A ponieważ nie chciała dokonać takiego wyboru, po prostu objęła Tatianę jak siostrę, co okazało się złym pomysłem.

– Był przy mnie zawsze – zachlipała żałośnie dziewczyna. – Jeśli odejdzie, wszystko straci znaczenie. Nigdy się nie dowie, jak był ważny, co do niego czułam. Nie chcę się dopytywać, co was łączy, tylko błagam – osunęła się na kolana i ujęła jej dłonie w swoje – błagam, niech pani obieca, że nic mu się nie stanie.

– Zapewniam – dopiero teraz Vic poczuła się naprawdę zażenowana – że łączą nas jedynie interesy.

Oraz pewien wspólny znajomy – dodała w myślach – którego, wierz mi, nie chciałabyś poznać, bo przy nim twój wampir jest niczym pluszowa maskotka.

Zwolniła uścisk, wstała i podeszła do okna. Zapatrzona w widok rozpościerający się za uchyloną szybą powiedziała:

– Ponieważ nie mam żadnego wpływu na to, co się stanie, nie będę składać obietnic bez pokrycia. – Nie wiedziała, dlaczego zachowanie Tatiany tak mocno ją zirytowało. – Sądzę, że Gabor jest dostatecznie świadomy konsekwencji podejmowanych działań, więc nie będzie szukał niepotrzebnego ryzyka. Poza tym raczej nie jest typem poszukiwacza przygód – dodała pod nosem – a jedyne ryzyko, jakiego podjąłby się bez wahania, miałoby swój finał w zaciszu domu aukcyjnego przy licytacji dzieł sztuki.

– Pierwszy raz w życiu spotkałam kogoś takiego. – Dziewczyna skupiona na zwierzeniach chyba nie zwróciła uwagi na złośliwy komentarz. – Jestem gotowa poświęcić dla niego wszystko. Nie wiem, czy pani jest to w stanie zrozumieć?

Uważaj, takie poświęcenie w konsekwencji przynosi tylko ból i rozpacz – przestrzegła ją w myślach Vic – a każde prawdziwe uczucie ma także ukrytą, mroczną stronę, rzeczywiste koszty, które musimy ponieść za prawo do bycia z kimś blisko. Mam nadzieję, że nigdy ich nie poznasz, naiwna zakochana dziewczyno. Życzę ci, by później, gdy już wytrze ci wszystkie wspomnienia i zostawi z zasobnym kontem, pojawił się jakiś solidny, stateczny mężczyzna, z którym będziesz mogła godnie się zestarzeć. Razem dochowacie się gromadki dzieci, domku na wsi, gdzie zasmakujesz normalnego, ludzkiego życia, wolnego od czających się w mroku potworów. Chyba że inny, mniej oswojony wampir rozerwie twoją egzystencję na strzępy.

– Rozumiem – odparła po chwili ciężkiego, zawieszistego milczenia. – Mam córkę.

Nadal niełatwo jej było na głos wymawiać imię Kat.

– Gdzie ona jest? – Zaciekawiona Tatiana spojrzała na nią z uwagą.

– Nie wiem. – Starła się zignorować ból, który przeszywał ją za każdym razem, gdy mówiła lub myślała o swoim dziecku. – Pozwoliłam jej odejść, bo tak było lepiej. Dla niej i dla mnie.

– Nie miałaś innego wyjścia? – Współczucie słyszalne w głosie dziewczyny było dla Vic nie do zniesienia.

– To egoizm rodzi strach przed rozstaniem oraz samotnością, jednak prędzej czy później nadchodzi taki moment, że musisz odpuścić, pozwolić odejść osobie, która jest dla ciebie treścią... sensem życia. Robisz to, choć doskonale wiesz, że tego cierpienia nie zmyje czas ani nie uśmierzy żadne lekarstwo. Z drugiej strony, jeśli nie znajdziesz w sobie odwagi, by ją wyzwolić, znaczy to, że w żaden sposób nie liczysz się z jej pragnieniami i potrzebami. Wtedy rodzi się pytanie, czy to nadal jest miłość? – Te słowa te odnosiły się wyłącznie do sytuacji, w jakiej znalazła się dziewczyna.

Nie miała zamiaru ranić Tatiany, choć wiedziała, że ból jest zawsze skutkiem ubocznym szczerości. Podobnie jak prawdy, która często miewa także nieprzyjemny, gorzki posmak.

Ciszę, która zapadła po jej słowach, zakłócił dźwięk oklasków, dlatego nie poczuła się zaskoczona, gdy w otwartych drzwiach zobaczyła Gabora.

– Piękny wykład. – Lodowatym wzrokiem spojrzał na klęczącą Tatianę. – Mądry i bardzo wzruszający. Obraz godny pamiątkowej fotografii. Oto dwie kobiety dzielące się bagażem doświadczeń, aż łza się w oku kręci. A teraz przejdźmy do prozaicznego pytania. Gdzie jest moja kawa?

Dziewczyna z pokorą przeprosiła, poderwała się i wybiegła z pokoju.

– Widzę, że skromny datek zapewnił ci seks na żądanie, posiłek oraz wierną służącą – syknęła Vic, zanim się zastanowiła, jakie konsekwencje może przynieść z nagła obudzona kobieca solidarność.

– Bynajmniej nie skromny, a datkiem w życiu bym tego nie nazwał. Prosiłem, żebyś starała się nie oceniać – odpowiedział chłodno. – Zdajesz sobie sprawę, że nieustająca potrzeba wpychania na siłę zjawisk i ludzi w sztywne ramy twojej, musisz przyznać, dość chybotliwej moralności jest wyjątkowo nieznośna.

– Doprawdy? – Czują, jak gniew powoli przejmuje nad nią kontrolę, co nie wróżyło dobrze jej planom pozyskania sprzymierzeńca. – Niezgoda na wykorzystywanie i pomiatanie ludźmi nie należy do pojęć etycznych, lecz jest miarą człowieczeństwa.

– Dobrze wykułaś materiał z czwartej klasy. – Ostentacyjnie zmierzył ją od stóp do głów. – Ale ode mnie nie dostaniesz cenzurki, bo, przypominam, oblałaś egzamin. Sama musisz przyznać, że czymś zupełnie innym jest lekceważenie człowieka, a czymś zgoła odmiennym potraktowanie go jako waluty, rzucenie na stół miliardów za jedno życie. I gdzie miałaś wtedy ów, tak często deklarowany, szacunek dla gatunku?

– Nawet jeśli – spurpurowiała – postąpiłam nierozważnie... – Usłyszała prychnięcie, ale postanowiła je zignorować. – Niebawem zamierzam to naprawić...

– Zakładając optymistycznie – nie dał jej dokończyć – że jesteś cudotwórcą. Stłucz bezcenną chińską wagę w muzeum, przeproś i spróbuj ją skleić. Pojmij w końcu, że pewnych rzeczy nie da się naprawić!

Podszedł do niej, wyglądało, jakby chciał ją objąć. Zamachnęła się, aby mu wymierzyć siarczysty policzek, ale pokazał trzymaną w dłoni paczkę papierosów, którą zabrał z parapetu.

– Mogę? – Nie czekając na pozwolenie, wyjął jednego. Odsunął się na bezpieczną odległość i odpalił. – Mówiłem, nie oceniaj – roześmiał się sztucznie, jednak nie udało mu się zamaskować kipiącej wewnątrz złości.

– Dlaczego, skoro w ten sposób myślisz, przyjąłeś mnie pod swój dach,

zamiast związaną w gustowny pakunek dostarczyć El'larowi, niekoniecznie żywą? – Upokorzył ją i, co gorsza, miał rację.

Nie zasługiwała na nic innego, jej żalosne próby przystrojenia piór sędziego, misjonarskie oburzenie, świętoszkowate miny nie były w stanie zamaskować prawdziwego obrazu wydarzeń. A ten nie wyglądał dobrze.

– Droga Victorio – odparł, zaciągając się z wyraźną przyjemnością – gdyby padło takie polecenie, od miesiący gniłabyś w jakiejś ustronnej celi lub spoczywała na dnie oceanu.

– Czemu więc ryzykujesz?

– Właśnie przestałem. – Rzucił jej gazetę.

Pustym wzrokiem popatrzyła na krzyczące w obcym języku nagłówki i potrząsnęła głową.

– Trzecia strona – odpowiedział.

Rozłożyła szeleszczącą płachtę, ale nie musiała się wysilać, żeby zrozumieć. Wyraźne zdjęcia informowały, ostrzegały i nie pozostawiały złudzeń.

Usiadła na kanapie, trzęsącymi rękami wyjęła papierosa. Błysnął płomień zapalniczki, podany przez Gabora, jak zwykle nienagannie szarmanckiego.

Największy był portret mężczyzny, którego poznała w kawiarni, gdy chciała zagrać na nosie zarozumiałemu wampirowi. Obok kilka ujęć wykonanych w jakiejś wąskiej ulicy.

– Przeczytać ci? – zapytał uprzejmie.

– Proszę – powiedziała cicho, choć przecież bez trudu domyśliła się treści reportażu.

– Wczoraj w nocy niezidentyfikowany mężczyzna został znaleziony niedaleko centrum na lewym brzegu Wełtawy. Obrażenia wskazują, że był torturowany przed śmiercią. Ktokolwiek wie, był świadkiem... i tak dalej. Czysty kryminał.

– Wiesz, czyja to sprawka?

– Nie sądzę, żeby fatygował się osobiście, chociaż z drugiej strony... – zawiesił znacząco głos. – Sama rozumiesz, w tym momencie nasza współpraca dobiegła końca.

– I to wszystko? – zachnęła się. – Żadnej rady, obiecanej pomocy ani wsparcia bojowego? Po prostu żegnaj?

– Prawie – zamilkł, bo pojawiła się Tatiana z kawą.

Gdy odebrał od niej filiżankę, zamknął starannie drzwi, odczekał chwilę,

nasłuchując oddalających się kroków, po czym zatrzasnęła okno i dopiero wtedy usiadła. Paranoja w czystej postaci – pomyślała Vic – ja też mam taką, widocznie to efekt uboczny spotkań z El'larem.

– Mam dla ciebie prezent – szepnęła. – Noś go przy sobie, a żaden wampir nie usłyszy twoich myśli.

Otworzył dłoń, w której pojawił się niezwykle wisiołek na złotym łańcuszku. Przedstawiał dwie gałęzie o misternie splecionych liściach, pomiędzy nimi błyszczały kryształowe drobinki niczym rozprysnięte krople rosy. Ozdoba nosiła ślady upływu czasu; gdzieś wytarte zdobienia, zagięte końce listków, puste oprawki po kryształach świadczyły, że miała za sobą długą, burzliwą historię.

– Jest starszy, niż na to wygląda – mówił wprost do jej ucha, zapinając z tyłu zamek łańcuszka. Poczowała tylko, jak chłodny metal wsunął się za dekolt. – Zrobiono go z kruszcu, który ma niezwykle właściwości, jest wewnętrznym okiem pozwalającym dostrzec prawdziwą naturę rzeczy. Dzięki niemu bezbłędnie rozpoznasz wampira i pozostaniesz odporna na jego urok. Staraj się go nie pokazywać i pilnuj, to bezcenny, wyjątkowy amulet. Wieki temu wykuł go pewien człowiek. Na szczęście dla nas wisiołek utknął w prywatnej kolekcji, traktowany jako bezwartościowy rupieć. Odkupiłem go po wielu staraniach, a teraz może okazać się przydatny. Wrócisz z nim do Lake Falls, odzujesz dom więdźmy, zabierzesz stamtąd jej książki i wtedy się zastanowimy, co dalej.

– Przecież miasteczko – zaprotestowała, bo bardzo nie chciała tam wracać – miało zostać zalane...

– Budowy nie dokończono – przerwał jej gwałtownie – pamiętasz, że w twoim śnie z okien domu Elizabeth widać było światła doliny. To jest wskazówka, dzięki której mamy cień szansy na odnalezienie tego miejsca. Nam obojgu potrzebny jest teraz dobry plan. Ułożymy go wyłącznie na podstawie informacji, z którymi uda ci się wrócić.

– Od początku uważałeś, że próba pokonania El'lara to samobójstwo – zaskoczyła ją ta nagła zmiana frontu. – Dlaczego zmieniłeś zdanie?

– W księgach jest opis wielu rytuałów, niektóre mogą okazać się użyteczne. Na przykład ten, dzięki któremu spacyfikowano gwardzistów w jaskini – uśmiechnął się lekko – w ten sposób wyciągnęlibyśmy mu wtyczkę z gniazdka na dłuższy czas. Stulecie bez El'lara brzmi bardzo obiecująco.

– Powiedz szczerze, dlaczego mi pomagasz? – Popatrzyła mu w oczy, ale niczego z nich nie wyczytała.

– Wydaje mi się, że sugerowałem pośpiech. Dlatego darujemy sobie trzymanie się za ręce na kanapie i rozdierające pożegnania. Znasz drogę do wyjścia.

I zniknął, jakby nigdy nie istniał.

Rozdział XXVII

KRONIKI WAMPIRÓW

Nie było sądu, nie było ważenia win, tylko Otchłań. Spojrzał w nią, a ona odpowiedziała mu tym samym, ciekawa, kogo tym razem sprowadziły wyroki bogów.

Umarłem – pomyślał zdziwiony. Wszystko się skończyło.

Pamiętał wściekłość, gdy żołdacy wlekli jego okaleczone ciało i przybijali do ściany, pamiętał twarze jaśniejące wewnętrznym blaskiem, które przyglądały mu się ze zdumieniem, swoje słowa, które wypłynęły z głębin umysłu, ale równie dobrze pamiętał też zapach mimozy, dotyk, smak rozpalający zmysły.

Szarpnął się, zadzwoniły żelazne łańcuchy na stałe łączące go z lodowatą ścianą. Zgrzytliwy dźwięk zwabił do wnętrza wysokiego mężczyznę w długiej szarej szacie, jego dłonie ginęły w szerokich rękawach, a opuszczony kaptur odsłaniał najdziwniejszą twarz, jaką Aedrin kiedykolwiek widział.

Idealne rysy sprawiały wrażenie niemal wyrzeźbionych w bladym marmurze dłonią genialnego artysty, łysa czaszka lśniła, przechodząc w wysokie czoło i ostry rysunek prostego nosa. Mocny zarys kości policzkowych stanowił tło dla wąskich ust, ale mimo niewątpliwego piękna i harmonii drapieżne rysy postaci wydawały się skażone, dotknięte jakimś piętnem. Poznał je później bardzo dobrze, nauczył się rozpoznawać i zrozumiał, czym naprawdę jest okrucieństwo.

– Ocknąłeś się w końcu – powiedział niskim melodyjnym głosem – Aedrinie, synu Malekha z rodu Ewallah. Miło cię będzie gościć... – uśmiechnął się – przez wieczność.

Na widok tego grymasu mężczyzna przykuty do skały się wzdrygnął.

– Kim jesteś? – wychrypiał, wyschnięte gardło odezwało się ostrym,

drażniącym bólem.

– Wybacz, nie dopełniłem obowiązków gospodarza – skłonił się z przesadną uniżonością – jestem Kaa'n i na życzenie – podniósł palec do góry i mrugnął znacząco – mam obowiązek dotrzymać ci towarzystwa.

– Naprawdę umarłem? – Musiał usłyszeć potwierdzenie, bo cała ta sytuacja nadal wydawała mu się niewiarygodna, jakby jego umysł znajdował się pod wpływem okadzających ziół.

– Nie tylko – Kaa'n oparł się o framugę drzwi, które pojawiły się znikąd. – Decyzją bogów zostałeś zepchnięty prosto w Otchłań i zostaniesz tu po kres istnienia. Twój zdecydowanie nieprzemyślany plan, żeby wyróżnić całe ich potomstwo, skazał cię na los znacznie gorszy niż jakiegokolwiek człowieka do tej pory.

– Jaką przewidzieli dla mnie karę? – Dziwne, w ogóle nie lękał się odpowiedzi.

Wściekłość, że nie zdołał dokończyć dzieła, skutecznie wyciszyła wszystkie inne emocje, ze strachem na czele.

– Mnie – odpowiedział mężczyzna – i wierz mi, nadejdzie moment, gdy zaczniesz głęboko żałować win, które splamiły twoją duszę.

Aedrin zrozumiał. Bogowie potraktowali go na specjalnych prawach, najwidoczniej jednym z nich był przywilej posiadania osobistego kata.

– Zacniemy od klasycznego zestawu – Kaa'n przedstawiał swoją ofertę Kaa'n niczym wytrawny handlarz – który będziemy powtarzać dotąd, aż zmądrzejesz. Wtedy postaramy się uatrakcyjnić nieco ten staroświecki rytuał.

– Ostatnie słowo wypowiedział z namaszczeniem, delektując się jego smakiem. – Na końcu czeka na ciebie nagroda: będziesz mógł dołączyć do elity, staniesz się jednym z nas, ale lojalnie uprzedzam, droga do awansu będzie długa i niezbyt przyjemna. Pozwolisz, że teraz cię opuszczę, bo nudzi mnie oglądanie w kółko tego samego spektaklu.

Zniknął, a wraz z nim drzwi i ściany.

Aedrin był przykuty za nadgarstki do drewnianego rusztowania, nogi wisały mu nad bezdenną przepaścią. Czuł rosnący ból rąk wrywanych ze stawów, łamiące się kości, obezwładniające pragnienie i nienawiść głębszą niż próżnia pod stopami. Gdy cierpienie stało się niemożliwe do zniesienia, na pomoc przyszedł mu umysł, litościwie pozwalając zemdleć.

Otworzył oczy podrażniony ohydny swądem przypalanej skóry, po to, żeby się przekonać, jak wąskie języki płomieni zaczynają lizać jego nogi. W

odpowiedzi każda, nawet najmniejsza cząstka ciała skurczyła się w spazmatycznym zrywie przed pełgającym ogniem, który stopniowo wspinał się do góry. Stał w płomieniach, obezwładniający ból kazał mu zamknąć oczy. Nie mógł się nawet modlić, bo zabrakło dla niego bogów.

Po chwili poczuł ulgę, rozchylił powieki i zobaczył makabrycznie oszpeconą postać. Demon uśmiechnął się krzywo i z całej siły wbił miecz w jego czaszkę, eksplozja oślepiającego światła poprzedziła nieludzki skowyt, który wydarł mu się z ust.

Ojciec patrzył na niego pustymi oczami zasłoniętymi szarym bielmem. Zakrzywione ostrze w kształcie półksiężyca powoli kreśliło kręgi po nagim torsie Aedrina. Krew ciekła wąskimi strużkami.

– Zawiodłeś mnie, synu. – Przy każdym powrocie miecz coraz głębiej przecinał skórę, ścięgnął mięśnie, aż doszedł do kości. – Odbieram ci to, co należy do mnie i mojego rodu.

Aedrin zaczął wrzeszczeć, wydawało mu się, że więcej cierpienia nie znieśnie, a to był dopiero początek.

Mijały stulecia, podczas których jego ciało było szarpane, miażdżone i okaleczane na tysiące sposobów znanych i nieznanymi ludzkości. Inwencja demonów była niewyczerpana, po każdym spotkaniu z nimi osuwał się w ciemność wypełnioną jedynie głuchym łomotem oszalałego serca. A pomiędzy kolejnymi torturami nie było wytchnienia, zmieniali się oprawcy i narzędzia, lecz ból pozostawał niezmienny.

– Jestem Aedrin – powtarzał na głos, żeby nie zapomnieć.

Mimo to w trwających mgnienie oka momentach spokoju za wszelką cenę próbował rozerwać krępujące go łańcuchy. Wierzył, że gdy mu się to w końcu uda, odejdzie wolny i znajdzie Kaa'na, żeby gołymi rękami wyrwać mu serce.

Pewnego razu, gdy oprawca żelaznymi kleszczami łamał mu stopy, pomyślał sobie, że więcej już nie znieśnie. Nie potrafi. Gdyby był żywy, modliłby się, błagał o śmierć, ale jego ciało spoczywało gdzieś w zapomnianym grobie, a agonia już się dokonała.

Z Otchłani nie było ucieczki. Ta myśl utkwiła w nim głęboko i nie dawała spokoju. Skoro nie żyje, jest kompletnie martwy, trup rozłożony na pył w swoim ostatnim łożu, zatem kim jest ten, komu dzień za dniem przygotowywano kolejną porcję tortur, czyje ciało rozrywano na kawałki?

Nagle wydało mu się dziwne, że śmierć wygląda właśnie w ten sposób –

człowiek w całości dostaje się do podziemia, aby odpokutować winy. Co zatem zostaje na ziemi?

Czyżby brak chwili odpoczynku pomiędzy momentami wypełnionymi karzą miał na celu pozbawienie go czasu? Jakby komuś zależało, żeby nie zaczął zastanawiać się nad tym, co się z nim naprawdę dzieje.

Gdy po raz kolejny zmieniła się sceneria i naprężone łańcuchy szarpnęły hakami zaczepionymi do jego torsu, zamknął oczy. Miał tylko jedno wspomnienie, które mogło skutecznie odpędzić nadchodzący ból. Tea – zapach jej skóry, spojrzenie spod przymkniętych powiek, miękkie usta składające milcząco przysięgę. Zapamiętał się całkowicie, odtwarzając najdrobniejsze szczegóły tamtego dnia, i nie poczuł nic.

Głośny, natarczywy dźwięk wbił się do jego mózgu. Otworzył oczy i zobaczył Kaa'na stojącego w otwartych drzwiach. Kat bił brawo.

– Należą ci się słowa uznania – powiedział. – Stosunkowo szybko zrozumiałeś, czym jest śmierć, uwolniłeś się od zależności z własnym ciałem. Wierz mi, wielu bezskutecznie próbuje to zrozumieć, od wieków zmuszając nas do wymyślania coraz brutalniejszych zabaw, a jest to na dłuższą metę po prostu nudne i mało twórcze. Dopiero teraz będziesz miał okazję poznać i w pełni docenić trud, jaki wkładamy w naszą pracę. Poznać dogłębnie jej arkany, bo gdy już wyrzekniesz się siebie, zapomnisz, kim byłeś, i zaczniesz pokornie błagać o pokutę oraz wybaczenie, nadejdzie dla ciebie czas zmiany strony. Zamiast ofiarą staniesz się mistrzem ceremonii.

– A jeśli odmówię?

Kaa'n roześmiał się szczerze.

– Tutaj nikt nie odmawia.

– A ty – Aedrin spojrzał na niego z ciekawością – jakie masz zbrodnie na koncie?

– Na szczęście nie pamiętam, tak samo jak tego, kim byłem. W Otchłani nie ma to żadnego znaczenia, panuje tu jedna królowa, wieczność, przed jej obliczem każdy, nawet bogowie, którzy cię skazali, są tylko prochem.

– To dlaczego w ich imieniu wymyślacie tortury, dręczycie dusze...

– Aedrinie, synu Malekha, powinieneś już pojąć, że piekło każdy nosi w sobie. Głęboko ukryte i pilnowane. Śmierć niczego nie zmienia. Nie daje ukojenia ani przebaczenia. Otchłań wciąż woła o więcej i więcej, karmi się poczuciem winy, urojonymi grzechami, dlatego tkwisz we własnym umyśle, który jest twoim prawdziwym wrogiem. Spójrz...

Napłynęły obrazy, jeden po drugim, i gdyby Aedrin mógł wybierać, błagałby teraz o powrót do fizycznego cierpienia, bo ból, który mu sprawiały, był znacznie gorszy od wszystkiego, czego doświadczył wcześniej.

Jego wierni gwardziści umierali, każdy przeklinał imię swojego dowódcy, nie tylko dlatego, że skazał ich na śmierć. Zrobił coś znacznie gorszego, odebrał im bogów, do których mogli się modlić w godzinie próby.

Zobaczył swojego brata dumnie zasiadającego na tronie Agharu, pod jego rządami ulice spływały krwią niewinnych. Zło i szaleństwo zaległo się w duszy Ha'gartha, uwięzieni biedacy powtarzali ze łzami w oczach:

– Aedrinie, dlaczego nas zostawiłeś?

Strażniczki świątyni Weji, blade kapłanki, bezradnie patrzyły na piętrzące się przed nimi skały, w ich oczach tliła się resztką nadziei.

– Aedrin nas ocali – powiedziała cicho jedna z nich. – Nie pozwoli, żeby spotkała nas taka śmierć.

Były ich tysiące, wydarte fragmenty życia układające się w pojedyncze sekwencje, dowody niegodziwości, egoizmu i podłości. Stary Ya'rean walczący resztkami sił z motłochem, ojciec na łożu śmierci i zapłakana matka. Niedotrzymane przysięgi, zlekceważone uczucia, opuszczeni przyjaciele. Wszyscy wskazywali na niego palcem, mówiąc:

– Twoja wina, Aedrinie, tyś do tego dopuścił.

Bezskutecznie próbował walczyć z napływającymi obrazami, błagał, przeklinał, przeproszał. Nic się nie zmieniało.

Tkwiał w ciasnej celi, w której umarł nawet czas. Poza nią istniała Otchłań, inna dla każdego, bo skazańcy doświadczają takiego piekła, na jakie zasłużyli. Nie ma jednego wspólnego uniwersum dla wszystkich, tylko niezliczona ilość samotnych komnat wypełnionych zaschniętymi wspomnieniami oraz niekrzepnącą krwią ofiar. To są miejsca kaźni, które zamieszkują ludzie, demony i ich przeszłość.

Piekło Aedriny było podobne do jego duszy. Mroczne. Czarne. Puste.

Ale istniało jeszcze coś, najświętsza z barier, nieprzekraczalna granica, i nawet Kaa'n nie odważył się jej naruszyć. W umyśle skazańca było miejsce, sanktuarium pachnące mimozą, zbudowane z bólu i poczucia winy tak głębokiego, że otwarcie jego bram mogło zburzyć mury więzienia. Na straży tego miejsca stały nienawiść i żądza krwi, a kluczem były słowa:

– Nie zawiodę cię. Nigdy.

Narduk nienawidził Otchłani chyba równie mocno, jak się jej obawiał, ale błagalnych próśb siostry nie mógł w nieskończoność ignorować, bo dowiódłby tym swojej słabości. A konkurenci czekali. Zawsze.

Musiał zejść, żeby się dowiedzieć, czy mistrz ceremonii sumiennie przestrzega poleceń o specjalnym traktowaniu mordercy. Pamięć o rzezi w wiosce nie osłabła, jej osmalone ruiny były bolesnym przypomnieniem zbrodni dokonanej przez jednego szalonego człowieka, który nawet nie był świadomy zła, które uczynił.

Zaraz za bramą spotkał zgiętego wpół tkacza Kaa'na i mimo że widok oślizgłego mistrza ceremonii od zawsze wywoływał w nim wstręt, tym razem Narduk się ucieszył. Nie będzie musiał szukać go w jakichś zapomnianych czeluściach.

– Cierpi? – zapytał bez niepotrzebnych wstępów.

– Staramy się – padły pokorne słowa, na które czekał bóg – jednak jest silniejszy, niż się spodziewaliśmy.

To nie była dobra wiadomość, nie taka, którą mógłby zanieść matkom pogrążonym w żałobie i ojcom skamieniałym z żalu. Najlepszy z jego katów, mistrz tkania obrazów z przędzy pamięci, przyznawał się wprost do porażki?

– Tkaczu – powiedział zimno – macie obedrzeć go ze wszystkiego, zabić w nim każdą cząstkę człowieczeństwa, rozerwać na strzępy uczucia, zniszczyć to, co było mu drogie. Wieczność ma spędzić jako puste naczynie z wypalonym wnętrzem, bez wspomnień i nadziei. Czy za dużo wymagam?

– W jego pamięci jest wiele nici. – Kaa'n się zawahał. Ostatnie, czego potrzebował, to była furia najwyższego, który opuści Otchłań w przekonaniu, że on źle wykonuje polecenia. – Wykorzystujemy wszystkie, oprócz jednej, najtrudniejszej. Jest nią kobieta o imieniu Tea.

– I co z nią? – Przedwieczny zaczynał się irytować.

– Niespełnione uczucie ... – Przerwał i ośmielił się spojrzeć w górę.

Twarz Narduka przysłonił cień.

– Wypal wszystko do gołej pustki, a jak tego dokonasz, zupełnie mnie nie interesuje. Chyba że chcesz zająć jego miejsce...

Bóg uśmiechnął się chytrze, ten argument zawsze na nich działał. Demony najbardziej obawiały się własnej przeszłości.

Kaa'n zrozumiał, że audycja była skończona, wycofał się nadal zgięty

w kornym ukłonie, ale gdy przedwieczny zniknął mu z oczu, podniósł twarz wykrzywioną nienawiścią. Niech cię... – pomyślał ze złością, szybko mu jednak przeszło, bo był pewien, że prędzej czy później los sprowadzi na jego teren także Narduka, ale tym razem bez boskiego nimbu i potęgi. Tak zawsze było. Tak zawsze będzie.

A Otchłań miała jedną zaletę, żadne echo nie docierało stąd na powierzchnię, rzucając w gniewie straszliwe bluźnierstwa odbijały się od jej kamiennych ścian i wracały do wewnątrz, strzeżone przez umarłych – najlepszych strażników tajemnic.

Łatwo było wydawać polecenia, gorzej, gdy ich wykonanie niosło ze sobą zarzewie... trudno mu było nawet w myślach wypowiedzieć słowo... buntu.

Aedrin miał duszę herosa, gdyby miłość do Tei została dopełniona, tkacz mógłby bez obaw upleść z niej odpowiedni, obraz rozdzierający duszę. Tu jednak pojawiał się nieobliczalny element. Na ile zdążył się zorientować, z całą delikatnością sondując zakazane terytorium, Tea była przyczyną i motorem jego działań. W tym przypadku próba utkania wiarygodnej historii mogła się skończyć albo rzuceniem jego duszy na kolana, albo...

Uśmiechnął się, wiedział już, co powinien zrobić.

Rozdział XXVIII

Spakowała się błyskawicznie, znowu bez żalu zostawiając za sobą przynajmniej połowę rzeczy. Zgodnie z zapowiedzią bez pożegnania opuściła dom Gabora. Przy krawężniku czekał już znajomy bentley, kierowca w uniformie dopasowanym kolorystycznie do samochodu odebrał od niej torbę i włożył do bagażnika. Wsiadła, ale zanim w ogóle zdążyła otworzyć usta, auto ruszyło z piskiem opon. Na lotnisko dotarli błyskawicznie, milczący szofer zabrał jej bagaż i poprowadził do bocznego wejścia. Za przyciemnianymi szybami nie było publicznej poczekalni typowej dla lotnisk całego świata, ale elegancki korytarz z białymi fotelami ustawionymi na puszystym dywanie.

Przepisowo radosna stewardessa przyjęła od niej dokumenty, odebrała torbę i poprowadziła do kontroli. Vic przez ogromne okno zobaczyła na pasie smukłą sylwetkę gulfstreama, który był gotowy do startu.

Kierowca odprowadził ją pod samo wejście na pas.

– Proszę wziąć ten telefon – powiedział, wręczając jej nowe czarne cacko z dziwnym ekranem. Otworzyła usta, żeby zaprotestować, jednak mężczyzna już zniknął w hali odlotów.

No pięknie – pomyślała zdenerwowana – w całym tym zamieszaniu i pośpiechu oczywiście zapomniałam dać Gaborowi swój numer.

Przynajmniej on jeden zachował trzeźwy umysł, wykazał się rozsądkiem oraz zdolnością przewidywania. Na szczęście.

Weszła na pokład, dwóch stewardów przywitało ją niczym królową, a miły niski głos z niewielkiego głośnika powiedział:

– Nazywam się Matheus Vogel i mam zaszczyt być dzisiaj pani kapitanem. Nad Atlantykiem zapowiadana jest piękna pogoda, dostaliśmy przed chwilą wszystkie koordynaty oraz pozwolenie na start. Czy pani plany uległy zmianie?

Na litość boską, jakie ja mam plany?! – pomyślała spanikowana i odpowiedziała:

– A dokąd lecimy?

– Lotniskiem docelowym jest Boston – odpowiedział grzecznie i bez zdziwienia – ale zgodnie z poleceniem pana Van der Britta jesteśmy do pani dyspozycji.

Kim jest Van der Britt – na szczęście ugryzła się w język, zanim zadała pytanie.

– Możemy startować. – Całkiem przyjemnie wydawało się takie polecenia, szkoda, że wcześniej nie wpadła na pomysł wynajęcia samolotu.

Dopiero kiedy usiadła w przepastnym fotelu i zapięła pas, dotarło do niej, jak konkursową idiotką się okazała. Taki atak bezmyślności można byłoby rzucić na karb stresu, ale tym razem nie zamierzała się usprawiedliwiać.

– Naucz się słuchać – zasugerował kilka dni temu Gabor vel Van der Britt i powinna była potraktować poważnie jego radę, żeby następnym razem oszczędzić sobie wstydu.

Sam się przecież przyznał, że jest obywatelem świata, więc siłą rzeczy nie mógł używać wciąż jednego nazwiska, które pewnie zmieniał, podobnie jak imiona, w zależności od pogody oraz humoru.

Poza tym gwarancją udanej ucieczki zawsze była dyskrecja, więc w jej przypadku wynajęcie prywatnego odrzutowca nie wchodziło w grę, bo zostawiłaby za sobą ślad równy smudze kondensacyjnej. Z kolei zakup byłby wyłącznie luksusowym kaprysem, który uszczupliłby środki przeznaczone dla Kat, a tego Vic nie zrobiłaby za żadne skarby.

Samolot zaczął kołować, teraz miała czas, żeby się dokładnie przyjrzeć jego wnętrzu. Niewątpliwie było na co popatrzeć. Mahoniowa okleina harmonijnie współgrała z bielą skórzanych foteli i rozłożystej kanapy. Rzeźbiony stół z tego samego drewna ozdabiała kryształowa patera z owocami. Na ścianie pomiędzy salonem a pomieszczeniami obsługi królował wielki ekran. Gdy tylko pozwolono jej wstać, z czystej ciekawości poszła obejrzyć resztę pokładu.

Za drzwiami znalazła przestronną sypialnię z ogromnym łóżkiem i wbudowaną szafą. Jedno jej skrzydło prowadziło do niewielkiej, ale gustownie urządzonej łazienki.

Właśnie myślała o Gaborze i jego zaraźliwym zamiłowaniu do luksusu, kiedy stewardzi podali lunch.

Czy to, że mi się podoba takie życie, jest jeszcze naturalnym pragnieniem wygody – pomyślała na widok duszonego łososia w świeżym szpinaku i smażonych szparagów – czy już hedonizmem?

Apetyczne potrawy przypomniały jej pierwsze spotkanie z ekstrawaganckim wampirem. Wszystko – od jej wizyty w kawiarni – wyglądało na starannie przemyślane i zaaranżowane. Wniosek był prosty – Gabor obserwował ją od pierwszej chwili, gdy zameldowała się w hotelu, pewnie na wyraźne polecenie El’lara, co zresztą parokrotnie sugerował. Czy zatem dobrze robiła, ufając mu?

Spóźniona refleksja, kochanie – głos rozsądku próbował się brutalnie rozprawić z jej złudzeniami – właśnie lecisz samolotem Gabora do Lake Falls, jedyne miejsce na ziemi, do którego nigdy nie powinnaś wracać. Chcesz tam zaskoczyć niedźwiedzia w jego jaskini. Niewykluczone, że zamiast cię związać i osobiście dostarczyć na miejsce, wytworny wampir wybrał po prostu elegantszy sposób, oszczędzając sobie przy tym sporo kłopotu.

Ale tym razem nie uwierzyła własnemu rozsądkowi, bo do polemiki włączyła się intuicja, której od niedawna znów zaczęła ufać. Autorytarnie stwierdziła, że jego intencje nie były fałszywe, za bardzo zależało mu na luksusie i obecnym standardzie, żeby bez wahania poświęcić je dla zemsty, która tak naprawdę niewiele go obchodziła. Otoczony dziewczętami pokroju Tatiany nie mógł pragnąć zagłady ludzkości, bo w zamian nie dostałby nic interesującego oprócz nudy wiecznej egzystencji u boku przedstawicieli własnego gatunku, bez uroczych restauracji, dzieł sztuki, wygody, do której tak łatwo przywyknąć.

Rozumiała go doskonale, trudno jest się rozstać z przyjemnościami, zamienić wyszukaną egzystencję na barbarzyńską walkę, wrócić do czasów, gdy rządziły kły i pazury. Tego fanatycy spod znaku Azdarotha nie byli w stanie zrozumieć, dlatego miał wśród nich wielu wrogów. Poza tym, gdyby grał znaczonymi kartami, nie podarowałby jej amuletu, nie starał się chronić, zatrzymałby dla siebie tajemnicę znaku demona. Oczywiście nie mogła na nim bezwarunkowo polegać, w końcu był drapieżnikiem polującym na przedstawicieli jej gatunku...

Przedstawicielki – poprawiła się w myślach – i tylko te wybrane. Gabor miał wiele słabostek, El’lar – żadnej. Jeden ulegał pokusom, drugi niezłomnie wierzył w ideały. Snob i esteta nie mógł sprzymierzyć się z surowym żołnierzem, spartaninem, taki alians byłby czymś nienaturalnym – przekonywała intuicja. Chciała jej uwierzyć, dlatego odrzuciła ostatnie wątpliwości i w stanie błogiego rozleniwienia po sutym obiedzie poszła

odpocząć do sypialni. W ubraniu – tylko na chwilę – położyła się na łóżku, które okazało się nadzwyczaj komfortowe. Poprawiła poduszki, okryła się delikatnym, przyjemnym w dotyku pledem i odpłynęła do krainy marzeń sennych. Ale zanim na dobre się w niej rozgościła, zadzwonił telefon. W pierwszym odruchu chciała odebrać komórkę, gdy uświadomiła sobie, że sygnał wydobywa się z białego aparatu na szafce.

Ponieważ była pewna, że po drugiej stronie usłyszy głos Gabora, pozwoliła sobie na dwuznaczny żart, który tylko on mógł właściwie odczytać.

– Witam – powiedziała z uśmiechem, bo praski wampir właśnie tak na nią działał – tęsknota nie daje ci spać?

Po drugiej stronie odpowiedziała cisza, która nieco ostudziła jej chęć do żartów.

– Halo? – zapytała skonsternowana. – Z kim rozmawiam?

– Radziłbym – doskonale jej znany niski głos nie należał do Gabora – wykreślić z listy przyjaciół naszego wspólnego znajomego. A tak swoją drogą, czy ty masz jakąś obsesję na punkcie wampirów? Ledwie spuściłem cię z oka, natychmiast znalazłaś sobie następnego. Rozumiem, romantyczna Praga, nastrojowe kolacje we dwoje, ale zamieszkanie u niego było już chyba lekką przesadą.

Usiadła na łóżku, kolana wypełnione kłębami miękkiej waty nie były w stanie jej utrzymać. Oto przez białą słuchawkę odezwała się przeszłość, związana z innym miejscem i czasem, niosąc ze sobą wspomnienia, przed którymi uciekała od roku. Nie mogła od razu odpowiedzieć. Ścisnęła telefon pobielającymi palcami i starała się za wszelką cenę kontrolować oddech.

– Co mu zrobiłaś? – wychrypięła w końcu.

– Powiedzmy, że tym razem mu się upiekło.

Oczywiście kłamał.

Musieli się widzieć, bo w innym przypadku El'lar nie znałby miejsca jej pobytu ani nie zdobyłby tego numeru telefonu. Scenariusz ich spotkania był aż za bardzo przewidywalny. Praski wampir zdradził go podwójnie – wypuszczając więźnia, na którym mu zależało, i knując za jego plecami. Kara za to mogła być tylko jedna...

– Po co dzwonisz? – Jeśli spodziewał się histerycznych wyrzutów i łzawego błagania, to źle trafił. Nieświadomie przygryzła wargę, z całych sił próbując zachować stoicki spokój.

– Stęskniłem się za twoim ciętym językiem i poczuciem humoru. Zresztą nie tylko za tym...

– Jesteś jeszcze w Pradze? – zapytała, ignorując oczywistą zaczepkę.

– Tak, ale nie zamierzam spędzać tu wakacji, rozumiesz, trochę mi się spieszy.

– Wracasz do kraju? – Coraz lepiej udawała obojętną, choć rozumiała, jakie będą konsekwencje pojmania Gabora, który postraszony torturami pewnie wyznał ich sekret – cel podróży do Lake Falls i pomysł wykorzystania ksiąg wiedzy.

– Łączą nas wspólne plany, mamy podobne zamiary i wiele do nadrobienia przy najbliższym spotkaniu...

Wyobraźnia natychmiast przywołała obraz jego uśmiechu z wykrzywionym szyderczo kącikiem ust. I nagle – bez powodu – poczuła ból w okolicy serca.

– Lake Falls? – zapytała zimno. Wiedziała, dokąd zmierza, więc nie było sensu udawać.

A zatem znał prawdę, czyli, ogólnie mówiąc, miała przechłapanie.

– Zgadłaś, mam tylko nadzieję, że znajdziemy czas, by usiąść nad brzegiem jeziora, bez żalu powspominać przeszłość oraz twoją uczciwość i odwagę przy wypełnianiu zobowiązań. Także niezłomne zasady, które nigdy nie pozwoliłyby ci się posunąć do zdrady.

– Ty śmiesz mówić mi o uczciwości?! – Znów wyprowadził ją z równowagi. – A może porozmawiamy o poświęceniu czterech wampirów, o tym, jak pozwoliłeś im spłonąć w jaskini, żeby uratować swoich gwardzistów. O tak, okazałeś wtedy wiele odwagi. I honoru.

Wiedziała, że trafiła w czuły punkt, bo zupełnie już innym tonem powiedział:

– Niektórym powinno się wyrywać języki zaraz po urodzeniu. – Oczywiście miał na myśli Gabora.

– Jeszcze tego nie zrobiłeś? – uśmiechnęła się do siebie. – Czyżby w końcu udało ci się zapanować nad sadystycznymi skłonnościami?

– Boże, jak ja za tym tęskniłem – westchnął ostentacyjnie. – Na szczęście ani pocziwemu Jonathanowi, ani znacznie mniej pocziwemu Gaborowi nie udało się utemperować twojego charakteru, zostawili mi wisienkę na torcie i w odpowiednim czasie im za to grzecznie podziękuję.

– Pospiesz się – odparła zimno – póki jeszcze żyją, bo prawie każdemu,

z kim się spotkałeś, już zdążyłeś szczerze odpłacić.

– Przesadzasz – zachnął się oburzony – nawet nie zacząłem wystawiać rachunków.

– A Michael, Gabor, Peter przypadkiem znaleźli się na twojej czarnej liście? – Jego hipokryzja była chyba nawet większa niż ego. – Wiedz, że jesteś moim śmiertelnym wrogiem...

– Wrogiem i owszem, ale z tym śmiertelnym posunęłaś się odrobinę za daleko – przerwał jej gwałtownie. – A poza tym o czym ty konkretnie mówisz? Michaelowi nic nie jest, spotkaliśmy się w złym czasie i miejscu, a ja zamiast wyrwać mu serce, ofiarowałem życie wieczne. I to nazywasz zemstą? Stawiasz na tej samej szali co pozbycie się plugawego żigolaka? Gabor żyje i z tego, co wiem, ma się całkiem nieźle.

– Ten numer dał ci z dobroci serca? – syknęła, bo miała dosyć jego krętactw.

– Niekoniecznie, Inarez nigdy nie słyszał ze szczodrości – po raz pierwszy usłyszała prawdziwe imię praskiego wampira – i jak sądzę, nie uwierzysz, jeśli ci powiem, że znalazłem go na stoliku?

– Dlaczego nie, głupia Victoria przecież przyjmuje wszystko za dobrą monetę. – Jego pewność siebie była nieuleczalna. – O, przepraszam, coś się jednak zmieniło. Wyciągnęłam wnioski z twojej bezcennej lekcji, przynajmniej wyleczyłam się z naiwności.

– Przykro mi z tego powodu – powiedział zaskakująco poważnie – ale postaraj się odróżniać przemilczanie albo ukrywanie pewnych faktów od kłamstwa.

Zirytowało ją przede wszystkim to, że nadal uważa ją za kompletną idiotkę.

– Razem z numerem telefonu zostawił kartkę z informacją, że wybieram się do Lake Falls? Pewnie dołączył do tego dane z kart kredytowych? – Argument był nie do podważenia, ale jemu jak zwykle się udało.

– Zostało w tobie wiele z dawnej Victorii. – Roześmiał się w taki sposób, że miała ochotę rzucić słuchawką. – W gruncie rzeczy zawsze lekceważyłaś ludzi, rzadko zwracałaś na nich uwagę i nigdy nie zastanawiałaś nad motywami, które popychają ich do działania. Dlatego tak łatwo dajesz się oszukać pozorom.

– Za to z twojej strony zawsze mogli liczyć na wsparcie i zainteresowanie, więc bilans wychodzi na zero. – Nie mogła pojąć skali jego zakłamania.

– Szczerze? W przeciwieństwie do ciebie nigdy nie deklarowałem wobec nich szlachetnych intencji, bo niewiele mnie obchodzą, choć przyznaję, bywają użyteczni – zawiesił znacząco głos – a ich motywacje są proste i przewidywalne. Władza, pieniądze, nieśmiertelność, w różnej kolejności.

– Sugerujesz może – rozmowa zaczęła ją powoli intrygować – że wasz gatunek jest wolny od tych przywar, nie szukacie zemsty, nie pragniecie władzy nad światem, a dobra materialne nie mają dla was znaczenia?

– Mają, ale nie sprzedajemy siebie nawzajem za garść błyskotek. – Zamilkł znacząco.

Pewna zupełnie abstrakcyjna myśl przyszła jej do głowy i zanim Vic zdążyła się zastanowić, palnęła:

– Tatiana?

– Piękna kobieta, nie uważasz? – W życiu by się nie przyznała, że jego słowa poruszyły jakąś czułą strunę.

– Atrakcyjna, młoda, zdesperowana, łatwo ją było wykorzystać – odparła zupełnie normalnym głosem, ale pewnie sporo ją to kosztowało.

– Wykorzystać! Ją?! – Zaśmiał się sztucznie. – Chyba żartujesz, bez wahania sprzedała Gabora i ciebie, mówiła dużo oraz na temat. Dokładnie tak jak lubię.

– Ograniczyłeś się do wyrywania jej paznokci czy poszedłeś o krok dalej?
– Ciarki ją przeszły na myśl, co zrobił El'lar Tatianie. – W końcu mordercą trzeba się urodzić.

Kolejna niewinna ofiara – pomyślała – której krew mam na rękach – i poczuła się z tym podle.

– Nie jestem potworem – zaprotestował gwałtownie – niszczenie arcydzieł chirurgii plastycznej uważam za barbarzyństwo. Wyobraź sobie, że z własnej nieprzymuszonej woli dokonała właściwego wyboru, co się ludziom czasem zdarza.

– Co jej dałeś w zamian? – Straszna prawda docierała do niej powoli. – Cena zapewne była odpowiednio wysoka?

Pomyliła się, uważając, że uczucie Tatiany do Gabora i zaangażowanie w związek skazany z góry na niepowodzenie świadczyły o romantycznej naiwności. Najwyraźniej zdradziecka piękność starannie ukrywała nie tylko swoją przeszłość...

– Wyobraź sobie, że wystarczyła jedna ampułka z obietnicą nieśmiertelności. – Vic zacisnęła zęby, wiedziała, od kogo pochodził ów

skarbu. – Poparta zapewnieniem, że po zniknięciu kochanka wszystko przejmie na własność. Sama widzisz, znowu wygrały pospolite motywy, którymi tak głęboko gardzisz.

– Zrobiłeś z niej wampira? – To było śliskie. Obrzydliwe.

Tatiana za zdradę zyskała nieśmiertelność. Zastanawiające, że właśnie ludziom jej pokroju – pozbawionym wszelkich zasad i gotowym na każdą podłość, aby osiągnąć swój cel – tak bardzo zależało na życiu wiecznym.

Znacząca była cisza, która zapadła po drugiej stronie. A tym razem paradoksalnie chętnie wysłuchałaby opowieści o tym, jak El'lar rozerwał dziewczynę na strzępy, niwecząc marzenia o nieśmiertelności, bo byłoby to sprawiedliwe, ale ponieważ na tym świecie sprawiedliwość była i jest towarem deficytowym, musiała się pogodzić z faktem, że szeregi wampirów zasilają sprzedajna dziwka bez sumienia. W ten elegancki sposób Tatiana odpłaciła Gaborowi za wyciągnięcie jej z rynsztoka.

– Nie wydajesz się zachwycona – skomentował jej milczenie – a przez chwilę myślałem nawet, że się o nią martwisz. Lub jesteś zazdrosna...

– Masz rację, tylko ci się wydawało – odpowiedziała szybko – oboje trzymajcie się ode mnie z daleka. I od całej reszty ludzi też – dodała niepotrzebnie.

– Widzisz – roześmiał się wesoło – jest to z kilku powodów niemożliwe. Świat bez wampirów byłby niewyobrażalnie nudny i pospolity, co gorsza, musielibyście przyznać, że sami dla siebie jesteście najgorszymi wrogami. A wtedy, wybaczyć, moja droga, takich nieprzyjaciół nie da się po prostu przebić kołkiem i czekać, aż rozsypią się w pył.

– Jasne. – Jedną z najgorszych cech El'lara było wykorzystywanie demagogii w czystej postaci, potrafił przekonać każdego do swoich racji. –

Bo krwawa zemsta ze strony fanatyków Azdarotha za domniemane krzywdy na pewno nie okaże się ani nudna, ani pospolita.

– Czy ty, kobieto, słyszysz czasem, co mówisz? – Znowu przyjął swoją protekcyjną manierę. – Wiesz doskonale, że winni po obu stronach już zapłacili, a odwet więdźmy był stokroć gorszy niż każdy rodzaj śmierci, który mogą sobie wyobrazić. Dałem ci choć raz powód, abyś o mnie myślała jak o potworze dyszącym żądzą zemsty? Chyba że łatwiej ci zaakceptować we mnie wroga niż...

– Po co w ogóle zadzwoniłeś? – Nie chciała, żeby dokończył, więc przerwała mu w pół słowa.

– Przecież mówiłem – nic nie mogło go zmusić do pozbycia się irytującej skłonności do drwin – stęskniłem się za tobą i Kat.

A więc to był prawdziwy powód rozmowy. Poczwała, jak łyzy wściekłości same cisną się jej do oczu.

– Zapomnij o niej – syknęła. – Nigdy nie dowiesz się, gdzie jest.

– Czyli nie przekażesz jej moich pozdrowień? Szkoda, ale pamiętaj, ja mogę czekać w nieskończoność. Pewnego dnia zrozumiesz błędy, które popełniłaś, i poprosisz o wybaczenie...

Tego było już za wiele, rozłączyła się i ciężko dysząc z furii, rzuciła telefon na łóżko.

Przeszła do salonu, bo prawdopodobnie zaraz zaczęłaby krzyczeć z bezsilnej złości.

Uprzejmy do bólu steward podał jej kawę niemal w tej samej chwili, gdy przez ściśnięte jeszcze gardło wyartykułowała zamówienie. Trzęsącymi się dłońmi objęła filiżankę i wpatrzona w brązową toń próbowała się uspokoić oraz uporządkować galopadę myśli.

Ten telefon zachwiały jej wiarą w cel podróży, bo skoro Gabor zniknął, odzyskanie ksiąg wiedzy nie miało większego sensu. Co gorsza, właśnie rozpoczął się morderczy wyścig z czasem, którego stawką było...

Skoro El'lar spieszył się do Lake Falls, widocznie także zależało mu na księgach, mogła mu je sprzątnąć sprzed nosa, bo miała sporą przewagę. Warto było się zabawić.

Wykorzystując do cna uprzejmość obsługi, poprosiła o telefon i zadzwoniła do Jonathana. W skrócie i bez wnikania w szczegóły opowiedziała mu przebieg poprzedniej rozmowy. Najważniejsze, że uwierzył, jak ważny stawał się teraz pośpiech, i bez wahania przyjął zmianę poprzednich planów. Głos, zgodnie z oczekiwaniami, także się zgodził z jej nowym ekscentrycznym pomysłem i obiecał dopilnować wszystkich szczegółów. Teraz pozostawało jej jedynie przypomnieć sobie każdy najmniejszy detal z prawie zapomnianego snu. Zamknęła oczy i wróciła w myślach do domu Elizabeth.

Kim naprawdę była ta kobieta i co się z nią stało po uwięzieniu wampirów? – oto były kluczowe pytania, na które natychmiast musiała znaleźć odpowiedź, ale detale snu umknęły jej z pamięci, czas starannie zatarł wszystkie tropy, pozostawiając po sobie tylko niewyraźne wspomnienia. Jednak był ktoś, kto pamiętał...

El'lar doskonale znał Lake Falls, był naocznym uczestnikiem tamtych wydarzeń, więc o wiele łatwiej mu przyjdzie znaleźć dawny dom więdźmy. Łatwo mogła stracić przewagę, na szczęście w portfelu miała jeszcze jedną wizytówkę.

Rachel Carter nie wydawała się zaskoczona jej nagłym telefonem.

– Mam prośbę – zaczęła Vic ostrożnie – szukam Elizabeth, niestety nie znam nazwiska.

– Masz na myśli Elizabeth Brown, żonę... – odparła matka Jonathana.

– Nie, jeśli sięgniesz pamięcią głębiej, mieszkała jeszcze jedna, bezpośrednio powiązana z wydarzeniami sprzed pięćdziesięciu lat. – Symptomatyczne było, jak bardzo mieszkańcy Lake Falls unikali słowa wampir.

– To na pewno chodzi ci o Lizzy Brown – powiedziała z przekonaniem. – Niektórzy ludzie uważali ją za więdźmę, ale taka z niej była czarownica, jak ze mnie poetka.

Vic w życiu by nie pomyślała, że szczupła miła staruszka o pięknych siwych włosach zaczesanych w niemodny kok była ową potężną więdźmą, która miała odwagę przeciwstawić się czterem Obcym. Przecież Lizzy – bo tak wszyscy ją nazywali – do emerytury była pielęgniarką, dlatego zresztą jej samobójstwo po śmierci męża było tak profesjonalnie zaplanowane i wykonane.

– Nie mylisz się?

– Moja droga, z całym szacunkiem, mieszkałam w Lake Falls od urodzenia, niewiele działa się tam rzeczy, o których nie miałabym pojęcia – zachichotała – i chyba nie w pełni rozumiesz cele oraz zasady funkcjonowania kółka czytelniczego, prawda?

To była jednocześnie dobra i zła wiadomość. Vic dowiedziała się, jakie były dalsze losy więdźmy, poznała jej nazwisko, problemem pozostawał fakt, że państwo Brown mieszkali obok ratusza, w samym centrum miasteczka. A według informatorów Gabora podobno tamten rejon został już zalany.

– Jaka ona naprawdę była? – Vic nie zdołała oprzeć się ciekawości. – Bardzo mnie fascynuje.

– Cóż – czuło się, że Rachel nie bardzo chce rozmawiać na ten temat – mówiono o niej różnie, ale jedno ci powiem szczerze, nigdy nie odmawiała pomocy, czy chodziło o anginę u dziecka, czy znacznie poważniejsze sprawy, każdy mógł się do niej zwrócić i nikt, bez względu na to, co go z nią łączyło,

nie odchodził z pustymi rękami. Oto cała prawda o Lizzy Brown i mam nadzieję, że świat ją taką zapamiętał. Reszta to plotki i niepotrzebna ludzka gadanina.

– A pamiętasz może, gdzie mieszkała, zanim przeniosła się do centrum?

– Oczywiście, co prawda jestem już stara, ale sklerozy Stwórcy mi na szczęście do tej pory oszczędził. Musisz dostać się do parkingu zakochanych – zachichotała – wiesz, swego czasu nazywaliśmy go wzgórzem ciężarnych, bo prawie każde dziecko, które przyszło na świat w Lake Falls, tam zostało poczęte. Niedaleko leży posiadłość Spencerów. To bodajże drugi dom w kolejności od szczytu. Za nim jest ścieżka, już wtedy trudno tam było dojechać, później drogę zarosły chwasty i krzaki, trzeba wiedzieć dokładnie, gdzie należy szukać.

– Jonathan zna to miejsce?

– Jak własną kieszeń, chociaż dzieciaki rzadko się tam zapuszczały, bo krążąca opowieść o nawiedzanej chacie skutecznie je odstraszała. Być może dlatego też nikt z miejscowych nie kupił tego domu, który szybko zamienił się w ruderę.

– Dziękuję ci, byłaś bardzo pomocna. – Już chciała odłożyć słuchawkę, gdy padło ciche pytanie.

– Czy to prawda?

Przez chwilę poczuła się zbита z tropu, bo nie wiedziała, czego dotyczy, ale szybko zrozumiała, w końcu także była matką. Takiej wiadomości nie dało się przekazać łagodnie.

– Niestety – powiedziała równie cicho, jakby mówienie o takich rzeczach wymagało specjalnego wytrawionego z brzmienia głosu. – Rozumiem, co czujesz, ale nie mam dobrych wiadomości. Widziałam Michaela, przyszedł do mnie wieczorem i pewnie gdybym nie spojrzała przez wizjer, już byśmy nie rozmawiały. Został...

– Zakazony – przerwała jej Rachel gwałtownie. – Kiedy Jonathan mi o tym powiedział, nie mogłam uwierzyć. Chyba... – zawahała się – nie zrozum mnie źle, ale wolałabym, żeby umarł.

– Być może – odpowiedziała ostrożnie – jest nadzieja na odwrócenie procesu...

– Nie oszukujmy się – głos po drugiej stronie zabrzmiał staro, co było tak niepodobne do tej zwawej, pełnej życia kobiety, że Vic zrobiło się podwójnie przykro. – Powiedziałam już Jonathanowi, ale ciebie także chciałam o to

poprosić. Jeśli stanie na waszej drodze, nie wahajcie się uczynić tego, co konieczne. Znam swoich synów i wiem, że żaden nie życzyłby sobie takiego losu. Michael był dobrym chłopcem, zło, które przejęło nad nim kontrolę, prędzej czy później zmieni go w kogoś, kim na pewno nie chciałby zostać. Kocham go nad życie i dlatego mam prawo dla jego dobra poprosić, żebyście pomogli mu odnaleźć drogę do Boga i wybawili od grzechów, które bezpowrotnie splamią jego duszę. Jesteś w stanie mi to obiecać?

– Tak, chociaż uważam, że najpierw należy sprawdzić wszystkie opcje i możliwości...

– A jak sądzisz, czym zajmowałam się przez ostatnie tygodnie? – Rachel nie była zirytowana, raczej pogodzona z ponurą rzeczywistością i przerażająco spokojna. – Szukałam źródeł, pytałam, sprawdzałam każdą możliwość. Najwyraźniej Pan postanowił poddać ostatniej próbie starą kobietę, przy okazji łamiąc jej serce. Ale widocznie tak musi być.

Vic pożegnała się z nią ciepło. Żal jej było rodziny Jonathana, wyborów i decyzji, przed którymi staną w przyszłości, doskonale rozumiała także motywację Rachel. Mądra, doświadczona przez życie kobieta wolała zobaczyć swojego syna martwego, niż patrzeć, jak staje się częścią świata koszmarów, niepohamowanej żądzy krwi, która zmusza do zabijania, popycha ku krainie potępionych, a wszystko to przez eony niekończącego się cierpienia, gdzie nawet śmierć rzadko się zapuszcza. Do świata, który Tatiana wybrała na własne życzenie.

Wylądowali w zaplanowanym czasie, odprawa VIP-ów była zaskakująco krótka i wygodna. Nie opuściła terenu lotniska, bo na specjalnym pasie czekał zamówiony helikopter, w ten sposób chciała skrócić podróż do minimum. Nie czuła się zmęczona, lot komfortowym samolotem pozwolił zregenerować siły, a wizja nadchodzących wydarzeń oraz gorączka rywalizacji podbiły poziom adrenaliny.

Wyścig właśnie się zaczynał.

Teraz musiała podjąć najważniejszą decyzję. Do Lake Falls dotrze tuż przed zachodem słońca. Jeśli zdąży znaleźć dom więdźmy, zanim nastanie ciemność – wygra. Z drugiej strony ostrożność nakazywała przeczekać noc, by rozpocząć poszukiwania o świcie, ale wtedy El'lar mógłby dotrzeć już na miejsce, a zdobycie przez niego bezcennych ksiąg oznaczałoby porażkę na wszystkich frontach. I koniec nadziei na spotkanie z Kat.

Ostatni argument przeważył szalę. Po odebraniu dokumentów ruszyła

w dalszą drogę ścigana przesuwanymi się wskazówkami zegara. Nie zdążyła zapytać Gabora, czy rzeczywiście wampiry potrafią latać, ale fakt, że posiadał prywatny samolot, dawał jednoznaczną odpowiedź.

Sprawdziła dokładnie tabelę przylotów.

El'lar dzwonił do niej z Pragi zaledwie kilka godzin wcześniej, więc albo był w drodze przez ocean, albo dopiero wylatywał. Dawało jej to przewagę wynoszącą około pięciu godzin, co z jednej strony napawało optymizmem, z drugiej...

Może się okazać niewystarczające – pomyślała – jeśli Jonathan nie trafi od razu na ślad tajemniczego miejsca ze swojego dzieciństwa.

Według starannie dopracowanego planu Carter zbliżał się właśnie do Lake Falls.

Tym razem lot okazał się znacznie mniej wygodny, hałas w kabinie doprowadzał ją z wolna do szału, podobnie jak nieustanny dygot maszyny, chociaż być może było to subiektywne wrażenie wywołane niecierpliwością i chęcią znalezienia się jak najszybciej na miejscu. Dlatego się ucieszyła, dostrzegając przez okno znajomą okolicę. Bez sentymentów pożegnała załogę i z daleka zauważyła samotną sylwetkę sportowego samochodu. Jonathan już czekał.

Rozdział XXIX

KRONIKI WAMPIRÓW

Kaa'n długo medytował, w końcu czas w Otchłani był pojęciem względnym. Dogasały już obrazy, które wcześniej stworzył, i nadchodził moment, gdy powinien sięgnąć do umysłu Aedriny, wyjąć nowe nici, a tym samym podjąć ostateczną decyzję. Wiedział, że jej konsekwencji nie zdoła wytłumaczyć własną nieudolnością ani brakiem doświadczenia. Chociaż z drugiej strony zmiany, jakiegokolwiek by były, zawsze popychają los do przodu. A nadeszła najwyższa pora, żeby ktoś rzucił pierwszy kamień pod przyszłą lawinę.

Bez wątpliwości lub dalszych wahań sięgnął po wspomnienia mężczyzny, rozpiął je na palcach. I zaczął tkać.

Ostatni z obrazów, zamiast żalem i bólem, napełnił serce Aedriny nienawiścią czystą jak bezchmurne niebo.

Tea czekała na niego. Pierwszego dnia wyglądała niecierpliwie przez okno, drugi spędziła pomiędzy pokojem syna a drogą, którą powinien wrócić dzielny mężczyzna z obiecany ratunkiem. Trzeci zastał ją na kolanach, gdy bezskutecznie błagała Ha'gartha o wsparcie dla brata.

Piątego dnia Set zmarł. Kolejny spędziła w pustym ciemnym pokoju, trzymając za rękę martwe dziecko. Obok stał srebrny kielich, w którym pysznił się błękitem napar z kwiatów bahanu.

Widział ją, mógł niemal dotknąć. Wrzask rozdzierający serce odbił się stukrotnym echem od martwych i obojętnych ścian Otchłani.

Leżała na podłodze, długie włosy okrywały ją niczym całun. Ostatnimi słowami wyszeptanymi przez blade wargi były jego imię i pytanie: dlaczego?

Blask oczu gasł zastępowany przez lodową martwość. Odeszła.

Tak jak inni. Ich zimne ciała ścierwniki wyszarpywały sobie z pysków kawałek po kawałku. Śmiertelne milczenie zapadło nad Agharem.

Otworzył oczy i zobaczył przed sobą Kaa'na. Tkacz uśmiechał się złośliwie.

– A teraz mi powiedz – jego oczy błysnęły – czy było warto, Aedrinie z rodu Ewallah?

Nie odpowiedział. Oślepiające błyski raz za razem raziły mu wzrok. Szarpnął się i zrzucił ostatnie kajdany niewiedzy.

Zamiast torturowanej bezbronnej duszy zaczął się materializować kształt mężczyzny o brązowych włosach. Miał zaciętą złą twarz i płonące nienawiścią spojrzenie.

– Nareszcie – odparł spokojnie Kaa'n, ignorując szpony wyrastające tuż przed jego twarzą – dla ścisłości, to nie mnie powinieneś obwiniać.

– Czym jestem? – zapytał upiór.

– Prawie jednym z nas, różnisz się od innych demonów, bo nie straciłeś pamięci ani resztek człowieczeństwa. Aż strach pomyśleć, co z tego wyniknie.

Wbrew tym słowom jego oprawca nie wydawał się specjalnie przerażony, patrzył na niego spod zmrużonych powiek, a oczy rozjarzały mu wesołe błyski.

– Ty mi to zrobiłeś? – syknął Aedrin.

– Chciałbym sobie przypisać całą zasługę, ale tak naprawdę okazałeś się znacznie twardszym materiałem, niż mogłem się spodziewać, i zaskakująco szybko zrozumiałeś, jak to działa.

– Zgodnie z obietnicą czekają mnie szary strój i narzędzia kata?

– A chciałbyś tego?

Zjawa zgrzytnęła zębami i podeszła bliżej, z uwagą obserwując swoje nowe dłonie.

– Tak myślałem – Kaa'n spoważniał. – W gruncie rzeczy nie nadawałbyś się na tkacza, za dużo w tobie z człowieka, za mało pustki. Cokolwiek uczyniłeś, jakiegokolwiek decyzje podjąłeś, ich echa pozostały, a stąd już niedaleka droga do litości i miłosierdzia. Otchłań nie lubi tych uczuć, płamią jej doskonały chłód.

– Czy wszystko, co widziałem, jest... – zawahał się. – Stało się prawdą?

– Nic z tego, co widziałeś, nie jest prawdą lub też wszystko nią jest.

Istniejesz w świecie, gdzie nie narodził się czas, nie ma przeszłości ani przyszłości, śmierci ani życia. Pokazałem ci możliwe ścieżki, prawdopodobne konsekwencje i ewentualne zakończenia. Im są bardziej przerażające, tym szybciej wyrzekasz się siebie, starasz się uciec od wspomnień albo odrzucasz bolesne uczucia. W konsekwencji powstaje demon, który po drodze zatracił swoją ludzką stronę, więc idealnie nadaje się na beznamiętne narzędzie bogów, pozbawione wątpliwości i odruchów serca. Ty nadal je masz, dlatego ciekaw jestem, co się dalej stanie.

– Chcę wrócić – oznajmił stanowczo.

– Tylko tyle i aż tyle? – Kaa'n nie zdołał ukryć rozczarowania. – Myślałem, że twoje plany bardziej będą skupione na zemście podyktowanej żądzą krwi, w niektórych kręgach już legendarną.

– Będą – Aedrin spojrzał na niego z góry – ale najpierw muszę dotrzymać przysięgi.

– Rozumiem – oprawca wydawał się zakłopotany. – Problem w tym, że stąd nie ma wyjścia. Co trafia do Otchłani, pozostaje w niej na zawsze. W tej sytuacji trudno ci będzie spełnić obietnicę.

– A zatem przemierzę ją całą i odszukam drogę – w głosie skazanego zabrzmiała pewność.

– Jesteś za słaby, nie znasz swoich możliwości, nie pojmujesz... Przerwał mu gwałtownie.

– Więc ucz mnie!

Tkacz popatrzył na niego z uwagą. Plan miał szansę powodzenia, jeśli Aedrinowi wystarczyłoby woli i siły, aby dokończyć to, co było konieczne. On jeden nadawał się do roli buntownika, a jego prośba była oczywistą konsekwencją ostatniego – ktoś mógłby nawet pomyśleć, wadliwego – dzieła tkacza. Co gorsza, od tej pory Kaa'n nie mógł już udawać przed Nardukiem, że nie miał z tym nic wspólnego.

– Skoro zacząłem – powiedział bardziej do siebie niż stojącego obok upiora – muszę skończyć. Będę cię uczył, zdradzę tajemnice i pokieruję twoimi krokami, w zamian obiecasz mi tylko jedno.

Mężczyzna, który jeszcze niedawno szarpał swoje kajdany, schylił głowę. Na szczęście nie miał pojęcia, jak wiele od niego zależało.

– Dokończysz swoje sprawy na ziemi – zaakcentował mocno. – Wszystkie. Aedrin popatrzył na niego ze zdziwieniem, ale szybko zrozumiał.

– Przyrzekam – odparł z powagą.

– Tutaj przysięgi nie są potrzebne – Kaa'n łatwo odnalazł się w roli nauczyciela. – Tak samo jak słowa.

I wprowadził go w najgłębsze z tajemnic, pokazał, skąd czerpać siłę, zdobywać nowe umiejętności, a na koniec wręczył mu dziwny miecz.

– Pamiętaj – powiedział – Otchłań jest ogromna, ale masz w sobie wiarę, która otworzy przed tobą każde drzwi.

– Pójdiesz ze mną? – Aedrin dostrzegał rozliczne korzyści, które zapewniłyby mu obecność Kaa'na u jego boku.

– Nie. To twoja walka i twoje przeznaczenie. Nie mogę się do niego mieszać. Zresztą dla mnie jest już za późno, w mojej duszy na dobre zagościła pustka. Wypuszczenie z powrotem na ziemię istoty podobnej do mnie mogłoby się okazać największym z twoich błędów.

I Aedrin opuścił miejsce skażone jego męką, aby szukać drogi powrotnej. Pił krew demonów stających mu na drodze, bo dawała siłę, wrywał im serca, żeby zyskać moc. Jego orężem były łańcuchy i księżycowe ostrze Ainu – miecza pogromców ciemności. Dwaj najwierniejsi towarzysze nie opuszczali go nigdy – nienawiść i żądza zemsty. Podpierali go, gdy upadał, szeptali do ucha, gdy wąpił. Kiedy słabł, dodawali energii.

Z każdym pokonanym wrogiem rozmywała się otaczająca go iluzja, aż stanął twarzą w twarz z Otchłanią i zażądał, by go wypuściła.

Rozdział XXX

Czarny jaguar czekał zaparkowany na poboczu. Naprawdę ucieszyła się na widok Jonathana, ale czuła się zmęczona i nie chciało jej się niczego wyjaśniać, przynajmniej nie teraz.

Wsiadła i bez przywitania rzuciła:

– Mamy mało czasu. – Była pewna, że ruszy z piskiem opon, rozumiejąc powagę sytuacji, lecz Carter wyjął kluczyki i rozparł się wygodnie na siedzeniu.

– Coś mi się chyba należy – rzucił stanowczo. – Jakieś słowo wstępne.

Krew uderzyła jej do głowy. Czasem, gdy wykazywał ośli upór, musiała ustąpić, jednak nie tym razem. Nie wtedy, gdy czuła oddech El'lara za plecami. W tej rozgrywce istotna była każda upływająca minuta, skracająca dystans między nimi a wampirem. Co gorsza, nieubłagane nadchodził zmierzch – pora, gdy mogli stracić nawet tę niewielką przewagę.

– Jedź!!! – wysyczała.

Oczywiście nie posłuchał. Wsiadła z samochodu i trzasnęła drzwiczkami, aż echo poniosło. Wewnętrznie gotowała się z wściekłości. Gdyby przewidziała, że akurat w najmniej odpowiednim momencie Jonathan zaprze się jak wół, wyciągnęłaby od Rachel więcej informacji.

Jeśli będę biegła non stop, dotrę do domu Spencerów – zaczęła kalkulować – później...

I tu pojawił się poważny problem – musiałyby po omacku szukać lokalizacji znanej wyłącznie z sennego epizodu. Zajęłoby jej to pewnie godziny, a wtedy puste ruiny domu Elizabeth stałyby się ostatnim miejscem oglądanym w życiu.

Zagryzła zęby i schowała dumę do kieszeni.

– Narysuj mi mapę! – zażądała.

– Prosiłem... – Spojrzała na niego w ten sposób, że momentalnie zamilkł.

– Zawiesz mnie? – Oczy jej pociemniały.

Zbladł, przechylił się i otworzył drzwiczki od strony pasażera.

– Wsiadaj – powiedział już innym tonem.

Skorzystała z zaproszenia, ale podczas jazdy nie odezwała się do niego słowem.

Zjechali ze szczytu wzgórza wprost w nieprzeniknione objęcia lasu. Przed ostatnim zakrętem zobaczyli czerwono-żółty szlaban, który bronił wjazdu do doliny. Wyminęli go poboczem, żeby za chwilę zatrzymać się na podjeździe opuszczonego domu.

– Masz to, o co prosiłam? – zapytała.

Od początku jej histeryczne zachowanie było podyktowane strachem, który fizycznie objawił się dopiero w chwili, gdy zobaczyła w jego dłoniach obcięty sztucer o dwóch lufach i pudełko z nabojami.

Gwałtownie zamruła powiekami, bo świat wokół zrobił się jakiś niewyraźny. Rozmazany.

– Załadowany? – pytanie podrapało jej wysuszone gardło.

Potrzeba użycia broni chyba nie mieściła mu się w głowie, bo popatrzył na nią dziwnie i dopiero wtedy włożył naboje do komory. Ze schowka na rękawiczki wyciągnął latarki. Oczywiście nie pomyślała, że będą im potrzebne, w ten sposób znów objawiło się jej myślenie życzeniowe, cały czas miała nadzieję, że zakończą poszukiwania przed nocą.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

– Zaprowadzisz mnie do domu Lizzy, ale miej cały czas oczy otwarte, nawet kiedy znajdziemy się w środku – powiedziała, próbując opanować wstrząsający ją dygot. – Zabiorę stamtąd książki i biegiem wracamy. Teraz nie będziemy o niczym rozmawiać, niczego analizować, bo, jeśli szczęście dopisze, zostanie nam na to wiele czasu.

I na przekór własnym słowom nagle ogarnęła ją wielka ochota, żeby opowiedzieć mu o Pradze, telefonie od El'lara – odsunąć w nieskończoność chwilę, gdy opuści bezpieczne ciepłe wnętrze samochodu i znajdzie się wśród gęstych drzew. W przeciwieństwie do niej Jonathan wydawał się w ogóle nie przejmować, opanowany i spokojny sprawiał wrażenie, jakby był na pikniku.

– Boże, nie mamy plecaka – prawie krzyknęła spanikowana. – Nie będę miała ich w czym przenieść... – cud, że opanowała cisnące się do oczu łzy.

Bez słowa podał jej torbę sportową, z której wcześniej wyrzucił kilka drobiazgów.

– Spójrz – powiedział, wskazując czerwoną kulę stojącą niewysoko ponad linią drzew.

Westchnęła głęboko i otworzyła drzwiczki, wpuszczając do środka zapach mokrego lasu.

Jonathan znalazł się obok, pod ramieniem dźwiżył broń, w jednej dłoni torbę, a w drugiej latarkę. Odebrała mu wszystko, zostawiając tylko strzelbę.

– Idziemy szybko. Wracamy jeszcze szybciej – powiedziała szeptem. – Prowadzisz, więc broń trzymaj w pogotowiu.

Chyba powoli zaczęła mu się udzielać jej panika, bo bez słowa zrobił wszystko, co należało, chociaż nie odbezpieczył zamka.

Weszli na ścieżkę za domem zarośniętą krzakami i małymi drzewkami, sama pewnie nigdy by na nią nie trafiła. W mgnieniu oka jej jeansy zmokły, stały się sztywne i zimne, woda z trącanych drzew wlewała się za kołnierz kurtki, a złośliwe gałęzie smagały po twarzy, jednak nie pozwoliła sobie na zwolnienie tempa. Zmysły ograniczone do węchu i słuchu stały się tak wyczulone, że do zawału doprowadzał ją nawet trzask chrustu pękającego pod naciskiem butów Jonathana. Choć wędrówka zdawała się nie mieć końca, bo za każdym kolejnym zakrętem wyrastała następna ściana lasu, w końcu dotarli do opuszczonych ruin.

Słońce już prawie zaszło, spuszczając na świat szarą zasłonę wieczoru.

– Wiesz – powiedział Jonathan z zadumą – kiedy byłem dzieckiem, bałem się tu przychodzić. Koledzy opowiadali, że...

– Tu straszy. Tak, wiem, słyszałam tę historię – nieuprzejmie wpadła mu w słowo – i prawdopodobnie mieli rację, ale żaden duch nie jest dla nas równie niebezpieczny jak upływające minuty. Musimy tam wejść.

Okazało się to banalnie proste, ponieważ wyłamane drzwi zwisały smętnie na jednym zardzewiałym zawiasie.

Po zapamiętanym przez nią niedużym schludnym salonie, pełnym starych książek i kwiatów, nie pozostał nawet ślad, fragment dachu zapadł się do wewnątrz, kompletnie rujnując pomieszczenie. W obliczu tego chaosu nie mogła sobie uzmysłwić, gdzie stał regał stanowiący przejście do tajemniczego pokoju. Ale na pomoc przyszedł jej Jonathan. Szukał czegoś, oświetlając latarką każdy centymetr ściany, na której zachowały się gdzieś strzępy starej tapety.

– Tu się coś nie zgadza – powiedział – grubość muru...

– Pomóż mi – znów mu przerwała, tego wieczoru najwyraźniej miał niewielką szansę, by dokończyć jakąkolwiek wypowiedź.

Oboje z całej siły popchnęli fragment muru, ale uszkodzony mechanizm

nie zaskoczył, owszem, przesunął się o kilka centymetrów i zastygł nieruchomo. Wilgoć razem ze starością przyczyniły się do jego agonii.

W powstały otwór Jonathan wepchnął rękę i szarpnął – w ten sposób zdobyli kolejny centymetr.

Jeśli tak dalej pójdzie – pomyślała przerażona – spędzimy tu całą noc.

Klęknęła, próbując od dołu oderwać choć fragment, lecz zardzewiałe brudne prowadnice trzymały zaskakująco mocno. Wtedy Jonathan wsunął ramię, z ohydny zgrzytem ściana ustąpiła i powstała obiecująca szczelina.

– Pozwól mi spróbować – poprosiła. – Jestem szczuplejsza, łatwiej mi będzie przejść.

– Chyba oszalałaś – wysapał czerwony z wysiłku – utknęło jak cholera.

Miała szczęście, że był z nią, sama mogłaby usiąść i poczekać, aż ściana zdecyduje się runąć ze starości, chyba żeby wcześniej przekonały ją do tego laska dynamitu albo buldożer.

Powoli mur zaczynał przepuszczać coraz więcej Jonathana, najpierw udało mu się wepchnąć ramię, później kawałek barku, w końcu szczelina zrobiła się na tyle szeroka, że Vic mogła zaryzykować.

Odsunął się, ale dalej zagradzał wejście.

– Nie wiem, czy powinnaś. – Był potwornie brudny. – Ten parszywy mechanizm może się zatrzasnąć z powrotem i uwięzi cię w środku.

– Wtedy mnie uratujesz – powiedziała, uśmiechając się do niego – jak zwykle.

– Żebyś wiedziała, kobieto. – O tak, była tego więcej niż pewna. – Ale to trochę potrwa. Drugi raz nie dam rady tego odsunąć. Zanim wejdiesz, pójde lepiej poszukać jakiegoś żelastwa do podparcia.

Liczył na cud i jej cierpliwość. Ledwie zrobił krok, przesmyknęła się za jego plecami i wsunęła w wąską szczelinę. Za sobą usłyszała tylko siarczyste przekleństwo i mamrotane gniewnie słowa:

– Jak rany, co jest nie tak z tymi babami?

Kurz, starość i zapomnienie zatarły pentagram wyrysowany na podłodze, zasłoniły pajęczynami niewielki ołtarz, na którym leżały niezidentyfikowane szczątki, ogarki świec i zetlałe gazety. Zniknęły kości oraz tajemnicza wąska czaszka o nienaturalnie wystających kłach, rysunku na spłowiałej karcie tarota można się było jedynie domyślać. Okrągły stolik okrywał – dawniej czarny – obecnie popielaty aksamit. Ujęła go w dwa palce i delikatnie odłożyła, ale tuman kurzu i tak uniósł się w powietrze. Pod spodem leżały

trzy opasłe książki. Nawet nie spojrzała na tytuły, tylko przełożyła każdą z nich przez szczelinę, a Jonathan wrzucił je od razu do torby.

Misja zakończyła się sukcesem, mogli teraz uciec jak najdalej od Lake Falls.

Powrót zajął im zdecydowanie mniej czasu, mimo że wcześniej musiała stoczyć z Jonathanem prawdziwą batalię o to, kto będzie niósł ciężką torbę. Była z siebie dumna, bo nie ustąpiła na krok, porwała bagaż za rączki i wybiegła w noc. Musiał pójść za nią, nie miał innego wyjścia.

– Każdy męski odruch, każdą próbę ulżenia ich doli, wykazania się siłą i charakterem muszą zakwestionować – burczał pod nosem, dbając, żeby dobrze usłyszała. – Stawiają się, udowadniają, że są równie silne i wytrzymałe. W ogóle nas nie potrzebują. Do niczego. To się – podniósł głos – nazywa psychiczna kastracja, i kiedyś tego gorzko pożałujecie.

Roześmiała się, byli już blisko. Napięcie powoli ją opuszczało, jeszcze tylko kilka kroków i znajdą się w bezpiecznym wnętrzu samochodu.

Wychodzili właśnie zza rogu opuszczonego domu, gdy pomyślała z triumfem, że El'lar będzie musiał obejść się smakiem, bo chyba po raz pierwszy udało im się wyprzedzić jego kolejne posunięcie.

Zanim snop światła latarki omiótł podjazd i ciemną sylwetkę samochodu, już wiedziała... Amulet niemal poparzył jej skórę, gdy na tle czerni ujrzała wysoką postać w długim płaszczu. Oboje zatrzymali się w miejscu, jak zamurowani, pod nią ugięły się kolana, przed oczami zawirowały czarne płatki, a serce zaczęło walić jak oszalałe.

Tylko nie to... – pomyślała przerażona i skierowała światło na twarz mężczyzny.

Jej życzenie się spełniło.

– Fajna bryka, bracie – powiedział cicho Michael. – Zawsze miałeś dobrą rękę do samochodów i... kobiet.

– Michael – wyszeptał Jonathan zbielełymi wargami – co tu robisz?

– Pilnuję – odparł. – Zostawiliście takie cacko samopas, więc wszystko mogło się zdarzyć. Moim obowiązkiem jest nie dopuścić do kradzieży cudzej własności. Widzisz, szybko awansowałem, teraz jestem dozorcą.

Dreszcz wstrząsnął Victorią na widok jego uśmiechu. Nie widziała oczu, ale była pewna, że stoi przed nimi bezlitosny morderca, który przeszedł już swoją krwawą inicjację. Poznała to po sposobie mówienia, atmosferze, którą wokół siebie roztaczał.

– Co ci się stało? – Jonathan był niepoprawny, brutalna prawda wciąż nie mogła przedrzeć się do jego umysłu.

– Spotkałem kogoś, kogo doskonale znacie, szkoda, że nie miałem okazji zaprzyjaźnić się z nim wcześniej. Od słowa do słowa zaoferował mi pewien układ – syknął dziwnie. – Przyjąłem go bez wahania, i wyobraź sobie, nie żałuję.

Opanowała drżenie kolan i wyszła przed Jonathana, kurczowo ściskając rączki torby. Nie może ci zrobić krzywdy, nie wolno mu... – naiwnie w myślach powtarzała zapewnienie oparte wyłącznie na słowach Gabora.

– Czekamy na niego? – zapytała spokojnym, opanowanym głosem.

– A chciałabyś? – Najmłodszy z Carterów spojrzał na nią taksująco.

Powoli podchodziła coraz bliżej, łomot w uszach stawał się nie do zniesienia, ale już prawie dostrzegała jego oczy błyszczące w ciemnościach.

– Zostałam naznaczona – pokazała mu swój nadgarstek – po co pytasz?

– Dołączy do nas lada moment.

Wszystko stało się jasne – rozmowa miała ich zatrzymać na miejscu tak długo, aż pojawi się jego pan. Z tego, co wiedziała, nie wolno mu było narazić jej na niebezpieczeństwo, choć pewnie nakazano odzyskanie ksiąg. Wybrał grę na zwłokę, a zatem mieli cień szansy...

– Pozwolisz, że się przygotuję – powiedziała cicho, była pewna, że się nie nabierze, i miała rację.

– Oczywiście – odparł bez chwili zastanowienia – ale oddaj mi najpierw torbę.

Była blisko samochodu, a druga taka okazja mogła się nie powtórzyć.

– Teraz! – wrzasnęła i rzuciła się do przodu.

W swoich kalkulacjach nie uwzględniła tego, że Jonathan nadal w głębi serca nie pogodził się ze stratą brata, miał wątpliwości i głupią nadzieję. Zawahał się na sekundę. I ta sekunda kosztowała go bardzo dużo.

Michael po jej okrzyku sprawiał wrażenie lekko zdezorientowanego. Kobiętę chroniły wyraźne rozkazy El'lara, natomiast mężczyznę...

Ruszył w jego stronę i gdyby nie owa zwłoka, dostałby z obu luf prosto w serce. Oczywiście kule nie wyrządziłyby mu szkody, tylko zatrzymały. Choćby na moment.

Wydarzenia potoczyły się zupełnie inaczej, niż zaplanowała. Zdążyła doskoczyć do samochodu i wrzucić torbę, odwróciła się, żeby zobaczyć, jak Michael rzuca się na brata. Obrazy zwolniły niczym na puszczonej powoli

taśmie filmowej.

Błysk szponów w świetle latarki, cios i krew opryskująca ich obu. Jonathan osuwa się powoli na kolana, jego kurtka i koszula nasiąkają szkarłatem.

Nie czekała dłużej. Podbiegła z boku do leżącego, podniosła karabin, odbezpieczyła i pociągnęła za spust. Siła odrzutu odepchnęła Michaela.

Rozpaczliwie szarpnęła za ramię niemal bezwładnego mężczyzny.

Nie dam rady go pociągnąć – pomyślała ogarnięta równocześnie paniką i furią, ale na szczęście Jonathan na czworakach, trzymając się za gardło, ruszył przed siebie.

Naboje znalazły się na swoim miejscu, zaczęła strzelać, każde trafienie odsuwało Michaela o krok w tył. Zbawczy krok.

Jonathan dopełzył do samochodu i z trudem wdrapał się na siedzenie pasażera. Dystans, który wywalczyła, pozwolił jej dopaść drzwiczek od strony kierowcy. Jonathan czekał z kluczykami w dłoni, wyszarpnęła je, ale gdy podniosła oczy, ze zgrozą zobaczyła przed sobą Michaela.

Położył dłoń na masce i spojrzał na nią w taki sposób, że zrozumiała.

Pragnął zlekceważyć rozkaz, rozszarpać ją na strzępy.

Koła zabuksowały na żwirze, spanikowana nie znalazła wstecznego biegu i ruszyła do przodu. Miała zamiar walnąć w niego z całą mocą wielokonnego silnika, lecz Michaela już nie było. Nie odsunął się, po prostu zniknął.

Zamknięte szyby odgrodziły ją od dźwięku, który rozdarł noc, przenikliwego zaśpiewu w częstotliwości zbyt wysokiej dla uszu człowieka.

Nie zastanawiała się nad tym, co się stało z Michaelem, tylko docisnęła gaz i pognała szosą w dół, ku mrocznej tafli jeziora.

Rozdział XXXI

KRONIKI WAMPIRÓW

To był dobry dzień dla kruków. Stado leciało prowadzone słodkim zapachem padliny, który wiatr rozwiewał ponad doliną. Jeden z nich zniżył lot i skierował się w stronę źródła apetycznej woni.

Na szczycie niskiej góry, której na szczęście nie okrywały wieczne śniegi, jedynie szare nagie kamienie, leżały setki dojrzewających w słońcu ciał, obietnica pełnego brzucha i pokarmu dla dzieci. Najlepszy posiłek od lat. Sfrunął i tak jak pozostali zaczął zapamiętane dziobać. Kilka ptaków gwałtownie poderwało się do lotu, a ponieważ był z natury ciekawski, musiał sprawdzić, co je przepłoszyło. Widok, który pojawił się przed jego oczami, sprawił, że zastygł z otwartym dziobem, mrugając z niedowierzaniem.

Oto jedno z ciał wracało do życia. Ręce pozbawione dłoni zaczęły pokrywać się świeżą skórą, z pustki formowały się kości i ścięgna, paznokcie odrastały zakrzywione na podobieństwo szponów. Twarz ziejąca dziurami wyszarpanymi przez drapieżne dzioby i zapadniętymi oczodołami nabierała kształtu, wypełniała się ciałem.

Kruk na wszelki wypadek odskoczył na bezpieczną odległość, ale nic nie było go w stanie przegnać z miejsca, gdzie działo się tyle interesujących rzeczy.

Z uwagą obserwował, jak trup niepewnie wstawał na chwiejących się nogach, jego rany pokryte zakrzepłą krwią zrastały się szybciej, niż trwało jedno machnięcie skrzydłami.

Istota długo odpoczywała, zanim zrobiła pierwszy krok, ale gdy podniosła na niego oczy, kruk wrzasnął przeraźliwie i rzucił się do ucieczki. Do końca życia w snach będzie widywał to spojrzenie, w którym płonął ogień.

Nim minęło południe, ciało Aedriny było kompletne – musiał do niego wrócić, inaczej stałby się bezcielesnym upiorem. Trafił idealnie, dzień po

bitwie, jeszcze nie zaczął się pełen rozkład. A brakujące serce i oczy, zgodnie z przewidywaniami Kaa'na, odtworzyła mu krew demonów płynąca teraz w jego żyłach. Gdy tylko odzyskał pełną sprawność, bez zwłoki ruszył w stronę Agharu, by dotrzymać najważniejszej z obietnic.

Od dawna nie pozwalał sobie na przywoływanie obrazu Tei, bo bał się, że miłość, którą pielęgnował niczym największy skarb, osłabi siłę jego nienawiści.

Z mroków niepamięci napłynęło wspomnienie pewnej rozmowy z ojcem. Stali razem na tarasie i oglądali całopalną ofiarę komety przecinającej nieboskłon w ognistej łunie.

– Ten widok – powiedział niskim, ciepłym głosem człowiek, który był dla niego autorytetem – kojarzy mi się z losem każdego z nas. W młodości pniemy się ku szczytom, aby później doznać goryczy upadku.

– Taką masz dla mnie radę? – Niespełna osiemnastoletni młodzieniec uśmiechnął się wesoło. – Zapytałem tylko, czy powinienem przyjąć zaproponowane przez ka'hete dowództwo nad oddziałem gwardii. Muszę w obliczu twoich słów jeszcze raz przemyśleć swój awans.

Ojciec położył mu dłoń na ramieniu i powiedział:

– Wiem, że kochasz to miasto i ludzi. Głupcy mówią, że miłość jest śmiercią obowiązku, bo gdy na przeciwnych szalach położysz honor i dobro najbliższych, twój wybór będzie oczywisty. Zapominają, że jeśli miłość i honor będą leżeć na tej samej szali, nic i nikt cię nie powstrzyma. Żaden wróg nie zdoła się oprzeć sile człowieka walczącego jednocześnie w imię obowiązku oraz miłości.

Po latach przyznał mu rację, ale zanim w pełni zrozumiał znaczenie tych słów, został zmuszony do pokonania Otchłani.

Teraz wiedziałby, co odpowiedzieć na pytanie Kaa'na, czy było warto.

– Tak, Tea była tego warta. – Nie miał żadnych wątpliwości. Cały czas wierzył, że na końcu drogi czeka na niego najwspanialsza z nagród. Kobieta pachnąca mimozą, otulona ciemnym jedwabiem włosów, z oczami rozpalonymi namiętnością.

Pobyt w czeluści zmienił go w każdy możliwy sposób, dlatego droga do miasta zajęła mu niecały dzień, z czego kilka chwil poświęcił na wpatrywanie się w taflę jeziora u bram Agharu.

Czarna toń nie zdołała już przed nim ukryć swoich tajemnic. Zobaczył monstrialne istoty o wielu mackach, szybkie niczym błyskawice węże, które

raziły dotykiem skóry, i obrzydliwe ni to zwierzęta, ni rośliny porastające dno, ich wyziewy trwały wodę, czyniąc ją zabójczą dla ludzi. Wśród nich białe kości mieszkańców zabitych przez zarazę, w podwodnym świecie znaleziono dla nich ostatnią przystań – tym nie mógł już pomóc.

Słońce stało wysoko, gdy pojawił się po drugiej stronie jaskini. Głęboko wciągnął powietrze. Strach i śmierć skaziły jego miasto, zatrwały powietrze oraz umysły mieszkających w nim ludzi, miał zamiar pokonać je na zawsze za pomocą leku, który przyniósł ze sobą.

Skierował się w stronę domu Ha'gartha, nie obawiając się, co tam zastanie, bo lęk był mu teraz równie obcy jak litość.

Posiadłość została opuszczona niedawno, ślady pospiesznej ucieczki widać było na każdym kroku. Tea i jej dziecko zniknęli.

Zamknął oczy, nie musiał się wysilać, ich zapach zatrzymany w zamkniętych pomieszczeniach był przewodnikiem, który nieomylnie doprowadzi go do celu. Wybrał bez zastanowienia – syn jego brata nadal żył, ale choroba pustoszyła dziecięcy organizm i zostało mu niewiele czasu.

Pobiegł do pałacu; w pustych ciemnych komnatach znalazł łożo z nieprzytomnym chłopcem, obok kuliła się przerażona młoda dziewczyna, jego opiekunka.

– Czym ty jesteś? – wydukała trzęsącym się głosem, łykając spazmatycznie powietrze.

– Nie poznajesz? – Spojrzał na nią z pogardą. – Jestem nadzieją i życiem. Jeśli się mnie boisz, odejź. Jeśli mi ufasz, zostań.

Wahała się tylko przez chwilę.

– Pomożesz mu? – poprosiła cicho.

– Tak jak każdemu, kto we mnie uwierzy.

Podszedł do łóżka, spojrzał na niemal przezroczystą twarz o delikatnych rysach, tak bardzo podobnych do matki, i szponem naciął żyłę na swoim nadgarstku. Ciemnoczerwona krew zaczęła spływać do ust chłopca.

Drobnym ciałkiem wstrząsnął spazm, okrycie podniosło się tylko po to, żeby po raz ostatni opaść. Dziecko przestało oddychać.

– Co mu zrobiłeś?! – Powoli zaczęła się cofać w stronę drzwi.

– Jesteś gotowa? – zapytał zimno.

Nie chciało mu się bawić w wyjaśnienia, wybrańcy powinni mieć wiarę i odwagę, jeżeli im tego brakowało, nie byli godni jego daru.

Niepewność oraz strach odebrały dziewczynie zdolność trzeźwego

myślenia, ale w końcu była bardzo młoda. Dał jej ostatnią szansę, podstawił dłoń, z której ściekał ciemnoczerwony strumień.

– Pij! – rozkazał.

Była posłuszna, dotknęła ustami rany. Poczuł, jak nieśmiało zassała pierwszy łyk, jej spojrzenie zmętniało. Osunęła się delikatnie i upadła na lodowatą posadzkę.

Przeszedł nad bezwładnym ciałem, nie odwracając wzroku – miał jeszcze wiele do zrobienia.

Tea była po przeciwnej stronie miasta. Przez moment miał nadzieję, że jednak się pomylił, ale ślad wyraźnie prowadził w jedno miejsce. Poczuł szaleństwo płonącej furii, gdy tylko stanął przed grubymi murami więzienia. Choć żadne drzwi nie stanowiły dla niego przeszkody, serce rozdarł mu ból nie do zniesienia na widok kobiety zamkniętej w ciasnej, wilgotnej celi.

– Kto? – warknął. – Kto się ośmielił?

Podniosła się z brudnego legowiska, jeszcze nie wierzyła własnym oczom.

– Aedrin? – zapytała niepewnie.

– Kiedyś takie było moje imię – odpowiedział. – Wróciłem, aby dotrzymać danej ci przysięgi.

Podeszła bliżej, obiema dłońmi dotknęła jego twarzy jak ślepiec, który próbuje odczytać rysy nieznanego. Ten dotyk obudził w nim pragnienie i żal za utraconym szczęściem, jakiego nigdy nie zaznał. I nie zazna.

Nie płakała ze strachu, po jej policzkach płynęły łzy smutku. Miały gorzki smak.

– Twój syn żyje – powiedział, żeby choć na chwilę spojrzeć w jej oczy rozjarzone szczęściem.

– Wysoka była cena za jego ocalenie – powiedziała cicho.

Nie chciał o tym rozmawiać, żeby cień Otchłani nie skaził jej na zawsze.

– Dlaczego cię tu zamknęli? – Nie potrafił ukryć gniewu.

– Posądzono mnie o zdradę. Życzliwy obywatel doniósł mojemu mężowi o naszym pożegnaniu. Ka'hete nie okazał litości, dowiedziawszy się, że uwolniłam cię wbrew jego wyraźnym rozkazom. Jutro odbędzie się egzekucja.

– Zostałaś skazana?

Kiedyś jego brat Ha'garth nie posunąłby się aż tak daleko. Nie był szaleńcem, by publicznie łamać prawo, które nie przewidywało żadnej kary za wykradziony pocałunek. Najwyraźniej władza go odmieniła, uczyniła

tyranem bez serca. Skinęła potakująco głową i dodała:

– Na ukamienowanie. Przyjdą po mnie o świcie – zakomunikowała tak spokojnie, że zjeżyły mu się włosy na głowie.

– Zabieram cię stąd – pociągnął ją za rękę.

Stawiła zdecydowany opór, tego akurat się nie spodziewał, więc spojrzał na nią zdziwiony.

– Nie rozumiesz, kim stał się Ha’garth – powiedziała cicho. – Nauczył się sięgać w głąb ludzkich dusz, wyciągać z nich ukryte lęki i kierować przeciwko nim. Każda jego decyzja od momentu, gdy zdobył łaskę Ka, zmierza do zlikwidowania Rady i absolutnego panowania nad Agharem. Nie liczy się z prawem ani zwyczajami. Postępuje jak – zawahała się – barbarzyńcy z równin, ale ludzie go słuchają. Tylko ja mogę powstrzymać to szaleństwo. Egzekucja żony ka’hete będzie wydarzeniem, wszyscy mieszkańcy przybędą, wtedy do nich przemówię. Spróbuję otworzyć ich oczy oraz serca. Powiem, że od początku rządzi nim strach. Odszedłeś, lecz on nadal lęka się twojego imienia powtarzanego szeptem w zaciszu domów, sławy, którą zyskałeś. A wbrew składanym obietnicom nie zdołał pokonać zarazy ani osądzić Iii. Zrozum, nadal jestem jego żoną i moim obowiązkiem jest nie dopuścić, żeby zamienił Aghar w państwo niewolników wsłuchanych pokornie w głos pana.

– Oszalałaś – powiedział zimno. – Twoja śmierć niczego nie zmieni.

– Zmieni. – Wiara w możliwość naprawienia zła zamknęła jej umysł na wszelkie argumenty. – Wszyscy wiedzą, że Ha’garth kiedyś mnie kochał, teraz zobaczą, do czego jest gotów się posunąć, ile dla niego znaczą uczucia i przysięgi. Nie jestem wojownikiem, moja egzekucja poruszy ludzkie serca.

– Poruszy tylko kamienie, którymi będą cię obrzucać. – Z trudem się pohamował, żeby jej nie uderzyć.

Nieprzytomną mógłby wynieść daleko, poza granice przeklętego miasta, tam gdzie byłaby bezpieczna. Ale miał do czynienia z Teą, która nigdy by mu tego nie wybaczyła, jej postanowienie, żeby stać się martwym bohaterem, było ostateczne i nieodwołalne. Spróbował podejść ją sposobem:

– Twój syn cię potrzebuje. Chcesz, żeby po otwarciu oczu dowiedział się, że nie ma już matki?

– Ha’garth i tak odbierze mi jego miłość, będzie trzymał z daleka, zatruwał umysł kłamstwami. Nigdy go nie odzyskam. Jednak jeśli się dowie, że zostałam skazana i zginęłam z wyroku jego ojca, ziarno wątpliwości

wykiełkuje mu w duszy. Ono będzie najmocniejszą tarczą, o którą rozbiją się wszystkie fałszywe śliskie słowa tyrana.

– Przemyślałaś to dokładnie?

Po raz pierwszy poczuł w stosunku do niej gniew, równie potężny i głęboki jak czeluście jeziora. Tak bliski nienawiści, że przeraził się na samą myśl, co może uczynić, jeżeli nad nim nie zapanuje. Ale akurat tej umiejętności nie nauczył się w Otchłani.

Musiał natychmiast wyjść, aby nie zrobić jej krzywdy.

Bez słowa odwrócił się na pięcie i wyszedł z celi. Oparł się o ścianę, kilka razy zaczerpnął głęboko powietrza.

Dobrze, że miał wroga, osobę, na której mógł bezpiecznie wyładować furję. Sprawca nieszczęść Tei czekał w jednej z sal pałacu Rady, bezbronny i zdany na jego łaskę. Wystarczyło go rozszarpać na kawałki, aby koszmar zniknął.

Znalazł się u wrót siedziby ka'hete, zanim złość w nim ostygła. Jednym kopnięciem wyłamał z zawiasów drewniane wrota i wkroczył w chłodny mrok korytarza. W jego dłoni powoli materializował się miecz, idealne ostrze zdolne pokonać ciemność, która wkradła się do serca brata. Nie zamierzał z nim rozmawiać ani żądać wyjaśnień. Chciał widzieć jego krew płynącą do stóp, zanurzyć w niej dłonie i spalić na popiół bezgłowe ciało. Taki miał plan.

Strażnikom pilnującym drzwi nie poświęcił żadnej uwagi, gniew kierując w stronę sali ze smukłymi kolumnami i człowiekowi siedzącemu na tronie ka'hete. Dla niego przeznaczone było srebrne ostrze nienawiści.

Zanim trupy ośmiu mężczyzn osunęły się na białą posadzkę, rzeźbione drzwi z ogłuszającym hukiem wpadły do środka, wzniesając tuman pyłu. Drobinki wirowały jeszcze w promieniach słońca wpadających przez ogromne okna, gdy wszedł do środka i zobaczył Ha'gartha w otoczeniu straży. Na ten widok uśmiechnął się zimno.

Nawet cała armia nie była go w stanie pokonać, mięśnie się naprężyły, w żyłach zapłonęła czerwień. W mgnieniu oka zostali sami, a miecz Ainu pokrył się rdzawymi plamami.

– Bracie, nie uczynisz tego, przecież łączy nas ta sama krew – próbował przemówić mu do sumienia Ha'garth.

– Już nie – odparł zimno.

Zrobił zamach, ale odpowiedział mu nie trzask pękających kości, lecz

zaśpiew metalu. Laska Ka okazała się skuteczną bronią w rękach Ya'reana.

– Nie pozwalam! – krzyknął z mocą zdumiewającą u wiekowego starca.

Zaskoczenie wstrzymało na chwilę dłoń Aedriny.

Ka' hete pewnie chciał go przestrzec przed zbrodnią bratobójstwa oraz wiecznym potępieniem. Miał ochotę mu się roześmiać w twarz. Nikt nie wiedział tyle o karze za grzechy, ile półdemon zmuszony do przejścia Otchłani.

– Śmierć nie jest dla niego wystarczającą karą. – Słowa mędrca po raz kolejny go zdumiały. – Aedrinie lub jakiegokolwiek inne miano teraz przyjąłeś, wyrok wykonany z rąk przeklętego sprowadzi na ofiarę przychylnie spojrzenie bogów. Tego chcesz?

Spojrzał na Ya'reana z uwagą, w oczach płonących czerwienią pojawił się błysk zrozumienia. Miecz zniknął równie szybko, jak się pojawił. Aedrin postanowił do końca wysłuchać starca.

– Mam go puścić wolno? – zapytał z niedowierzaniem.

– To jedyna odpowiednio surowa kara – Ya'rean skłonił przed nim głowę.

– Nie akt miłosierdzia, ale prawdziwego okrucieństwa. Każ mu żyć z tym, co splamiło jego honor oraz sumienie, patrzeć, jak opuszczają go ludzie, czuć nienawiść żony i syna. Na zawsze pozostać królem miasta widm. Na to zasłużył, śmierć z twojej ręki byłaby aktem litości.

– Tak się stanie – odparł krwawy demon.

– Czekają na ciebie. – Starzec ręką wskazał wyjście. – Masz wiele do zrobienia.

– Pójdiesz za mną? – zapytał. Brat kulący się za tronem już przestał go interesować. – Staniesz u mego boku?

– Kiedyś tak, bez wahania. – Ya'rean skłonił się przed nim z szacunkiem.

– Lecz gdy starość zapukała do moich drzwi, nie twojego daru pragnę najbardziej. Zmęczony już jestem. Pora odpocząć.

Przed pałacem stał milczący tłum. Wieść o powrocie Aedriny rozniosła się niczym błyskawica. Ludzie niepewni, czego mogą się spodziewać, czekali w ciszy, aż wyłoni się na dziedzińcu.

Przywitało go zbiorowe westchnienie i łkanie kobiet – bo nie było wśród żywych Aedriny, potomka Malekha z rodu Ewallah. Zamiast niego pojawił się nieodrodny syn Otchłani z ciałem poznaczonym stygmatami demona. Żył, w których płonął wieczny ogień, rysowały się siatką na odsłoniętym potężnym torsie, dłonie ozdabiała długie szpony. Wyolbrzymiał, a jego

mroczna twarz wydawała się rozmywać w świetle słońca. Oczy rozpalone czerwienią i żółcią płomieni omiotły zgromadzony tłum.

– Każdemu, kto we mnie uwierzy – zabrzmiał echem potężny głos, który powtórzyła majestatyczna góra stojąca za Aedrinem – przynoszę wieczne życie i światło poznania. Inni mogą zostać – pogardliwie spojrzął do tyłu – z tchórzem i mordercą.

– Czymże jesteś? – usłyszał cichy głos z głębi ściśniętej masy przerażonych ludzi. – Bogiem?

– O nie – roześmiał się głośno, szczerze ubawiony sugestią – czymś zupełnie innym. Imię moje brzmi Azdaroht, posłaniec Otchłani. Z otwartymi ramionami przyjmę każdego, kto ma dość odwagi, by stanąć u jej progu.

Nikt nie wystąpił, zbita masa cofnęła się o krok.

Poczuł się rozczarowany i zawiedziony. Odrzucili jego dar, brakło im siły albo męstwa, by wybrać życie, jakie ofiarowywał. Nagle czoło tłumowi rozstało się, przepuszczając odzianą w łachmany kobietę.

– Miły mój – jej głos nie drżał, nie okazała lęku, patrząc mu hardo w twarz – gdziekolwiek los cię prowadzi, będę u twojego boku.

Tea uklękła i pochyliła kornie głowę. Powstrzymał się przed podźwignięciem jej z bruku, bo rozumiał, że właśnie na takie widowisko czekała przerażona tłuszcza. Na wielki spektakl, który pomógłby im podjąć decyzję.

Tchórzliwe zwierzęta – pomyślał z pogardą, schodząc z podwyższenia.

Zakrzywionym szponem ponownie otworzył swoją żyłę, krew pociekła strumieniem wprost do jej rozchylonych ust.

– Była godna stanąć u mojego boku – powiedział na głos i spojrzął głęboko w piękne oczy powoli zasnuwające się mgłą.

Oto leżała przed nim – jego na zawsze Tea – zjednoczona ślubami ważniejszymi niż słowa kapłanów. Znał jej myśli, które mógł odczytać niczym otwartą księgę. Przyszła, by go wesprzeć, ponieważ nosiła w sercu żalobę po Aedrinie, czuła się winna, że z jej powodu stał się tym, kim był. Nie kusiła jej obietnica wieczności ani wizja korony, prowadziły żal i miłosierdzie.

Po niej do podwyższenia podeszło kilku innych ochotników. Reszta motłochu nie była mu potrzebna.

– Wybrańcy opuszczą Aghar i odejdą za przełęcz Indu – powiedział. – Tam, na samotnej górze zbudują nowe miasto. Na straży porządku i prawa

stanie Tea, mój namiestnik na ziemi. Będę nad wami czuwał aż po kres istnienia, bo jesteście moimi dziećmi.

Odwrócił się i spojrział na zbocze góry. Została mu do zrobienia ostatnia rzecz...

Wejście do świątyni zostało kompletnie zasypane, gdzieś widać było ślady kopaczy, którzy próbowali się przedostać przez zwałowisko, ale porzucone narzędzia i ogólny nieład wskazywały, że zostali przepłoszeni lub przegnani.

Żaden kamień – kość z wnętrza ziemi – nie był dla niego przeszkodą, bez trudu dotarł do głównej sali sanktuarium, gdzie zastał straszny widok.

Odważniejsze z kapłanek odebrały sobie życie, inne konały w rozdzierającej ciszy, bo nie miały już siły, żeby się skarżyć na swój los.

– Stworzycie chram – powiedział, ignorując nieme błagania w oczach, by skrócić ich męki. – Staniecie się moimi ustami wśród wiernych.

Słyszał ich myśli i wyszukał tylko tych kobiet, które bezwarunkowo wybrały służbę dla niego. Wśród nich znalazła się także młoda, niedawno poślubiona Aedrinowi łowczyni z równin, jedyny człowiek spoza Agharu, który dostąpił krwawego sakramentu przemienienia wprost ze źródła.

Iia poznała jego głos, jednak nie zdołała unieść głowy, bo głódówka odebrała jej nie tylko wolę życia. Tak długo czekała, próbując podtrzymać gasnącą nadzieję, aż zrozumiała, że upragniony mężczyzna nie przybędzie z ratunkiem. Bo nigdy mu na niej nie zależało. I ta prawda zabijała ją skuteczniej niż pragnienie i głód.

Zmusiła się do otwarcia oczu. Na środku świętego kręgu zobaczyła płonąca bestię. Chciała szepnąć, podpełznąć do niego, ale w tym momencie łaskawa śmierć postanowiła wybawić ją z niedoli. Nie doceniła potęgi demona, który stanął z nią w szranki, odwracając bieg przeznaczenia.

W drodze powrotnej jeszcze wielu niepewnych i zagubionych poprosiło o dar – nikomu nie odmówił. Wiedział, że im więcej ludzi przyłączy się do jego szeregów, tym łatwiej będzie im zbudować nowy porządek. Nowy świat.

Misja w Agharze dobiegła końca.

Pożegnał na zawsze swoje miasto i odszedł na wschód w poszukiwaniu bogów.

Przekłeta wioska przywitała go martwą ciszą. Spalone ruiny nadal stały, kikutami ścian oskarżycielsko wskazując niebo.

Odszukał swoich gwardzistów, dla każdego znalazł czas. Jego krew zabarwiała martwe usta, nadając im kolor żywej purpury. Gdy dokończył dzieła, a ostatni z żołnierzy został nakarmiony, rozejrzał się dookoła, uśmiechając szczerze. Wesoło. W dłoniach zaśniły łańcuchy i AINU – księżycowe ostrze.

Żądza mordy zasnuła mu oczy, siatka czerwonych pęknięć naznaczyła twarz. Nareszcie mógł pokazać swoje prawdziwe oblicze istoty z mroku. Zrodzonej z czystej ciemności, nakarmionej przez nienawiść, wyprowadzonej na ziemię przez gniew.

Podszedł do dzwonu na środku placu. Był gotów.

Bogowie spojrzeli z góry i oniemieli. Ten, którego ich wyroki zesłały na wieczność do Otchłani, stał pośród szczątków Xallu, szczątków ich martwych dzieci, pięścią uderzając w miedziany dzwon.

Rozdział XXXII

Ocknęła się w samej bieliźnie, właściwie obudziło ją gorąco. Leżała pod dwiema grubymi kołdrami, na miękkiej poduszce, w normalnym łóżku. Chciała się podnieść, ale ból natychmiast osadził ją na miejscu.

Delikatnie zaczęła sprawdzać swoje ciało. W głowie szalało stado rozpędzonych koni, czoło było nadwrażliwe. Przesunęła palcami pod linię włosów i aż syknęła.

Rana ciągnęła się od połowy karku i, co najciekawsze, została nieudolnie zszyta. Szyja była polem minowym, każdy ruch w prawo lub lewo kończył się łupnięciem przywołującym do porządku. Prawy bark miała prawdopodobnie poważnie stłuczony, brzuch był w porządku, czego nie dało się powiedzieć o kilku żebrach. Nogi wydawały się nietknięte, mogła nimi ruszać, co zresztą natychmiast zrobiła, gdy przypomniała sobie...

– Jonathan! – krzyknęła i zerwała się z łóżka.

To był poważny błąd. Pociemniało jej w oczach, serce na chwilę przestało bić, zatrzymane przez obezwładniającą słabość. Szybko znalazła się na kolanach szarpana przez skurcze żołądka. Nie było dobrze.

Spróbowała wrócić do pościeli, ale wspięcie się do rajy w jej sytuacji okazało się przedsięwzięciem karkołomnym. Nie była w stanie podnieść się z podłogi, bo zawroty głowy raz za razem przenosiły ją w inny wymiar. W końcu zlitowała się nad swoim udręczonym ciałem i zemdlą, bezgłośnie powtarzając jedno imię: Jonathan.

W majakach widziała przerażające obrazy. Zbyt straszne, by je wciąż w kółko oglądać. Zachłysnęła się i ponownie otworzyła oczy. Czyjeś litościwe ręce przeniosły ją na łóżko i przykryły, ale nie zdołały wymazać z pamięci nawracającego koszmaru...

Jonathan osuwający się na siedzeniu, dłonie kurczowo przyciśnięte do szyi, koszula, która zaczyna zmieniać barwę. Noc, jej szalona jazda i nagle w światłach reflektorów morze – ocean kompletnej ciemności. Granatowa tafla, pisk opon i dziwne wrażenie, jakby samochód zachwiał się, zakołysał. Chłód i ból. Strach nie o siebie, ale o mężczyznę, który umierał obok. Przez

nią. Dla niej. Urwany błysk i nic więcej.

– A więc to tak – pomyślała z jakimś rodzajem beznamiętnej obojętności.
– W ten sposób się to skończy.

Jonathan zginął, a ona została ranna. Tonie właśnie w samochodzie, a jej umysł podsuwa kojące wrażenia bezpiecznego domu, wygodnego łóżka i ciepła bijącego od rozpalonego kominka. Dobry obraz śmierci.

Zamknęła oczy, gotowa dać się poprowadzić wizji, ale nagła myśl utknęła w jej głowie na dobre.

– Cholera – zaklęła pod nosem.

W przedśmiertnych majakach raczej nie pojawia się ból, nabrzmiąły obrys szwów na skórze, trudności z oddychaniem i mdłości. Czyste kliniczne objawy urazu wypadkowego. Ma wstrząs mózgu, bo za nic nie mogła sobie przypomnieć, czy zapięła pasy, więc pewnie tego nie zrobiła. Impet zderzenia rzucił ją do przodu, żebra oraz kark zostały poddane przeciążeniom. Stąd wniosek, że jednak żyje.

Rozejrzała się dookoła i westchnęła. Znajdowała się w swoim starym domu, na parterze w salonie. Ktoś przeniósł ją z miejsca wypadku i opatrzył. Rozpalili ogień, rozłożyli rzeczy, aby wyschły. Ktoś okrył ją kołdrą i położył z powrotem, gdy straciła przytomność. Znała tylko jedną osobę, która mogłaby tak postąpić, ale on na jej oczach niemal wykrwawił się na śmierć.

– Halo. – Nie dała rady krzyknąć.

Wbrew logice oczekiwała, że pojawi się Jonathan, obdaruje ją swoim szerokim, szczerym uśmiechem.

– Nigdy nie powinienem oddawać ci kierownicy – powie, jak to zwykle on, na poły żartobliwie.

Ale drzwi pozostały zamknięte. Nikogo nie było. Pusty, wymarły dom i ona, ranna kobieta, która wydostała się z tonącego samochodu, zostawiając w nim martwego przyjaciela, przeszła kilka kilometrów pod górę, samodzielnie zszyła ranę, założyła sobie opatrunki. Później zniosła pościel, wyszła na zewnątrz, pozbierała chrust i drewno, rozpałała w kominku, rozebrała się, nie zapominając przy tym o starannym rozłożeniu ubrań. A zatem nie było z nią tak źle.

Problem z rozszyfrowaniem tej zagadki przerastał jej siły, zamknęła oczy i... jak przez mgłę – lub tylko jej się wydawało – zobaczyła, że do pokoju wszedł jakiś człowiek, przetarł jej twarz, posmarował ranę, na stoliku obok postawił szklanekę wody.

A zaraz potem na szerokiej równinie, gdzie, jak okiem sięgnąć, nie było nic, nawet trawy, pojawił się mężczyzna o dziwnej egzotycznej urodzie. Jego brązowe włosy, miejscami rozjaśnione przez słońce, opadały na ramiona. Surową, wręcz odpychającą twarz ocieplały tylko oczy w kolorze gorzkiej czekolady.

– Witaj, córko – powiedział, podchodząc niemal na wyciągnięcie ręki.

Cofnęła się, spłoszona, znała go, choć naprawdę nigdy się nie spotkali. Wiedziała, kim jest, mimo że nie poznała wcześniej jego ludzkiego oblicza, a jedynie ciało demona rozpalane płomieniami.

– Azdaroht – wyszeptała.

Uśmiechnął się, choć jego twarde rysy nie złagodniały.

– Czy jesteś gotowa przyjąć mój dar? – zapytał.

Nie musiała pytać, znała ofertę. Krew jej dziecka mogła ją uleczyć. Po skutkach wypadku nie pozostałby nawet ślad. Zyskałaby nieśmiertelność, nadludzkie zmysły, wieczną młodość. Oraz – być może – mężczyznę, na którego czekała przez całe życie.

– Nie – odparła z mocą – nigdy. Zapomniałeś, że śmierć jest wybawieniem, prawdziwym darem dla ludzkości. Ona... wyłącznie ona na zawsze leczy strach, ból i cierpienie.

Roześmiał się głośno, lecz ten śmiech zjeżył jej włosy na głowie, bo brzmiały w nim okrucieństwo i gniew. Czysta nienawiść.

– Mylisz się – powiedział twardo. – Potwornie się mylisz. Śmierć nie jest żadnym wybawieniem.

I zniknął.

Otworzyła oczy i zobaczyła promienie słońca natrętnie przeciskające się przez brudne szyby, blask zalał pokój i odsłonił jego samotność budzącą współczucie. Zanim go ostatecznie zamknięto, pojawili się złodzieje, rozgrabili meble i zdewastowali pokój Kat. Nic nie zostało ani z kuchni, ani ze sprzętu, zniknęły monitory, telewizor, nawet kuchenka. Piękne szare kanapy, niemi świadkowie wielu szczęśliwych wieczorów, straszyły rozprutym wnętrzem, na podłodze wałały się sterty śmieci, które uznano za niewarte uwagi. Ogromne szklane drzwi na taras zostały wybite, ktoś, zabezpieczając się przed zimnem, przybił tam siermiężną płytę z dykty.

Opuszczony dom musiał z żalem wspominać swoich ostatnich mieszkańców, którzy się o niego troszczyli. Płakał płataniną kabli po zerwanych lampach, wyszarpanymi deskami podłogi i potrzaskanymi

resztkami sprzętów. Tylko kamienny kominek z wesoło trzaskającymi polanami trwał nienaruszony na swoim posterunku. Ktoś niedawno dołożył do niego świeżego opału.

Darowała sobie ponowne nawoływania, jeśli nie chciał się pokazać – trudno. Mógł to być złodziej, którego ruszyło sumienie na widok rannej kobiety, ukrywający się przed prawem uciekinier, mający nadzieję na hojny datek za pomoc, lub zwykły squatter. Każdy. Wypiła wodę i połknęła tabletkę przeciwbólową, dobra dusza położyła je w opakowaniu, żeby miała pewność, czego używa – bardzo troskliwy i zapobiegliwy był ten jej anioł stróż.

Cały czas dręczyło ją pytanie o to, co się stało z Jonathanem. Nie mogła odegnąć sprzed oczu widoku zakrwawionego ubrania, bladej, prawie przezroczystej twarzy i bielejących palców.

Po raz ostatni wykorzystała jego uczucia, zmusiła, żeby wybrał między nią a rodziną, której był winien lojalność. Nigdy już z nim nie porozmawia, nie będzie mogła niczego wyjaśnić. Gdy wróciła pamięcią do sceny, którą urządziła po przylocie, głuchy żal ścisnął jej serce, a łzy same pociekły po policzkach.

Boże – pomyślała – gdybym wiedziała, była w stanie przewidzieć... postąpiłabym inaczej. Rozważniej.

Tak długo czekał na choć jeden gest z jej strony, ale ona bała się deklaracji, uciekała przed zaangażowaniem. Wolała wampiry i ich mroczne sekrety niż człowieka, który był dla niej zawsze oparciem. Skrzywdziła go wahaniem, tym, że była rozpaczliwie samotna i potrzebowała każdego możliwego sojusznika. Odrzuciła ofiarowane uczucie, a w zamian przyniosła niekończące się żądania i w końcu śmierć. Taki był jej dar dla Jonathanu Cartera, którego jedynym błędem były źle ulokowane uczucia. Kolejna dusza zapłaciła za nią koszty niepisanej umowy.

Miała wrażenie, że jej serce nie wytrzyma tej żałoby, pęknie na kawałeczki, rozpadnie się w pył.

Co musiał czuć – ogarnęło ją spóźnione współczucie – gdy kazała mu strzelić do własnego brata?

Cichy szloch targnął jej ciałem, przytuliła się do rogu poduszki i zaczęła rozpaczliwie płakać.

Dni mijały niespiesznie, z każdym jednak nabierała sił, była już w stanie wstać z łóżka i przejść kilka kroków bez zawrotów głowy i głuchego łomotu

w uszach. Codziennie na stoliku pojawiało się jedzenie, świeża woda i pastylki, ale mimo chęci nigdy nie udało jej się przyłapać niewidzialnego opiekuna. Czowała jego obecność w najmniejszych detalach, zmienionej pościeli, wygarniętym popiele z kominka, zapachu ciepłej herbaty.

Pewnego dnia, gdy leżała plackiem, próbując ćwiczeń rozciągających barki, i złapała za metalowe oparcie łóżka, uświadomiła sobie, że nigdy nie miała takiego mebla. Pojawiło się jak na zamówienie, żeby ugościć ranną? Najwyraźniej ktoś je przyniósł.

Pewnie ten squatter – pomyślała i odsunęła jak najdalej konieczność zidentyfikowania tajemniczego anioła stróża.

Żeby choć na chwilę oderwać myśli od Jonathana, wzięła książkę, którą położono jej na stoliku, i zamarała. Powiedzieć o niej, że była stara, to było za mało. O ile dzieło brata Jakuba było drukowane, te okładki ukrywały najprawdziwszy rękopis. Sfatygowana skórzana oprawa otwierała się na pierwszej karcie, nie było tam nazwiska ani imienia autora, lecz sam tytuł – *Pustynni wędrowcy*.

Dziwny tytuł dla utworu liczącego setki lat, co więcej, książka była napisana po angielsku. Żywym, współczesnym językiem. Już pierwsze zdanie wciągnęło ją na tyle, że bez zastanowienia zaczęła czytać, z namaszczeniem przekładając poźółkłe strony.

Pochłonięta losem kobiety z równin zaniedbała codzienne ćwiczenia, często zapominała o zjedzeniu posiłku.

Rano starała się trochę pospacerować po domu, najpierw jej organizm reagował buntem, powoli jednak przyzwyczajał się do narzuconego reżimu, zjadała śniadanie i wskakiwała z powrotem do łóżka z książką w rękę. Przysypiała po południu, budząc się dokładnie w chwili, gdy na stoliku pojawiał się następny posiłek, najczęściej były to proste dietetyczne potrawy. Szybko nadchodzący zmierzch przerywał jej przyjemność czytania, bo nie miała świec ani latarki, a elektryczność dawno już przestała działać.

Podczas wyprawy na piętro odkryła, że dom jest opuszczony i wbrew jej podejrzaniom nikt nie zajął wolnych pokoi, choć tam także dotarli złodzieje i z jej dobytku nie zostało kompletnie nic, ale widok miejsca, w którym tyle się wydarzyło, wyprowadził ją z równowagi. Wyszła, trzaskając drzwiami i jej noga więcej nie pozostała w dawnej sypialni.

Książka pozwalała odpędzić wspomnienia o wydarzeniach, które rozegrały się na podjeździe. Zagłuszyła strzały w ciemnościach, pomogła zatrzeć obraz

oczu Michaela i uciszyła lęk.

Vic nie mogła sobie pozwolić na ciągłe analizowanie, bo bała się, że znów popadnie w odrętwiającą rozpacz, która nie opuszczała jej przez pierwsze dni, a i teraz nachodziła natrętnie w chwilach, gdy przywoływała z pamięci ostatnie spotkanie z Jonathanem.

Wiedziała, co musi zrobić, żeby choć w niewielkiej części spłacić swój dług wobec niego, ale nie miała jeszcze dość siły, aby przedsięwziąć jakiegokolwiek kroki. Najpierw powinna wydobrzeć, hojnie podziękować swojemu opiekunowi, a dopiero później przyjdzie czas na realizację planów.

W potrzaskanym lustrze nadal widziała zbolące podkrążone oczy, przynajmniej szrama goiła się prawidłowo, bark i żebra pozwalały się nawet pomacać. Była na dobrej drodze do odzyskania pełnej sprawności.

Pewnego popołudnia napisała kartkę, którą postawiła na stoliku obok pustego talerza:

„Dziękuję za uratowanie życia i wspaniałą opiekę, i – chociaż zabrzmiało to niezręcznie – pragnęłabym w jakiś sposób się odwdziżyć za Pańską dobroć. Proszę wziąć pod uwagę, że jestem w stanie spełnić niemal każde z Pana życzeń. A skoro pragnie Pan zachować anonimowość, co doskonale rozumiem, proszę mi tylko odpisać, jak mogłabym wyrazić swoją wdzięczność”.

Następnego poranka nie zastała ani kartki, ani śniadania. Wstała i podeszła do zimnego kominka, obok leżały przygotowane drwa oraz zapalki, a na prowizorycznym stoliku znalazła swoją torbę podróżną z – ku wielkiemu zaskoczeniu – kompletem kart kredytowych, nienaruszoną gotówką i telefonami.

Długo się zastanawiała, rozważała różne opcje, ale zwyciężyła chęć poznania prawdy. Wystukała numer Jonathana. Po drugiej stronie odpowiedziała jej głucha cisza.

Drugi telefon wykonała do Głosu, bo od wielu dni nie miała wiadomości o Kat. Choć nie martwiła się o swoją małą dziewczynkę tak histerycznie, jak kilka miesięcy temu, chciała się jednak upewnić, że wszystko jest w porządku. Było – Kat uczyła się dobrze, miała przyjaciół i pomoc w nadrabianiu zaległości wynikających z choroby. W najbliższym czasie zaplanowano jej wyjazd na ferie.

– Pytała o mnie? – Była świadoma, że uprawia czysty masochizm.

– Jak zawsze, co dzień – odparł chłodno. – Udało mi się jej wytłumaczyć,

że na razie nie może pani do niej przyjechać.

– I co powiedziała?

– Kat jest dzieckiem bardzo inteligentnym i wrażliwym, lecz nadal tylko dzieckiem. Można jej dość łatwo podsunąć nowy obiekt zainteresowania, powiedzmy wybór sprzętu sportowego, i przestaje zadawać niewygodne pytania.

Sądzę, że uważa mnie za wzorcowy przykład karygodnej matki. Czystą patologię – pomyślała, ale niewiele to zmieniło. I tak nie mogła mu powiedzieć prawdy. Nigdy.

– Czy moje konto wytrzyma sprowadzenie do Lake Falls ekipy płetwonurków?

– Proszę się nie obawiać – odpowiedział po chwili. Chyba go zaintrygowała. – Wytrzyma. A konkretnie w jakim celu?

– Utopiłam samochód z zawartością, którą po namyśle chciałabym odzyskać, do tego potrzebni mi są wykwalifikowani poszukiwacze.

– Utopiła pani samochód? – zapytał lekko zaskoczony. – W jeziorze?

– Do oceanu było za daleko – odparowała bez namysłu. Usłyszała, jak głośno wciągnął powietrze, ale nie zapytał o inne szczegóły.

– Kiedy i gdzie mam ich przysłać?

– Najszybciej, jak to możliwe, i prosiłabym także o nowy samochód, bo nie mogę się stąd wydostać.

– Życzenia co do marki lub koloru?

Najlepiej uzbrojony pojazd wojskowy z pancernymi szybami i pociskami ziemia–powietrze – ale tego oczywiście mu nie powiedziała, poprzestając na zdawkowym:

– Obojętne.

– Postaram się to załatwić, jeszcze dziś dam znać. Podziękowała uprzejmie i rozłączyła się.

Doskonale zdawała sobie sprawę z konsekwencji, jakie będzie musiała ponieść, gdy w samochodzie, który kazała wydobyć, znajdzie ciało Jonathana z rozerwanym gardłem. Odciski palców na kierownicy, ubrania w bagażniku i broń za przednim siedzeniem zapewnią jej minimum dożywcio. Zanim przyjadą nurkowie, powinna się skontaktować z dobrym prawnikiem i przygotować wiarygodną linię obrony. Właśnie tak powinna postąpić, jednak nie zrobiła nic w tym kierunku, bo było jej wszystko jedno – Jonathana już nie było, straciła księgi, dla których zaryzykowała życie jego

i swoje, a zresztą i tak nie miałyby ich komu przekazać, bo Gabor zniknął.

W otwartej szafce znalazła dwa bochenki świeżego chleba, ser, herbatę i paczkę kawy, przez przypadek jej ulubionej. Nie było to wiele, ale wystarczało na parę dni. Machinalnie otworzyła opakowanie, wyjęła kromkę i gdy wkładała ją do ust, zadzwonił telefon. Odebrała błyskawicznie, nawet nie sprawdzając, kto dzwoni.

– Pojutrze dotrze do pani dwóch nurków ze wszystkimi uprawnieniami, sami załatwią formalności i zdobędą zgodę na wszczęcie poszukiwań. – O tym nie pomyślała. – Umówiłem ich na jedenastą przy parkingu. Samochód został wysłany i kierowca jeszcze dziś go dostarczy. Jaki mam podać adres?

Bez wahania podała numer domu i wytłumaczyła trasę dojazdu.

Ciekawe, jak wyglądałoby moje życie bez pieniędzy Mc’Petersenów i Głosu – pomyślała. Na pewno byłoby znacznie krótsze, bo zamiast poniewierać się po świecie, utknęłaby w mieście podobnej do Cheyenne, tam od razu odnalazłby ją El’lar lub jego przyboczni. I skończyłby zabawę, zanim na dobre się zaczęła, co oszczędziłoby jej wiele zachodu, stresów, nieustannej emocjonalnej huśtawki. A tak los miotał nią od nadziei do kompletnego zwątpienia, mijając po drodze przystanki z napisem: wiara, naiwność, głupota.

Zauważyła pewną niepokojącą prawidłowość w swoim życiu – jeśli tylko widziała cień szansy, przeoczoną ostatnią deskę ratunku, rzucała się ku niej po to, żeby poniewczasie zauważyć, że była to tylko kolejna pułapka. Może lepiej będzie dla wszystkich, jeśli trafi do więzienia na najbliższe dwadzieścia pięć lat, zniknie z oczu ludzi i wampirów, a wtedy także los o niej zapomni. Wyjdzie na wolność, mając ponad sześćdziesiąt lat, by uściskać swoje wnuki. Starą kobietą nie będą się już interesować ani El’lar, ani Gabor, nawet Azdaroth nie powie jej wtedy „moja córko”, bo będzie to brzmiało idiotycznie.

Z ulgą wróciła do łóżka. Zachód słońca zastał ją w połowie rozdziału, z żalem odłożyła opasłe tomisko i wtedy zobaczyła plamę jasności, która omiotła czubki drzew.

Nadjechał obiecany ratunek. Wyszła, po drodze narzucając na siebie kurtkę, na podjeździe czekał kierowca z kluczami do nowej białej toyoty.

Podpisała niezbędne dokumenty, podziękowała uprzejmie i już miała wrócić do domu, gdy pchany ciekawością – najgorszą z wad wszystkich ludzi – zapytał:

– Przepraszam za niedyskretne pytanie, co się pani stało? Wypadek?

Był domyślny, może aż za bardzo, czyżby Głos wysłał go nie tylko z dostawą? Podejrzenia, które się pojawiły w jej umyśle, były najczystszy dowodem rodzącej się paranoi.

– Drobną stłuczka – westchnęła ciężko i odpowiedziała – jak się jedzie do pobliskiego sklepu, to człowiek czasem zapomina zapiąć pasy.

W opustoszałej okolicy nie było żadnych sklepów, wyłącznie szlaban z napisem: „Teren budowy, wstęp surowo wzbroniony”. Ale na szczęście kurier nie zwrócił uwagi na nielogiczność jej opowieści.

– Była pani u lekarza? – wyglądał na przejętego.

Roześmiała się szczerze, dobrze, że nie poprosił o coś, co wymagałoby gwałtownego skrętu głową.

– Ja jestem lekarzem i wiem, że to nic groźnego – odparła nonszalancko – najwyżej lekki wstrząs mózgu.

– Jeśli tak – podszedł do krawężnika – mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku. Życzę dużo zdrowia i bezpiecznej jazdy.

Odpowiedziałyby, gdyby nie dostała obuchem prosto między oczy. Sztuczny uśmiech nie do końca zamaskował wyraz jej twarzy. Na podjazd wjechał czarny sportowy samochód. Na jego widok serce jej stanęło. Ale euforia i radość minęły szybciej niż mgnienie oka, kurier wsiadł, samochód odjechał.

Niczym mechaniczna zabawka odwróciła się, zrobiła parę kroków i zaczęła płakać. Nie szlochała, tylko spazmatycznie łykając powietrze, próbowała opanować łzy. Ta sylwetka, ten kolor obudziły w niej skojarzenia, przez ułamek sekundy sądziła, że wysiądzie Jonathan, a wszystko, czego doświadczyła, okaże się tylko złym snem. Tej nocy nie zmrużyła oka – co chwilę wracała na szosę, widziała krew znaczącą jego koszulę i Michaela jednym ciosem rozszarpującego mu gardło.

Rano, sporo przed wyznaczonym spotkaniem, pojechała na parking, za wszelką cenę starała się nie zwracać uwagi na podjazd Spencerów, bo zaczęłyby krzyczeć z wściekłości i bólu.

Przyjechali punktualnie – dwóch mężczyzn w średnim wieku – z rozmowy wywnioskowała, że kiedyś pracowali w policji.

– Nie chce pani wydobyć wraku, tylko go przeszukać? – wydawali się lekko zaskoczeni. – Powiedziano nam...

– Chcę tylko wydostać – przerwała im stanowczo – niewielką sportową

torbę.

– Czy to pani rzeczy? – O tak, na pewno kiedyś byli policjantami.

– Panowie – uśmiechnęła się, wkładając w ten grymas resztki niegdysiejszej Vic – tam są tylko książki, żadnych skarbów ani ukrytych materiałów szpiegowskich. Nic więcej. Książki.

I trup mojego przyjaciela na przednim siedzeniu – dodała w myślach – którego nie mogę tam zostawić. Nie takiego grobu życzyłaby sobie dla niego rodzina. Nie w tym przekętym jeziorze.

– Zdaje sobie pani sprawę, że woda bezpowrotnie uszkadza papier. – Obaj patrzyli na nią dziwnie. – Jest sens je wyławiać?

– Mają dla mnie wartość sentymentalną – odparła.

Wzruszyli ramionami, według świętej zasady: jej pieniądze – jej sprawa.

Podjechali nad brzeg jeziora. Obaj szybko wskoczyli w pianki i założyli akwalungi. Czekąca, paląc papierosa za papierosem, musiała się hamować, żeby nie rzucić się za nimi w aksamitnie czarną toń.

Bąbelki powietrza zapieniły się na powierzchni, mężczyzna zdjął maskę.

– Znaleźliśmy czarnego jaguara! – krzyknął.

Nogi się pod nią ugięły i usiadła na mokrej trawie.

To już koniec – pomyślała blada niczym ściana.

– Nie ma w nim nic, żadnej torby, niczego. Jest pusty, czy mamy szukać dalej?

Zajęta przywracaniem rytmu swojemu sercu, nie odpowiedziała od razu.

– Nie – odkrzyknęła po chwili. – Musiałam się pomylić.

Rozdział XXXIII

Pożegnała nurków, dojechała do domu, zabrała rzeczy i ruszyła byle dalej przed siebie. Nie była w dobrym stanie, nadal odczuwała przykre skutki zderzenia, ale niecierpliwość połączona z frustracją pognały ją naprzód. Zatrzymała się na parkingu, wysiadła, żeby zapalić ostatniego papierosa z paczki.

Dolina warta była pożegnalnego spojrzenia. Tam, gdzie dawniej leżało miasteczko zwane Lake Falls, rozpościerała się gładka ciemna tafla wody, bezpowrotnie zniknęły sosny, wiekowi strażnicy wjazdu do doliny, a dwa brzydkie kłocowate budynki zatrzasnęły między sobą kaskady rzeki.

Nic dziwnego, że rozpędzony samochód zawiózł ją wprost w objęcia jeziora, jego lustro podchodziło niemal do połowy wzgórza, pożerając po drodze znajome miejsca, ulubione widoki i las porastający zbocza.

Kilka domów, ostatnie świadectwo istnienia ludzi, rozpaczliwie trwało na swoich posterunkach, choć czerwono-brązowe dachy zdawały się zupełnie nie na miejscu, jakby należały już do innego, przeszłego czasu.

Z góry mogła bez obaw spojrzeć na pusty podjazd Spencerów, pewna, że nie znajdzie tam żadnego śladu po tragicznych wydarzeniach sprzed kilku dni.

– Michael... – szepnęła, nienawiść ciemniejsza i głębsza niż woda rozciągająca się u stóp wzgórza zawładnęła jej umysłem.

Tamtej nocy stracił nad sobą panowanie, zignorował rozkaz i pośrednio doprowadził do wypadku. Nie takie miał wobec niej plany El'lar z rodu nieśmiertelnych – ten, który nigdy nie wybacza błędów.

Jonathan był niepotrzebny, jego śmierć mogła zostać ostatecznie darowana, ale ona – jako źródło wiedzy o miejscu pobytu Kat – musiała ocaleć. Dlatego Michael w porę otrzeźwiał, wyciągnął ją z samochodu i dokończył misję. Zatarł ślady zbrodni, zabrał księgi oraz rannego brata, któremu pozwolił umrzeć albo...

Dobrze, że racjonalna część świadomości nie dopuściła wcześniej do powstania tej hipotezy, zrozumienia przebiegu zdarzeń i ich konsekwencji.

Ranną i obolałą oszukał mózg, podsuwając najmniej prawdopodobne, ale przynajmniej bezpieczne scenariusze, tylko po to, aby nie porwała się na samobójczy ruch podyktowany żądzą zemsty.

Chciałaby wierzyć, że zabłąkany squatter zostawił jej telefon, karty kredytowe i sporo gotówki. Przyniósł łóżko i nie pozwolił się zobaczyć, był bezszelestnym opiekunem, cichym aniołem, który – ryzykując życiem – usunął ciało Jonathana z samochodu.

Tymczasem wiedziała, że ten miłosierny samarytanin miał tęczówki naznaczone stygmatem wiecznego głodu i nienawiści. Oczywiście był to Michael, bo dowód wisiał na srebrnym kunsztownym łańcuszku. Czas, kiedy El'lar musiał być ostrożny z kontrolowaniem jej umysłu, minął wraz ze śmiercią wampirów w jaskini, teraz, żeby oszczędzić sobie trudów nudnego przesłuchiwania, wystarczyłoby poprosić i powiedziała mu wszystko. Chyba że dostępu do jej pamięci i umysłu broniłaby niewielka ozdoba o potężnej mocy. Michael był młodym wampirem, siłą rzeczy niewiele słyszał o starożytnych artefaktach, tajemniczych medalionach i magii, co innego jego pan, który na pewno nie pozwoliłby jej zatrzymać amuletu.

Przez chwilę zastanawiała się, co powinna dalej zrobić, dokąd się udać. Najpierw jednak musiała dopełnić smutnego obowiązku – zadzwonić do Rachel, by powiadomić ją o losie Michaela i Jonathana. Po namyśle wybrała inne rozwiązanie, znacznie trudniejsze. Wysłała wiadomość z prośbą o spotkanie, bo bez względu na to, jak złe były nowiny, matka Carterów zasługiwała na poznanie prawdy. Twarzą w twarz.

Odpowiedź nadeszła błyskawicznie i Vic bez wahania pożegnała dolinę, niemego świadka wszystkich jej porażek. Zabierała ze sobą, oprócz fizycznych ran, także inne, znacznie gorsze – poczucie winy i gorycz. Zapatrzona w El'lara zapomniała o jego przybocznych, ten błąd kosztował życie starszego z braci Carterów. Była przekonana, że został przemieniony, by stać się kolejnym żołnierzem w służbie mroku, bo nie było lepszej zemsty na dawnym wrogu niż zmuszenie jego synów do zmiany stron. Do listy jej grzechów dołączyły więc głupota i brak wyobraźni.

Nie spieszyła się już, ponieważ nie miała po co – nadzieja na pokonanie wampirów zginęła wraz z księgami wiedźmy. W mgnieniu oka świat stał się odpychającym miejscem, gdzie nie było nikogo, komu zależałoby na Victorii Mc'Petersen i jej samotnej krucjacie.

Jechała tą samą drogą co kilka miesięcy wcześniej, ale obok nie siedział

już człowiek, który był podporą i towarzyszem niedoli. W ten czy inny sposób wampiry odebrały każdego, na kim jej zależało, kto choć przez chwilę był jej bliski.

Wydarzenia w Lake Falls zmieniły zasadniczo hierarchię jej wrogów. Na pierwszy plan wysunął się Michael. Nie mogła zapomnieć wyrazu jego oczu, błysku kłów podczas ataku na brata, momentu, gdy stanął naprzeciwko, oparty o maskę samochodu. Widziała go wyraźnie. I nienawidziła tak bardzo, że samo wspomnienie tamowało oddech, przyspieszało bicie serca.

Na noc zatrzymała się w niewielkim motelu obok autostrady, ale nie była w stanie zasnąć. Do szauł doprowadzał ją mrugający na czerwono neon z dziwaczną nazwą Czerwony Sen.

Jak ktokolwiek mógł go w ten sposób nazwać? – pomyślała, mimowolnie wpatrując się w drgające litery.

Otworzyła książkę, ale nie mogła się skupić na czytanych stronach, rozpraszała ją krwista czerwień odbijająca się na ścianie. W końcu dała sobie spokój z bezskutecznymi próbami samooszukiwania i zadzwoniła. Od postoju na parkingu wiedziała, że prędzej czy później to zrobi.

Odebrał po pierwszym sygnale, ale nie wydukała powitania, mimo wszystko ciężko jej było normalnie z nim rozmawiać.

– Victoria – powiedział rozbawiony – cieszę się, że zadzwoniłaś, naprawdę miło posłuchać twojego oddechu, choć lepiej będzie, jeśli przejdiesz do rzeczy, zanim sytuacja zrobi się niezręczna.

– Na pewno wiesz, co się stało w Lake Falls – tego akurat była pewna – chcę poznać odpowiedzi na kilka pytań.

– Dzwonisz w środku nocy, ignorujesz zwyczajowe uprzejmości, słowem nie wspomnisz o tym, jak bardzo się stęskniłaś, i od razu występujesz z żądaniami. Wierz mi, to nie jest dobra metoda na wkupienie się w moje łaski. Postaraj się lepiej.

Przysięgła sobie, że tym razem nie uda mu się wyprowadzić jej z równowagi.

– Nie stęskniłam się – odpowiedziała zimno. – Michael o to zadbał.

– Przyznaję, bardzo niegrzeczny z niego młodzieniec, chociaż powinniśmy mu wiele wybaczyć. Za długo ukrywał swoją prawdziwą naturę i emocje, starając się sprostać oczekiwaniom rodziny, dlatego czasem go ponosi. Rozumiesz, klasyczna nadgorliwość neofity.

– Co zrobił z Jonathanem? – Nie było sensu bawić się w słowne gierki.

– O? – zdziwił się sztucznie. – Czyżby twój poczciwy przyjaciel zaginął? I jak sobie z tym radzisz? – Zagrał współczucie z wprawą zawodowego szyderycy.

– Muszę wiedzieć...

Przerwał jej niemal w pół słowa.

– Rozmawiamy od – zawahał się teatralnie – trzech minut i moim zdaniem zdecydowanie nadużyłaś słów „muszę” i „chcę”. To takie reprezentatywne dla was, ludzi, nic, tylko oczekiwania, roszczenia i pretensje.

– Jutro będę się widzieć z jego matką. – Kompletnie zignorowała jego wywód. – Chciałabym jej wyjaśnić, co naprawdę stało się z jej drugim synem.

– No masz, teraz znowu „chcę”. A zapytałaś może, czego ja oczekuję lub pragnę?

– Wiem, że koszt twojej pomocy będzie jak zwykle wysoki – powiedziała twardo – jestem na to gotowa.

– Co masz na myśli? – Najwyraźniej jej pewność zbiła go z tropu, bo porzucił swoją manierę.

– Powiesz – mówiła przez zaciśnięte szczęki – co się stało z Jonathanem, wskażesz miejsce pobytu Michaela. W zamian dostaniesz mnie.

– Wysoko się cenisz, dziewczyno. – Niemal widziała jego uśmiezek.

– Tyle jestem warta – odparła twardo. – Wyznacz miejsce, pojawię się tam za trzy dni.

– Kolejna z obietnic – usłyszała w jego głosie lekkie wahanie – już jedną złożyłaś, pamiętasz?

– Tym razem będzie inaczej. – Była szczera. I zdecydowana. – Wiesz o tym.

– A wszystko dla tego, skądinąd przemilego – on jedyny na świecie potrafił nadać swoim słowom tyle jadu, że były toksyczne nawet przez telefon – przedsiębiorcy budowlanego. Kto by pomyślał?

– Zgadzasz się na moje warunki? – Nie chciała rozmawiać o Jonathanie. Nie z nim.

– Zależy... – znacząco zawiesił głos.

– Od czego? Umowa jest prosta, dostaniesz to, o co ci chodziło. Przyjdę sama, bez broni, wsparcia, dam ci szansę ostatecznego zakończenia naszych spraw. W każdy możliwy wybrany przez ciebie sposób.

– Nie powiem, kusząca propozycja – albo jej się wydawało, albo nagle

spoważniał – ale zgodę uzależniam od tego, czy odpowiesz na moje trzy pytania. Szczerze. Kłamstwo uznam za przejaw złej woli i jednoznaczne zerwanie umowy.

– Nie wyduisz ode mnie informacji, gdzie jest Kat – wolała postawić sprawę jasno. – Nigdy.

– Wyprzedzasz i jak zwykle pudłujesz. – Chciał ją zmylić, oszukać odsunięciem najważniejszej kwestii poza temat rozmowy. – Pierwsze pytanie: kochasz go?

Przez chwilę była zdezorientowana, wydawało jej się, że użył słowa „mnie”, ale nie zapytała, bo w obu przypadkach odpowiedź brzmiała tak samo.

– Nie – odparła stanowczo.

– A zatem się poddajesz, rezygnujesz z walki dla informacji o mężczyźnie, który cię w gruncie rzeczy nie obchodzi. I to mnie kiedyś nazywano perwersyjnym...

– Nie powiedziałam, że mnie nie obchodzi. Nie kocham Jonathana, ale jest moim bliskim przyjacielem, nic więcej. – Prawdopodobnie po raz pierwszy była z nim i ze sobą całkowicie szczerza.

– Drugie pytanie łączy się z pierwszym: spałaś z nim?

Zatrzęsło ją, opanowała złość i chęć wyłączenia telefonu, przynajmniej tyle była winna Rachel. Matka zasługiwała na poznanie prawdy o tym, co się stało z jej najstarszym synem.

– Nie. – Była przygotowana na ciąg dalszy i nie pomyliła się.

– Dlaczego? – Wydawał się naprawdę zaintrygowany.

– Z wielu powodów. O co najmniej dwóch już wiesz, poza tym nie pociągał mnie fizycznie.

– Przypomnij mi te dwa, o których niby wiem?

Umowa obejmowała tylko trzy pytania, ale Vic wiedziała doskonale, że jeśli on się uprze, żeby zdobyć odpowiedzi, w ten czy inny sposób je z niej wydusi. Wolała mieć to już za sobą.

– Nie kochałam go, więc seks byłby jedynie czystym aktem fizycznym podyktowanym litością lub interesem. A Jonathan nie zasłużył na takie traktowanie – skończyła.

Po drugiej stronie trwała cisza. Czekał, przełknęła łyk wody, zamknęła oczy i policzyła do dziesięciu. Powoli.

– Nie każ mi tego mówić – poprosiła cicho – byłam szczerza, może

wystarczy?

– Umowa to umowa. Nie ja pierwszy zadzwoniłem, nie ja potrzebuję informacji...

– Za dużo kosztował mnie poprzedni związek – jakoś przeszło jej przez gardło – i już pewnie wiesz, że nie należę do kobiet, które łatwo przeskakują z jednego łóżka do drugiego.

– Wobec tego jestem zaszczycony. – Czują, że to się tak skończy, wyśmieje każde jej słowo, zmiesza z błotem i rzuci jej z powrotem w twarz. – I ostatnie pytanie: skąd ci nagle przyszedł do głowy pomysł spotkania się ze mną?

– Jestem zmęczona – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Mam dosyć ucieczki, ukrywania się i strachu. Niech to się w końcu tak czy inaczej rozstrzygnie. Nie pokonam ani ciebie, ani twoich żołnierzy, bo jestem tylko podstarzałą lekarką po przejściach, a nie oddziałem SWAT. Straciłam wszystko i wszystkich, na których mi zależało. W tej sytuacji próby odroczenia w nieskończoność naszego spotkania są bezsensowne. I tak do niego kiedyś dojdzie, nieprawdaż?

– Ładnie powiedziane – udawał rozmarzonego – barwnie i dosadnie. Na koniec zostałem przez ciebie doceniony i obdarzony zaufaniem. Taka postawa motywuje, choć nie napawa optymizmem, bo jeśli inni ludzie wpadną na ten sam pomysł, przed naszymi siedzibami ustawią się kolejki chętnych samobójców, a wtedy nam, jako gatunkowi, zagrozi gnuśność i zmanierowanie. – El’lar zachował paskudny zwyczaj doktora Barrowa popisywania się krasomówstwem.

Nie słuchała jego wywodów, zapatrzyła się na pustą ścianę i czekała cierpliwie, a gdy w końcu zamilkł, zapytała:

– Co się stało z Jonathanem?

– Żyje – padło lakoniczne. – Jeszcze.

– Przemieniłeś go? – Teraz z dwojga złego wolałaby, żeby poprzednia odpowiedź była inna.

– Jeden niesforny Carter wystarczy, zresztą pomysł, do czego mógłby mi się przydać majster budowlany?

– Gdzie jest? – Tym razem nie wątpiła w jego szczerość, bo nagle zrozumiała, dlaczego zostawił go przy życiu i czemu służyła ta zabawa w sto pytań.

– Spotkasz go w swoim czasie – odparł tajemniczo.

Czyli za trzy dni – pomyślała gorzko – wtedy, gdy będziesz chciał, żebym wyjawiała ci miejsce pobytu Kat, a jego użyjesz jako argumentu przetargowego. Sprytne.

– Skoro tak – powiedziała, siląc się na entuzjazm – to już się cieszę. A teraz Michael... Gdzie można go spotkać?

– Będziecie w tym samym miejscu, w tym samym czasie...

– Dziękuję, tyle wystarczy – przerwała mu. – Wyślij mi dokładne informacje, gdzie i o której mam się pojawić.

– A mogę być nieco bardziej dokładny i zasugerować na tę okazję także odpowiedni strój oraz dodatki?

Rozłączyła się.

Powiedziała prawdę, w pojedynkę nie była w stanie pokonać El'lara ani żadnego z jego gwardzistów, nic natomiast nie stało na przeszkodzie, żeby odpłaciła Michaelowi za brata. Sowiecie.

Rozdział XXXIV

Dojechała do Cheyenne i po krótkich namowach przyjęła zaproszenie Rachel, która już przygotowała dla niej pokój gościnny. W ogromnym domu niepodzielnie panowała atmosfera żałoby i opuszczenia. Milczący Rob wniósł rzeczy na górę, ale zamiast zaraz wyjść, cicho zamknął drzwi. Oparł się o futrynę i obserwował każdy jej ruch.

Była nieco zaskoczona, bo zawsze sprawiał na niej wrażenie wyniosłego i chłodnego, w przeciwieństwie do Michaela rzadko się śmiał, jeszcze rzadziej odzywał. Najmniej atrakcyjny z braci miał twarde, jakby wyciosane z jednej bryły męskie rysy, które można było uznać za zbyt toporne. Natomiast wąskie, często zaciśnięte usta od razu definiowały go jako ponuraka zamkniętego w sobie. Wysoki, co było cechą rozpoznawczą całej rodziny, potężniej zbudowany niż Jonathan, miał lekko kręcone włosy o rudawomiedzianym połysku. Niezwykłe było u niego połączenie jasnej karnacji z ciemnoniebieskimi oczami wpadającymi w odcień granatu.

– Jak zwykle przywozisz złe nowiny – powiedział niskim ciepłym głosem.
– Ale pamiętaj, w tym domu nikt cię nie wini za to, co się zdarzyło lub zdarzy. – Zamilkł, widocznie wyczerpał przewidziany na tę okazję limit słów.

Popatrzyła na niego z uwagą.

– Inni uważają, że to przeze mnie? – Była tego więcej niż pewna. Sama zresztą tak sądziła.

– Różnie bywa – odparł enigmatycznie.

– Myślisz, że dadzą mi to odczuć?

– Spodziewałbym się – zastukał w szkiełko zegarka. – Za pół godziny w szkole będzie spotkanie.

Widząc jej minę, doszedł chyba do wniosku, że jednak powinien udzielić bardziej szczegółowych wyjaśnień.

– Sama ci powie – odwrócił się i wyszedł.

Patrzyła tępo na zamknięte drzwi. Rachel nie uprzedziła jej, że mieszkańcy Lake Falls szykują się do publicznego linczu.

Rzuciła torbę na podłogę, zabrała z niej jedynie telefon, nawet nie zadała sobie trudu przebrania się po podróży, tylko ochlapała wodą twarz i znalazła się na dole.

Rachel była w kuchni i szykowała kanapki.

– O co chodzi? – Zadała to pytanie w stronę pleców krzątającej się kobiety.

– Nie chcę, żebyś mi opowiadała o Jonathanie ani Michaelu. Nie teraz. Najpierw spotkamy się z mieszkańcami, dopiero później porozmawiamy.

– Wiesz o tym, co stało się z Jonathanem? – Vic nie umiała ukryć zaskoczenia.

– Jestem matką – odparła zimno Rachel. – Wiem więcej, niż ci się wydaje. Ale niepotrzebne mi teraz emocje i żale. Obie musimy zachować zimną krew, bo jesteśmy zobowiązane do udzielenia wyjaśnień.

– Co chcesz, żebym im powiedziała?

Odwróciła się i spojrzała na Vic, która dopiero w tym momencie dostrzegła, jak bardzo Rachel się postarzała. Wieku nie zdradzały zmarszczki ani siwe włosy, ale oczy. Zmęczone, wyblakłe, z czającymi się na dnie rozpaczą i pustką. Oczy matki, która zna prawdę o losach swoich dwóch synów.

– Nie ty. – Usiadła naprzeciwko, podsuwając jej talerz z przekąskami. – Ja to muszę zrobić. Są naiwni, uważają, że przez ciebie wydarzyło się wiele złych rzeczy. Ale pod podszewką wyspanych z palca oskarżeń i złych emocji kryje się strach. Obcy wrócili i jest jeszcze gorzej, niż było. To właśnie zamierzam im powiedzieć. Na szczęście są wśród nas ludzie, którzy pamiętają. Z nimi będzie prościej.

– Uwierzą?

– Zobaczymy – odparła filozoficznie. – Moi synowie na to zasługują. Obaj. A teraz zjedz coś i ruszamy stawić czoła miastu.

Vic wzięła do ręki kanapkę i ugryzła machinalnie, ale nie poczuła smaku.

Posiedzenie zwołane w szkole bardzo komplikowało jej plany. Według zapewnień El'lara Michael niebawem pojawi się w Cheyenne. To on był głównym celem jej przyjazdu, a nie wymuszona spowiedź przed wystraszonymi mieszkańcami. Z myślą o nim zrobiła po drodze zakupy, przy których bardzo pomocna okazała się licencja lekarza. Starannie wybierała także broń myśliwską, którą chciała wcześniej wypróbować.

Ale mimo wewnętrznych oporów poszła do szkoły w obstawie Rachel i Roba. W trójkę przekroczyli drzwi sali gimnastycznej wypełnionej niemal

do ostatniego miejsca. Pod ścianą stało prowizoryczne podwyższenie, na którym przy długim stole przykrytym zielonym materiałem siedziało już trzech mężczyzn.

Rachel poprowadziła ją przez całą długość sali, jakby w ten sposób składała swoistą deklarację – tę kobietę broni autorytet samego Toma Cartera, bohatera Lake Falls.

Ramię w ramię dotarli do podwyższenia, ignorując coraz głośniejsze szepty.

Dobrze, że kamienowanie jest zakazane – pomyślała, dumnie unosząc głowę ponad oskarżycielskimi spojrzeniami dawnych znajomych, pacjentów oraz obcych ludzi, którzy przyszli obejrzeć widowisko. Z nią w roli głównej.

Rachel zasiadła przy stole i gestem wskazała krzesło obok swojego. Gdy Vic zajęła miejsce, wdowa Carter czystym beznamiętnym głosem zaczęła czytać:

– Mark i Cecylia Doyle’owie – wypadek na łodzi podczas żeglowania. Bert i Margot Newmannowie – wypadek samochodowy. Ernest i Teodora M’Caubertowie – zaginieni. Ron Thatcher – lat dziewiętnaście – zabity w bójce, Martha Ernest – porwana i zabita przez niewiomego sprawcę. Tom Spade, lat dwadzieścia – zaginiony. Angelica Messner, lat osiemnaście – zaginiona. Eva O’Malley, lat pięć – zaginiona. Natalia Seymour, lat osiem – zaginiona...

Nazwiska, imiona, wiek, sucha informacja o zdarzeniu. Vic zaczęło się kręcić w głowie. Znała ich, kilkoro z wyczytanych dzieci leczyła, dorosłych spotykała w Lake Falls, rozmawiała z nimi, czasem gościli w jej przychodni. Jak wielu jeszcze? – pomyślała z przerażeniem, które przeszło w głuchą złość, gdy na końcu usłyszała...

– Michael i Jonathan Carterowie, bracia – zaginieni.

Głos Rachel się załamał, usiadła i trzęsącą dłonią nalała sobie wody. Wtedy jej miejsce zajął jeden z mężczyzn, w średnim wieku, prosty jak struna. Pewna mina i czujne spojrzenie zdradzały policjanta albo byłego wojskowego. Nie przedstawił się, zatem większość musiała go znać.

– Zgodnie z prośbą na podstawie zebranych informacji dokonałem wnikliwej analizy – mówił w sposób beznamiętny – liczby zgłoszonych wypadków i zaginięć wśród byłych mieszkańców Lake Falls. Niestety, odstaje ona na niekorzyść od statystyki. Mówimy tutaj o przestępstwach ciężkich, morderstwach, porwaniach, zaginięciach. Mam przed sobą dane

z każdego miejsca i wygląda na to, że odsetek przestępstw wśród nas przebija trzykrotnie wskaźnik określony dla całego kraju. Uważam, że jest się czym martwić. Oczywiście w analizach prowadzonych na zlecenie policji wygląda to nieco inaczej, bo po pierwsze nikt nie prowadzi tak szczegółowych badań, po drugie – większość ze zgonów nastąpiła z innych przyczyn. I tak na trzydzieści dwie osoby, które zmarły od grudnia zeszłego roku, tylko dwanaście znalazło się w rejestrze, gdzie umieszczamy nieznane przyczyny i zaginięcia, pozostali zaliczają się do grupy sklasyfikowanej jako nieszczęśliwe wypadki. Informacje o losach przesiedleńców podzielone są pomiędzy następujące dystrykty...

Mówił dużo i na temat, a każde jego słowo znajdowało potwierdzenie w dokumentach poszczególnych spraw. Vic wyłączyła się już po kilku minutach, bo poczuła pierwsze uderzenie bólu, skronie przeszył tępy ucisk, świat wokół stracił kolory.

Trzydzieści dwie osoby – powtarzała tę cyfrę w myślach, obracała ją na każdą stronę, i doszła do strasznych wniosków.

W ciągu każdego miesiąca wampiry wybierały sobie kilka osób i nadzwyczaj dyskretnie usuwały z listy. Nikt nie wiązał ich poczynąń z wypadkami na jeziorze, pechem w bójce czy śmiercią samobójczą. Skuteczność przybocznych El'lara była wręcz imponująca. Gdyby nie dociekliwość i uzasadniona paranoja kilku ludzi, mogliby kontynuować swój proceder, aż nie pozostałby żaden żyjący mieszkaniec Lake Falls. Miasteczka, które kiedyś odważyło się im przeciwstawić i podjęło nierówną walkę. Jej drugi etap zaczynał się tu – w nowej, eleganckiej sali gimnastycznej, w jasnym świetle halogenów. Detonatorem okazała się podstarzała lekarka – główny sprawca i przyczyna wszystkich nieszczęść. Niemal każda z rodzin bezpośrednio została dotknięta utratą bliskiej osoby, każda nosiła w sobie żałobę. Jak miała z tym żyć?

Ból przybierał na sile. Wstał nowy mówca, który przypominał sytuację sprzed lat. Nie słuchała go, znała tę historię aż za dobrze z ust naocznego świadka. Próbowwała się pozbierać, ale stres, zmęczenie i niedoleczone skutki wypadku wybrały najmniej właściwy moment, żeby połączyć swoje siły.

Zbladła jak płótno, zakręciło jej się w głowie. Wstała, bo poczuła, że za moment odpłynie, zaskoczony mówca przerwał swoją wypowiedź. Na miękkich nogach wyszła tylnym wyjściem, ignorując gwar, który powstał za jej plecami. Oparła się o mur i zaczerpnęła głęboko powietrza. Zbawienne

pastylki zostawiła w torbie.

Posiedzenie zapowiadało się na wielogodzinną dysputę, więc nie miała szans dostać się do domu Carterów. Mało ją obchodziło, co pomyśleli sobie zgromadzeni ludzie i Rachel na jej nagłą dezercję, teraz liczył się tylko ból.

Drzwi się uchyliły, bezszelestnie dołączyła do niej inna postać, która ostentacyjnie zadzwoniła kluczami od domu. Nawet nie miała siły się ucieszyć. Starła się iść sama, ale Rob, nie zważając na słabe protesty, podtrzymał ją za ramię.

Dotarli w ostatniej chwili, zanim ból zmienił się w miazdzący taran, który powaliłby ją na wiele godzin. Połknęła od razu dwie tabletki i ciężko usiadła na krześle. Pochylił się nad nią i zapytał cicho:

– Lodu?

– Nie – odszepnęła.

Zrozumiał i zostawił ją samą.

Minuty mijały w zwolnionym tempie, ostrze na szczęście zamieniło się w łomot, który później przeszedł w zmierzłe pulsowanie.

– Przynajmniej nie zrobiłam sceny – pomyślała, chociaż nie odnalazła w tym za wielkiego pocieszenia.

Zostawiła Rachel w momencie, gdy najbardziej potrzebowała jej pomocy i poparcia. Czyli... wyszło jak zwykle. Wstała powoli, gotowa mimo wszystko wrócić na salę, gdy w drzwiach stanął brat Jonathana, ciałem tarasując przejście.

– Przepraszam... – powiedziała do niego.

Nic to jednak nie zmieniło, zamiast się przesunąć, gestem odesłał ją na kanapę. Usiadła, bo nie miała innego wyjścia.

– Jonathan przed wyjazdem zobowiązał mnie do zadbania o twoje bezpieczeństwo. Od tej pory myśl o mnie jak o swoim cieniu.

– Nie uważasz – siliła się na spokój, przez całe życie nienawidziła kontroli, nawet sprawowanej w imię jej dobra lub bezpieczeństwa – że przeze mnie już zbyt wielu Carterów znalazło się na liście zaginionych?

– Nie – odpowiedział.

Udało mu się zaakcentować przeczenie w taki sposób, że zrozumiała bezcelowość każdej próby polemiki.

– Chciałabym wrócić do szkoły – poprosiła – jestem potrzebna Rachel.

– Poradzi sobie – poważnie podszedł do swojego zadania. – Zrobiło się ciemno.

Miała zostać w domu, bo zapadł zmierzch, nie wychodzić późno, wracać przed zachodem słońca, nawet jako nastolatka nie podlegała takiemu reżimowi. A co gorsza, w tej sytuacji spotkanie oko w oko z Michaeliem wydawało się niewykonalne.

– Jaki masz plan? – zapytał, a ona drgnęła nerwowo.

Wiedziony przecuciem zagadnął ją o temat, którym żyła od wyjazdu z Lake Falls.

– Nie wiem, co masz na myśli – udawała idiotkę. – Nie mam żadnych konkretnych planów.

Spojrzał na nią przeciągle, w mdłym świetle kinkietów jego oczy sprawiały wrażenie prawie czarnych.

– Michael jest w Cheyenne – powiedział z pewnością w głosie – dlatego przyjechałaś.

– Skąd wiesz? – Zatkaną ją, przecież nic nie wiedział o wydarzeniach z Lake Falls, ba, nie powiedziała mu nawet o tym, co stało się z jego bratem.

– Logiczne – odparł, nie zadając sobie trudu udzielenia dalszych wyjaśnień.

– Co jest logiczne!?! – Zdenerwowała ją ta pozorna nonszalancja. – To, że Michael prawdopodobnie zabił Jonathana? – Do głowy nagle przyszła jej straszna myśl. – Chyba że poznałeś prawdę z pierwszej ręki, od Michaela?

– Nie – usiadł na krześle, zapowiadała się dłuższa rozmowa. – Mój brat przed wyjazdem zostawił mi szczegółowe polecenia. Na wszelki wypadek. Wróciłaś sama, czyli sprawy potoczyły się tak źle, jak przypuszczałaś. Oboje nie ryzykowałibyście starcia z El'larem, więc spotkaliście kogoś innego, wypadło na Michaela. Ślady, które masz, świadczą nie o starciu z wampirem, a raczej wypadku samochodowym. Nie przyjechałaś wozem Jonathana, więc tobie nic nie zrobił. Mam kontynuować czy wystarczy?

– A dlaczego znalazłam się w Cheyenne? – Nadała swoim słowom ironiczny wydźwięk.

– Z pewnością wzięłaś na siebie obowiązek przekazania nam informacji o Jonathanie – znacząco zawiesił głos – i w tym celu przywiozłaś sztucer.

Uśmiechnął się, zwykły grymas złagodził twardość jego rysów, rozjaśnił twarz, ale trwał zaledwie ułamek sekundy.

– Skoro tak stawiasz sprawę... – Opowiedziała mu wszystko od spotkania Gabora do wydarzeń z podjazdu Spencerów.

Słuchał uważnie, nie przerywał, a gdy skończyła, zadał tylko jedno

pytanie:

– Kiedy i jak?

– Wiem, że jest gdzieś w okolicy, mam zamiar go wytropić i zabić. Po prostu.

– Niemożliwe. – Udało mu się w tym jednym słowie zamknąć wszystkie ewentualne komentarze i uwagi.

– Co według ciebie jest niemożliwe? – Jego maniera była na dłuższą metę wyjątkowo irytująca.

– Zaczynając od początku, nie sądzę, żeby udało nam się go wytropić. Zna teren, umie się po nim poruszać, jest szybki. Poza tym trudno go będzie zmusić do pozostania za długo w jednym miejscu. Zabicie go także stanowi wyzwanie, bo jest odporny na każdy znany mi i legalny rodzaj broni. Najlepsza w tej sytuacji wydaje się opcja z pułapką.

– Mam idealny pomysł. – Jego plan od razu przypadł jej do gustu. – Możemy mu podsunąć sposób na wkupienie się w łaski El'lara. Problemem pozostaje tylko nawiązanie z nim kontaktu.

– Zostaw ten temat – przysunął sobie krzesło – i opowiedz mi dokładnie, co masz zamiar zrobić.

– Pod warunkiem – w tym miejscu była nieustępliwa – że dokonamy tego we dwoje i w żaden sposób nie spróbujesz mnie wykiwać. Musisz mi to obiecać.

– Słowo. – Jak dziecko podniósł dwa palce w górę.

Ze szczegółami przedstawiła mu swój pomysł, ale wprowadził do niego wiele poprawek, z którymi musiała się zgodzić, bo były „logiczne”.

Gdy sporo po północy Rachel wróciła do domu, nie chciała już rozmawiać, tylko nakrzyczała na nią, że z trudem trzyma się na nogach, i kategorycznie odesłała do łóżka. W ten sposób oddaliło się wiszące nad nimi widmo bolesnej rozmowy. Vic posłusznie udała się do sypialni, wzięła szybki prysznic i z ulgą położyła w świeżej, pachnącej pościeli.

Oczy same jej się zamknęły. W przejściowym stanie półsnu odwiedziła ją zjawą, której nigdy by się nie spodziewała.

W przepastnym fotelu pod oknem siedziała kobieta z siwymi włosami związanymi w ciasny supeł – Elizabeth Brown.

Patrzyły na siebie długo, dwie kobiety nierozzerwalnie związane z przeszłością i teraźniejszością Lake Falls, obie uwikłane przez los w nierówną walkę z nadciągającym mrokiem.

– Nie powinnaś była wchodzić do mojej pracowni – powiedziało widmo pustym zmęczonym głosem. – Te książki nie były przeznaczone dla ciebie.

– Wiesz, dlaczego musiałam to zrobić...

Przerwała jej tłumaczenia.

– Czy kiedykolwiek odkryłaś w sobie źródło mocy zdolnej poruszać przedmiotami, miałaś myśli, które zamieniały się w rzeczywistość? Widziałaś obrazy nadchodzących wydarzeń?

– Nie, ale...

– Co więc miałaś zamiar zrobić z moimi księgami? Przeczytać?

– Gabor...

Wiedźma machnęła ręką lekceważąco.

– Jest wampirem, ofiarowanie mu ich w prezencie byłoby szczytem głupoty. Zresztą nie pierwszym w twoim wykonaniu. Naprawdę wierzysz, że wykorzystyłaś je przeciwko swoim braciom?

– Więc na kogo czekały w tej rozpadającej się ruinie? – Słowa Lizzy zabrzmiały jak wyrzut, który ją boleśnie dotknął. W końcu trudno było zarzucić jej, że zdesperowana próbowała wykorzystać każdą szansę mogącą doprowadzić do wyrównania sił.

– Ten, który miał się zjawić, jest moim jedynym następcą, spadkobiercą magii żywiołów, odwiecznym wrogiem ciemności. Tylko on mógłby odwrócić koleje losu, ale pozbawiłaś go broni, ukradłaś wskazówki, które później wpadły w ręce wampirów.

– A jeśli Gabor...

– Bez względu na to, jak pozytywne wywarł na tobie wrażenie – wiedźma podniosła się z fotela i stanęła nad jej łóżkiem, była wściekła – Gabor jest naszym wrogiem, nie bądź naiwna, nigdy nie stanie po stronie żadnego człowieka.

– Więc dlaczego tak mu zależało na księgach, które zawierają rytuały wymierzone przeciwko jego rasie? – W chwili gdy sformułowała to pytanie, znała już na nie odpowiedź. Lub przynajmniej tak jej się wydawało...

– Dwa z tych rękopisów zawierają wszystkie znane magii obrzędy i zaklęcia powiązane z wampirami, kolejny opowiada o Aedrinie, stworzycielu rasy. Połącz to razem, a dostaniesz odpowiedź. Musisz odzyskać księgę, inaczej ...

Zapadła cisza, Vic za nic nie chciała usłyszeć tego, co właśnie do niej dotarło.

– Chcą odwrócić zaklęcie – wyszeptała – żeby sprowadzić Azdarotha.

– Brawo. – Widmo odwróciło się do niej plecami. – A ty dałaś im do ręki jedyne narzędzie, które w tym pomoże. Dokończ historię Aedriny, wtedy dowiesz się, co wróci na ziemię pod ludzką postacią.

– W księdze brata Jakuba także były zaklęcia – próbowała się ratować – może któreś z nich...

– Oj, kobieto. – Lizzy nawet nie raczyła na nią spojrzeć. – Rozpętałaś wojnę, choć wcześniej powinnaś się wiele nauczyć o swoich przeciwnikach. Od początku podejrzewałam, że użyte w księdze formuły zostały, powiedzmy, mocno zmodyfikowane. Ale nie zdążyłam sprawdzić tej teorii, bo El'lar wykradł mi ją z domu.

– El'lar cię odwiedzał? – Nie wyobrażała sobie, jak wampir z wiedźmą siedzący obok siebie na kanapie, popijając owocową herbatkę, wspominają dawne dzieje.

– Zaskakujesz mnie. – Elizabeth Brown odwróciła się i spojrzała jej w oczy. – Ciekawe, co nim kierowało, że właśnie ciebie wybrał, bo na pewno nie zauroczyła go twoja inteligencja. Przecież efekt ostatniej jego wizyty widziałaś na własne oczy.

– To on cię zabił?! – W ogóle nie przyszło jej to do głowy.

– Nie. – Widmo nie wydawało się zirytowane, bardziej zrezygnowane. – Poprosił o rękę. A jak sądzisz?

– Co powinnam teraz zrobić? – zadała pytanie trzęsącym się głosem.

Prawdopodobnie były to najgorsze wiadomości, jakie usłyszała od czasu rozmowy z Gaborem w Pradze.

– Najpierw zapytaj siebie, własne sumienie, czy dokonałaś właściwego wyboru. Reszta jest konsekwencją tej odpowiedzi.

– Czyli?

Widmo powoli zaczęło się rozmywać, ale zanim kompletnie zniknęło, usłyszała szept:

– Skończ kroniki...

Rozdział XXXV

KRONIKI WAMPIRÓW

Opowiadałem mu tę historię przez trzy dni trwania wichury, słuchał każdego słowa z otwartymi ustami i ogniem w oczach. Gdy w końcu ustało szaleństwo natury, zapytał, skąd ją znam. Dopiero teraz mogłem powiedzieć mu prawdę.

– Byłem naocznym świadkiem tych wydarzeń – odparłem, pewny, że za chwilę jaskinia zaśpiewa metalem, a zamiast słów przemówią miecze.

Zaskoczył mnie – słysząc moje wyznanie, nie złapał za broń ani nie rzucił się do ataku. Kapłani nie byliby zadowoleni. Ich sztylet okazał się nie tak ostry, jak myśleli.

– Kim naprawdę jesteś?

– Twoim celem. Wrogiem, którego przysięgałeś zabić – powiedziałem wprost z nadzieją, że zaspokoilem jego ciekawość.

Nadal siedział przy ognisku i traktował mnie jak towarzysza, interesującego rozmówcę, z którym los przypadkowo zetknął go na pustyni. Albo tylko sprawiał takie pozory, żeby uspić moją czujność.

– Nie o to pytałem. Ciekawi mnie, jaką odegrałeś rolę w życiu Aedriny? Kim wtedy byłeś?

Tego akurat nie mogłem mu powiedzieć, więc po raz kolejny użyłem broni hipokrytów i tchórzy – kłamstwa.

– Pamiętasz proroka, którego oszczędził w świątyni? – Musiałem się uśmiechnąć, gdyby poznał prawdę o tamtym człowieku... – Ja nim byłem. Reszty dowiedziałem się z relacji innych i legend.

– Ile z tego jest prawdą?

Zadał trudne pytanie, musiałem być bardzo ostrożny, udzielając odpowiedzi. Każde przypadkowe lub niefortunnie użyte słowo mogło go naprowadzić na niewłaściwy trop.

Dołożyłem chrustu do ognia i pogrzebałem patykiem w popiele.

– Większość – odparłem z namysłem. – Niedaleko za pasmem wzgórz leży równina, na niej stoi samotna góra, możesz tam iść i sam zapytać. W chramie ofiarują ci schronienie, napoją, udzielą wszelkich wyjaśnień.

– Krew demonów była lekiem na zarazę? – Okazał się nadzwyczaj dociekliwy.

Roześmiałem się.

– Krew demonów, dzielny wojownika, jest lekiem na wszystko, włącznie ze śmiercią.

– Kim lub czym się stali po... – zawahał się, jakby szukał właściwego słowa – obrzędzie?

– Stworzeniami nocy, strażnikami ludzkich siedzib, ofiarami nienawiści i uprzedzeń, które zawsze wynikają z niewiedzy i głupoty.

– Demonami?

– Nie, bo nawet Azdaroht nie został nim do końca. Aby o nich mówić, używano wielu nazw, jeszcze więcej obraźliwych określeń, ale tylko jedna ich definiuje – Tah'me, i co dziwne, nie ma swojego odpowiednika w żadnym z ludzkich języków.

– Co oznacza? – Był jak dziecko na tropie prawdy kryjącej się w fantastycznej baśni.

– Najbliższy znaczeniu byłby mroczny strażnik, ale ich język dopuszcza pewne niuanse, więc równie dobrze może to znaczyć strażnik mroku lub strzegący przed mrokiem. Do wyboru według uznania.

Niebo nad jaskinią pociemniało, nieubłagane nadchodził zmierzch. Musiałem się pospieszyć, jeśli miałem przed świtem zdążyć na audiencję u Tei. Królowa nie lubiła czekać.

Zacząłem pakować dobytek, patrzył na mnie zdumiony, miałem nawet wrażenie, że poczuł się w jakiś sposób oszukany.

– Posłuchaj mnie uważnie – powiedziałem, stając przed nim z mieczem w dłoni. – Masz trzy drogi do wyboru, albo zgodnie z poleceniem – nie mogłem opanować niechęci, więc prawie udało mi się syknąć – kapłanów, proroków czy innej maści odmieńców zabijesz mnie teraz w pozornie uczciwym pojedynku, albo wrócisz do swojego życia, udając, że nigdy się nie spotkaliśmy.

– A trzecia? – musiał zapytać.

– Czyż nie jest oczywista?

Mimo tego całego zastanawiania się nad sensem i celem dalszego życia nie odwróciłem się do niego plecami, bo znów instynkt samozachowawczy okazał się silniejszy niż filozofia stworzona na własny użytek.

W ten sposób – pomyślałem sobie – odbierając im ostatnią przewagę wynikającą z zaskoczenia, skazuję się na życie. Odwieczna ironia losu.

– Mogę ci towarzyszyć tam, dokąd zmierzasz? – Nareszcie wykazał odrobinę inicjatywy.

– A domyślasz się gdzie? – Niepotrzebnie wysiliłem się na szyderstwo, i tak go nie zrozumiał.

– Samotna góra? – powiedział niepewnie.

– Dlaczego chcesz tam iść? – Nie miałem złudzeń, że zdradzi mi swoje prawdziwe intencje, ale jeśli tylko umie się właściwie słuchać, ze sposobu, w jaki ludzie mówią, słów, których dobierają, można się wiele dowiedzieć.

I równie często dotknąć skrzętnie ukrywanej prawdy.

– Jest kilka powodów – zająknął się, z trudem wypowiadał swoje myśli. – Ta legenda... Żyjemy w czasach, kiedy nie ma już bohaterów, nie ma takiej miłości. – O bogowie, co pokolenie słyszę te same słowa, mogliby w końcu skupić się na przyszłości, zamiast ciągle cofać do zarania dziejów. – Nie wiem, jak mam to wyrazić. Pragnę się przekonać, czy istnieje świat, w którym żyją mężczyźni gotowi dla ukochanej przejść przez Otchłań. Świat, w którym prawi są nagradzani, a pozbawieni honoru tracą prawo do życia. Odwaga jest powodem do chluby, lojalność godna pochwały, a kapłani – spuścił wzrok i zaczął wpatrywać się intensywnie w ogień – znają swoje miejsce, nie dyktują praw i nie każą składać okrutnych danin bogom. Świat, gdzie istnieje prawdziwa wolność.

Skończył. Co prawda, mogłem mu od razu powiedzieć, że takiego świata nie ma i nie będzie, ale przytaknąłem jego wywodom, w końcu poproszono mnie, abym sprowadził go do nowego Xallu. Ktoś, z kim raczej nie warto się wdawać w dyskusje, dostrzegął w nim wielki potencjał. I pewnie miał rację.

– A zatem... – Podniosłem juki i zgasilem ognisko. Dość się już przez te dni nasłuchało.

Nie żywiłem obaw o to, że wprowadzę do bezbronnego miasta szpiega, mordercę na usługach kapłanów.

Tah'me bezbłędnie potrafią wyczytać w ludzkich umysłach emocje i myśli niczym mędracy opasłe księgi. Poza tym miasto nie było bezbronne. Trzystu osiemdziesięciu mieszkańców bez problemu pokonałoby całą armię

zjednoczonych królestw.

Wyszliśmy na zewnątrz, daleko na horyzoncie rysowały się blade odległe wzgórza, granica pomiędzy Daarthem a krainą zapomnianych legend. Tel-Aramel i Aghar zniknęły przysypane piaskami czasów, ocalał jedynie Xall, siedziba nowego boga oraz jego wybranego ludu.

Tej nocy dwóch wędrowców podążających ścieżkami własnego przeznaczenia miało wkroczyć na jego terytorium.

Zanim nasze ślady pojawiły się na dziewiczym piasku, odwróciłem się do mężczyzny i zapytałem wprost, choć przecież od dawna znałem jego imię. Ale o tym akurat nie musiał wiedzieć.

- Jak cię zwa, wojowniku?
- Jestem El'lar, syn Eatorna.

Rozdział XXXVI

Cechą idealnych planów jest to, że zawsze biorą w łeb. I z tym nie było inaczej. Ich pierwszym poważnym błędem było zlekceważenie Rachel.

Na początku wszystko przebiegało zgodnie z założeniami.

Obudziła się wcześniej, bo w głowie pobrzmiwało jej cały czas echo rozmowy prowadzonej z Elizabeth. Jeżeli w tym śnie było choć ziarno prawdy i odnalezione przez nią księgi mogły sprowadzić demona na ziemię, to los jej duszy był przesądzony. Powoli mogła się przygotowywać do długiego pobytu w Otchłani, piekle czy Gehennie, gdzie – zupełnie słusznie – czekała na nią najstraszniejsza z kar, przewidziana dla zdrajców i morderców. Bo tym się w końcu okazała. Zdrajcą, który zaprzedał swoje człowieczeństwo za eliksir życia i wydał na pastwę wampirów cały rodzaj ludzki.

Wzięła do ręki książkę i próbowała ukoić nerwy historią Aedriny, ale siłą rzeczy zdenerwowała się jeszcze bardziej.

– *Jak cię zwą, wojowniku?*

– *Jestem El'lar, syn Eatorna.*

Wpatrywała się w ostatnie zdanie jak zahipnotyzowana do momentu, aż litery zaczęły jej się rozmywać przed oczami. Kroniki wampirów skończyły się wraz z podjęciem decyzji przez El'lara, który – ku jej zdziwieniu – nie pochodził z pierwszych powołanych rodów, lecz – przynajmniej tak wynikało z sugestii nekromanty – został wezwany przez samego Azdarotha.

Historia demona zrobiła na niej kolosalne wrażenie, bo było w niej wszystko, co tworzy idealny mit: miłość, poświęcenie, ofiara i triumfalny powrót. Napisana żywym sugestywnym językiem sprawiła, że niemal czuło się sympatię do Aedriny, przez chwilę zapominając, kim się stał. Lektura *Pustynnych wędrowców* rodziła jednak masę pytań na temat dalszych dziejów narratora i obu bohaterów. Szkoda tylko, że pewnie nigdy nie będzie jej dane poznać odpowiedzi...

Odłożyła wolumin i po cichu zeszła na dół. Mimo niecywilizowanej pory zastała Roba i Rachel przy nietkniętym śniadaniu.

– *Dziękuję, że z tymi wiadomościami pofatygowałaś się osobiście –*

oznajmiła matka Jonathana, w jej oczach nie było śladu łez. – Rob przekazał mi wszystkie szczegóły, jak sądzisz, co się dalej stało?

– Nie możemy niczego zakładać – postanowiła powiedzieć prawdę bez względu na to, jak była bolesna. – Kiedy rozmawiałam z El'larem, powiedział, że Jonathan żyje, chociaż szczerze w to wątpię, bo bez pomocy lekarskiej nie miał za wielkich szans. Chyba że... – tym razem darowała sobie eufemizmy – po prostu go przemienił.

– Zatem obaj moi synowie nie dostąpią życia wiecznego – westchnęła ciężko wdowa po Tomie Carterze.

Na pewno nie Michael. Dla niego jest już za późno na odkupienie – pomyślała Vic, zdziwiona opanowaniem tej jedynej w swoim rodzaju kobiety – bo nie pozostał w nim nawet strzępek człowieczeństwa. Zobaczyłam to w jego oczach.

– Czy mieszkańcy w końcu uwierzyli w potwory? – zapytała, chcąc na chwilę odwrócić uwagę od bolesnego tematu.

– Ależ moje drogie dziecko, oni zawsze wierzyli. Należało ich tylko przekonać, że czają się już na progach domów i zaczynają zabijać. To nam się wczoraj udało. Co prawda zabrakło naocznego świadka powrotu Obcych, ale i tak zrozumieli, jak ważna jest teraz wzajemna pomoc, wsparcie oraz ochrona. Niemal jednomyślnie został powołany ochotniczy oddział, którego celem jest obrona mieszkańców Lake Falls przed widmami z przeszłości. Możesz na nich liczyć w każdej sytuacji...

– Nie zamierzam tu zostać. – Spojrzała wymownie na Roba. – Wieczorem wyjeżdżam.

– Nie ma mowy. – Wychowanie trzech synów uczyniło z Rachel upartą i apodyktyczną kobietę. – Zostaniesz z nami przez kilka dni. Wtedy być może uda się nam porozmawiać o Jonathanie.

To było nieczyste zagranie, wiedziała doskonale, że takiej prośbie nie sposób odmówić. Vic musiała się jednak wykazać stanowczością i konsekwencją.

– Jestem umówiona. – Nie do końca mijała się z prawdą. – Gdy pozabawiam swoje sprawy, wrócę tu na dłużej.

Akurat tej obietnicy nie mogła dotrzymać.

Śniadanie skończyli w rodzinnej atmosferze. Ktoś, kto obserwowałby z boku ich zachowanie, nie zauważyłby niczego nadzwyczajnego. W ogóle nie przyszłoby mu do głowy, że cała trójka jest pogrążona w głębokiej

żałobie, która zdeterminuje ich uczynki, ukierunkuje myśli i nada życiu nowy cel.

Resztę dnia spędziła z Robem w garażu, tłumacząc się koniecznością wykonania jakiejś drobnej naprawy. Mało się do siebie odzywali, skupieni na dokładnych przygotowaniach, bo od tego w gruncie rzeczy zależała skuteczność ich planu.

Wieczorem pożegnała się wylewnie i odjechała. Nie dotarła jednak na autostradę, tylko bocznymi drogami wróciła na parking pod szkołą. Długie światła vana czekającego na nią zamrugały i zgasły. Wysiadła, rozglądając się ostrożnie na boki.

– Gdzie jedziemy? – zapytała zgodnie z wymyślonym scenariuszem.

– Niedaleko – odparł. – Pokażę ci.

Oboje liczyli na ciekawość Michaela, która każe mu śledzić ją i brata, aż dotrą na opustoszałą o tej porze budowę. Rob otworzył bramę, podjechał kawałek, by zatrzymać się na środku dużego placu, otoczonego niedokończonymi budynkami.

– Jesteś pewna? – zapytał cicho.

Zrozumiała jego intencje, mieli czas, żeby się jeszcze wycofać.

– Tak – odparła stanowczo – musimy to zakończyć.

W ten czy inny sposób – dodała w myślach i z westchnieniem opuściła bezpieczne schronienie.

Poszła na tył i wyjęła dwie łopaty.

– El’lar nie wie, że go masz? – zapytał Rob, bynajmniej nie starając się być cicho.

– Nikt nie wie – odparła wyraźnie – dostałam go w Pradze. To nasza jedyna broń.

Razem podeszli pod rusztowanie i pierwsza wbiła łopatę w pryzmę piachu. Nie usłyszała go, nawet kątem oka nie dostrzegła żadnego ruchu, nagle po prostu wiedziała, że stanął za nimi, lecz nie zamierzała się odwrócić. Czekala...

Zamiast poprzedniego przerażenia teraz nie czuła nic oprócz głuchej nienawiści.

Udawała zajęta i liczyła w myślach. Gdy doszła do dziesięciu, schyliła się gwałtownie. Piach poleciał ponad jej głową, trafiając złotymi drobinami prosto w stojącą postać.

Zaskoczony Michael syknął, odskoczył, nie zwracając uwagi na Roba,

który właśnie wspinał się po drabinie.

Odwróciła się przodem do wampira.

– Przeliczyłeś się – powiedziała zimno.

Rzucił się w jej stronę, ale nie udało mu się pokonać ściany płomieni wyrastających mu na drodze. Ten ogień kupił im kilka bezcennych sekund.

Rob ukryty na pierwszym poziomie rusztowania miał czystą linię strzału, jej widok zasłaniały czerwono-niebieskie jęzory sięgające w górę. Bez zastanowienia przeskoczyła na drugą stronę tylko po to, żeby z przerażeniem zobaczyć, jak w obstawie dwóch uzbrojonych mężczyzn nadchodzi Rachel z obrzynnem w dłoniach.

Przygotowane strzelby przemówiły jednym głosem. Raz za razem głuchy dźwięk wystrzałów przecinał noc, a Vic uzmysłowiła sobie, że przez przypadek znalazła się prawie na linii ognia. Przeturlała się w bok, przeklinając pod nosem.

Przez huk płomieni i kanonadę żadna z tych osób nie usłyszałaby jej wołania, a idiotyczna manifestacja siły z zupełnie bezużytecznymi karabinami kompletnie pokrzyżowała im szyki. Mimo to poszukała najlepszej pozycji do strzału, wycelowała i...

Trafiła. W udzie Michaela zakwitły czerwone pióra strzykawki, wyrwał ją z furją, ale nie zdołał rozerwać na strzepy sprawcy, bo odrzuciła go w tył kolejna salwa. Rob także zaliczył trafienie, jego pocisk wbił się poniżej barku.

Wtedy dopiero Michael wydał z siebie wysoki przeraźliwy wrzask i zniknął.

Pierwszy z towarzyszy Rachel osunął się na kolana ze skrzyconym karkiem. Nawet nie zdążyli wycelować w miejsce, skąd zaatakował. Wydawał się tylko czarnym cieniem, który wirował, niosąc za sobą śmierć.

Rob szybko zrozumiał, co się dzieje. Zeskoczył na ziemię, ale był zbyt wolny.

Drugi mężczyzna stał przez chwilę, patrząc z niedowierzaniem, jak na jego koszuli rozlewa się plama czerwieni wypływająca z rozerwanego gardła.

Rachel została sama, broń w jej dłoniach nieprzerwanie pluła ogniem.

Vic modliła się w duchu, żeby piorunująca mieszanka środków zwiotczających połączona z końską dawką leków nasennych zadziałała, zanim...

Ale jej modlitwy nie zostały wysłuchane.

Rob zmienił broń na samopowtarzalny karabin i próbował za wszelką cenę odrzucić Michaela jak najdalej od matki. Bezskutecznie.

Vic raz za razem posyłała kolejne strzałki, ładując w niego takie porcje usypiającej mieszanki, że zdołałyby powalić stado słoń. Nawet się nie zachwiał. Kompletnie ignorował ukąszenia strzykawek.

I nagle było już za późno.

Rachel strzeliła po raz ostatni. Pojawił się tuż za jej plecami i szarpnął. Ciało uklęknęło na piachu i upadło. Ziemia dookoła nabrała burego koloru.

Zemdliło ją, ale nienawiść i strach okazały się silniejsze.

– Stój! – wrzasnęła.

Podniosła leżącego glocka, gotowa osłaniać Roba, gdy zaślepiony wściekłością ruszy na Michaela.

Na szczęście Rob okazał się mądrzejszy, niż przypuszczała. Na widok tego, co się stało z jego matką, zamiast szukać samobójczego odwetu, zniknął za ścianą płomieni. Nie zapomniał, że ich obowiązkiem było dokończyć zaczęłą batalię.

Została sama. Podniosła się powoli i spojrzała na swojego wroga. Ku jej zdumieniu wampir zaczął się wycofywać.

A więc jednak – pomyślała triumfalnie.

W jego ruchach było już widać pewną dozę nieskoordynowania, przede wszystkim był znacznie wolniejszy. Środki paralizujące w końcu zadziałały. Teraz pozostało im tylko czekać.

Syknął dziwnie, zachwiał się i upadł. To był sygnał dla Roba.

Pierwsza salwa stalowych prętów unieruchomiła Michaelowi ręce, kolejna przygwoździła go do ziemi.

Ostatni z żyjących Carterów wyszedł na plac uzbrojony w maczetę.

Zamknęła oczy.

Rozdział XXXVII

Kurwa! – zaklął Rob, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi od domu. – I jeszcze raz kurwa!

Dokładnie tak samo sądziła o wszystkich wydarzeniach tej nocy. Głucha złość wyparła wszystkie inne emocje, była wściekła na Rachel, siebie i Michaela. Gdyby mogła cofnąć czas, sama wzięłaby maczetę i odcięła mu głowę. Zdumiewało ją opanowanie Roberta, który znalazł w sobie siłę, żeby zadzwonić po pomoc, a później spokojnie rozmawiał z przybyłą odsieczą.

Poznała ich, dzień wcześniej obaj przedstawiali mieszkańcom zagrożenia wynikające z pojawienia się Obcych. Teraz mogli je zobaczyć na własne oczy.

Jeden z nich, policjant w czynnej służbie, wziął na siebie uprzątnięcie tego, jak określił dosadnie, „bałaganu” i odpowiednie upozorowanie miejsca zdarzenia.

Nie pozostało im nic więcej do zrobienia. Vic odebrała od Roba kluczyki i zawiozła ich bezpiecznie do pustego martwego domu. Wiedziała, że czas na żałobę przyjdzie o poranku, gdy z podwójną mocą wrócą do nich wszystkie wydarzenia z placu budowy.

Poszła zaparzyć sobie kawę, zwyczajne czynności według psychologów odwracały uwagę od traumatycznych przeżyć, ale mimo najszczerzej chęci nie umiała wymazać z pamięci widoku upadającej Rachel, głowy oderwanej od karku jednym szarpnięciem, zastygłego krzyku Roba i oczu Michaela.

Trzęsącymi się rękoma nastawiła czajnik, gdy usłyszała charakterystyczny dźwięk przychodzącej wiadomości. Odebrała odruchowo i zakląła.

„Gratuluje zwycięstwa i jestem rad, że tak skutecznie eliminujecie moich wrogów”.

Rob wziął od niej telefon, przeczytał wiadomość i odłożył go ostrożnie na stolik, jakby użądliły go słowa wyświetlone na ekranie.

– Ma rację – powiedział ponuro z pustym wzrokiem zawieszonym w przestrzeni.

Zalała dwie kawy, postawiła przed nim filiżankę, sama wzięła kubek

i wyszła z kuchni. Usiadła na kanapie z podkulonymi nogami. Pełen życia i gwarny niegdyś dom Carterów porażał ciszą. Tom, Jonathan, Michael i Rachel – wszyscy odeszli, a pozostały po nich tylko dwa groby, bo ciała pozostałych rozpadną się na popiół, który rozwieje pierwszy podmuch wiatru. Wspaniała rodzina przeszła do historii tylko dlatego, że los postawił na ich drodze potomków Azdarotha. Ile będzie jeszcze takich ofiar? Ilu dotknie żałoba po zmarłych?

Pokonanie niedoświadczonego młodego wampira nie było wielkim przyczynkiem do chwały, tym bardziej że zginęło przy tym troje dzielnych ludzi. Jak przytłaczający zatem byłby bilans starcia z El'larem i jego przybocznymi?

Odkładając kubek, na stercie czasopism zobaczyła kopertę zaadresowaną do Roba Cartera. Zawołała go, pojawił się w drzwiach, odległy i obcy. Bez słowa wziął od niej list, przeczytał szybko, po czym podał jej do połowy zapisaną kartkę. Zawahała się, czy powinna ją wziąć, ale ciekawość zwyciężyła.

List był krótki, Rachel nie lubiła rozdzierających pożegnań.

„Jako matka starałam się nauczyć was kilku zasad, według których warto żyć; prawości, odwagi, szacunku dla innych.

Udało mi się. Przez wszystkie te lata byłam dumna, patrząc, jak dorastacie. Na moich oczach stawaliście się mężczyznami godnymi tego miana. Los jednak wystawił mnie na próbę. Bezradnie patrzyłam, jak ciemność wyciąga ręce po moje dzieci i zaraża ich dusze. Wtedy nadszedł dla mnie czas dokonania wyboru, bo nikogo nie można nauczyć zasad, jeśli samemu się ich nie przestrzega.

W życiu każdego człowieka nadchodzi moment, kiedy musi podjąć trudną decyzję i ponieść jej konsekwencje. Dałam życie Michaelowi i sama je odbiorę. Wiem, że z całych sił próbujesz mnie przed tym uchronić, jestem Ci za to wdzięczna, ale nie mogę dopuścić, żebyś skalał swoje ręce zbrodnią bratobójstwa. Znam Cię dobrze, więc wiem, że ten czyn – choć słuszny i podyktowany zdrowym rozsądkiem – skazi Twoje sumienie, zatruje myśli. Nie mogę na to pozwolić.

Kocham Was wszystkich i dlatego uważam, że tylko ja mam moralne prawo dokonać aktu ostatecznej łaski dla Michaela. Proszę, żebyś pomodlił się za moją duszę i wybaczył.

Nie zostawiam Cię, spotkamy się w innym miejscu – może za stołem Pana.

Będę tam na Ciebie czekać razem z ojcem, ale proszę, nie spiesz się za bardzo, by do nas dołączyć”.

Na dole widniał dopisek: „A na drugi raz, Kochanie, uważaj, bo nie jesteś tak sprytny, jak ci się wydaje, a spiskowanie nie jest Twoją mocną stroną”.

Bez słowa oddała mu list, który ostrożnie – jakby był zrobiony z kruchego szkła – odłożył na stolik.

Tylko pół roku wystarczyło, by z licznej rodziny nie został prawie nikt – nawet nie umiała znaleźć właściwych słów pocieszenia. Jeśli takie w ogóle istniały...

Wybrała inny sposób, żeby przywrócić go do życia.

– Zginęła jak bohater na własnych warunkach – powiedziała zimno. – Wielu ominie ten przywilej. Zostaną zabici w łózkach, samochodach, podczas wypadów za miasto. Rachel nie była ofiarą, oni tak, jeśli czegoś natychmiast nie zrobimy.

– My? – zadrwił. – Chyba żartujesz?!

– To są tylko wampiry – podniosła głos – krwiożercze, dzikie i niebezpieczne, ale możliwe do pokonania, bo w innym przypadku od stuleci ludzkość byłaby ich niewolnikami. Na litość boską, w erze atomu i raket nie padniemy przed nimi na kolana. Jedynym problemem jest przekonanie opornych, że w ogóle istnieją.

Popatrzył na nią dziwnie, jakby w oczekiwaniu na dalszy ciąg, ale z niej już uszła cała złość i Vic poczuła się paskudnie, bo zamiast uszanować jego rozpacz, wykrzyczała własne rozgoryczenie.

– Wybacz – dodała cicho.

– Dlatego od razu cię polubiła. Jesteście do siebie bardzo podobne – powiedział po chwili.

Chciałaby mieć wolę walki i siłę Rachel. Ale prawda była bolesna, daleko jej było do tej twardej, surowej kobiety o niezłomnych zasadach, której na pewno żadne okoliczności nie zmusiłyby do zawarcia umowy z siłami ciemności. Haniebnej umowy.

– Idę spać – zakomunikowała – jutro czeka nas straszny dzień. Skinął tylko głową.

Poszła do sypialni, choć wcale nie miała zamiaru się kłaść. Określone w umowie trzy dni dobiegały właśnie końca i ta noc miała być ostatnią. Teraz musiała mądrze zagospodarować pozostałe godziny, tak aby pozamykać swoje sprawy, dlatego zrobiła spis najważniejszych rzeczy do załatwienia.

Przed świtem odebrała wiadomość z informacją o miejscu i czasie zaplanowanego spotkania. Gdy pierwsze promienie słońca przedarły się przez żaluzje, ubrała się i zeszła na dół. Rob siedział w tym samym miejscu, a zapadnięta szara twarz świadczyła o tym, że w ogóle nie zmrużył oka.

Wielka szkoda – pomyślała – wolałabym, żeby był przytomny i w pełni sił.

Zrobiła mocną kawę, zaniósła mu do salonu. Przyjął kubek bez zdziwienia i komentarza.

Usiadła naprzeciwko, głęboko westchnęła i zaczęła mówić. Z trudem zdobyła się na szczere wyznanie, w którym niczego nie ukrywała ani nie próbowała się usprawiedliwiać.

Słuchał uważnie, choć jego mina zdradzała szok i konsternację. Jonathan zapewne nie był skłonny poinformować brata, że zamieszkał z byłą kochanką wampira. Kobieta, która nie tylko sprowadziła sześciu gwardzistów El'lara, ale stworzyła nowego Wybrańca, dziecko zdolne tworzyć nieskończoną liczbę wrogów.

Gdy skończyła, zapadło ciężkie milczenie.

– Oczekujesz pociechy czy rozgrzeszenia? – zapytał po kilku minutach. – Nie byłem na twoim miejscu, nie stanąłem przed takim dylematem, więc nie mam prawa osądzać. Wszystko inne było konsekwencją tej decyzji, ale tak jak powiedziała Rachel, prędzej czy później znalazłby się ktoś, kto wypuściłby – zająknął się, nadal z trudem to słowo przechodziło mu przez gardło – wampiry z jaskini. Ciebie usprawiedliwiają przynajmniej dobre intencje.

– Nie opowiedziałam ci tego wszystkiego, żeby usłyszeć: rozumiem i wybaczam, na to jest już za późno. Chciałabym wierzyć, że dotrzymasz słowa danego Jonathanowi i mi pomożesz. Tylko uprzedzam, nie będzie łatwo.

– Co mam zrobić?

– Zorganizować obronę, zmobilizować mieszkańców, rozdać im odpowiednią broń, a po mojej śmierci zabić Kat.

– Oszalałaś?! – Popatrzył na nią z jawną odrazą.

– Nie – odpowiedziała zimno. – Gdybym oszalała, wszystko, co się wydarzyło, byłoby majakiem schorowanego umysłu. Tymczasem prawda jest brutalna. – Celowo wybrała okrucieństwo, jako najlepszą metodę przekonywania. – Rachel nie żyje, bo własny syn urwał jej głowę, twój brat stał się zabawką w rękach zwyrodniałego potwora, który właśnie odpłaca mu

stokrotnie za śmierć swoich pobratymców. Jeśli oczywiście przeżył po tym, jak rozerwano mu gardło. I ty nazywasz jedyne logiczne rozwiązanie szaleństwem?

– Jak śmiesz mnie o to prosić?! – Nadal był wstrząśnięty.

– Mimo pochlebnego porównania nie jestem Rachel. Od rozmowy z Gaborem wiem, co powinnam zrobić – z trudem powstrzymywała rosnący w gardle skowyt – ale brakuje mi odwagi i siły, jaką miała twoja matka. Spójrzmy prawdzie w oczy, troje ludzi zginęło w potyczce ze słabym młodym wampirem, a krew Kat jest w stanie stworzyć setki, może tysiące podobnych. Rachunek staje się niebezpiecznie bliski porażce. Za akt miłosierdzia zapłacą niewinni ludzie, masz pojęcie, ilu ich będzie? Z drugiej strony ta jedna śmierć może ocalić tak wiele istnień. Czy wobec tego mamy prawo się wahać?

– Powinnaś to zrobić sama – zaprotestował znacznie słabiej.

– Nie dam rady – szepnęła – może tobie się uda. Nienawidzisz wampirów i pragniesz zemsty, zatem zabij źródło. Mam przygotowaną...

Nie mogła o tym mówić, zamknęła oczy i zaczęła ciężko oddychać. To potworne zdanie nie zdołało opuścić jej ust.

– Napisałam ci instrukcję. – Miała dość rozmowy, musiała natychmiast wyjść z tego przeklętego domu i zaczerpnąć powietrza.

– Nie jestem mordercą. – Jego słowa dogoniły ją w drzwiach.

– A ja tak – pomyślała. – Już tak.

Wyszła na ganek, popatrzyła na pozornie cichą i spokojną dzielnicę schludnych nowych domków. Promienie późnowiosennego słońca oświetlały przystrzyżone wzorowo trawniki, idealnie utrzymane podjazdy, zadbane rośliny pyszniące się w wypielęgnowanych ogródkach. Za tą fasadą krył się mrok, zło w czystej postaci, jego fragment tkwił wbity w jej serce i powoli pozbawiał człowieczeństwa.

W gruncie rzeczy cieszyła się na spotkanie z El'larem, bo miała dość. Siebie samej, własnych pomyłek i ich konsekwencji, decyzji, które były niemożliwe do podjęcia, zniszczeń, jakie za sobą pozostawiała. Potrzebowała ciszy. Potrzebowała spokoju. Najlepiej na zawsze.

Zadzwoiła do Głosu i upредиła, że niebawem odezwie się do niego Rob Carter upoważniony do skontaktowania się z Kat.

– Mam rozumieć, że pan Carter uzyskał pani pełnomocnictwa?

– Pełne – odpowiedziała powoli, ostrożnie dobierając słowa – ale

podlegające pewnym warunkom. Sporządziłam odpowiednie dokumenty, jeszcze dziś zostaną wysłane.

– Może nie powinienem pytać, bo to w sumie prywatna sprawa, ale czy jest pani pewna swojej decyzji?

– Ma pan rację, to nie jest pana sprawa. – I wyłączyła telefon. Teraz pozostało jej już tylko zamknąć ostatni rozdział swojego życia.

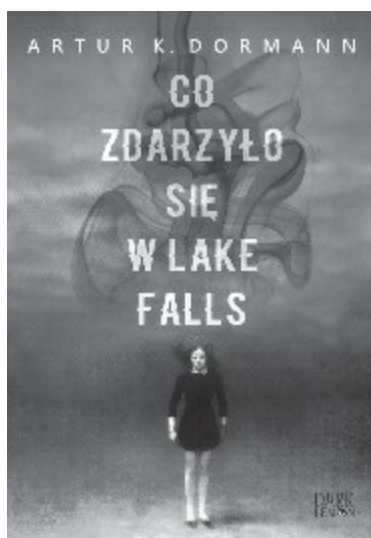
Wróciła do domu, na stoliku położyła instrukcje dla Roba, obok wypełniony bloczek z receptami oraz kopertę przeznaczoną dla Głosu. Przed wyjazdem poszła jeszcze do łazienki, żeby po raz ostatni zajrzeć sobie głęboko w oczy i poszukać w nich choć cienia wątpliwości.

Nie znalazła w nich nic.

O Autorze

Fanatyczny wielbiciel książek, zapalony fotograf amator, łazik, miłośnik gór. Całkowicie uzależniony od muzyki. Każdej.

Najbardziej interesują go wybory i ich konsekwencje, dlatego często zastanawia się nad istotą ludzkiego przeznaczenia. Ma poczucie humoru – czarne, pesymistyczne, może lekko wypaczone. Ogólnie nieco staromodny i absolutnie postmodernistyczny – typowy przedstawiciel straconego pokolenia Y, z przyzajonym na dnie duszy romantykiem.



Artur K. Dormann

Co zdarzyło się w Lake Falls

Śmiertelnie chore dziecko, nieśmiertelny mężczyzna i niebezpieczna propozycja.

Victoria przybywa do Lake Falls, miasteczka położonego w malowniczej górskiej dolinie. Z trudem odbudowywane poczucie stabilizacji niszczy wiadomość o zdiagnozowaniu u córki nieuleczalnej choroby. W chwili gdy kobieta znajduje się na skraju załamania, pojawia się nadzieja.

Obcy mężczyzna oferuje swoją pomoc, ale umowa między nimi ma drugą, mroczną stronę, a koszty okażą się znacznie wyższe, niż przewidywała. Victoria staje przed wyborami, których konsekwencji nie potrafi przewidzieć. Każda postać z jej otoczenia okazuje się kimś zupełnie innym. Nie wiedziała, że Lake Falls od początku skrywało tajemnicę...

[1](#) Dylan Thomas *And death shall have no dominion* (tłum. własne – A.K.D.)

[2](#) Dylan Thomas *And death shall have no dominion* (tłum. własne – A.K.D.)

[3](#) Dylan Thomas *And death shall have no dominion* (tłum. własne – A.K.D.)